

KRASZEWSKI JÓZEF IGNACY

ZA SASÓW

**Powieść historyczna
(August Drugi)**

**CYKL POWIEŚCI HISTORYCZNYCH OBEJMUJĄCYCH
DZIEJE POLSKI**

Część dwudziesta ósma cyklu.

Skanował i błędy poprawił: J. Podleśny.

Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa
Czytelnik
1950

TOM PIERWSZY

Rozdział pierwszy.

Wiek siedemnasty był na schyłku.

Polska po zgonie Jana Trzeciego miała po długich zabiegach wybrać prawdopodobnie następcę bohatera, narzuconego jej przez Francję kandydata do korony... Starania o to ciągnęły się prawie nieprzerwanie od przybycia Marii Ludwiki do Polski. Francja obiecywała sobie wiele po tym sojuszu przeciwko Austrii, gdy niespodziewanie jako ubiegający się o tron wystąpił Fryderyk August, od kilku lat, po Janie Jerzym Czwartym, zmarłym bezpotomnie, kurfirst saski, przyjaciel i sprzymierzeniec rakuskiej dynastii.

Ciche, ale zręczne zabiegi, poparte złotem, umiejętne korzystanie z opieszałości i oddalenia Francji, na ostatek nawrócenie się na katolicyzm kurfirsta, obiecujące Stolicy Apostolskiej w przyszłości odzyskanie Saksonii, rozstrzygnęły o losach Rzeczypospolitej.

Fryderyk August wybrany przez mniejszość, ale ruchawą i czynną, miał się koronować w Krakowie.

W Saksonii i stolicy jej, Dreźnie, półgębkiem tylko, cicho, z pewną trwogą i smutkiem mówiono o tym wypadku, który jednym zdawał się obiecywać wzrost potęgi i pomyślności kraju, dla drugich był groźbą prześladowania religijnego. Zdania i uczucia wielce podzielone były.

Reforma religijna miała czas zakorzenić się tu głęboko; przywiązanie do niej posunięte było aż do fanatyzmu, razilo jak grom, że głowa tego nowego kościoła — panujący — zmienił wiarę, ogłaszał się katolikiem i wkładając koronę polską na skronie, zapierał się kolebki, co go wykołysała. Duchowieństwo ewangelickie przejęte było zgrozą i trwogą, gotując się do walki i stawania w obronie wolności sumienia.

Ode dworu wprawdzie płynęły zapewnienia uspokajające, zaręczano, że August miał uroczystym aktem zabezpieczyć swoim poddanym zachowanie ich wiary, opiekę dla niej; sumienniejsi ludzie pojąc nie mogli ani lekkomyślności, z

jaką Fryderyk August zmieniał wiarę, ani obojętności, jaką dla nowej okazywał... Jawny ten frymark polityczny sumieniem wprawiał ich w osłupienie.

Gorliwi ewangelicy spotykali się w ulicach, nawzajem badając oczyma, głośno jednak za niczym odzywać się nie śmiano, bo w Saksonii rezonowanie (resonieren) źle było widziane i surowo wzbronione. Tu wola panującego była jedynym prawem. Dwór i panowie otaczający kurfirsta okazywali radość i cieszyli się zwycięstwem. Saska szlachta przewidywała zmianę stosunków, nieuchronne ofiary, na ostatek poświęcenie jej — interesom rozległego państwa nowego.

Cisza jakaś głucha, złowroga, ponura, ciężka, przygniatała Saksonię i jej stolicę, a na twarzach kurfirsta i jego ulubieńców jaśniała radość z otrzymanego zwycięstwa.

Kto by z dzisiejszego Drezna, a nawet z tego, czym ono było przed półwiekiem, chciał wnosić o stanie stolicy tej w pierwszych latach panowania Augusta Silnego, omyliłby się wielce. Drezno ówczesne wcale do tego, czym się stać miało za jego czasów, podobne nie było. To, co później stanowić miało główną jego ozdobę, nie istniało jeszcze.

Dzisiejsze miasto stare, naówczas jeszcze nowym się nazywało i choć w nim około zamku skupiało się życie, gród ten nowy dość ciasno murami był objęty. Przedmieścia tylko około niego szeroko się dosyć rozsiadały. Znaczna część ich, szczególnie nad Elbą, zamieszkała była jeszcze przez Wendów, pierwszych autochtonów i założycieli Drażdan.

W szczupłych dworach, na sposób serbski budowanych, z podsieniami i rzeźbionymi słupkami, siedzieli tu rybacy, cieśle i rolnicy, uprawiający niezbyt żyzne grunta. Zamek przebudowywany i powiększony, dosyć rozległy, miał powierzchowność niezbyt wdzięczną, pojedyncze tylko części jego, świeżo przyozdobione, okazałej wyglądały, a upodobanie w budownictwie i wystawności zapowiadało, że wkrótce naśladowca Ludwika Czternastego stworzy tu sobie odpowiadającą wytwornemu swemu smakowi rezydencję.

Od zamku idąc ku rynkowi Starym zwanemu, ulica zwana Zamkową, chociaż na owe czasy była dość okazała, bo ją przyozdabiały starsze, wytworniejsze, od czoła rzeźbami upiększone kamienice, w istocie ciasna była, ciemna, niepozorna.

Bliżej zamku i bramy, noszącej nazwę Jerzego, znaczniejsza część gmachów należała do kurfirsta i mieściła w sobie osoby do dworu i posług jego należące.

Dalej nieco, ku rynkowi, kamienice były własnością mieszczan tutejszych, posiadłościami od dawna w ich rękach zostającymi. W znaczniejszej części na dole zajmowały je sklepy, handle kupców, sposobem ówczesnym skromnie i bez żadnego starania o elegancję urządzone.

Każde prawie z tych domostw nosiło u wnijscia znak jakiś, odróżniający je, po którym rozeznac się dawało.

Najczęściej godła te służyły razem za rodzaj szyldów handlu, który się tu mieścił od lat dawnych. Były to okręty, dzwony, wagi, nożyce postrzygaczy, podkowy kowalów i liczne zwierzęta.

Nie dochodząc do rynku, od zamku po lewej stronie, stał dosyć okazały dom Witków, nad którego bramą przed wieki wyrzeźbione były dwie ryby, chociaż dziś już tu nikt się rybołówstwem nie trudził i oprócz śledzi, innych tu dostać nie było można.

Na dole wcale obszerny sklep zajmował handel towarów wszelkich, wielce urozmaicony, bo w nim i wyroby z żelaza, mosiądzu, cyny, szkła, i wytworniejsze zamorskie przyprawy do kuchni, i wina rozmaite się znajdowały.

Oprócz tych ryb zapomnianych, na froncie na żelaznym pręcie wisiało złożone niegdyś grono winne, znacznie już zakopczone i poczerniałe.

Stary Witkę uchodził za Niemca, ale wypadkiem jakimś upodobawszy sobie bardzo piękną, ubogą dziewczynę w Budziszynie, między Serbami, ożenił się z nią i słowiańską krew do domu wprowadził, która tu nieznacznie wsiąkła.

Wiadomo powszechnie, że słowiańska ludność Saksonii cudem jakimś Opatrzności znamiona narodowości swej przechować potrafiła przez wieki. Zrazu uciskana i prześladowana, z postępem czasu wżgardzona tylko i wyśmiewana, przetrwała do dziś dnia, kryjąc się niemal z sobą i wstydząc pochodzenia. Powoli jednak, co rok, ubywało Słowian, bo wielu ich najzupełniej się germanizowało. Istniały jeszcze prawa, choć zaniedbane, ograniczające swobodę tych nieszczęśliwych helotów, wyzwalało się z nich przybierając na zewnątrz charakter niemiecki, przyswajając język, wyrzekając się obyczaju.

Męczeństwo, którego te apostazje były skutkiem, ciche, zrezygnowane, milczące, bliżej nawet patrzącym na nie ledwie się dostrzec dawało. Co starosłowiańskiego pozostawało, kryło się i przysłaniało z obawy, aby wszelki objaw głośniejszy nie rozbudził nowego prześladowania, którego tradycje i pamięć się zachowywała.

Aż do początków dziewiętnastego wieku drezdeńska ludność na przedmieściach, nad Elbą, była jeszcze przeważnie słowiańska. Napływ Niemców później szybko ją zagłuszył, tak że nabożeństwa po kościołach z kazaniami i pieśniami serbskimi pozostały dziś jedyną przeszłości pamiątką.

Chodziły głuche wieści, że i Witkowie niegdyś z Wendów pochodzili, temu nawet przypisywali niektórzy, iż stary sobie żony szukał w Budziszynie.

Ale raz przybywszy do Drezna młoda Serbka (imię jej było Marta) musiała, do woli męża się stosując i dla stosunków z rodziną jego, zapomnieć starych swych ludowych pieśni, stroju się wyrzec i obyczaju.

Umiała ona i dawniej po niemiecku, a teraz, co dzień się posługiwać zmuszona tym językiem, przyswoiła go sobie tak, że tylko po małym akcencie poznać było można budziszynską mieszczanę.

Szacunek dla męża sprawił to, że jej pochodzenia nie wyrzucano ani nawet poznać dawano, iż się go kto domyślał.

Cicha, spokojna, pracowita, skromna, zawsze łagodnie uśmiechnięta i uprzejma, pani Witkowa łatwo sobie wszystkich serca pozyskiwała. Mąż, który w obejściu się z nią przy ludziach męską swą wyższość rad okazywał, w domu, gdy pozostali sami, prawie jej był posłuszny i we wszystkim do rady ją wzywał. Małżeństwu temu Bóg dał jednego syna, którego matka kochała, pieściła, czuwała nad nim z niezmordowaną troskliwością.

Żyła tylko nim i dla niego.

A że i ojciec go kochał, chociaż się z czułością dla niego zdradzić nie chciał utrzymując powagę ojcowską, młody Witkę (na chrzcie Zachariaszem mianowany) wychowany został z większą starannością i kosztem, niż zwykle mieszczańskie dzieci. Natura go też wyposażyła zdolnościami i energią niepospolitą, a rodzice mieli prawo cieszyć się jedynakiem.

Ojciec przeznaczył go naturalnie na swego następcę, mającego po nim objąć handel, już przez niego powiększony, a w przyszłości jeszcze się rozrosnąć obiecujący. Wychowanie całkiem domowe rozpoczęło się i skończyło bez szkoły. Na wszelkiego rodzaju nauczycielach nie zbywało młodemu Zachariaszkowi. Nauka przychodziła mu łatwo, chociaż szczególnego do niej nie objawiał upodobania. Czy to dziedzictwem krwi, czy wpływem wrażeń młodości, chłopak najżywiej, najchętniej zajmował się rzeczami praktycznymi, samym życiem i sprawami powszednimi.

Z tu i owdzie rzuconych słów matka dorozumiewała się w nim ambicji wielkiej, nie ograniczającej się tym stanem, do którego był zrodzony i przeznaczony, ale sięgającej w daleko wyższe sfery.

Niewielkie oddalenie od zamku, stosunki kupieckie z dworem kurfirsta, dla którego Witkę dostarczał często różnego towaru, obeznały chłopca zawczasu z życiem i obyczajem dworskim, ciekawy był wszystkich tych historyjek, które tłumaczyły nagle podnoszenie się jednych, drugich upadek. Wiedział też bardzo dobrze, iż na saskim, jak na innych dworach, najskromniejszego pochodzenia ludzie dobijali się najwyższych stopni.

Ojciec, chociaż go od dzieciństwa wtajemniczał i wdrażał do swojego zawodu, dawał mu przy tym dosyć swobody, a że matka jej nie krępowała, miał więc Zacharek dosyć czasu, aby się do czynnego życia obeznawaniem z nim przygotować.

Słusznego wzrostu, pięknej postawy, blondyn, z wyrazistymi niebieskimi oczyma, obdarzony wrodzonym wdziękiem twarzy i ruchów, Zacharek równie jak matka łatwo sobie wszystkich serca zdobywał. Lubiano go powszechnie.

W życiu, jakie prowadził za czasów ojca, miał tyle zajęć, że się nie mógł nazwać próżniakiem, ale wcale nie był też skrępowany zbytkiem pracy.

Matka go oszczędzała, ojciec się posługiwał tylko do spraw ważniejszych, chcąc go z nimi oswoić. Posługi zresztą przy sklepie i domu było dosyć, a chłopak miał się kim, gdy chciał, wyręczyć. Młodość więc schodziła mu bardzo szczęśliwie i swobodnie, a wesoły jego humor świadczył, że mu na świecie dobrze było. Niezbyt pieszczony, miał jednakże wszystko, czego mógł pożądać.

Myśli jego, pragnienia wyżej wprawdzie sięgały, ale tego, prócz matki, nikt się nie domyślał. Ojciec w perspektywie wskazywał mu tylko wzrost domu, rozszerzenie handlu i hurtowne spekulacje na większą skalę. On nie pożądał więcej; chłopakowi może to nie starczyło, uśmiechał się słuchając.

Stary Witkę zamierzał drugi sklep otworzyć na starym mieście za Elbą, marzył też o pomniejszych handlach na prowincji, co wszystko stopniowo, bez wysiłków, przyjść miało, ale nic więcej.

Tymczasem odbył w sklepie przy Zamkowej ulicy szedł doskonale. Znano starego Witkę jako bardzo sumiennego w mierze i wadze, dla mniej zamożnych — wyrozumiałego, cisnęli się więc do sklepu ubodzy, a bogatsi chwalili dobór

rzeczy i uprzejmość w usłudze. W radzie miejskiej i w cechu swoim miał też głos znaczący i poważanie.

Zachariasz liczył już sobie lat przeszło dwadzieścia, gdy nagle pomyślny ten stan rzeczy śmiercią ojca niespodzianą został zachwiany.

Zdrów i silny, stary Witkę jednego wieczora dostał uderzenia krwi do głowy, postradał mowę, męczył się dni kilka i pomimo starań nadwornego królewskiego lekarza, wkrótce życie zakończył.

Cios to był jak uderzenie piorunu straszny dla wdowy i syna, ale zostawił rodzinę z zabezpieczoną przyszłością. Wszystko po śmierci jego znalazło się w takim porządku, z przewidywaniem wszelkich wypadków, iż nie pozostawało synowi i wdowie, tylko się do jego wskazówek stosować.

Prowadzenie dalsze interesów pozostawiał synowi razem z matką, dalekiego zaś krewnego, kupca, sukmem handlującego w Starym Rynku, Baura, raczej doradcą niż opiekunem naznaczył. Baur, w równym wieku z nieboszczykiem, człowiekiem był łagodnego charakteru, powolnym i szanowanym powszechnie, mógł pomóc, a zaszkodzić w żaden sposób nie zdołał. Stawił się on zaraz w pomoc rodzinie, ale po rozmowie z panią Martą i jej synem uznał, że rady jego mało mogli potrzebować, tak byli dobrze przez nieboszczyka do prowadzenia handlu wdrożeni. Matka zresztą czuwała nad synem, a Zachariasz był chłopak stateczny. Na środkach zaś do handlu nie zbywało.

Zachariasz więc wspólnie z matką objął sklep, a że przywykły był i dawniej często ojca zastępować, trudności nie znalazł w niczym. Zostało wszystko w dawnym porządku, sercom tylko brakło poczciwego starego ojca, którego cień i wspomnienie zdawały się nad rodziną ulatywać.

Matka modliła się i płakała, a Zachariasz, zmuszony teraz wchodzić w szczegóły, rozpatrywać się w pozostałości, w papierach, registrach i notatkach, powoli zaczął tworzyć plany i zamierzał szersze sobie pole czynności otworzyć. Miał wiele ambicji, którą wprzód hamował w sobie, teraz uzyskawszy zupełną swobodę, dał jej brać nad sobą górę.

Matka, jak się dorozumieć łatwo, nie sprzeciwiała mu się w niczym. Radziła oględność, przypominała nieboszczyka, ale zgadzała się na wszystko, czego ukochany syn mógł zapragnąć.

Zacharkowi rozmarzonemu coraz być zaczynało ciaśniej na Zamkowej ulicy.

Wieczorami, gdy po zamknięciu handlu przychodził na górę do pani matki, zasiadając z nią i starszym pomocnikiem do wieczerzy, wyrwały mu się rozmaite śmiałe pomysły; ale dopiero gdy sam na sam z panią Martą pozostał, zwierzał się jej otwarcie z tego, co mu się po głowie snuło.

Były to jakby marzenia, z których się ona uśmiechała, nie przywiązując do nich zbytnej wagi.

Jeszcze przed elekcją kurfirsta królem polskim, gdy się starania o koronę zasnuwały, do Flemminga przybywać zaczęli Polacy, senatorowie świeccy i duchowni, pan Przebendowski, szwagier jego, i ci, których ów dla saskiego kandydata potrafił pozyskać.

Pierwszy może raz postrzeżono gęściej się przesuwające stroje wschód przypominające, krzywe szable, wygolone głowy, zawiesziste wąsy sarmackie.

Ludzie w ulicach stawali, ciekawie się im przypatrując, a że mało kto z tych przybyszów po niemiecku się mógł rozmówić, dodawać im musiano przewodników i tłumaczy... Inni z sobą przywozili Izraelitów, w długich, czarnych żupanach i aksamitnych czapczkach na głowie, którzy im połamaną niemiecką posługiwali.

Im mocniej się utwierdzała wieść o tym, że Fryderyk August w Polsce, też panować będzie, a dwa te kraje pod jednym berłem połączone zostaną, tym Polska więcej wszystkich umysły zajmowała.

Młody Witkę, posłyszawszy w ulicy po polsku z sobą mówiących dworzan Przebendowskiego, z pomocą serbskiej macierzystej mowy po trosze ich zrozumiał... Mocno go to poruszyło, myśli dziwne przewinęły się po głowie.

Krył się on z tym, jak wszyscy, którzy krew słowiańską mieli w sobie, że się do niej poczuwał... Winien to był matce, która w największej tajemnicy przed ojcem nauczyła go swoich dziadów i pradziadów języka. Miała to sobie za obowiązek, który w jej pojęciu równał się religijnym. Jak Boga przodków, tak ich mowy zapierać się nie godziło w jej przekonaniu... Zdawało się biednej matce, że dziecko nie byłoby jej dzieckiem, gdyby z nim tą mową nie mogła szeptać choć po cichu. Walczyła więc. Niełatwo jej przyszło utaić to przed mężem, dziecko nauczyć zachowywać tajemnicę, ale spełniła to, co po niej wymagało sumienie. Zacharek mówił po serbsku...

Nawykły jednak uważać się za Niemca, nie miał miłości dla swoich współbraci, uchodził za Niemca czystej krwi, wstydził się biednego

pochodzenia od plemienia podbitego i niewolniczego. Tylko poszanowanie dla matki, chęć przypodobania się jej skłaniały go do serbszczyzny.

Nikt też, oprócz matki i jej krewnych, nie słyszał go nigdy mówiącego tym językiem, a przy ludziach matkę nawet zagadywał po niemiecku... Wieczorami do niej przychodził na te rozmowy, zasiadali naówczas: ona przy kołowrotku, on oparty na stole za kuflem piwa, i gwarzyli... Starej jejmości sprawiało to rozkosz niewypowiedzianą, która z twarzy jej promieniała.

Dnia tego, gdy po raz pierwszy usłyszał polską mowę w ulicy, wieczorem z twarzą niezwykle wypogodzoną wbiegł do matki, która na niego z podwieczorkiem oczekiwała.

Rozmowa obyczajem powszednim poczęła się od sprawozdania z zajęć codziennych i ważniejszych interesów, ale Zacharek roztargniony był, zamyślał się, ważył coś, zatapiał się w jakichś rachubach... Matka, znając go dobrze, zapytała w końcu:

— Co ty, biedaku, masz na głowie?

Chłopak niespokojnie potarł czoło.

— A! matusiu miła — odezwał się — niejedno mam na tej głupiej głowie, ale to, co mi się dziś uroiło, ja nie wiem, może o tym i mówić nie warto.

Stara zbliżyła się do niego.

— A! a! — rzekła — tobie się nic uroić nie może, masz nadto rozumu, a nie darmo pewnie chodzisz tak zadumany?

Zachariasz się uśmiechnął.

— W istocie miałem się wam z czymś zwierzyć — rzekł po cichu, siadając przy matce na starej posagowej skrzyni malowanej, która stała pod oknem. Była to jedna z tych, które niegdyś skromną staruszki stanowiły wyprawę.

Pani matka ciekawe oczy w niego wlepiała.

— Wiecie, matusiu — począł — że ta polska mowa, którą dziś słyszałem, tak jest do twojej (nie wyraził się naszej) podobna, że ja ją prawie wszystką rozumieć mogę. Otóż, myśl mi przychodzi, że z tego by korzystać można... Otworzy się dla naszego handlu Polska, co krok pośredników będzie potrzeba, aby Sasi Polaków, a Polacy Sasów rozumieli. I w Warszawie, i w Dreźnie ludzi

dwujęzycznych zabraknie. Gdybym się ja polskiego nauczył dobrze, co mi przyjdzie z łatwością, mógłbym łatwo Polakiem być w Warszawie, Niemcem w Dreźnie albo, wedle potrzeby, na przemiany! Co wy na to?

Oczy mu się śmiały tym pomysłem szczęśliwym i pomilczawszy chwilę, gdy matka mu nie przerywała, ciągnął dalej:

— Sam nawet najjaśniejszy król, kurfirst nasz, bez zaufanych pośredników się nie obejdzie. Handel nasz na tym wiele by mógł skorzystać i ja...

Zawahał się dokończyć i wypowiedzieć całą myśl swoją, wstał, aby się przejść po pokoju. Oczy matki niespokojne poszły za nim.

— Widzisz, Zacharek — odezwała się Marta — jak to na dobre wyszło, że ja cię nauczyła naszej mowy. Nie wiedziałam, że ona jest do polskiej podobna...

Witkę palce do ust przyłożył i szepnął:

— Nie trzeba się z tym zdradzać, aby i drudzy nie poszli tą samą drogą.

Matka pocałowała go w głowę. Zacharek zadumał się znowu.

— Mam wielką ochotę — dodał — lepiej się w tym rozpatrzeć... no i może potem Polaczka jakiego sobie namówić, aby się od niego prędko nauczyć mówić doskonale po polsku. Mnie języki przychodzą łatwo, tylko nie z gramatyki, ale z rozmowy. Gdy się nauczę po polsku, da mi to pewną wyższość nad innymi Niemcami; któż wie? może się tym sposobem i do dworu dostanę.

Matce twarz się zachmurzyła jakąś troską, powolnie złożyła ręce.

— A! dziecko moje — szepnęła z obawą — do dworu nie życzylabym się cisnąć... Lepiej daleko stać od niego... Wiele tam wprawdzie zyskać można, ale i wszystko utracić.

Zacharek z wyrazem odwagi potrząsnął głową.

— A! — zawołał — kto nic nie waży, ten nic nie ma!

— A czegoż my się tak znowu dobijać mamy! — przerwała matka — albo nie dosyć pracowite nam zostawiło ojczyisko?

Milczący popatrzył na nią syn.

— Nie zbywa nam na niczym — odezwał się — to pewna. Majątek się powiększa i rośnie, ale dlaczegóżby nie korzystać z tego i nie starać się o więcej jeszcze? Bogactwo daje możliwość czynienia wiele dobrego, ja go dla siebie nie potrzebuję, ale chce mi się wyżej! wyżej!

Matka westchnęła.

— Wiem ja to dobrze — powoli mówić zaczęła — że majątek nas, mieszczan pokornych, wyzwała i podnosi. Niejednego bogatego uszlachcono, niejeden urząd dostał na dworze, ale dziecko moje... policz no tych, co, wyniosłszy się, z wysoka pospadali. Alboż nam nie dosyć, tak jak jest?

Zacharek ręką zamachnął tylko i zamilkł, ale po grze jego fizjonomii widać było, że natrętne myśli, co go oblegały, nie opuściły.

Dnia tego nie mówili już więcej o śmiałych marzeniach, matce jednak parę słów syna mocno w pamięci i w sercu utkwiło. Znała ona wytrwałą naturę Zacharka, który niełatwo co przedsiębrał, ale, raz co począwszy, nie rzucał chętnie.

Przez cały następny dzień chodziła pani Marta około swojego gospodarstwa jak zwykle, ale głowę miała pełną tego, do czego syn się jej przyznał wczoraj. Wielka obawa o przyszłość ją ogarniała.

Nikt naówczas prawie w Saksonii nie znał bliżej Polski, jej stanu i obyczaju: jedni głosili kraj ten niezmiernie rozległym i bogatym, drudzy na wpół barbarzyńskim.

Dźwięki języka, podobnego do serbskiego, pociągały panią Martę ku Polakom, czuła w nich braci, ale powierzchowność butna i zuchwała odstręczała.

Stara wołała zresztą dla syna spokojny handel w domu, na własnych śmieciakach, niż rzucanie się na śmiałe przedsiębiorstwa, których skutków przewidzieć byle trudno.

Nazajutrz wieczorem zeszli się znowu, Zacharek przywitał matkę, bardziej jeszcze ożywiony i wesoły, śmiało mu się młode lice.

W istocie, raz powzięta myśl coraz się w nim dalej rozsnuwała. Utwierdzał się w przekonaniu, że kurfirst w stosunkach z krajem nowym ludzi potrzebować będzie; czuł się usposobionym do tych posług. Niebezpieczeństwa, o których

wczoraj napomknęła matka, nie zraziły go wcale. Przy wieczerzy Marta sama zagaiła o tym znowu, rozpytując, co postanowił i czy co obmyślił nowego.

— Widziałeś się z kim? — zapytała.

— O! ja — rzekł śmiejąc się kupiec — gdy mam co na sercu, czasu nie tracę, trwam w tym, mateczko kochana, aby coś począc, i to nie odkładając, bo kto inny ubiec może. Chodziłem do domu Flemminga odnowić tam znajomości i zetknąć się z Polakami, którzy z jego siostrą czy też krewną przybyli. Tak ci jest, jak przewidywałem, Polacy chodzą jak błędni, potrzebują przystani i pośredników. My też nie wierny, jak do nich przystąpić... Oni naszego Drezna, my Warszawy ich nie znamy ani Krakowa. Pierwszy, co zawiąże bliższe stosunki i jaśniej się rozpatrzy w Polsce, może u kurfirsta pozyskać wzięcie i wpływy.

— A — przerwała matka. — Po co nam cisnąć się do dworu? Szanuję ja i czcę naszego pana kurfirsta, ale mi się zdaje, że nam, ludziom kupieckiego stanu, napierać się na zamek, do panów, niebezpieczna rzecz. Więcej się tam naraża, niż zyskuje. Myśmy do tego nie stworzeni.

Ojciec twój, moje dziecko, pilnował handlu swojego, dozierał miary i wagi, starał się o towar świeży, ale do dworu nie cisnął się, rad go nawet unikał. Po co ty masz nowych dróg szukać?

Staruszka zamilczała chwilę, wpatrując się w syna, który zadumany nic jej nie odpowiedział, a potem ciągnęła dalej:

— Ja się kurfirsta obawiam; nie dlatego, że podkowy łamie jak sucharki, srebrne kubki gniecie jak papier w garści i koniom jednym zamachem łby ścina, ale że dla niego ludzie są narzędziami tylko, których ów nie pożałuje... Wolno mu pewnie więcej niż innym, my w jego czynności wdawać się nie mamy prawa, ale młodość z niego jeszcze nie wykipiała...

Musiałeś słyszeć, co dokazuje po jarmarkach w Lipsku, na wodach, w Karolowych Warach, ile za sobą miłośnic wozi, jak sypie pieniędzmi, przepych i zbytki lubi, jakimi się ludźmi otacza, jak się z nimi obchodzi, gdy mu się sprzeciwią lub naprzykrzą. Z tych, co niedawno bawili z nim na zamku, niejeden dziś w Konigsteinie. Po cóż dostatniemu, spokojnemu jak ty człowiekowi narażać się, gdy zysk niepewny, a strata i życia, i swobody może kosztować?

Westchnęła pani Marta. Syn ją w ramię pocałował.

— Posłuchajcież mnie, matuś — odezwał się — bo ja też, choć nie sam, to przez ludzi znam kurfirsta lepiej, niż ty z plotek miejskich. Prawda to, że płochy jest, krew w nim gorąca i niczego sobie nie odmawia, ale właśnie takiemu panu służyć pilno, kiedy mu się czego zachce, w dobrą godzinę najwięcej zarobić można.

— A na cóż ty służyć masz — przerwała matka — kiedy sam sobie panem, nikomu się nie kłaniając, być możesz?

— Na co? — podchwycił śmiejąc się Zacharek — oto dlatego, że wielką ambicję mam! Nie tylko zysku pragnę, ale wydobycia się z tego stanu naszego mieszczańskiego, w którym my niewiele więcej znaczymy od prostego chłopca.

Matka posmutniała.

— Ojciec twój przecież, dziad i pradziad mieszczanami i kupcami byli tylko i niegorzej im z tym się wiodło — poczęła łagodnie. — Z ogniem igrać niebezpiecznie. Gdzie wiele zarobić można, tam też stracić, nawet życie. I ty to pewnie słyszałeś, co o kurfirście mówią, że gdy mu się kto w najmniejszej rzeczy narazi, nie przebaczy mu i choć się dziś uśmiecha, jutro gotów zamknąć lub sprzątnąć. Młody, gorący, krew w nim gra. Straszny on jest... a! straszny.

Zacharek słuchał, ale nieprzestraszony wcale, uśmiechał się.

— Wszystko ja to wiem — rzekł — ale rozumny człowiek silniejszemu od siebie się naraża, służy mu... właśnie około takiego pana, który gorące fantazje ma, najłatwiej się czegoś dorobić. Zresztą — dodał — bądźcie, matuś, spokojni... Nie pomacawszy dobrze gruntu, kroku jednego nie postawię... Tymczasem to pewna rzecz a niczym nie grożąca, że między nami a Polakami potrzeba jakiegoś łącznika, pośredników... Ja się na takiego chcę koniecznie usposobić.

Znajdę, spodziewam się, Polaka, który mnie języka uczyć bodzie, choćby rozmową i czytaniem. Pojadę potem zobaczyć Warszawę i Kraków, spróbuję, czy tam gdzie sklepu by otworzyć nie należało; a ze sklepu zrobić taką przystań, do której by z obu stron przyływano dla wymiany...

Mówił to Zacharek wesoło, energicznie, a tak pewien siebie, że ufającą mu matkę nie tylko uspokoił, ale ją niemal na swą stronę pozyskał.

— A! — rzekła w końcu z pokorną rezygnacją niewieścią — tyś mężczyzna. Znasz i wiesz lepiej, co czynić przystało. Czujesz się na siłach, ja ci się nie sprzeciwię pewnie. Proszę tylko, ostrożny bądź, nie posuwaj się zbyt zuchwale.

Pomilczawszy nieco, mówiła dalej, głos zniżając:

— Wiesz o tym, że rodzice moi katolikami byli. Ojciec twój też mi pozwolił zostać przy mojej wierze... bo ja się jej dla niego wyrzec nie mogłam. Chciał tylko, ażebyś ty wyznawał jego religię, a ja na to musiałam przystać. Wiesz, że ja sobie po cichu chodzę do naszej kapliczki, gdzie przy drzwiach zamkniętych ksiądz nam mszę odprawia, ty się modlisz w kościele Krzyża (Kreuz-Kirche). Nie mówimy nawet o tym nigdy.

Kurfirst, zostając katolikiem, bo wszyscy powiadają, że nim już jest, przeszedł na moją wiarę, prawda, i ja bym się z tego cieszyć powinna... otóż ja ci powiem, że mnie się to płochością wydaje, bo religii tak, jak sukni, zmieniać się nie godzi.

Zacharek się zmarszczył nieco.

— E! e! — przerwał kwaśno — to jego rzecz! my go sądzić nie powinniśmy.

— Ja też go nie sądzę — dokończyła stara — tylko przestrzegam cię, że kto z Bogiem sobie tak lekko poczyna, cóż dopiero z ludźmi, gdy mu kto zawadzać będzie?

— A po cóż nul stawać na zawadzie? — odparł Zachariasz. — Właśnie na tym cała sztuka, aby nie zawadać być, ale pomocą, bez której by się obejść trudno.

Staruszka zamilkła. Po chwili dopiero rzuciła pytanie:

— Ale skądże tobie ta ochota? skąd myśli ci te przyszyły?

— Skąd? — odparł wesoło Zacharek. — Z ciebie, matusiu! Gdybyś ty mnie po serbsku nie uczyła, a ja polskiego języka nie rozumiał posłyszawszy go, nigdy bym pewnie nie zamarzył o tym. Twoja to więc sprawa... Umiejętność twojego języka ułatwia mi bardzo naukę polskiego, a gdy tym zawładnę, to beze mnie się nie obejdą, ho! ho!

Z pewną obawą, ale zarazem z uwielbieniem dla syna matka słuchała, zjadała go oczyma.

Zacharek zbliżył się i w ramię ją pocałował.

— Matusiu — zakończył — bądź spokojna, a o tym ani słowa nikomu. Ja bez rozwagi kroku nie stąpię, za to ci ręczę.

Przez parę dni potem pomiędzy matką a synem prawie już o tym mowy nie było.

Pani Marta uważała, że Zacharek ciągle był bardzo czynny, kilka razy w ciągu dnia ze sklepu na miasto wychodził zostawiając go starszemu pomocnikowi i dłużej tam bawił niż zwykle.

Jednego wieczoru wreszcie do komórki przy sklepie, w której Zacharek zwykł był odpoczywać i poufałych swych zapraszać gości na kubek wina, przyprowadził z sobą nigdy tu jeszcze nie widywanego człowieka, którego powierzchowność i strój jako Polaka zdradzały.

Starej Marcie, przed której oczyma się gość ten przesunął, często bardzo szczęśliwej w poznawaniu i ocenianiu ludzi, przybysz się nie podobał wcale.

Słusznego bardzo wzrostu, chudy i kościsty, z rękami i stopami olbrzymimi, pomimo młodych lat — przygarbiony, z twarzą żółtą i długą, z głową spiczastą, okrytą brunatnym, krótko postrzyżonym włosiem, ubrany w suknię czarną, bez szabli u boku — gość miał wyraz twarzy jakiś przestraszony. Niewielkie jego oczki ukradkiem biegały dokoła, starając się, aby ich nie pochwycono; w ustach krył się uśmiech dziwaczny albo raczej wykrzywienie, którego wyrazu trudno było się domyślić. Równie łatwo mogło się ono w wybuch gniewu albo szyderstwa zamienić. Chociaż nie zdawał się mieć nad lat trzydzieści, nieznajomy czoło miał pofałdowane, policzki pokrajane fałdami grubymi. Z młodości niewiele mu już pozostawało.

Za wprowadzającym go do sklepu, a potem do komórki Zachariaszem szedł tak nieśmiało i ostrożnie, jak gdyby lękał się być spostrzeżonym lub czuł, że się nie powinien tu znajdować.

Witkę prowadził go, ożywiony wielce i wesoły.

W komórcie posadziwszy go na krześle swym za stołem, Zachariasz zawrócił do sklepu, aby kazać podać wina, i natychmiast, wydawszy rozkazy, powrócił, przy gościu zasiadając na ławie.

Przybyły, nie tracąc czasu, z niezmierną ciekawością rozpatrywał się po kątach, jakby do najtajniejszych głębin ich chciał przeniknąć, najdrobniejszy przedmiot nie uszedł jego uwagi.

Rozmowa nie rozpoczęła się, aż gdy chłopak sklepowy, w fartuszkach, przyniósł na tacy drewnianej butelki z winem i kubki. Gospodarz zaraz je ponalewał i począł od potrącenia się z gościem.

— Zdrowie wasze i wszystkich panów Polaków, miłych naszych przyjaciół i sprzymierzeńców — odezwał się wesoło. — No, jakże się wam u nas podoba?

Zachariasz mówił po niemiecku, przybyły słuchał z uwagą natężoną, jakby nie bardzo łatwo zrozumieć było, a gdy przyszło do odpowiedzi, zrazu się zająknął, trwożnym wzrokiem obiegłszy komórkę.

— Jakżeby się podobać, nie miało? — odparł powolnie, osobliwą niemczyzną, której każdego wyrazu zdawał się szukać z wysileniem i niemałą trudnością. — Dwór naszego przyszłego króla, a waszego kurfirsta Jego Mości, prawdziwie królewski, w mieście widać dostatek... wesoło wszędzie, zabawy ciągle. Jakżeby się podobać nie miało? — powtórzył raz jeszcze. — Tu tylko żyć.

— Au was tam, jak? — zapytał Zachariasz.

— U nas — mówił Polak — nie wiadomo jeszcze, jak będzie, bo co król, to inaczej bywa... Tymczasem po bezkrólewiu hałaśliwym mamy królów aż dwu.

Uśmiechnął się krzywo.

— Ale z Francuza nie będzie nic — dodał po namyśle.

Witkę ostrożnie na handel rozmowę nawrócił.

— Jawna to rzecz — odezwał się — że teraz, gdy się kurfirst utrzyma, pomiędzy naszą a waszą stolicą stosunki i handel ożywić się musi, czego dotąd nie bywało. My wam Śląsk zastąpimy. Z naszych panów wielu, pierwszy Flemming towarzyszyć będzie pewnie kurfirstowi do Krakowa i Warszawy... Zapotrzebują tego, do czego w domu nawykli, nie wszystko się znajdzie może... My więc, kupcy, musimy myśleć zawczasu, jak na to radzić, a przy tym i zarobić na tym, bo wszelakiej pracy zarobek należy.

Gość głową tę argumentację potwierdził, pilno z kubka sącząc wino, które widocznie mu smakowało.

— Bez języka — mówił dalej kupiec — człowiek jak bez ręki, a tłumaczami się posługiwać nie bardzo wygodnie i nie zawsze bezpiecznie.

Gość, ciągle się zgadzając, pomrukiwał, a oczami biegał dokoła i gdy chłopak o coś pana pytając drzwi otworzył, wejrzenie aż w głąb sklepu sięgnęło.

— Ja — rzekł Zachariasz — ja bym pierwszy rad się waszej nauczył mowy. Mam po temu pomoc niejaką, bo sługi mając serbskie, z Łużyc, po trosze do podobnego języka nawykłem.

Słuchacz zdawał się mocno zdziwiony, jak gdyby po raz pierwszy się o tej mowie serbskiej w Saksonii dowiedział.

— Podobna do polskiej — przerwał żywo, z ciekawością — zmiłujcież się, powiedzcie mi słów kilka.

Witkę, jak gdyby się z tym wydać nie chciał, że serbski język doskonale posiadał, niby sobie coś począł przypominać i kilka słów razem z ich znaczeniem niemieckim wypowiedział.

W gościu zdumienie się wielkie okazało.

— Coś to — odparł — na czeską mowę zarywa, ale w istocie bardzo do naszej podobna. Jeżeli z tym językiem jesteście oswojeni, pewnie wam łatwiej niż innym Niemcom po polsku się przyjdzie nauczyć.

— Mam do tego wielką ochotę — dodał Witkę — ale bez nauczyciela obejść się trudno.

Spojrzał mu w oczy. Spotkały się ich wejrzenia, gościowi coś pod powiekami błysnęło, zdradził się niemal tym, że mu radość sprawiało życzenie kupca, którego się domyślał.

— Długo tu myślicie pozostać? — spytał Zachariasz.

— Ja? — ociągając się wyjąknął Polak, który zdawał się namyślać, jak ma skłamać. — Ja? Prawdziwie nie wiem. Pani Przebendowska wzięła mnie tu z sobą dla listów i dla dozoru nad swoim dworem, któż wie, jak ona tu zabawi długo? Ja zresztą związany nie jestem, bom sobie wymówił, gdyby mi się co lepszego trafiło.

Witkę podumał.

— U pani Przebendowskiej kondycję mieć musicie dobrą — rzekł chłodno. Gość znowu namyślał się z odpowiedzią, usta dziwniej jeszcze wykrzywił.

— Miejsce moje niegorsze — rzekł — ale ono więcej na przyszłość obiecuje, niż mi teraz daje. Przebendowscy teraz pójdą daleko.

Zająknął się, oczy spuścił i zamilkł.

— Gdybyście tu dłużej pozostać mieli — wtrącił Zachariasz ośmielony — moglibyście może godzin parę co dzień znaleźć dla mnie i być moim nauczycielem. Chcę się nauczyć polskiego języka dla handlu, i to prędko... Darmo tej posługi naturalnie żądać nie chcę, a zapłacić mogę nawet dobrze, bo to mi się powróci...

Gość ochoczo skinął głową... Witkę trzeci mu już kubek nalewał.

— Będę was tylko prosił — ciągnął dalej kupiec — aby o tym ludzie nie wiedzieli, że się ja uczę po polsku.

— Mnie też chodzi o to, aby się Przebendowska nie dowiedziała, iż komuś więcej nad nią służę — zamruczał popijając gość.

— A! — rozśmiał się Witkę — nie ujmując Przebendowskim, teraz wy sobie łatwo znajdziecie miejsce, umiając po niemiecku, a Przebendowscy z tego znani, jak Flemming, że skąpi są.

Polak skinął potwierdzająco, ale ostrożny, mówił niewiele, może dlatego, że czuł w sobie wino, które mu głowę zawracało.

— Ja, ja — jękał się, gdy kupiec zamilkł — nie sądzę, abym się na wieki kłamki Przebendowskich trzymał. Człowiek musi o sobie pamiętać, bo drudzy o nim nie pomyślą. Ja jestem sierotą, panem sobie i sługą. Jako szlachcic ubogi, nie miałem dla siebie drogi innej, tylko wdziać duchowną sukienkę.

To mówiąc potrząsnął połamami długiego swego czarnego okrycia, jakby mu ono ciążyło.

— Ale drzwi się jeszcze za mną nie zamknęły, mogę, gdy zechcę, na świat powrócić. Mam do wyboru skierować się, dokąd mi wygodniej zda się; szukam, rozmyślam, próbuję. Tymczasem potrzebowali Przebendowscy amanuenta... przystałem do nich, aby coś zarobić... nie jestem związany, nie...

Witkę spostrzegł z mowy, że stare wino wytrawne działało.

— Płacą wam przecie? — odezwał się mierząc go oczyma.

Gość rozśmiał się i ramionami poruszył.

— Płacą, płacą — począł mrużyć szydersko — jużci, coś płacą. Dostanę podarek o Nowym Roku, sprawiają mi suknie, czasem pod dobry humor skąpego pana coś się niespodzianego oberwie... Mam czas się rozpatrzeć;., mam okazję się rozśluhać.

Splunął i kieliszek wysączywszy, odsunął go, okazując, że ma już dosyć.

Czoło okryło się kroplami potu.

Witkę patrzył i słuchał.

— Ja was — rzekł po namyśle — od Przebendowskich odmawiać nie mam zamiaru. Oni was w istocie popchnąć mogą, ale służba ta u nich to niewola i niczym się prócz nadziei nie oplaca... Rozpatrujcie się...

— Tak ja też czynię — zacierając ręce ogromne rzekł gość — dotąd nie miałem nic lepszego do wyboru.

Zamilkli oba, Zachariasz chciał mu dolać jeszcze, oparł się stanowczo; zabierał się już odchodzić, gdy kupiec, na stole się oparłszy, po cichu z nim o warunki nauczycielstwa układać się zaczął.

Pan Łukasz Przebor, bo tak się zwał pisarz pani Przebendowskiej, wyszedł stąd w pół godziny potem, dobrze podchmielony, uśmiechając się do siebie i brzydtko wykrzywiając usta.

— A to mu pilno, temu Niemcowi — mówił w duchu — chciwy na grosz, jak oni wszyscy... Poszedł nasz język w cenę! Kto by się spodziewał, pan Łukasz z tego skorzysta.

Rozdział drugi.

Ranek był wczesny. Wczorajszego wieczoru kurfirst, wielce zamyślony przy zwykłej zabawie i kielichach, przeciwko zwyczajowi swojemu nie okazywał wesołości i dowcipami współbiesiadników ani winem z zadumy się nie dawał wyrwać. Po kilkakroć na bok się usuwał z ulubieńcem swym, pułkownikiem Flemmingiem, i baronem von Rose.

Wcześniej niż zwykle nazajutrz Flemming znajdował się już w gabinecie do sypialni kurfirsta przyległym.

Jak wszystko, co otaczało przepych i wystawę lubiącego Fryderyka Augusta, gabinet ten także odznaczał się wytwornością sprzętów obicia i ozdób rzucających się w oczy. Na siedzeniach świeciło złoto, błyskało na obiciach, na gzymsach, a kobierce nawet, którymi posadzka była w części wysłana, złotymi nićmi przetykane były. W wygodnym, szerokim krześle, na wpół ubrany, siedział, ręką na stole oparty, nowoobрани król polski, i dziwnie to odbijało od przepychu i elegancji okalającej; palił fajkę krótką, puszczać gęste dymu kłęby.

Postać to była uderzająco pańska i piękna, że wszędzie na siebie oczy zwrócić by musiała. Średniego wzrostu, nadzwyczaj kształtnie zbudowany, z oczyma i włosami ciemnymi, z ustami niby wdzięcznie się uśmiechającymi, August był może w Saksonii, gdzie na pielonych mężczyznach nie zbywało, najpiękniejszym z nich wszystkich. Wprzód, nim los go obdarzył koroną, zgardzali się na to wszyscy, iż powierzchowność miał królewską.

Porównywano go już naówczas z Ludwikiem Czternastym, chociaż majestatyczna ta powierzchowność, powaga i urok, który ją łagodził, miały charakter sobie właściwy. Ci, co dłużej i poufalej z nim obcowali, wiedzieli, że one były w części znacznej owocem wielkiego panowania nad sobą, gdyż ten sam kurfirst w kółku swych przyjaciół, po obficie spełnionych pucharach, do których mało kto mu mógł dotrzymać, zmieniał się zupełnie i stawał się do szaleństwa wesołym i swobodnym biesiadnikiem. I wówczas jednak, kto by sobie z nim nadto pozwolił, znalazł groźnego lwa, którego brwi ściągnięte trwogę wrażały.

Pospolicie jednak August wesołość lubił, nią się otaczał, rozmowie żartobliwy ton nadawał i nią szczęśliwie myśli swe poważniejsze osłaniał...

Wyjaśnione jego, wspaniałe i miłe, niemal zalotnie uśmiechające się oblicze było maską pokrywającą starannie wyraz, jaki by twarz przybrać musiała odbijając istotne swe wrażenia, ukrywane przed światem.

Ci, co go znali, wiedzieli, że i uprzejmość, i wesołość najczęściej zwodniczymi objawami były. Okazywana czułość niekiedy nabawiała strachem, oznajmując nadciągającą burzę, a głośny śmiech zastępował gniewu wybuchy. Szeptali ci, co od młodu przy nim byli, iż fałszywszego nad niego nie znali człowieka ani też chłodniejszego serca, pomimo słodczy, z jaką August wszystkich witał, i zapewnień łaski, którymi hojnie obdarzał.

Silny jak lew, jak ten król pustyni był niebezpieczny, a gdy, co się niewiele razy w jego życiu trafiało, namiętności cugle puścił, dochodził do zapamiętałości bez granic.

Patrząc jednak na niego w zwykłych życia godzinach, nikt by się nie mógł ani domyślić — pod słodczy pełnym wyrazem twarzy — lodowatej obojętności, i przerażającego egoizmu — w ciemnych oczach przysłoniętych wdzięcznie powiekami, nadającymi mu wyraz tajemniczy. Wszystko w nim było wyrobione i sztuczne, lecz tak się już stała komedia naturą, że tylko wtajemniczeni w nią świadomi byli zamkniętego na siedem pieczęci wnętrza.

Stojący przed kurfirstem w tej chwili pułkownik Flemming właśnie do nich należał. Od nie bardzo dawna ze służby pruskiej przesadzony na dwór Augusta, szlachcic pomorski, synowiec feldmarszałka, pomiędzy poufałymi, między przyjaciółmi zajmował najpierwsze miejsce. Zazdrościli mu go wszyscy, nikt sobie tego wytłumaczyć nie umiał.

Małego wzrostu, ale dumnej, energicznej fizjonomii i postawy, uderzał jednym tylko, zuchwałym wyrazem, butą i gwałtownymi ruchy a pogardliwym lekceważeniem, jakie wszystkim (rozumie się — oprócz pana) okazywał. Względem niego nawet śmiały był niekiedy i niepohamowanie szorstki. W stroju tym się tylko odznaczał, że powszechnie naówczas używanej peruki nosić nie chciał i włosy własne, niedbale związane z tyłu, znajdował dogodniejszymi, o modę się nie troszcząc. Nie szpeciło go to, gdyż twarz, choć ją wykrzywił, rysy miała delikatne i dosyć piękne...

Po krótkim przywitaniu kurfirst się wpatrzył w przyjaciela i pomilczawszy odezwał się:

— A zatem, elekcja dokonana, miliony wysypane, początek zrobiony, kurfirst będzie się królem nazywał, ale co dalej? Nic sędzę, abyś ty widział w tym *metam laborum* i cel ostateczny?

Gwałtownie rzucił ramionami Flemming.

— Spodziewam się, że mnie o to Wasza Królewska Mość nie posądzasz — głosem rzeźkim odparł pułkownik, nacisk kładąc na tytuł królewskiej mości.

— Dajże pokój tytułem, słyszysz — przerwał August — po dawnemu chcę cię mieć przyjacielem i bratem...

Skłonił się żywo i wyprostował Flemming.

— Sądzisz, że się utrzymamy przeciwko Francji i Contistom? — zapytał kurfirst.

— O tym nie ma co mówić — zamruczał pułkownik. — Postawiliśmy krok, cofać się nie pora... francuskie mówi przysłowie: wino utoczone, wypić je potrzeba.

Rozśmiał się August.

— Tego wina starczy nam na długo, mój Henryku — odezwał się z czułością i serdeczną poufałością — mówmy o tym, z tobą jednym otwarcie, całkiem szczerze mówić mogę... Koronę polską zdobyć było pieniędzmi, przy twoich stosunkach, niezbyt trudno, ale to celem dla mnie nie jest. Tytuł królewski? fraszka... Korzyści z tego nabycia... wątpliwe, idzie o to, ażeby kurfirst saski... dokazał tego, czego przyjaciele jego, Habsburgi, kilka wieków pracując nie mogli doprowadzić do skutku... Chciało się im jak Węgry i Czechy pochłonąć Rzeczpospolitą... jeszcze dziś oczy mają w nią wlepione... no, Flemming, a my?...

— My? Będziemy szczęśliwsi, spodziewam się, bo już trzymamy cugle w rękę — rzekł pułkownik — na siodło skoczyć będzie łatwo...

— I utrzymać się na nim, i tego rumaka czy znarowioną szkapę zaprowadzić do naszej stajni — śmiejąc się mówił kurfirst. — Ale ty mnie rozumiesz!

— Odgaduję i rozumiem — wtrącił pułkownik. — Zadanie to godne was...

Oczy zajaśniały kurfirstowi.

— Wiesz, że Habsburgów szanuję, kocham i sprzyjam im — mówił dalej — że dom cesarski w wielkiej mam estymie, ale trudno ustąpić mu tej gratki, kiedy się ona sama nastrocza. Mieli czas... próbowali, nie potrafili nic... kolej na

mnie... Rzeczpospolitą tę z jej nedorzecznymi wolnościami raz potrzeba z gruntu na państwo dziedziczne przerobić i uporządkować... Nieład tam panuje taki, jakiegom sobie mógł życzyć... Sądzę, że godzina wybiła i że mnie jest przeznaczone.

Słuchając milczał Flemming. Wtem kurfirst się zaciął i wtrącił: — Cóż ty na to?

— Przeciwno temu nie mam nic — odparł zwolna przyjaciel — ale to sobie z góry powiedzieć potrzeba, że cesarz, który nam przyjacielsko się obiecuje być pomocny, że kurfirst brandenburski, nie licząc innych, pomagać do tego pewno nie będą.

— O, nie! — zawołał August — bo sami na ten kasek zęby ostrzyli, ale...

Spojrzeni w oczy sobie i rozśmieli się oba... August rękę wyciągnął.

— Ty mnie rozumiesz, mówmy więc o tym, mówmy... potrzebuję kogoś, z kim bym wszystko to mógł roztrząsać. Ty znasz Polskę?

Twarz Flemminga, który do powolnego rozprawiania nie był nawykły i daleko więcej do czynu niż do słowa czuł się stworzonym, a zwykle krótko i stanowczo tylko wypadkiem swych myśli się dzielił, zasepiła się nieco. August wymagał od niego tego właśnie, co mu najtrudniej przychodziło. Żywy temperament, usposobienie, nawyknienie czyniły mu długie roztrząsania trudnymi. Pojmował żywo i natychmiast zwykł był pieczętować nieodwołalnym wnioskiem, nakazująco rzucanym. August to znał, ale tym razem własne swe myśli chciał na kimś wypróbować, a nie miał nikogo zaufanego oprócz Flemminga... Nikomu w świecie oprócz niego zwierzyć by się z nich, a nawet do nich przyznać nie ważył... Były to wielkie jego tajemnice, których by w oczy zdradzać przedwcześnie się nie godziło.

Na zapytanie to: „Ty znasz Polskę?” Flemming niecierpliwym głowy poruszeniem odpowiedział.

— My ją wszyscy znamy — wybuchnął nagle — i nikt jej nie zna. Trzeba się w niej urodzić i żyć, aby ją rozumieć.

Rzucił ramionami Flemming.

— Przez moje rodzinne stosunki — rzekł — i przez moją kuzynkę kasztelanową nauczyłem się nieco znać Polaków... Zdaje mi się, że z nimi wszystko zrobić można, ale umieć potrzeba...

Kurfirst milcząco na stole ukazał liczenie pieniędzy dając do zrozumienia, iż nimi najskuteczniej było poczynać.

— To jest środek powszechny — odparł pułkownik — ale nie wszystkich w Polsce ująć można pieniędzmi. Wszędzie są tu ludzie przekupni... ale tu oprócz złota trzeba rozumu i przebiegłości... Grać jak w szachy z tymi panami i z ich swobodami, o które są tak zazdrośni.

Szydersko się uśmiechnął August na wzmiankę o swobodach, Flemming też pogardliwie się skrzywił.

— Wysypać miliony — rzekł cicho król — ażeby mieć przyjemność elekcyjną nosić koronę, której po sobie przekazać nie można... gra nie warta świecy. Ty wiesz, co ja zamierzam: na wschodzie Europy zbudować nowe, silne państwo łącząc do mojej Saksonii dziedzicznej nową, dziedziczną Polskę.

Na wół rozwinięta karta Europy leżała na stole, żywym ręki ruchem August ją rozłożył szeroko i palcem wskazał Flemmingowi wschodnie jej granice, a potem zachodnią część, Śląsk i Saksonię. Patrząc na ogromną przestrzeń, krajami tymi zajęta, uśmiechał się.

Flemming się zbliżył do stołu...

— W każdym razie całością nie potraficie zawładnąć — szepnął. — Brandenburskiego okupić będzie potrzeba...

— Królewskim tytułem — wtrącił August.

— Och, och! on się nim nie zaspokoi — mówił cicho, urywanymi słowy pułkownik — terytorialne ustępstwa staną się koniecznością.

— Bodajby — rzekł król — jest z czego choćby dwa królestwa wykroić.

— A car zażąda także uregulowania granic — dodał Flemming.

— Ja na to rachuję — potwierdził król — patrzaj, co pozostaje...

— Sądzicie, że cesarz przy tej zręczności nie spróbuje także coś zyskać? — odezwał się pułkownik.

— Cesarz? — rzekł August — nie może pożądać nic, jesteśmy z nim dobrze, sprzyja mi, a wie, że pomagając zyskuje sprzymierzeńca przeciwko Francji, który go ludźmi i werbunkiem posiłkować może...

— Na tym jeszcze nie koniec — mówił Flemming — od Turcji potrzeba odzyskać Kamieniec, oderwać Mołdawię i Wołoszczyznę.

— Na dziś dosyć! — śmiejąc się wtrącił żywo król rzucając mapę, która się zwinęła w trąbkę i stoczyła na ziemię. Flemming pośpieszył ją podnieść.

— Gdybym wierzył w przepowiednie — szepnął król — byłby to zły omen. — Oba ruszyli ramionami.

Flemmingowi widocznie przykrzyły się długie rozprawy, podniósł oczy ku panu swemu, który stał już zadumany.

— Wszystko to — dodał — nie może się zdobyć jednym zamachem. Stopniami, powoli trzeba naprzód dostać się we wnętrzności Polski i tu rozpocząć działanie. Mamy wojsko, będziemy mieć pieniądze.

— Czarne bractwo — szepnął król — ofiaruje nam je na zastaw klejnotów... na jego też pomoc liczyć musimy...

Pułkownik zdawał się już nie chcieć słuchać, potrząsał głową.

— Wszystko to ja tak dobrze wiem jak wy — przerwał żywo — tymczasem, co najbliższe, co najpilniejsze, ułatwić trzeba... Wojsko nasze wprowadzić w granice Rzeczypospolitej na żadne nie zważając hałasy, krzyki i protestacje. Koronację dopełnić.

— Conti przybędzie pewnie — odezwał się król — odegnąć go leży także w programie... Prymasa zjednać... Sobieskich się pozbyć... Warszawę zająć. — Mówiąc to August coraz ciszej, zadumał się głęboko, głos mu zamarł na ustach. Flemming patrzył na niego badająco.

— Zapisz sobie i to — rzekł, poufale pochylając się ku niemu — aby nikt w plany te wtajemniczony nie był... Dosyć jest je ogłosić, a nawet tylko się dać dorozumiewać, aby one wniwecz poszły... Ja się ścian lękam i murów, aby nas nie podsłuchały i nie zdradziły... Gdy się raz rozniesie w Polsce, iż nowy król dąży do *absolutum dominium*, nie będziemy mieli spokoju... Posądzali o to wszystkich...

Nastąpiło milczenie, porozumienie było zupełne, nie mieli się z czym zwierzać sobie... August podał rękę przyjacielowi i krótko zakończył:

— My dwaj, nikt więcej!

Pułkownik wtrącił żywo:

— Przybył biskup kujawski *incognito* dla porozumienia.

— Przywiózł co nowego?

— Nic, tylko swą gotowość na usługi — rzekł Flemming. — Tymczasem dosyć mu ją będzie opłacić zapewnieniem prymacjalnej godności, którą on przywłaszczył.

— Bardzom mu rad — odezwał się król — ale nie dosyć na nim, ma wpływy, dla siebie i dla mnie powinien się starać kółko naszych w Polsce adherentów; powiększać...

— Zdaje mi się, że kilku ma w kieszeni — odezwał się Flemming.

— Naturalnie, nie darmo — odparł August — przystaję na wszystkie warunki, ale trzeba się starać o pieniądze. Księża nam tak rychło ich nie obiecują, tymczasem Saksonia dostarczyć musi: kontrybucje... akcyza, rozumiesz...

— Akcyza, tak! wymysł dobry — rzekł Flemming.

— Trzeba tylko znaleźć człowieka, który by go, bądź co bądź, na nic nie zważając, przyprowadził w wykonanie — dodał król. — W Saksonii ja szlachty pytać się nie potrzebuję, rozkazuję, co chcę... Tak z czasem i w Polsce się urządzić musimy... Szlachtę zaś saską, jeżeliby rezonować chciała, potrzeba w urzędach zastąpić obcymi. System to najlepszy... Cudzoziemcy w usługach moich na nic się nie potrzebują oglądać. Kraj ich nie obchodzi, nie zależą od niego i nic mu nie są winni, panujący dla nich wszystkim.

Zamaszyste kroki pode drzwiami gabinetu słyszeć się dały i król umilkł nagle, palce kładąc na ustach. Flemming usunął się w głąb nieco, drzwi otworzyły się i wielce arystokratycznie, pańsko a dumnie przedstawiający się mężczyzna lat średnich w progu niskim ukłonem przywitał kurfirsta i obejrawszy się, lekkim głowy skinieniem pułkownika.

Nowy ten przybysz, któremu się uprzejmie, ale z pewnym przymusem August uśmiechnął, z powierzchowności już kazał się domyślać wysokiego dygnitarza... Był to w istocie nie tak dawno z Wiednia tu przywieziony namiestnik, ksiązę Egon Furstenberg. Przystojny mężczyzna, ubrany bardzo starannie, wyraz twarzy miał zagadkowy, więcej usiłowania o pokazanie się pewnym siebie niż siły dowodzący. Jakiś niepokój zdradzał się w ruchach i wyrazie twarzy. Król pośpieszył go natychmiast o jakąś sprawę bieżącą, tyczącą miasta, zagadnąć, a Flemming, porozumiewszy się z panem wejrzeniem, skłonił się i wysunął.

Wprost z zamku pułkownik nie siadając do powozu, który nań czekał, udał się na Zamkową ulicę... Dom, do którego wszedł, należący do zabudowań połączonych z pałacem kurfirsta, zajmowany był przez jednego z przybocznych pańskich ulubieńców i dworaków, ale stojąca kolasa, obłożona, na wpeł rozpakowana, kazała się tu świeżo przybyłego domyślać gościa...

Na pierwszym piętrze spotkał Flemming służbę w polskich strojach, a przedpokój pełny czeladzi pominawszy, w salce, którą otworzył, prawie u progu spotkał już naprzeciwko wychodzącego mężczyznę.

Strój ciemny, krojem sukni duchownych katolickich tak jakoś dziwnie był przykrojony i włożony, iż nie można było z pewnością powiedzieć, czy noszący go do świeckiego, czy do duchownego należał stanu. Małego wzrostu, okrągławy, pulchny, z twarzą gładko wygoloną i pełną, z oczyma czarnymi, żywymi, z wypukłymi wargami i szeroko, tępo uciętą brodą, spod której wyglądał już podbródek, z głową postrzyżoną, na którą dosyć nieumiejętnie wrzucona była raczej niż włożona peruka, witający Flemminga niewykwinną francuszczyzną nieznamy zdawał się mu rad bardzo...

Flemming też zdobywał się na uśmiech dla niego... Przywitawszy się z pewnym pośpiechem, zwłaszcza ze strony pulchnego pana, ode drzwi przeszli ku oknu szepcząc i okazując wzajem wielką dla siebie uprzejmość.

Żywością nie ustępował Flemmingowi przybysz, który w ciągu rozmowy ciągle na sobie suknie niespokojnie poprawiał.

— Będę więc miał szczęście widzieć Najjaśniejszego Pana? — spytał w końcu.

— Jak tylko bieżących spraw się pozbędzie, księże biskupie — odparł Flemming. — Nie chcecie, aby tu wiedziano o was?

— Nie potrzeba, nie godzi się, aby o tym mówiono! — żywo zawołał biskup.

Był to główny ów króla nowego pomocnik w Polsce, Dąbski, biskup kujawski, o którym przed chwilą wspominał Flemming.

— Przybywam tu tylko — ciągnął dalej z pośpiechem — aby się umówić o koronację, zapewnić, iż zgodni jesteśmy co do ludzi i obrotu naszej sprawy. Nie mogłem zwierzać się i posyłać nikogo, chciałem sam mówić z królem, wybiegłem więc z Krakowa tak, iż nie wiedzą, gdzie jestem... czas mam ograniczony, powracać muszę.

— My was nie wstrzymamy — odparł pułkownik !— a król rad wam bardzo. Co słyszeć o Contim?

Dąbski wyduł usta i brwi podniósł.

— Wątpliwa to rzecz, czy przybędzie, a pewna, iż się opóźni. Tymczasem starać się będziemy jego adherentów pozyskać. Kurfirst przez dwór austriacki i szwagra powinien się zapewnić, iż mu Sobiescy bruździć nie będą.

— Conti daleko nam straszniejszy — dodał pułkownik.

— Ja nie wiem — wtrącił Dąbski — Sobiescy gdyby byli zgodni, byłiby niebezpieczniejszymi współzawodnikami. Pieniędzy mają gotowych pod dostatkiem i wielu dawnych przyjaciół.

— Ale niechętnych jeszcze więcej — rzekł Flemming — jeżeli mnie Przebendowscy nie zwodzą.

— Przede wszystkim dosyć twardego Wielopolskiego pozyskać należy — począł Dąbski — bo zamek nam przed nosem zawrze, do skarbu, w którym koronne *insignia* są złożone, nie da przystąpić, a siły tu zażyć nie wypada.

— A klucze skarbca? — zapytał Flemming.

Za całą odpowiedź biskup się uśmiechnął. Zaczęli znowu bardzo żywo szeptać z sobą. Rozmowa musiała zadrasnąć o coś drażliwego, bo Flemming odezwał się gorąco:

— Potrzeba choć pozory legalności zachować we wszystkim. Niestety, będziemy musieli w wielu rzeczach ograniczyć się nimi. Szlachta, nieufna, zakrzyczy wnet, że grozimy jej swobodom, a kurfirst najusilniej pragnie uniknąć nawet podejrzania.

— Do zamku, do skarbcza musimy uzyskać dostęp — mówił dalej — choćbyśmy inną koronę dostarczyć mogli. Mówią mi, że wedle form i zwyczajów dawnych do ceremonii koronacyjnych należy pogrzeb zmarłego króla. Sobiescy nam zwłok nie dadzą! Cóż zrobimy?

— A! o tym myśleliśmy i radzili — odparł Dąbski — trumna pusta będzie reprezentowała nieboszczyka... Daleko trudniej przyjdzie nam otworzyć sobie zamek, a koronacja nie może się gdzie indziej odbywać jak na Wawelu.

Flemming wskazał milcząc liczenie pieniędzy, a biskup zrobił minę dwuznaczną.

— Wydaliśmy już tyle, że się ich skąpić nie możemy — rzekł pułkownik.

W ciągu tej rozmowy Niemiec dawał oznaki niecierpliwości, chciał żywo wyczerpać wszystko, co z Dąbskim do narady było, ale biskup, choć równie żywego temperamentu, nawykły był więcej się nad każdym rozwódzić przedmiotem.

Mówił właśnie o pieniądzach Flemming, gdy powolnym krokiem z wnętrza pokojów zajętych przez biskupa wszedł pochyło trzymający się, rysów wiele znaczących, oblicza pełnego myśli starzec, w sukni czarnej, przepasanej takimże pasem, z płaszczykiem na ramionach.

Był to niegdyś ulubiony Janowi Trzeciemu, znakomity uczony ojciec Vota, Towarzystwa Jezusowego. W zakonie swoim niepospolite miał on znaczenie i mimo bardzo już podeszłego wieku zakon i Rzym w sprawie katolicyzmu i wprowadzenia na tron saskiego kurfirsta nim się posługiwać musieli. Flemming pozdrowił go z daleka, grzeczniej, niż się po nim było można spodziewać, a biskup, mimo że był prostym zakonnikiem, zrobił mu miejsce pośpiesznie, okazując wielkie poszanowanie.

Ojciec Vota wydawał się już gościem na ziemi. Niegdyś żywy a niezmordowany w pracy, dziś zimny, wyżyty, zastygły, spokojny, spełniał już tylko powołanie obowiązków, gorąco się sprawami powszednimi nie zajmując.

— Przychodziecie bardzo w porę — począł Flemming zbliżając się. — Mowa jest o pieniądzech, myśmy już skarb saski znacznie wyczerpali, nim akcyza da nam coś znowu, zakon nam w Polsce u siebie kredyt zapewnił. Niezmiernie go potrzebujemy.

Vota słuchał zimno.

— Cośmy przyrzekli i co ojciec generał w Rzymie zapewnił baronowi von Rose, my to spełnimy święcie. Ale, najdostojniejszy panie — dodał — pieniądze to nie są nasze, należą one do zakonu, a raczej do chrześcijaństwa całego, do kościoła, do misji naszych. Dać ich więc nie możemy bez pewnych gwarancji i bezpieczeństwa.

— Myśmy ofiarowali klejnoty — odparł Flemming — to rzecz umówiona.

— Nasi prowincjonałowie będą mieć stosowne rozkazy, chcecie o tym upewnić króla.

I pomilczawszy chwilę ojciec Vota rzekł ciszej, nie patrząc na Flemminga.

— Elekcja i koronacja kurfirsta leży nam wszystkim na sercu. Nie potrzebuję powtarzać, że w Polsce popierać będziemy wszelkimi siłami króla. Nawzajem też, spodziewamy się dotrzymania nam obietnic. Dotąd nabożeństwo katolickie w Dreźnie, w Lipsku odbywa się potajemnie, przy drzwiach zamkniętych, musimy się domagać otwarcia kaplic.

— Tylko nie dzwonów, bo tymczasem wam dać nie możemy — wtrącił pułkownik. — Król najmocniej polecił, aby katolicy wszelkie możliwe swobody uzyskali, ale musimy się też oglądać na naszych ewangelików, w których namiętności są poruszone. Mamy fanatyków... potrzeba czytać, co piszą, słuchać, co z kazalnicy wygłaszają.

— Pierwsza chwila we wszystkim się gorączką odznacza — szepnął ojciec Vota.

Flemming szukał już tylko pozoru dla skończenia rozmowy i wyjścia. Poszeptał coś z biskupem i pożegnawszy obu duchownych, przez Dąbskiego do drzwi przeprowadzony, zniknął.

Ojciec Vota sam z nim pozostał.

— Cóż wy mówicie o tym wszystkim! — zawołał biskup zwracając się ku niemu. — Jam się dla interesów kościoła poświęcił i wdałem się w grę niebezpieczną. Skorzysta na tym istotnie kościół... świat... stolica apostolska.

Zakonnik się zadumał.

— Nie mam — rzekł — proroczego ducha. Kurfirst, szczerze powiedziawszy, nie obudzą we mnie ufności żadnej. W nawrócenie nie wierzę. Zona z pewnością wyznania nie odmieni. Syna obiecano nam wychować jako

katolika, ale matka-protestantka będzie jego pierwszą wiary nauczycielką, a potem... potem, Bóg dziełu swojemu dopomoże. W Saksonii, gdzie herezja zagnieździła się najsilniej, trudno ją przyjdzie wyplenić.

— Przykład monarchy — szepnął zmieszany nieco Dąbski. — Młody, gorącej krwi, pan ten gorliwym w początkach się nie okaże, ale z czasem... wpływy, otoczenie całe, my wszyscy...

Uśmiechnął się ojciec Vota.

— Daj Boże — rzekł — bo też ofiary są dla pozyskania go niemałe.

— Syna wychowamy my, nie matka — dodał Dąbski — upomni się Rzym o niego. Musimy go wyrwać, wywieziemy go za granicę. Zakon wasz dostarczy nauczycieli.

Zakonnik słuchał dość obojętnie. Widać było, że niewiele miał wiary we wszystkie te obietnice. Dąbskiemu szło o to, aby ojcu Vocie króla inaczej odmalować, poczynął mówić coraz goręcej.

— Pierwszy krok zrobiony, wyrzekł się herezji... to główna, jest w naszych rękach, teraz my działać powinniśmy.

— Życie zmienić powinien — szepnął Vota. — Zły przykład... a w Polsce takie jawnochrześcijaństwo serc mu nie zjedna.

— Ojczy mój — począł Dąbski — spojrzycież, co się na dworze króla Ludwika dzieje, na oczach duchowieństwa katolickiego, z królem arcychrześcijańskim. Obyczaj ten Salomonowy stamtąd, znad Sekwany, przyszedł nad Elbę. Dla nas to nauka, że w wielu razach trzeba być po-błażającym dla uniknięcia gorszego zła...

— Daj Boże, daj Boże — szepnął Vota — ja się tylko lękam, aby miasto tego, by się do was stosował, wasi panowie jego naśladować nie chcieli.

Dąbski potrząsnął głową.

— Nasze kobiety stoją na straży domowych ognisk, nie lękajcie się, ojczy...

Vota z cicha powtórzył łagodnie swoje.

— Daj Boże, daj Boże!

Rozmowa ustała na chwilę, biskup, jak gdyby sobie coś przypomniał, zbliżył się do Voty i szeptać począł...

— *Ni fallor*, ojczy mój, pan to, jakiego nam było potrzeba. W Tarnowskich Górach przyjmując nas zdusił puchar srebrny w rękę... Ma siłę, i nie w dłoni tylko, sądzę, że znajdzie się ona i w charakterze. Poskromi rozpasanie, stłumi rokosze, nie dopuści rebelii, ukróci zbytnią swobodę, z oczów mu to patrzy. Nawykł zresztą do *absolutum dominium*, bo u siebie nie zna żadnego władzy ograniczenia.

Vota raz jeszcze szepnął: — Daj Boże, daj Boże! *Utinam!*

Rozdział trzeci.

Jak z wielkich przewrotów w naturze korzystają małe istoty i zjawiają się, instynktem wiedzione, na rumowiska, na posiewy, równie na zapach pól kwitnących jak na woń zgorzeliska, tak samo w świecie ludzi z wypadków dziejowych doniosłości wielkiej korzystają drobni i mali, niewidoczne efemerydy, znajdujące się wszędzie, gdzie się co wznosi lub upada.

W chwili gdy Saksonia osłupiała i zdumiona niepokoiła się, w wyborze swojego kurfirsta widząc zagrożoną religię, gdy w Polsce przenikliwsze umysły w Augustie lękały się przyjaciela, ucznia i sprzymierzeńca Habsburgów, usiłujących ukrócić swobody ludów ich berłu podległych wszędzie, gdzie zapanowali — w Dreźnie przy Zamkowej ulicy pan Zachariasz Witkę i dworak Przebendowskiej, Łukasz Przebor, myśląc tylko o sobie obrachowywali, jak z tej elekcji i z nowego pana korzystać i zużytkować go potrafią. Witkego ambicja popychała na śliską drogę, w matce obudzającą nie bez przyczyny trwogę wielką. Łukasz, któregośmy w sklepie przy kubku poznali, w wyszarganej sukience kleryka, nie mniej też nad przyszłym losem swoim przemyślał, budując go na tym, że trafem stanął już jedną nogą niedaleko dworu króla...

Sierota, ubogi, jakim sposobem — zamiast po prostu zapisać się gdzieś w registr czeladzi i dworu jakiegoś Lubomirskiego lub Jabłonowskiego — bez żadnych środków, na własną rękę, przebojem przedsięwziął dobijać się krescytywy; to mógł tylko charakter jego i temperament tłumaczyć... Okoliczności też składały się, że nic innego dotąd mu się nie nastreczyło. Biedny, zostawiony sam sobie, ratował się instynktem jakimś, przypadkiem dorwał się abecadlnika, zaciekawił nim, pisać i czytać sam prawie nauczył; gwałtem potem wcisnął się do szkółki kościelnej, o suchym chlebie karmiąc

łaciną chciwie... Czyścił buty i zamiatał izby księdzu, który go na kleryka wykierował i wyrobił wstęp do seminarium.

Wśród tego nowicjatu zwolna w głowie jego, po której się myśli błąkały najdziwaczniej poplątane, jaśniej się robić coraz zaczynało.

Była jakaś opatrność nad sierotą, niewidoma ręka, która go popychała i posiłkowała.

Zgadywał, domyślał się, miał instynkta wieszczę, chociaż nikomu się nie zwierzał i nie radził nikogo, w tym przeżuwaniu myśli nabył przebiegłości i daru odgadywania. Niepozorny, w wyszarzanej opończy klecha szedł z życiem w zapasy z tym przekonaniem, że sobie da rady. A spragniony był wszystkiego bez miary... Ale czyż nie czytał o tych arcybiskupach, co jako paupry po Krakowie chodzili z mieszkami i garnuszkami? Krok za krokiem tak stawiając snuł wszystko z samego siebie. Zamknięty, milczący, posuwał się naprzód ostrożnie, a każda nowa zdobycz ośmielała go do nowych marzeń i nadziei.

W seminarium nabywszy tyle nauki, ile jej powszedni bieg życia naówczas wymagał od tych, co szczególnego zawodu nie obrali, Przebor coraz się więcej zaczął wahać, czy nie czas było zrzucić tę suknię, która mu ciążyła, albo ją zachować i poświęcić tak zwanej służbie Bożej... Mógł się wprowadzić dobić najwyższych szczebli, ale wszystkie śluby i prywacje, jakich nowicjatu wymagał, nie smakowały, bo lubił życie ze wszystkimi jego nasyceniami...

Pozostał więc do czasu klerykiem, aby mieć świat zabezpieczony, ale rozpatrywał się tylko, dla czego lub dla kogo sutanny się pozbędzie. Przypadek nastręczył mu pomieszczenie tymczasowe przy dworze kasztelanowej, która do Drezna jadąc ze służbą polską potrzebowała dla niej dozoru i tłumacza, dla siebie sekretarza i kopisty umiającego tajemnice zachować; Łukasz się jej wydał dosyć ograniczonym, tak że się nie wahała ważnych dokumentów dawać mu do przepisywania. Przebor z tego korzystał, z chciwą ciekawością obeznawał się ze wszystkim, podsłuchiwał, odgadywał i wtajemniczał w arkana polityczne. Nikt by lepiej nie mógł i nie umiał wyzyskiwać położenia. Najmniejsza rzecz bacności jego nie uchodziła. Łapał słowa, kombinował, z ludzi, z twarzy, z najmniejszej oznaki ciągnąc wnioski. Im dłużej to trwało, tym był pewniejszy, że pobyt na dworze pani kasztelanowej będzie dla niego podstawą nowego bytu.

Błyskawicą przebiegała już mu myśl, że mógłby to, co wiedział, dobrze spieniężyć Contiemu... Sumienie mu tego nie wzbraniało, zrzeczności tylko brakło.

Rozmowy z Witkiem, chociaż ten się nie wygadywał otwarcie, wskazywały Przeborowi, że chwila nadeszła, w której pomiędzy Polakami a Sasami pośrednicząc można było z obu stron korzystać. Dlaczegoż on nie miał próbować docisnąć się do dworu, bodaj do króla... W jego przekonaniu, Witkę chciał tylko zarabiać jako kupiec, on zamierzał frymarczyć jako człowiek pióra... i polityk.

Obu im, kupcowi i klerykowi, paliły się głowy. Witkę dostawszy nauczyciela, którego tak pragnął, następnego dnia wziął się do polskiego języka nie tylko z zapalem, ale z szaloną zawziętością. Pamięć miał doskonałą, język serbski wybornie mu posługiwał, szło tylko o pochwycenie języka i form tej mowy, której główny etymologiczny materiał cały miał w głowie. Okazało się też przy pierwszych lekcjach, że pan Zachariasz miał dar do języków, a łatwość w uczeniu się ich jest istotnie darem i nie wszyscy ją mają w równym stopniu. Sam nie pozbawiony zdolności, Przebor się zdumiewał co chwila niepojętej dla niego bystrości umysłu swojego ucznia. Witkę po pierwszych próbach tak był uszczęśliwiony, że kazawszy dać wina nakarmił i spoił profesora. Nic go mocniej ująć nie mogło, bo choć u Przebendowskiej nieźle mu się działo, łakomy był i łasy jak każdy biedak, co się głodził długo. Czego nie mógł zjeść, chował do kieszeni. Witkę ujął go sobie tą papką, tak że podochociwszy czuły się dla niego okazywał i choć za język się kąsał, zdradzał się po trosze... jeśli nie faktami, to temperamentem i charakterem. Kupiec go na wskroś przeniknął przypatrując mu się, badając, azali później posługiwać się nim nie będzie można.

— Zdradzi mnie przy pierwszej zręczności, to pewna — mówił w duchu — jeżeli mu to korzyść jaką będzie obiecywało, ale w tym rozum, żeby go nie wtajemniczać, tylko do służby sposobić.

Być bardzo może, iż Przebor podobnie myślał o kupcu... Lekcje, dla praktycznej wprawy w język, upływały na gadaniu. Dotykano różnych przedmiotów. Witkę począł się oswajać nie tylko z tą mową, ale z bytem a obyczajem Polski, który mu się objawiał jako całkiem różny, jak niebo do ziemi do saskiego niepodobny.

Kupiec, choć w handlu miał pod tę porę bardzo ważne sprawy, ani jednego dnia nie zaniedbywał. Część ich zdawał na matkę, mniej znaczące powierzał pomocnikowi, sam z całą gorącością marzeniem upojonego człowieka poświęcił się temu, co było najpilniejsze.

Były we Wrocławiu dla Niemców jeszcze w szesnastym wieku wydawane rozmowy dla uczenia się polskiego języka, z tych skorzystał Przebor, aby sobie nauczanie ułatwić.

Kleryk śmiał się i zdumiewał, bo tchnąć nie dawano.

— Nie rozumiem — bąknął — po co się tek męczycie. Znajdziesz pan w Krakowie bez liku Niemców osiadłych tam od wieku, a i w Warszawie ich nie mało.

— Po co ja się męczę? — odparł Witke — bo się nikim posługiwać nie lubię. W mojej naturze jest, że sam wszystko chcę robić, a na nikogo się nie spuszczam.

Po kilku dniach nauczyciel i uczeń przyszli do pewnej poufałości. Przeborowi zdawało się równie jak Zachariaszowi, że znał na wylot towarzysza, chociaż kupiec a Niemiec tyle mu siebie pokazywał, ile chciał, a nie zwierzał się wcale. Z nich dwu ów daleko więcej umiał ze znajomości korzystać.

Dziwiła go ta Polska, którą pierwszy raz poznawał. Przywileje, swobody szlachty, których saska wcale nie znała, wydawały się Niemcowi niemal poczwarnymi. Nie mówił tego, ale sądził, że August Silny z pomocą wojsk, które miał wprowadzić do Polski, nie zechce się poddać niewoli, jaką nań wkładały dawne ustawy Rzeczypospolitej. Nie mieściło mu się w głowie, ażeby król z całą władzą swoją mógł być bezsilny przeciwko sejmom i rokoszom.

Gdy Przebor mu opowiadał o zuchwałości i bucie szlacheckiej, o samowoli możnych, która Janowi Trzeciemu życie zatrzymała, nie umiał sobie wytłumaczyć tego króla, zmuszonego być sługą i bezwładną lalką.

— To się nie może utrzymać — myślał w duchu, odgadując swojego pana — August się porozumie z carem moskiewskim, z kurfirstem brandenburskim i te niedorzeczne prawa i przywileje w kąć pójsć muszą. Jeżeli tego nie uczyni, nie wart w istocie korony.

— U nas — mówił do Przebora, gdy ten mu o szlactwie rozpowiadał — szlachta też wolna jest od wszelkich opłat, oprócz że dostarcza koni, obowiązana jest iść w obronę kraju, ale praw nie dyktuje... Gdyby na zwołanym zgromadzeniu saski baron śmiał co burknąć kurfirstowi, nie wydobyłby się z Konigsteinu.

— My mamy przeciwko temu nasze: *neminem captivabimus, nisi iure victum* — zamruczał Łukasz — nie dalibyśmy się, ho, ho!

Szło tedy wszystko doskonale w kamienicy Pod Rybami, ale jeszcze nie tak szybko, jak Witkę sobie życzył. Zapowiedział więc klerykowi, że otrzyma

oprócz nagrody umówionej podarek piękny, byle na koronację Witkego przygotował.

— Nie przyjdzie to trudno waszej mości — rzekł śmiejąc Łukasz — u nas różnych dialektów dosyć, na Śląsku mówią inaczej, inaczej na Mazurach? inaczej Kaszuby, opowiesz się z innej prowincji i dosyć.

— A pewnie — odparł kupiec — ale chcę dla siebie języka się dobrze wyuczyć.

— Trudniej daleko — rzekł Przebor — przyjdzie wam zrozumieć nasze życie i obyczaj niż mowę. Tego się prędko nie nauczycie.

— Nie rozpaczam o tym — szepnął Witkę — wszystkiego nauczyć się można. Masz waćpan dowody, ja bardzo tępy nie jestem.

Wieczorem codziennie pani Marta oczekiwała na syna, ciekawa dowiedzieć się, jak mu tam szło z nauką.

Cieszyła się razem i obawiała. Wiedziała, że na tej drodze, którą się puścił, już go powstrzymać nie potrafi. Spowiadał się przed nią co dzień i choć całej prawdy nie mówił, czuła, że nadziejami sięgał daleko. Lecz widząc zatrwożoną, uspokajał:

— Nie myślcie bo, matusiu moja, że ja mam ambicję dobijania się urzędów, stanowisk, tytułów. To nie nasza rzecz. Chcę się stać potrzebnym i Jak Lehman i Meier dorobić pieniędzy. Z nabitą kabzą dojdę potem, gdzie zapragnę. Ze sklepu wielkich rzeczy wyciągnąć nie można, a kto ma rozum i pieniądze, powinien z nich korzystać.

Matka wzdychała, ścisła syna i powtarzała ciągle jedno:

— Bądź ostrożny, moje dziecko, bądź ostrożny. U dworu, jak we młynie, kogo koło pochwyli, to mu kości potrzaska.

Zacharek śmiał się, nie miał najmniejszej obawy.

Kleryk rozpatrzywszy się dłużej, a widząc przy tym, że Przebendowska wcale go wyżej promować nie myślała, ułożył sobie, iż przyjąłby chętnie na początek lada jakie miejsce. Zaczął od tego, iż na swoją panią narzekał półgębkiem, oświadczył, że gotów by ją porzucić, ale kupiec milcząc przyjął to wyznanie, a z pomocy do otrzymania jakiejś posady wymówił się tym, że stosunków nie ma.

— U nas się umieścić nie łatwo — rzekł — a wy u siebie w Polsce łatwiej coś znajdziecie.

— Łatwiej? — rozśmiał się kleryk — widać, że nie znacie łacińskiego przysłowia: *nemo propheta in patria*.

— Nie zawsze się ono sprawdza — odparł kupiec. — Sprzykrzyła się wam pani Przebendowska, radzi byście ją porzucić, choć z cierpliwością moglibyście dojść łatwo do czegoś. Przypuśćmy, że ja bym was posłuchał i poszukał wam zajęcia, innego bym nie znalazł, chyba w handlu, a samiście mi mówili, że szlachcicowi ani łokcia, ani wagi tknąć się nie godzi.

Westchnął i zamilkł kleryk.

W istocie, z całą chytrą i przebiegłością swoją sam nie wiedział, co robić, brak mu było cierpliwości, rzucał się nieopatrnie. Niemiec miał wyższość nad nim wielką, nie licząc tego, że kleryk, gdy podpił, choć się pilnował, z tym i owym nieraz się wygadał niepotrzebnie.

Wiedział przez niego Zachariasz, że z przepisywanych dla kasztelanowej papierów okazywały się między Dreznem a Krakowem rozmaite, do skutku jeszcze nie doprowadzone układy, które koronację poprzedzać miały.

Oswojony już dostatecznie z językiem, nie mówiąc nic Przeborowi, Witkę osnuł po cichu plan postępowania. Chciał się najrychlej dostać do Krakowa, rozpatrzeć tam zawczasu i tym sobie zjednać kogoś u boku króla... Dla upozorowania miał interesa handlowe. Z dnia na dzień jednak odkładając podróż swoją, z którą się nauczycielowi nie zwierzał przedwcześnie, rozglądał się i namyślał, czyby na dworze nie mógł otrzymać jakich zleceń do Krakowa, aby od nich rozpocząć nowy zawód, któremu matka była tak przeciwna.

Skład dworu kurfirsta i jego ulubieńców stosunki dobrze były znane Witkemu. Wiedział, że do małych na pozór, a ważnych robót, które ukrywane być musiały, począwszy od namawiania francuskich i włoskich aktorek dla kurfirsta aż do frymarków klejnotami nabywanymi na kredyt, najdzielniej posługiwał i największe miał zaufanie Włoch-weroneńczyk, pospolicie przezwany Mazotinem, uszlachcony już pan Angelo Constantini. Był ów po prostu kamerdynerem Augusta, ale mu się i przebiegły Pflug, wielki podkomorzy, i nawet Furstenberg kłaniał i uśmiechał. Była to niewiadoma, nie ukazująca się prawie nigdy potęga. Mazotina wśród tysiąca poznać było łatwo jako Włocha, nie tylko z czarnego, kruczego, bujnego włosa, oczów jak węgle, brwi zrosłych i najeżonych, ale z ruchów niespokojnych, z gestykulacji nieustających, z nadzwyczajnej gibkości i zręczności, z jaką wszędzie się

wcisnął. Walczyć z nim na dworze nikt nie śmiał, nawet towarzysz jego, także w wielkich łaskach zostający Hoffman, z którym o lepsze współzawodniczyli. Hoffman miał również zaufanie kurfirsta i był do tych samych posług co Mazotin używany, ale nie miał jego śmiałości i przebiegłości. Obawiali się wszyscy weroneńczyka, a każdy go sobie pragnął pozyskać. Wtajemniczony we wszystkie kaprysy miłosne nienasyconego kurfirsta, który ciągle czegoś nowego zachciewał, Mazotin umiał *per fas et ne fas* zawsze fantazji jego zadośćuczynić. Nieprzyjemne następstwa szalonych czasem wybryków brał potem na siebie i wykręcał się z nich bez szwanku.

Constantini, chociaż głowy nie miał tak tęgiej jak sławny z niej podkomorzy Pflug, który dziesięć butelek wina mógł wypić nie przestając być trzeźwym, dobre wino lubił, szczególnie szampańskie i włoskie. Witkę już dawniej, gdy jeszcze żadnych nie miał widoków zdobywania sobie przyszłości, dla pozyskania protekcji Mazotina sprowadził Lacrima Christi i parę gatunków wyszukanych win południowych, którymi go obdarzył. Stąd się zawiązała znajomość między nimi, ale Constantini był zbyt zajęty, wmieszany we wszystkie płataniny dworskie, aby miał czas wiele z kupcem obcować i z nim się spotykać często. Odnowić teraz te zaniedbane stosunki zdawało się Witkemu koniecznością.

Od elekcji kurfirsta na dworze panował ruch i zamęt podwojony. Brak pieniędzy, potrzeba ich gwałtowna, wyszukiwanie środków dla ściągnięcia ich, nabywanie klejnotów, których wielkiej ilości wymagały podarki dla pań i panów polskich, nie tylko Lehmana i Meiera, bankierów dworu, zajmowały, ale — co żyło. Mazotin też był bardzo czynny i trudno do niego teraz docisnąć się było, z rana i wieczorem musiał stać w gotowości na usługi i z raportami w gabinecie, wśród dnia biegał, szpiegował i starał się czymś zasłużyć.

Mazotin był najruchliwszym szpiegiem i pod swymi rozkazami miał całą bandę najrozmaitszego powołania ludzi, donoszących mu o wszystkim i roznoszących to, co on chciał rozgłosić.

Maleńka ta, niedojrzana sprężyna poruszała ogromnymi siłami. Prorokowano już naówczas uszlachconemu Włochowi, że z kamerdynera przejdzie do kancelarii tajnej i na najwyższe posunie się szczeble, o czym on sam nie wątpił.

Jednego wieczoru Witkę z latarką sam zszedł do swoich piwnic. Miał on tam w ogrodzonym kątku stare najdroższe wina, od których kluczy nikomu oprócz matki nie powierzał. Wydobył stąd pół tuzina *fiasconów* pyłem i pajęczyną ozdobnych, ułożył je ostrożnie w koszyku i okryte suknem kazał ku zamkowi nieść za sobą.

Mazotin zajmował tu, niedaleko od sypialni kurfirsta, mieszkanie, w którym rzadko kiedy zastać go było można. Powiadano uśmiechając się, że najczęściej nie nocował tu nawet, a gdzie się obracał, było tajemnicą.

Tym razem, cudem prawie, król się znajdował na polowaniu, a Constantini pozostał w Dreźnie, i Witkę, który od posługacza sam koszyk wziął do ręki, zapukawszy został wpuszczony.

Mazotin właśnie zajęty był przeglądem jakichś pudełek pełnych rozmaitych klejnotów, ale poznawszy w progu kupca, który mu był zawsze sympatyczny, dostrzegłszy może koszyk w jego ręku, uśmiechnął się i po włosku go palcami od ust pozdrowił.

Szczeńciem dla Zachariasza byli sami.

Witkę skłonił się bardzo nisko i twarz sobie ułożył wesołą.

— Ze względu — odezwał się, od razu przystępując do rzeczy — że pan podkomorzy (dał mu ten tytuł niby omyłką, ale nie bez myśli) musi być teraz bardzo pracą znużony, przynoszę tu coś, aby siły jego pokrzepić.

To mówiąc, na uboczu zakryty koszyk ustawił ukazawszy tylko szyjką butelki.

— Che, che, che! — rozśmiał mu się Wioch — pamiętałeś o mnie, Witkę. Serdeczne dzięki, ale wino pod ten czas raczej mi siły odejmie, niż ich doda.

— O, o! — odparł kupiec — takie wino jak to, które przynoszę, wie, dokąd iść, i nigdy do głowy nie uderza, ale do żołądka, aby mu sił dodało.

Mazotin, zmęczony, wyjątkowo był jakoś skłonny do rozmowy, tym chętniej że Witkę po włosku się był nauczył i wcale nieźle z jego signorią mógł się rozmówić.

— No, kochany Zacharia — rzekł kamerdyner, żywo się poruszając — cóż tam słyhać? co robisz?

— Ja? — rzekł szybko Witkę — jak zwykle w sklepie siedzę i niewiele mam do czynienia, ale gotów bym czynnym być, gdyby się tylko znalazło zajęcie.

Constantini pomyślał trochę,

— Jakie? — zapytał.

— A! mam wielką ochotę służenia i przydania się na coś teraz, gdy najjaśniejszy pan tyle i tak rozmaitych usług potrzebuje — odezwał się Witkę — że gotów bym był na wszystkie zlecenia, gdyby mi je tylko powierzono.

— O, o! — przerwał Mazotin przystępując do niego. — Serio to mówisz? W istocie, nam zaufanych ludzi, szczególnie do Polski, potrzeba.

Witkę podniósł głowę.

— A, jak się to składa dobrze — odpowiedział z uśmiechem — bo nawet przypadkiem po polsku niezłem się nauczył.

— Jakim sposobem? — zawołał z zaciekawionym widocznie Mazotin.

— A, a! nie miało się co robić — rzekł kupiec — zdarzył się człowiek, a ja jestem każdego języka ciekawy.

Constantini się zamyślił. Położył rękę na ramieniu kupca.

— Hm! — rzekł — w istocie się w. mości przydać i nam też może. Nam pewnych ludzi potrzeba, którym by czasem i pieniądze, i klejnoty powierzyć można. Jesteś człowiekiem mającym i uczciwym, na rozumie i zręczności ci nie zbywa.

Witkę się skłonił dziękując.

— Proszę mną rozporządzać — odezwał się prędko — do Krakowa a choćby i do Warszawy pojedę chętnie. Mam wielką ochotę mój handel rozszerzyć. Każdemu się chce dorobku.

— Naturalnie — odparł Constantini — jesteś młody, siły masz po temu, czemuż nie korzystać ze zręczności. Umiesz po polsku, a to niezmiernie dziś wiele znaczy — dodał — tylko rozmyślić się musisz, czy się tam masz posługiwać, czy taić ze swą umiejętnością, bo i jedno, i drugie w danych okolicznościach przydać się może.

Witkę rękę na piersiach położył.

— Niech Wasza Signoria wierzy mi — rzekł — że z całą gorliwością służyć mogę, jakiej dziś potrzeba. Ostrożności wyuczył mię handel i od młodu z ludźmi obcowanie.

— Ja cię znam, nie masz mi co mówić o tym — wtrącił pośpiesznie Mazotin podając mu rękę. Zakręcił się potem przechodząc po pokoju, jakby mu na miejscu spokojnie trudno wytrwać było, i zwrócił się żywo do Witkego.

— Mógłbym więc na was rachować — począł żywo — gdybym kogo do Polski potrzebował i rzecz by pozostała pomiędzy nami w największej tajemnicy.

— A to się rozumie! — zawołał Witke.

— Kurfirst nasz, gdybyście mu usłużyli, potrafiłby to zawdzięczyć — dodał Constantini.

— Ja i sam z siebie w Polsce zamierzałem handel mój rozszerzyć i otworzyć sklep — rzekł Witkę. — Nikt wiec na mnie tam zwracać nie będzie uwagi, a kupcowi wszędzie przystęp łatwy i nikt go podejrzewać nie może.

Mazotinowi, słuchając, twarz się rozjaśniała...

— Pamiętaj tylko — szepnął — ażeby do tego, co się może między nami ułożyć, nikt nie był przypuszczony... Dopóki nasz pan nie owładnie nową koroną, potrzebujemy oględni być bardzo...

Witkę uradowany wszystkie warunki przyjmował chętnie. Znał, jak z Włochem postępować było potrzeba, ażeby go sobie zupełnie pozyskać, zakończył więc wyznaniem.

— Nie kryję się z tym, że szukam zarobku i chciałbym z okoliczności korzystać, pomożesz mi, wasza Signorią, rozumie się samo z siebie, iż wdzięczność winien mu będę. Korzyści dla obu z tego porozumienia wyniknąć mogą, a w moim i waszym interesie jest, aby ono pozostało tajemnicą...

Mazotin z kolei przyjął to zapewnienie z oznakami wielkiego ukontentowania... Rozmowa się po cichu rozpoczęła, już poufna, o położeniu sprawy króla i stosunkach jego w Polsce, o Krakowie, gdzie naprzód rozpocząć się miało panowanie, o Warszawie, do której kupcowi już teraz dostać się było łatwo, choć ją stronnictwo prymasa i Contiego zajmowało...

— Gotów jestem i do Warszawy — rzekł Witkę — ale nie znając Polski, od Krakowa wolałbym rozpocząć, aby się z nią obyć... W Warszawie tymczasem pewnie kurfirstowi Przebendowscy usłużą...

Na wspomnienie nazwiska tego Mazotinowi usta się trochę skrzywiły.

— Tak — rzekł — sam pan kasztelan teraz już jest całkiem nasz, ale ja nie zapominam o tym, że on już służył innym, a i on, i jego żona nie zawsze nam starczą i nie we wszystkim usłużyć potrafią. Na nich ja się nie będę oglądać... Kasztelan zaś, już dziś znany powszechnie jako kurfirstowi oddany, przez to samo nie wszędzie użytym być może...

Z pół godziny potem jeszcze nowi sprzymierzeńcy szeptali z sobą, po cichu się naradzając i Witkę pożegnał Mazotina umawiając się z nim, aby ilekroć się z nim widzieć zapragnie, zażądał czegoś ze sklepu. Witke miał naówczas natychmiast przybiec do niego.

Nie spodziewał się tak szczęśliwego obrotu, a nade wszystko tak łatwego osiągnięcia celu pan Zachariasz i w najweselszym usposobieniu powrócił do domu... Matka, która właśnie na dole się znajdowała, gdy wszedł, z lica mu wyczytała jakieś powodzenie i byłaby się nim uradowała, gdyby nie to, że teraz wszystko dla niej przechodziło w obawę. Wiedziała, domyślała się, do czego dążył syn...

Po południu tegoż dnia nadciągnął kwaśny Przebor... Jemu się jakoś nie powiodło, Witkę go wprowadzając do komórki, w której zwykle przesiadywali, począł od oznajmienia, że po namyśle postanowił jak najrychlej wycieczkę przedsięwziąć do Krakowa.

Panu Łukaszowi wcale to na rękę nie było.

— No — przerwał chmurno — a ze mną naówczas co się stanie?

— Prosta rzecz — odparł Witkę — ja dotrzymam wszystkiego, com przyrzekł, nie narazi to was na żadną stratę...

— I rozstaniemy się, tak? — bąknął poruszając głową Przebor. — Nie użyjecie mnie do czego?

Witke poruszył ramionami.

— Do czegoż ja bym was mógł użyć? — odparł. — Jesteście związani z Przebendowskimi, a ja oprócz handlowych, innych interesów nie mam. Do tych wy mi pomocnymi być nie możecie... Kto wie — dodał po namyśle kupiec — później może, gdybyśmy się spotkali...

Panu Łukaszowi, który Już na fraszunek nagle spory kielich mocnego wina wychylił i opróżniony tak ustawił, że kupiec mu natychmiast drugi napełnić musiał, zebrało się na gorzkie żale.

— Z Przebendowską — począł — ja do niczego nie dojdę. Posługuje się mną jak ścierką, którą potem rzuca do kąta. Widzi mi się, że mnie ma za zupełnie głupiego człeka, który do niczego lepszego się nie zdał, tylko do przepisywania... Nie zwierza mi się nigdy z niczym, a obchodzi pogardliwie... Wprawdzie zyskuję na tym, bo mi wierzy i nic nie tai, ale z tego jaka korzyść dla mnie?

— Cierpliwości i wytrwania w. mości brak — przerwał kupiec.

— Bo w sobie czuję siłę do trochę większych spraw okazać się zdolnym niż do tej mizernej roli amanuenta — westchnął Przebor.

— Rad bym mu z duszy pomóc — dodał Witkę — ale jak? Nie widzę sposobu.

Przebor kulakiem w stół uderzył.

— Bądź co bądź — zamruczał — wybić się na wierzch potrzeba...

— A ja tego w. panu życzę jak najmocniej — rzekł Zachariasz — ale razem i zimnej krwi a wytrwałości, bo bez tego nic... Teraz zaś — dodał dobywając z kieszeni sakwę dobrze naładowaną — składam wam dzięki najszczerze za naukę, z której się będę starał skorzystać... Oto jest mój dług, wedle umowy, a to przyjacielska ofiara za okazaną mi życzliwość.

Przeborowi oczy się zaśmiały do talarów na stole rozłożonych, których się nie spodziewał dostać tak wiele, a nigdy ich w życiu tylu nie miał razem. Począł kupca za rękę ścisnąć i w ramię całować...

— Jakże nie mam na tych sknerów narzekać — zawołał — i czyż oni mi kiedy za poświęcenie im całego czasu mojego choć połowę tego dali!... Do stołu mnie przypuszczają za ledwie, gdy nie ma gości, i to na szarym końcu... Grosza się u nich nie doprosić, a posługują się niemal jak stróżem...

W głowie mu się nieco zakręciło, począł spieszenie chować pieniądze, nienawykły do nich, że mu one na bardzo długo wystarczyć były powinny. Pożegnali się serdecznie i podwójnie upojony pan Łukasz powrócił do pałacu Flemminga, którego część zajmowała Przebendowska, z postanowieniem niemal

już stanowczym zerwania z chlebodawcami, aby szukać sobie czegoś korzystniejszego.

Odbiły się talary, które skrzętnie do kufra schował, na twarzy, w obejściu się i minie. Pani Przebendowska, która wkrótce potem dla podyktowania listu pozwać go kazała, zdziwiła się widząc wchodzącego z jakąś butą, której nigdy w nim nie widział.

Nie wiedząc, czemu ją przypisać, nie pytając o przyczynę siadła do korespondencji. Łukasz zajął miejsce i przysposobił do roboty.

Przypadkiem pani kasztelanowa, nim się ona rozpoczęła, z dumą i pańską flegmą uczyniła uwagę, aby się starał pisać wyraźnie i czytelnie.

— Hm! — odparł Przebor — czy ja jeszcze źle piszę?

Kasztelanowa spojrzała ostro.

— Czasem dosyć niedbale — rzekła — wiem, że to waszmość pana nie bawi, ale obowiązki należy spełniać sumiennie.

— A ja je spełniam niesumiennie?

Zamruczał pióro cisnąc pan Łukasz i zarumienił się okrutnie.

Przebendowska, która go cierpliwym znała, popatrzyła wielkimi oczyma.

— Co się waszmość panu stało? — zapytała.

— Nic — rzekł powstając pan Łukasz — tylko ponieważ ja źle piszę i obowiązek mój spełniam niesumiennie, więc dziękuję za miejsce. Proszę mnie kazać obliczyć i koniec.

Przebendowską uszom swym wierzyć nie chciała nie wiedząc, czy śmiać się, czy gniewać. Brwi jej się w końcu ściągnęły.

— Waćpan oszalałeś! — rzekła dumnie. — Myślisz więc, że ja na to pozwolę, abys mnie tu porzucił, gdy nie mam go kim zastąpić? Nie łudź się waszmość. Zatrzymywać go nie będę, gdy powrócim do domu, ale tu waćpana nie odpuszczę.

Jesteśmy w Saksonii, jesteś moim oficjalistą, dosyć słowa mojemu bratu, aby wzięto pod wartość i zaprowadzono na Nowy Rynek. Miej więc rozum i nie buntuj mi się, bo to się źle skończyć może.

Przeborowi zrobiło się zimno, gorąco, siadł nie mówiąc słowa już i nie odzywając się przygotował pisać pod dyktą pani, która bynajmniej nie poruszona list natychmiast rozpoczęła.

Nawykła do biernego posłuszeństwa, kasztelanowa wybryk ten amanuenta przypisała podchmieleniu. Rzecz się jej zdawała załatwioną. List stylizować ukończywszy kazała go sobie podać, przeczytała i nic nie mówiąc położyła na stole.

Przebor stał i czekał chwilę, a widząc, że pani Przebendowską nie myśli już dyktować dłużej, skłonił się niezgrabnie i wyszedł.

Wszystko się zdawało skończone, ale nazajutrz rano kasztelanowa dowiedziała się, że nocą Przebor wyniósł się z pałacu Flemminga i znikł bez wieści. Wydano natychmiast rozkazy poszukiwania zbiega, tropiono go po całym mieście, ale bezskutecznie.

Żałowała może poniewczasie prędkości swej surowa pani, ale nie czuła się coś winną. W jej oczach niedarowanym było zuchwalstwem, że się jej taki biedak śmiał stawić ze swą dumą szlachecką i wymagać choćby najmniejszych względów!

Dostało się za niego całej Polsce i wszystkim szlachcie!

Rozdział czwarty.

Jednego jesiennego wieczoru, gdy już sklep został zamknięty, a pani Marta, niespokojna, oczekiwała na syna, podśpiewując wesoło wszedł do pokoju, w którym zawsze wieczerali, Zachariasz i całując matkę w rękę, a dojrawszy łzy na jej oczach, rzekł z wyrzutem i czułością:

— Matusiu kochana, widzę, że wy w dziecku swym ufności nie macie? Czy żeby Zacherek nie stracił tego, co jego ojciec zapracował, a wy nie popadli w ubóstwo?

Pani Marta przerwała mu gwałtownie.

— A, ty niewdzięczny! alboż mi tak idzie o bogactwo, którego ja najmniej potrzebuję? Chodzi mi o ciebie, skarbie mój jedyny! Ja każdego dnia, gdybyśmy stracili wszystko, z rozkoszą bym powróciła do mojego Budziszyna, bylebym ciebie z sobą miała. Czyż nie rozumiesz tego, że mi o nic, tylko o twoje chodzi bezpieczeństwo?

— A! matuś miła — jeszcze raz ręce jej całując odparł Witke — zważ proszę, co mnie zagrażać może?

— Nie wiem — rzekła matka wzdychając — ale się lękam. Jedziesz do Krakowa?

— Jadę, tak — zawołał Witke — należy się zawczasu rozpatrzyć. Kurfirst wkrótce ma tam przybyć także.

Bystro matka mu spojrzała w oczy.

— Nie mówisz mi wszystkiego szczerze — dodała — a ja, odgadywać zmuszona, więcej się może tym trwożę, niżby należało. Mazotin parę razy przybiegał do ciebie, a kto wie, jak on zajęty i jaką gra tam rolę przy kurfirstcie, ten musi się domyślać, że ty nie wino sprzedawać jedziesz do Krakowa.

Uśmiechnął się Zachariasz.

— A! matusiu, nasi panowie — rzekł — Flemming, Pflug i inni, których August z sobą zabiera, Niemców przy sobie potrzebują. Nie będą też wiedzieli w pierwszej chwili, gdzie i jak stąpić... jedno nie zawadzi drugiemu, ja i swój interes zrobię, i kurfirstowi posłużyć mogę.

Smutnie potrząsać głową zaczęła matka.

— Widzisz, Zacharek — odezwała się — widzisz, tego właśnie się ja boję, tego wiązania z Mazotinami, Hoffmanem i dworem, gdy ty nie potrzebujesz nikogo. Raz im posłużywszy dostajesz się w niewolę. Nie puszczą cię. Mniejsza o to, że swój handel zaniedbać możesz dla tych posług, ale ja się wszystkiego boję, co ze dworem i panem ma stosunki. Przyjaźń ze lwami i tygrysami niebezpieczna.

Zachariasz śmiał się.

— Uspokójże się, matuś, uspokój — rzekł poważniejąc — nie jestem i nie będę niczym związany, nie narzucam się nikomu, ale są rzeczy nieuniknione.

Odmówić swojemu panu nie godzi się i równie bezpieczne nie jest, jak mu się narzucać. Proszę więc, bądź, matuś, spokojna.

To mówiąc siadł Zachariasz do wieczerzy nadzwyczaj ożywiony i zwrócił rozmowę na to, co pozostawiał w domu. Wina potrzeba było ściągać, inne klarować, odebrać transport, który miał nadejść, wypłaty porobić w różnych terminach, co wszystko matka brała na siebie.

— Moje dziecko — odparła wysłuchawszy go — a kiedyż ty z powrotem?

— Cha! cha! — zaśmiał się rażno Zacharek — to tylko Pan Bóg wiedzieć może, ale pewna, że tęsknić będę za wami i pośpieszać, o ile zdołam.

— A! — dodała troskliwa matka wzdychając znowu — niejednej trwogi mnie nabawia ta twoja ruchliwość i zabiegi, mój Zacharku. Sam mi powiadałeś o Polakach, że ludzie są zuchwali, do zwady i rąbania się bardzo skłonni...

— Z tymi, moja kochana matuś — odparł żywo Zachariasz — którzy szable u boku noszą, ja zaś kupcem jestem, spokojnym człowiekiem i laską albo łokciem się podpieram.

Chcąc zwrócić z tego drażliwego przedmiotu Witke strącił na Przebora, o którym matce opowiadał.

— Ciekawym bardzo, co się z nim stało? Któż wie? Spotkać się może przyjdzie w Krakowie, bo jeden Bóg wie, gdzie się obraca. Wyrwał się stąd z moją pomocą nagle, a gdybym był wiedział, że go nazajutrz Flemming po całym mieście szukać będzie, nie byłbym tak skory do ułatwienia mu ucieczki. Lecz mała to rzecz i niewielką z niego pociechę musiała mieć Przebendowska...

— O, ja sobie wcale nie życzę, abyś się z nim spotkał — dodała Marta — temu człowiekowi źle z oczów patrzy.

— Ale to biedak, który żadnego nie ma znaczenia — przerwał kupiec.

— I tym niebezpieczniejszy — odparła Marta — bo chciwy, aby co pozyskać, gotów na największą podłość.

Zachariasz potwierdził to poruszeniem głowy.

— Nie myślę się też z nim wdawać — rzekł krótko.

Następnego dnia rano jeszcze niezupełnie rozwidniało, gdy pan Zachariasz był już na wozie wygodnym, z dwojgiem czeladzi, i pożegnawszy matkę, która nieznacznie krzyżem go świętym błogosławiła, puścił się w podróż odważnie i wesoło.

Na trakcie tym, który z Drezna prowadził do starej stolicy, chociaż nie było jeszcze oddziałów saskich, które tam ciągnąć miały, ani dworu i ekwipażów króla, poprzedzających go, ruch już panował większy daleko niż zwykle. Po gospodach spotykał kupiec i od Drezna, i do Drezna dążących panów, Szlachtę, duchownych i wojskowych. Pomiędzy tymi wielu z twarzy znał Witkę, ale im nie był znany. Z nikim jednak nie zawiązując stosunków, jak mógł najpośpieszniej, biegł do Krakowa nasz kupiec, gdyż czasu potrzebował, aby tam jakąkolwiek zrobić znajomość, a wskazówek miał mało. Baur tylko dał mu list do kupczącego jak on suknamami mieszczanina krakowskiego, Hallera, człowieka zamożnego, który chociaż od kilku pokoleń całkiem się stał Polakiem, pochodzenia swego niemieckiego się nie zapierał i języka nie zapomniął...

Zachariasz, czynny i baczny, nawet w podróży nie omieszkał z niej korzystać rozglądając się wśród spotykanych ludzi i nastawiając ucha do rozmowy.

Z nich jedno tylko mógł wyciągnąć, że chociaż August wybrany był i przygotowywał się już przybyć i koronować, w Polsce jeszcze pewnego nie miał oparcia. Zdawało mu się nawet, że słabiej stał kurfirst, niż sobie w Dreźnie wyobrażano. Słyszał opowiadających, że w Krakowie samym Contiego stronników było wielu, a pałacyk w Łobzowie, który zamierzano zająć, nimby uroczysty zjazd mógł się odbyć do Krakowa, zajmował Franciszek Lubomirski, starosta olsztyński, z oddziałem wojska. Wprawdzie garstkę tę jego łatwo mogli Sasi stąd wyparować, ale narażać się na walkę przed koronacją nie było wcale polityczne.

Na ostatek, śpiesząc wielce p. Zachariasz, pominąwszy Łobzów, stanął na Starym Rynku w Krakowie, gdzie gdy mu gospody szukać przyszło, okazała się taka trudność dostania jej, że rad nierad z listem Baura musiał pójść do Sukiennic szukać Hallera. Łatwo mu go znaleźć było. Średnich lat, poważny, pięknej powierzchowności kupiec krakowski odebrawszy pismo przyjaciela drezdeńskiego czynnie i gorąco się zajął poleconym sobie Witkiem.

— Gospody szukać nie potrzebujesz wcale — rzekł uprzejmie — dom mój stoi wam otworem. Wprawdzie znaczniejszą część jego musiałem ustąpić jednemu z panów naszych, ale izbę dla was znajdę zawsze, a stajnie i wozownie pomieszczą wóz wasz z końmi i ludźmi.

Nie chciał już Haller słyszeć o tym, aby się to inaczej ułożyć mogło. Rad był widocznie gościowi i dlatego, że się przez niego mógł coś więcej o kurfirsta dowiedzieć, o którym bardzo rozmaite biegały pogłoski. Jedni go tu przedstawiali jako dla wolności Rzeczypospolitej bardzo niebezpiecznego człowieka, drudzy jako pożądanego do zaprowadzenia ładu i porządku pana.

Haller, co się łatwo z jego rozmowy dawało wyrozumieć, był wielce umiarkowany, wyczekujący i ostrożny, a że na swym stanowisku radcy miasta niewiele mógł i nie chciał sięgać wysoko, zaspokajał się świadomością tych interesów, które go najbliższej obchodziły.

Od pierwszych słów wymienionych podobał się gość gospodarzowi i nawzajem. Zachariasz niemal pierwszą tu próbę posługiwania się nauczonym językiem polskim mógł uczynić. W podróży kilka razy szczęśliwie się mu z nim powiodło; z Hallerem też — tłumacząc się zawczasu, iż językiem nie włada wprawnie, a rad by nabyć łatwość mówienia nim — rozmowę prowadził po polsku.

Szła mu ona lepiej nawet, niż się spodziewał, bo Haller na germanizmy nie zwracał uwagi. Z listu Baura miał prawo cieszyć się przybyły, gdyż lepiej trafić jak na starego Hallera było trudno. Wytrawny, spokojny mieszczanin krakowski, choć nie wielomówny, na wszystkie pytania mógł doskonale odpowiedzieć, bo nikt od niego lepiej o bieżących sprawach informowany nie był.

Na to, co Haller powiedział, śmiało się można było spuścić.

Rodzina kupca składała się z żony Polki, niewiasty bardzo miłej i temperamentem do męża podobnej, z dorastającego już syna i dwu córeczek - wyrostków. Handel, jak się łatwo mógł przekonać Zachariasz, prowadzili Hallerowie na wielką skalę, mieli sklep drugi w Warszawie i dostatek czuć było w domu.

Jako powód przybycia do Krakowa podał Witkę chęć zaopatrzenia się w celu handlowym i zawiązania stosunków, które dwa kraje, pod jednym berłem mające się łączyć, zbliżyć do siebie musiały. Gdy po obiedzie pozostali sami, Haller pierwszy ciekawie począł badać gościa i kurfirsta, przy czym pan Zachariasz dowiedział się, jak tu sprawa jego stała. Haller nie wyrokował o przyszłości.

— Wątpliwości nie ma — rzekł — że większość i prawomocność przy elekcji miał Conti, ale saski kurfirst wasz przy swej mniejszości ma wiele korzyści i ułatwień, na jakich Francuzowi zbywa. Wojsko jego stoi na granicy, garstka ludzi, co go okrzyknęła, ruchawa, śmiała i czynna. Prymas, daj Boże,

aby Contiemu do końca wiary strzymał, a kiedy i jak on przybędzie... rzecz wątpliwa... Gdy obrany królem August pośpieszy, koronacja raz będzie dokonana. Trudno z nim przyjdzie walczyć Francuzowi.

— Ale jakże tu rzeczy stoją w Krakowie? — zapytał Zachariasz. — Łobzów, słyszę, zajmuje Lubomirski, niechętny kurfirstowi. Zamek sam trzyma Wielopolski i otwierać go nam podobno nie życzy.

— Wszystko to prawda — szepnął Haller — ale zmienić się to może... Myśmy już przez elekcję i za panowania ostatniego króla, czyli raczej królowej, bo ona rządziła i gospodarowała, do frymarków i przekupstwa nawykli. Wiedzieć to przecież musicie, że sam pan kasztelan Przebendowski, nim się z kurfirstem porozumiał, innego kandydata na tron popierał. Toż samo stać się może z innymi, których pieniędzmi i względami zyskać nie jest niepodobieństwem... Wojsko niepłatne... grosza też jest żądne, pójdzie z tym, co mu zaległości choć część wyliczy.

Haller zamilkł.

— Sprawa więc naszego pana źle nie stoi — rzekł Witkę — cieszę się tym... Nie zaniedba on pewnie skorzystać z tego...

Od niechcienia zapytał krakowianin o królową.

— Będziez ona towarzyszyć mężowi? Mówią, że w paktach przyrzeczono jest, że i ona katolicką przyjmie wiarę i złożywszy wyznanie jej, ma być koronowaną.

— O tych paktach ja tak dokładnie zawiadomiony nie jestem — odezwał się Witkę — ale tegom pewny, że kurfirstowa wyznania ewangelickiego na żaden sposób się nie wyrzeczy, chociażby dla niego koronę miała utracić.

— Nie wiem więc, jak sobie z tym poradzą panowie — dodał Haller. — Nam wszakże bez królowej się obejść można, a tron nie jest dziedziczny.

Zagadnął Zachariasz o osobę prymasa, o którym bardzo rozmaicie mówiono, a Haller nieśmiało jakoś i wahając się dwuznaczną dał odpowiedź.

— Sprzyjał on Sobieskim — rzekł — teraz popiera Francuza, upiera się przy nim, bo go otacza partia Contiego, lecz za nic ręczyć nie można... Wpływ na niego wywiera rodzina, pan i pani Towiańska... i inni. Na mamonę też, mówią, obojętny nie jest...

Skutkiem tej pierwszego dnia rozmowy było, że pan Zachariasz wcale ducha i nadziei nie stracił, że tu sobie radę dać potrafi. Szło tylko o bardzo ostrożne zawiązanie stosunków... Następnymi dniami sposobności się do tego następcza zaczęły. Po Krakowie, który teraz długim opuszczeniem stał się niemal małym miasteczkiem, każda pogłoska rozchodziła się szybko bardzo... Nie zjawiał się nikt na tutejszym bruku, o kim by sobie natychmiast nie rozpowiadano. Przybycie więc Witkego nie przeszło niepostrzeżone... Wszyscy ciekawi byli niezmiernie czegoś się więcej o przyszłym dowiedzieć królu. Drzwi się u Hallerów nie zamykały.

Zachariaszowi było to na rękę, gdyż miał zręczność jednać dla kurfirsta i z tego, co słyszał, wywnioskować, co go tu czekało.

Pierwszym wnioskiem, któremu oprzeć się nie mógł, iż samowolny w swym państwie kurfirst, nie nawykły szanować prawa, które sam dyktował, będzie tu miał wiele do zwalczania trudności ze szlachtą, o swe przywileje zazdrosną.

W kilka dni po przybyciu Sasa zjawiał się dawny znajomy Hallera, stary już stolnik Górski, który obyczajem dawnym u Hallera gospodą stanął. Górski był wielce dla Witkego ciekawą postacią, z której o innych mógł wnosić. Wcielał on w sobie wszystkie właściwości szlachty polskiej i panów, bo stał pomiędzy jedną a drugimi. Zamożny tak, że z wielu magnatami mierzyć się mógł dostatkami, pan stolnik ani pragnął, ani próbował wciskać się pomiędzy nich, choć ród i posiadłości obszerne zachcianki te by usprawiedliwiały. Pozostał szlachcicem, ani się dobijając urzędów, ani dworem nie otaczając licznym. Przyjmowano go pomiędzy senatorami z poszanowaniem, wśród szlachty jako pana brata, którym się ona poszczycić mogła.

Dom i obyczaj Górskich niewiele miał nowego, stał przy starych tradycjach i prostotą, a nawet pewną umyślną, republikańską surowością się odznaczał. Stolnik był nieposzlakowanej prawości mężem i w żadne z sumieniem się frymarki nie wdawał. Sąd jego o sprawach Rzeczypospolitej był nieubłagane ostry i prawdomówny a otwarty, bez oglądania się na ludzi.

Ci, co się w sumieniu nie czuli czysti, a takich naówczas niemało już było niestety, unikali Górskiego, bo im bez ogródki wyrzucał ich błędy i przewinienia.

Aby się na to nie narażać, obchodzono pana stolnika, kłaniano mu się, ale niechętnie wdawano w rozprawy.

Wiadome było, że Górski za życia Sobieskiego przyjacielem był mu wiernym, ale królowej niechętnym, a gdy przyszło do jawnej rozterki pomiędzy

matką a synami, odstąpił Sobieskich i na polu elekcyjnym z większością za Contim głosował.

Przybycie jego do Małopolski i Krakowa miało na celu przekonanie się tu, jak stała elekcja saska i jakie nadzieje mógł mieć kandydat francuski.

Nowym całkiem dla pana Zachariasza wydał się ten szlachcic polski, trzeźwy, spokojny, w przekonaniach twardy, nieambitny i na pozór bardzo chłodny..,

— Nie bierz waszmość z niego miary — rzekł mu spytany Haller. — Pan Górski u nas podobnych sobie liczy mało.

Następnego wieczoru, u kolacji, Witkę znalazł się z nim razem u gościnnego stołu gospodarza. Górski się z nim zapoznał i dosyć ciekawie o kurfirsta się rozpytywać zaczął.

Witkę oczywiście chwalił go i wynosił, a stolnik cierpliwie słuchał.

— Sławicie go z mocy wielkiej — odezwał się potem — a my się z niej cieszyć byśmy powinni, bo nam pana potrzeba, który by wiele wybryków mógł poskromić, ale tu szkopuł. Rzadko kto użyciu siły granice położyć umie i prawo chce poszanować, gdy je bezkarnie złamać może. U nas zaś, cośmy na straży nie tylko praw, ale obyczajów naszego nawykli, stoi od lat kilkuset samowola niemożliwa. Próbowali, od Batorego począwszy, panowie nasi wszyscy władzy sobie pomnożyć, a nam swobód ukrócić, a pomnożyli tylko nieład i rokosze. Może by nam zbytich wolności w istocie ująć należało, ale kto ich zakosztował, niełatwo się zrzeka. Posłyszycy, kto się porwie na *absolutum dominium*, bodaj *pereat mundus, vivat libertas!*

— A pan stolnik — wtrącił Haller — pochwalasz to bałwochwalstwo wolności?

— Ja? — odparł Górski z uśmiechem — ani chwałę, ani ganię, opowiadam, co widzę. Pragnę dobra Rzeczypospolitej, nie mogę poszanowania praw ganić, boć prawo prawem, i nie łamać je, ale poprawić należy, jeśli złe jest. Kurfirstowi to wrazić potrzeba, aby go w niebezpieczną kolizję nie wciągnięto, nie zna nas. Ci, co mu się podjęli Rzeczpospolitą dać poznać, bodaj nie wszyscy sumienni.

Po chwili milczenia Górski zwrócił się do Witkego.

— *Si fabula vera* — rzekł — bo na wysoko stojących potwarze łatwo płyną, mówią, iż kurfirst zbyt krewki jest i choć żonę ma, z miłośnikami się nie kryje, a nieustannie je mienia. U nas mu to ani serc, ani szacunku nie zjedna.

Witkę zarumienił się mocno.

— Młody był — rzekł — ale dziś lata nadchodzą, w których pomiarkować się musi. Podróżował wiele, napatrzył się przykładów lekkomyślności tej na królewskim dworze w Paryżu. Zaraza się pochwycą łatwo.

— Tak ci jest — dodał stolnik — im z większej wysokości płynie, tym niebezpieczniejsza jest. Do Polski przybywając powinien się wyrzec tego, bo dzięki Bogu i niewiast nie znajdzie, które by sromu się pozbyły.

Nie chcąc dłużej o tym mówić pan Zachariasz zwrócił na bogactwa kurfirsta, szczodroblivość jego i świetność dworu, na rycerskie wreszcie przymioty.

— Myśmy słyszeli — rzekł Górski — jakoby na wojnie z Turkami wcale powodzenia nie miał.

Witkę, nauczony, wyłożył to zazdrością i zdradą, a Górski głową potrząsnąwszy umilkł.

— Nie ujmując waszemu kurfirstowi — odezwał się — za którym ja nie głosowałem, zawsze to zastrzec muszę, iż dla nas bezpieczniejszy jest pan, który przybywa z dala, niż ten, który o granicę dziedziczne ma posiadłości. Łatwo mu z Sasami nam przewodzić i stałym wojskiem swym swobody nasze ścieśniać.

Nawzajem tak Witkę i stolnik badali się przez cały wieczór, przy czym Sas się nauczył wielu rzeczy, o których pojęcia nie miał. Coraz dziwniejsza wydawała mu się ta Polska, jej szlachta, swobody i obyczaje... Było myśleć o czym. Miarkował już, że kurfirst wcale wolności tych szanować nie myślał, ale zamierzał zręcznie i bez rozgłosu, powoli je wniwecz obrócić... Zdradzał się z tym mówiąc z nim Mazotin, naprowadzały na wniosek i inne wskazówki... Co z tego wyniknąć mogło? Odgadnąć było trudno...

Górski, który w istocie żadnego nie miał interesu w Krakowie, zapowiedział, że chce tu dłuższy czas pozostać, aby przebiegu spraw publicznych być bliżej.

Ponieważ co dzień do niego napływało osób mnóstwo, a Haller wiedział o tym, co się u stolnika działo, Witkę też wiele z niego korzystał.

Mazotinowi przyrzekł zdawać sprawę ze wszystkiego, co tu widzieć i słyszeć będzie, mogącego obchodzić kurfirsta; musiał więc w parę dni zasiąść do listu, chociaż do pisania wstręt miał wielki i, jako kupiec, znaczenie skryptu znał dobrze i obawiał się go. Z Krakowa do Drezna regularnych poczty nie było, wysyłali Sasi, już tu zesłani na zwiady, raporta niemal dnia każdego, przesyłanie więc pism nie było trudne... Tą samą drogą Witke miał je odbierać.

Wieczorem co dzień prawie stolnik Górski, który w rozmaitych kołach się obracał, przychodził, z miasta powracając, do Hallera, gdzie i Witkę się znajdował... Na rękę to było Niemcowi, bo się od niego najłatwiej mógł dowiedzieć, co w mieście i na zamku przybywający panowie radzili i rozprawiali, i jak stała sprawa kurfirsta. Górski intrygi, potajemnych robót wcale nie rozumiał, miał je za nieuczciwe, nie krył więc nic, o czym słyszał ani co sam myślał. Pan Zachariasz od niego się najłatwiej mógł dowiedzieć, jak się tu składały przygotowania do koronacji i co przywozili z sobą z Warszawy i Łowicza nadjeżdżający panowie.

Stolnik mówił otwarcie, że choć Conti był prawnie obranym królem i miał za sobą poważnych ludzi wielu, z trudnością przeciwko Augustowi będzie się mógł utrzymać, gdyż garstka adherentów jego z Przebendowskimi i biskupem Dąbskim na czele była niezmiernie ruchawa i zuchwała, skrupulatnego poszanowania prawa znać nie chciała i szła przebojem... Conti tymczasem zwlekał i pieniędzy nie nadsyłał, gdy Sas zapożyczając się coraz nowych kupował przyjaciół, którzy od Francuza odstępowali.

Prymas był główną siłą, na którą rachowali Contiści, a o nim mówiąc stolnik tylko przez uszanowanie dla arcybiskupiej i kardynalskiej godności wstrzymywał się od sądu o charakterze prałata.

Katolik gorliwy, człowiek pobożny bardzo, Górski, który dzień każdy rozpoczynał od mszy świętej u Panny Marii, a kończył razem z czeladzią klęcząc i modląc się przed podróżnym swym ołtarzykiem, chociaż Contiego obierał, zaczynał się wahać sam, co miał czynić. Nie żeby uległ namowom lub się dał jak inni pozyskać, gdyż na to zbyt był sumienny, lecz znane mu postępowanie stolicy apostolskiej, jej życzenia, zachody nuncjusza Davi syna kościoła ostudzały dla Francuza.

Jawne było, z czym się duchowieństwo nie taiło, że Rzym koronę polską Sasowi dawał i do otrzymania jej dopomagał z pomocą ojców jezuitów, aby za tę cenę przywrócenie Saksonii zapewnić i dynastię Wettinów, którzy w rozprzestrzenieniu i utwierdzeniu protestantyzmu tak czynny niegdyś udział brali, kościołowi pozyskać.

Górski, wierny syn kościoła, chociaż August wcale mu sympatyczny nie był, przypuszczał już, że do jego obozu przejść będzie zmuszony. Milczał smutny. Z jednym tylko bardzo się często odzywał, to że fałszem i drogami podziemnymi nie przystało monarsze iść do korony, a na podstępnych i nieczystych zachodach co dzień łapał partię saską.

Witkę, jak mógł i umiał, oczyszczał swojego pana składając intrygi na ludzi, a rycerski charakter kurfirsta podnosząc, Ale im więcej go sławił, wedle swojego przekonania, tym Górski raniej w nim smakował.

— Zbytnek jest, zbytki lubi — mówił otwarcie — złotem się okrywa, klejnotami błyszczy, a nam tego nie potrzeba, ale powrotu do kozucha i wielkiej prostoty obyczajów. Mówią nam, że te elegancje i kunszty — ludzkości wzrost i ogładę oznaczają, ale ja widzę, że gdzie się one zagnieździły, tam stara cnota poszła precz. Co mi po przepychu, gdy poczciwości w nim nie ma, a dla połyску sprzedaje się sumienie?

O tych głosach Witke nie zawiadamiał Mazotina, wiedział bowiem, że stolnik sam prawie jeden stał przy tym przekonaniu. Nazywano je dziwactwem. Gdy Górski mówił, słuchano go z poszanowaniem jak kaznodziei, ale nikt tego nie brał do serca i szedł potem każdy dawniej obraną drogą...

Skłaniano głowę przed prawym i czystym starcem, a naśladować go nikt nie myślał.

Na miejscu wiele jeszcze przed koronacją do przełamania było. Naprzód, na zamek się dostać bez użycia przemocy mogli Sasi tylko z pomocą Wielopolskiego, a ten opierał się i kluczy odmawiał! Po wtóre, z ośmiu czy dziesięciu kluczy do skarbcza koronnego sześć było w rękach Contistów, a ci ich nie myśleli puścić. Łobzów zajmował Lubomirski... W Warszawie francuscy adherenci gospodarowali, prymas nie chciał znać Sasa.

Owe osiem tysięcy wojska, które stało w pogotowiu na granicy, wprawdzie przemagającą było siłą przeciwko garstce pułków koronnych, ale przelewać krew, nim się do stopni tronu dostało, wydawało się groźne. August przynajmniej na początek od kolizji się wzdragał. Za to i on, i jego partia na ścisłe poszanowanie prawa wcale zważać nie myśleli...

Po Krakowie już się rozchodziła wieść o tym, że żona kurfirsta, za którą mąż zaręczył, iż wraz z nim rzymskokatolickie przyjmie wyznanie, popierana przez matkę, nie myślała wcale się dać nawrócić ani synowi dozwolić, aby przeszedł w ręce katolickich nauczycieli.

— Stoi jak wół w paktach ten warunek — mówili Contiści z przekąsem — aby królowa wraz z mężem katoliczką się okazała...

Ze strony Sasów półgębkiem szeptano, że podpisany oryginał paktów tych gdzieś się zapodziało, zawieruszył i nigdzie go odszukać nie było podobna. Kopie tylko chodziły.

Nalegano na to z jednej, lekceważono to z drugiej strony.

Witkę spisywał, co słyszał. Mazotin nie odpowiadał mu na piśmie, nie dawał instrukcyj, kazał mu tylko oświadczyć przez swych wysłańców, że był z niego rad i pochwalał zręczne postępowanie.

Witkę, przybywszy tu pod pozorem stosunków handlowych, przekonał się i z tego, co mu Haller mówił, i z tego, na co patrzył, iż niewiele mógł przedsiębrać. Wszystko, czego miejscowi potrzebowali, dosyć było obficie, mógł tylko pan Zachariasz to wprowadzić z korzyścią do Polski, do czego Sasi byli nawykli, a znaleźć tu nie mogli. Takich zaś niemieckich towarów dla Niemców bardzo się liczyło niewiele.

Wedle zapewnienia Hallera, w Warszawie stał handel tak samo. Witkemu o handlowe sprawy nie chodziło, ale ich dla pokrywki istotnego celu potrzebował. Krzątał się więc.

Powoli robiły się znajomości, ale tym nie zwierając się pan Zachariasz korzystał, aby się z krajem obeznawać. Ponieważ nowoobрани król dopiero pierwszych dni września mógł stanąć pod Krakowem, gdyż wiele przyborów do uświetnienia koronacji potrzebnych z Wiednia ściągać musiał, pozostawało Witkemu dosyć czasu, aby do Warszawy przedsiębrać wycieczkę.

Haller, który dla miasta się podjął sukna szkarłatnego dostarczyć na wysłanie w Rynku szranków, wśród których Kraków nowemu panu wedle zwyczaju hołd miał składać, potrzebował jeszcze sporo postawów i zamierzał je ściągnąć od swoich współników z Warszawy, bo mu za nie we Wrocławiu zbyt drogo się domagano.

Sam on niemal rzucił tę myśl Witkemu, że go z sobą zabrać gotów do nowej stolicy, z której prędko powrócić mieli. Jednego więc dnia z pośpiechem wielkim, pożegnawszy pana stolnika, pozostającego w Krakowie, wyjechali oba i z pomocą znajomości, jakie miał Haller po drodze, prędejsz się dostali do Warszawy, niż obrachowywali.

Tu krakowski kupiec za swymi poszedł interesami, a Witkę, oswobodzony od wszelkiej kurateli i nadzoru, puścił się na miasto.

Po Dreźnie nowa stolica nie uczyniła na nim korzystnego wrażenia, znalazł ją małą, wielce zaniedbaną w porządku, zabrukana, a co gorzej, tak przez Contistów zajęta, że tu o Sasie odzywać się nie było można. Zaraz następnego dnia po przybyciu z rynku Starego Miasta, gdzie stanęli u kupca pokrewnego Hallerowi, Witkę rano powędrował oglądać zamek i przedniejsze ulice. Na tej pielgrzymce, w której z wielką swą pociechą doskonale się polskim językiem posługiwał, zeszedł czas niemal do południa i nazad ku krakowskiej bramie i zamkowi wróciwszy pan Zachariasz na jednym domu nie opodał zamku spostrzegł winne grono i wiechę zieloną. Pić mu się chciało. Szynczek niewiele obiecywał, ale napis miał francuski i nazwisko właściciela, cudzoziemca, oznajmywało: *Jean Ptenard, marchand des vins francais*.

Zaledwie próg przestąpił, owiała go wonią napojów przejęta, duszna izby atmosfera, nim okiem miał czas rzucić po izbie, usłyszał okrzyk podziwienia i swoje nazwisko.

Za stołem przy butelce siedział, o dziwo! pan Łukasz Przebor, ale go poznać było trudno, tak wypiękniał.

Naprzód nic w nim już nie pozostało z kleryka. wąsa pokręcał, a suknie miał popolitym krojem ówczesnym polskim, jak z igły, niesmacznie dobrane, ale jaskrawe i bijące w oczy.

Strój ten brzydszym go czynił, niż był nosząc strój dawny, ale z twarzy widać było, że albo on, albo szczęśliwe okoliczności Przeborowi dodały odwagi i swobody w obejściu się z ludźmi. Siedział w gromadzie szlachty dosyć krzykliwie rozprawiającej, której zdawał się przewodzić.

Zobaczywszy Witkego, nie zważając na towarzyszków porwał się żywo bardzo pan Łukasz i podbiegł ku niemu.

Sasowi to spotkanie wcale przyjemne nie było. Nie życzył sobie, aby go tu jako adherenta Augustowego palcami wytykano. Szczęściem Przebor się musiał tego domyślić i z krzywym uśmiechem a okazem radości wielkiej pozdrowił go jako Ślązaka.

Szlachta siedząca u stołu, której pan Łukasz coś szepnął, snadź już tu długo biesiadująca, bo lica miała pałające i próżnych flaszek dosyć przed nią stało, ruszyła się od stołu i rozchodzić zaczęła, Przebor został.

Witkę zajawszy miejsce u opróżnionego stolika kazał podać butelkę wina i dwie szklanki, bo wiedział, że Przebor, choć już nie spragniony, nie odmówi zaproszeniu.

Ciekawość nadzwyczaj podniecona z oczów mu tryskała.

— Na żywego Boga! — zawołał — co waćpan tu porabiasz? Prędeż bym się był dzisiaj spodziewał widzieć nie wiem kogo niżeli was!

Witke miał czas się namyślić nad odpowiedzią.

— Prosta rzecz — rzekł — kupiec jestem, mówiłem waćpanu, że tu handel założyć myślę, przybyłem się rozpatrzeć.

Przebor głęboko wlepił w niego oczy.

— No i cóż? — zapytał.

— Nic jeszcze nie wiem — obojętnie dosyć odparł Witkę. — Byłem w Krakowie, ale to bodaj umarłe miasto, które tylko może na krótką chwilę odżyje, a Warszawę lepiej poznać potrzebuję.

I dodał z umyślnym przekąsem.

— Czego macie dosyć — to błota.

Rozśmiał się pan Łukasz.

— W jesieni? Cóż to za dziw? — rzekł nieco urażony. — Zresztą, inna to rzecz miasto niemieckie, a polskie, my do fatalaszek ceny nie przywiązujemy.

Machnął ręką.

— Cóż u was słyhać? — ciągnął dalej. — Po mojej ucieczce czy pani Przebendowska wdziwała przynajmniej żałobę?

Rozśmiał się bardzo głośno, aż się po izbie rozległo.

— Co się mnie tyczy — dodał — jak widzicie, sutannę wyrzuciłem za płot i powróciłem do swobody, szabelkę, jak przystało, przypasawszy.

Pokręcił niezbyt wyrosłego wąsika.

— No i ze złości na Przebendowskich — rzekł — przerzuciłem się do Contistów, którym służę...

Rzucił okiem na Witkego, ale ten ani podziwienia, ani żalu nie okazując szepnął tylko:

— A jakże się powodzi?

— Mam najlepsze nadzieje... poznałem już wiele osób, obiecują mi dosyć, nasz Conti nie tak bezpieczny jest, jak się może wydaje, i tylko co go nie widać w Gdańsku, gdzie z ogromną flotą i znaczną ma wylądować siłą, a tam też już niemałe na niego poczty oczekują... Mamy z sobą prymasa, a ten jeden za dziesięć regimentów zaważy...

Rzekłszy to poczekał trochę Przebor, azali się jakiej odpowiedzi nie doczeka, ale Witkę mu nalał szklanek opróżnioną i ramionami tylko poruszył.

Po krótkim milczeniu dopiero Sas się odezwał:

— Jak to dobrze, że cię spotkałem i informacji zasięgnąłem, okazuje się bowiem, że ja tu nie będę miał co robić i nie potrzebuję wina sprzedawać, gdy Francuzi zawczasu już swoich mają.

I ręką pokazał na izbę, w której się znajdowali.

— A tak! — rozśmiał się Przebor — gospodarzem tu Renard jest... i bodaj nie od dzisiaj. Nie wiem, ojciec jego czy dziad za królowej Marii Ludwiki tu się osiedlił. Handel mu idzie dobrze, człowiek stateczny... jejmość jeszcze wcale przystojna, a była bardzo piękna. Córeczka zaś... — Mówiąc to potrzącił łokciem Witkego i wskazał na drzwi.

Stała w nich właśnie ta, o której mówił.

Było to dziecię jeszcze, ale tak przedziwnej piękności i wielkiego wdzięku, tak zachwycające, że od niego oczu oderwać nie było można. Wszyscy goście, gdy się ukazała mała Henrietka, obrócili się ku niej patrząc jak w obraz cudowny...

Dziewczyna śmiała, bo od dzieciństwa do obcych nawykła, z zalotnością nad wiek swój uśmiechała się swoim wielbicielom. Widać z niej było, że rodzice kochać ją i pieścić musieli, bo z niezmierną elegancją ustrojona, miała nawet od rana klejnociki na sobie i pyszniła się nimi i sobą.

Tak pięknego dziecka, gdyż Henrietka więcej nad lat dziesiątek nie liczyła, trudno było znaleźć nie tylko w pospolitej winiarni, ale i po pańskich pałacach. Witkę, który dzieci lubił, a i pięknymi twarzyczkami w ogóle nie pogardzał, patrzył widocznie zachwycony...

Dziewczę z włosami ciemnymi, w puklach puszczonej na ramiona, w różowej z białym sukience krótkiej, w bucikach na czerwonych korkach, ze swą twarzyczką ślicznego owalu i rysów delikatnych było jakby do malowania!

Przebor, znajomy już, uśmiechnął się jej oczarowany.

— A co to będzie, gdy ten cudowny kwiatek rozwinie się całkiem, toć pański kasek, ale w takiej winiarni, gdzie wszelkiej młodzieży zawsze bywa pełno...

Westchnął i nie dokończył.

Wyszła w tej chwili, wystrojona również, matka Henrietki, niemal tak piękna jak ona, ale już drugiej młodości jejmość, zażywna i otyła, i pochyliła się ku dziecięciu, i nieco opierające się odebrała ciekawym oczom, uprowadzając z sobą.

Pan Łukasz, który już wprzód był podochocony, a tęgim winem Witkego bardziej jeszcze sobie głowę zawrócił, pochylił się przez stół do kupca i gwarzyć począł, co mu ślina do ust przyniosła.

— Ja tak dobrze jak na służbie jestem u prymasa — mówił otwarcie — skorzystałem z tego, że przy tej Przebendowskiej wisiał. W wielu rzeczach mogłem ich objaśnić, a co mnie wasz Sas obchodzi? Zobaczmy, jak się rzeczy obróca, juści to nie może być, ażeby Francuzi mniej od jednego kurfirsta saskiego mieli pieniędzy, ale jakoś dotąd ich nie widać, a saskie talary kursują gęsto. Prymas się skarży, że mu one ludzi co dzień odciągają. Che, che! ja bym i za niego samego nie ręczył.

Witkę się uśmiechnął.

— Tak sądzicie? — zapytał na pozór obojętnie.

— Kardynał sam — rzekł Łukasz — pewnie by się sprzedać sromął i za mało go kupić nie można; ale około niego bab dosyć.

— Jak to bab? około arcybiskupa? — zagadnął Witke ciekawie.

— Nie myślcie złego nic — odparł Przebor — uchwaj Boże, ale siostrzenicę ma bardzo ulubioną, Towiańską, a ta klejnoty lubi, a bliska też krewna księżna Lubomirska. — Pokręcił głową, popił i ciągnął dalej: — Prymas ma słabość do Towiańskich.

Ani się spostrzegł pan Łukasz, gdy się, nie bardzo nawet za język ciągnięty, wypowiedział ze wszystkiego. Z kolei począł badać też kupca, ale ten mówił tylko, co chciał i co mówić było potrzeba. Wygadał się niby nieumyślnie, że na koronacie całe beczki złota wiozł Flemming dla opłaty wojska, całe skrzynie klejnotów na podarki dla przyjaciół.

Przebor głową poruszał znacząco.

Na ostatek dowiedział się kupiec od niego, iż Radziejowski list miał wystosować do saskiego elekta, w pięknych i łagodnych wyrazach uprzedzający go, aby spokoju Rzeczypospolitej nie zakłócał rozdzieleniem, gdy wybór jego nieprawny w żaden sposób utrzymać się nie mógł.

O tym też wiedział pan Łukasz, iż jeśliby w Krakowie zebrał się sejm koronacyjny, prymas zwoła drugi do Warszawy i ogłosi rokosz.

Długo tak wysiedziawszy Witke gdy się nareszcie ruszył żegnając z Łukaszem, nie mógł się go pozbyć, bo mu aż do gospody towarzyszył.

Rozdział piąty.

Dnia dziesiątego września dziwy już sobie rozpowiadano po Krakowie o tym niesłychanym przepychu, z jakim August do spalonego dobrowolnie przez Lubomirskiego Łobzowa nadciągnął.

Ze stolicy sznurem ludzie płynęli tam i na powrót ku murom pałacyku, aby się cudom, o jakich głoszone, przypatrzeć.

W istocie August nie żałował na wystawę, którą by mógł Polakom dać jak największe o bogactwach swych wyobrażenie. Okazałości te były albo na wiarę przez kupców wiedeńskich dane kurfirstowi lub niesłychanym uciskiem jego poddanych saskich zebrane. Przewrót zupełny spowodował ten wybór kurfirsta, szczególnie w licznych urzędnikach kraju, którzy wszyscy na raz zdegradowani zostali, a kto się opłacić nie miał czym, aby utrzymać na stanowisku, musiał je

zamożniejszemu ustąpić. Oprócz tego ustanowiono akcyzę, narzucono na szlachtę Kontrybucję i biedna Saksonia przeklinała zawczasu Polskę.

Ale potrzeba było widzieć za to, jak August po królewsku się rozpościerał w Łobzowie. Samych złoconych i srebrzonych kolebek pańskich sto dwadzieścia pięć liczono, koni przeszło kilkaset, a niektóre z nich niesłychanego bogactwa dźwigały na sobie dywdyki i czapraki. Paziów, lokajów, hajduków w barwie nowej, szamerowanych galonami, nie można było policzyć. Trabanci, szwajcarowie, gwardie, działa ogromnej wielkości, zapasy kul i prochu, czterdzieści wielbłądów objuczonych szkarłatem i złotem towarzyszyły naśladowcy Ludwika Czternastego.

Szeptano, że jedna laska marszałkowska, która przed królem niesioną być miała, cała brylantami wysadzana, na tysiąc dukatów szacowana była.

Widział już i pamiętał stary Kraków nie jeden raz wciągające tu orszaki pańskie, równie kosztowne i wspaniałe, ale na nie się cały kraj, szczególnie panowie i rycerstwo składało, teraz zaś zmniejszoną wielce liczbę pocztów pańskich sam jeden przepych kurfirsta miał zastąpić.

Na parę dni przedtem znajomy nasz, Witke, w którym kupca trudno się było już domyślić, przystrojony modą francuską, w peruce, kręcił się około zamku.

Zdawał się mieć tu dobrych znajomych i stosunki. Przybywającego wieczorem oczekiwał poważny, podżyły urzędnik dworu dowódcy zamku i z poszanowaniem wprowadził go przez puste korytarze do komnat, które sama pani zajmowała.

Oczekiwano tu nań widocznie. Średnich lat, poważnie i pańsko wyglądająca matrona, strojna wytwornie, klejnotami okryta, przyjęła przybywającego, którego wpuścił tylko przewodnik, i nie bez pewnego zakłopotania miejsce mu przy stole wskazała.

Witke, jak gdyby w życiu nigdy nic innego nie robił, z wielką zręcznością wywiązał się z jakiegoś poselstwa i po krótkim przemówieniu dobył spod sukni pudełko przyniesione z sobą. Otworzył je podsuwając przed oczy pani, która, choć zarumieniona, z wielką troskliwością przyglądać mu się zaczęła. Rumieniec oblewał jej twarz, ręce drżały, wzrok obiegał po pustej komnacie, jak gdyby lękała się być pochwyconą na tej schadzce, której tajemniczy cel zdawały się odsłaniać w mroku ogniem strzelające brylanty. Brała je, przyglądała się i rzucała, przysuwała i odtrącała leżące na stole klejnoty, zdawała się walczyć z pokusą. Witke w milczeniu czekał z poszanowaniem na jakąś stanowczą

odpowieź. Po kilkakroć zadrżały wargi, jak gdyby mówić chciała, i zamknęły się, bo przyspieszony oddech odezwać się nie dawał.

Kamienie były wysokiej ceny, a poważna pani może po raz pierwszy w życiu była wystawiona na to pokuszenie.

Witke przypatrywał się jej tak zimny i na pozór obojętny, jak gdyby w tych frymarkach, do których w istocie nie był wcale nawykły, miał już wprawę i nawyknienie.

Myślała jeszcze namyślając się poważna pani, gdy kupiec rzekł półgłosem:

— Bądź co bądź objęcie zamku w jakikolwiek sposób przyjdzie do skutku. Książdz biskup Dąbski, pan wojewoda Jabłonowski, marszałek Lubomirski upewnili o tym elektora; spokojnym więc umysłem możesz pani przyjąć ten podarek.

Usta słuchającej z przyciskiem powtórzyły ten wyraz.

Witke z lekka podsunął klejnoty, ujął kapelusz w ręce i jakby mu pilno było dokończyć, skłonił się na pożegnanie.

Zakłopotana pani powstała, chciała coś mówić i opadła na krzesło.

Witkę na palcach, cicho, opuścił zamkową komnatę, uśmieszek zwycięski błędził po ustach jego.

Dnia dwunastego września, pomimo iż słońce nie bardzo chciało przyświecać uroczystości, od rana napływały już tłumy do miasta, a kto się tu wcisnąć nie mógł, obawiał lub nie chciał, stawał na drodze z Łobzowa wiodącej, którą pochód Augusta miał się odbywać.

Starcom przypominały się dawne czasy i opowiadania ojców i dziadów o tych świetnych wjazdach, zaślubinach, obchodach, których Kraków był świadkiem.

Przepych i na ten dzień się obiecywał zdumiewający, olśniewający, królewski, lecz wielce on różnił się od tego, jaki niegdyś świadczył o kraju bogactwach i przywiązaniu jego do swych panów.

Nader mała liczba magnatów występowała towarzysząc wybranemu panu, wszystko, co tu błyszczeć dziś miało, było saskie i należało do kurfirsta. Owe poczty wojewodów, biskupów, kasztelanów, wysokich urzędników dworu i Rzeczypospolitej, które się nieraz po kilkaset koni liczyły, wcale się nie

obiecowały. Za to orszak własny przyszłego króla miał być niezmiernie liczny i nad Wyraz wspaniały i smakowny. Ci, którym się udało wcisnąć na podwórze łobzowskie i oglądać tam poodślaniane powozy od złota i aksamitów, konie postrojone w opony herbami okryte, ludzi w najrozmaitszych barwach, cudzoziemską modą poprzybieranych, wielbłądy z jukami w kobierce wschodnie powiązanymi, unosili się nad zamożnością i szczodrobliwością Augusta.

Mówiono sobie, że miliony już rozsypał, aby elekcję swą utwierdzić, a drugie tyle ich wiozł z sobą, aby między wiernych adherentów rozdzielić.

Uspodobienie tłumów, które niewidzialni Augusta posługiwacze zagrzewali, całe się ku niemu zwracało. Sławiono jego męstwo, siłę i zręczność, rozum a razem uprzejmość i łagodność. Unosili się ci, co go już widzieli, nad pięknnością postaci, porównywając z kolei do Apollina, Herkulesa, Samsona i Marsa. Ciekawość kobiet szczególnie była do najwyższego stopnia podsycona.

W rynku Krakowa panowie radni już na pewno wiedzieli, że bramy zamku, których Wielopolski jeszcze przed kilku dniami otwierać nie chciał, miały stanąć bez przeszkody na oścież wjeżdżającemu. Uwijano się w zamku z przygotowaniem opuszczonych dawno i zaniedbanych komnat, widziano wozy niemieckie, wczoraj wieczorem już tu nadciągające i wpuszczone.

Mieszczanstwo, też zawczasu przybrane, występowało całe z cechami, znakami, godłami, uzbrojeniem i chorągwiami i wjazdowi miało przyczynić jeśli nie okazałości, to powagi i liczby uczestników

Szły tedy na przedzie, gdy z Łobzowa sygnał dano, cechowe chorągwie, każda ze starszyzną i insygniami swymi, zbrojne i strojne; za nimi polskie gwardie i wojsko załogę miejską stanowiące, po nich dwa piękne regimenty dragonów, a za nimi w ślad dwudziestu czterech paziów saskich, z cudzoziemska postrojonych.

Dwadzieścia i cztery konie ręczne Augusta, we fiokach i czubach, wszystkie były jednakowo okryte czaprakami z karmazynowego aksamitu, bogato srebrem szytymi w herby saskie i Wettinów, w cyfry króla. Czterdzieści mułów po nich miało na sobie, saskiej barwy, żółte nakrycia. Poprzedzały one dwadzieścia i dwie karety, tak uporządkowane, iż coraz wspanialsze i bogatsze następowały jedno po drugim do końca. Ale własny powóz Augusta zaćmiewał je wszystkie. Dwanaście koni perłowej maści, nadzwyczajnej piękności, tak dobrane doskonale, jakby je jedna matka rodziła, ciągnęło kolebkę wyłacaną, około której pieszo szło dwunastu trabantów w żółtej barwie krojem szwajcarskim.

W szeregu powozów ciągnęły kolebki paradne cesarskiego posła i własna jego karetka.

Konie ręczne, które przodem prowadzili masztalerze, uderzały piękną i doborem, lecz niczym one były obok czterech wierzchowców osiodłanych, które wiedziono za karetami. Całe rzędy na nich, siodła, czuby, napierśniki świeciły drogimi kamieniami i złotem. Za tymi szła muzyka z trębaczów i bębnów złożona. Pałki nawet, którymi w kotły bito, srebrem połyskiwały. Zapowiadała ona dwa oddziały wojsk saskich, którym dowodził konno minister hrabia Eck. Cudzoziemski autorament, umundurowanie i uzbrojenie w Polsce już nowością nie było, ale król August swoje pułki na okaz wyprowadzając ze szczególną je i uderzającą wyszyftował elegancją.

Gościnność wymagała, aby Sasów przodem puszczono, a pułki pancerne za nimi kroczące wcale się porównania nie obawiały.

Na każdego z panów towarzyszyów składających je warto popatrzeć było z osobna, bo choć wszyscy oni mniej więcej w jeden sposób strojni byli i zbrojni, każdy się starał fantazją i wytwornością zbroi, lamparcich skór, skrzydeł, kopii złożonych, siodła i rzędów prześcignąć drugich, każdy czymś się szczególnym odznaczał.

Niektórzy prości towarzysze szeregowi tysiące na sobie dźwigali, a z twarzy i postawy do dowódców raczej niż żołnierzy podobni. Największe imiona i najlepsza krew Rzeczypospolitej szła dumnie w tych szeregach.

Z nimi i za nimi, po większej części konno, jechali senatorowie, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy wyżsi, każdy z sobą mniejszy lub większy prowadząc poczet. Dąbski, biskup kujawski, ten którego dziełem była, można powiedzieć, elekcja, jechał z biskupem sandomierskim poprzedzając marszałka wielkiego koronnego Lubomirskiego, który niósł w rękę ową laskę marszałkowską, całą wysadzaną brylantami, już zawczasu ogłoszoną jako klejnot drogocenny, kosztem króla przygotowany.

W ślad za Lubomirskim jechał elekt i na niego się oczy wszystkich zwracały badając w nim przyszłość, której on był tu przedstawicielem.

August na ten dzień, za poradą biskupa, dla pozyskania sobie serc przebrał się po polsku. Pod nim koń szedł śnieżnej białości, krwi wielkiej, którego silna dłoń króla gorącość z łatwością poskramiała.

W całym blasku młodzieńczej jeszcze piękności był saski kurfirst. Okrywała go suknia ze złotogłowiu, podbita gronostajami, na żupan niebieski narzucona,

który świecił guzami ogromnymi, brylantowymi. Nimi też wysadzone i obszyte były: kapelusz, szabla, pas, siodło, wędzidła i rząd konia, na którym diamenty na przemian z rubinami wielkimi połyskiwały. Nad nim baldachim ze szkarłatnego aksamitu niosło sześciu radców miasta, a straż dokoła stanowili trabanci w żółtych szwajcarskich barwach.

Za królem jechał biskup Paszewski i liczne duchowieństwo polskie, kapituła, kanonicy prałaci, dalej urzędnicy dworu kurfirsta, nieodstępny Pflug, generał hrabia Trautmansdorf, koniuszy wielki von Thielau, pułkownik trabantów i królewska gwardia przyboczna, królewscy kirasjerowie itp.

Piechota saska, z obu stron drogi ustawiona, straż trzymała aż do zamku. Nie pozostawiono objuczonych wielbłądów w Łobzowie, bo ich juki tajemnicze miały zawierać owe bajeczne skarby, które August rozsypywać w Polsce obiecywał.

Wszystko to razem wzięte, choć starano się, aby miejsca zajmowało wiele i długim się przewlekało ogonem, mogło przepychem olśnić, lecz dla tych, co stare czasy pamiętali, uderzało skąpym udziałem kraju, nieobecnością wielu rodzin i wielu głównych dostojników. Ci, którzy dotąd oblicza króla nie oglądali, wpatrzyli się w nie, z niego chcąc rokować przyszłość.

Mogła ona wydać się im promienistą, bo dzień ten był dniem triumfu dla Augusta, a twarz jego posłuszna zachowała wiarę w siebie spokojną, poważną, majestatyczną. Łagodny uśmiech, jakby dobroci pełen, nie schodził z ust i serca przyciągał...

Pamiętało wielu wspaniałą postać Sobieskiego i mimo woli narzuciło się porównanie. August, młodszy, nie miał na sobie majestatu bohatera spod Wiednia, ale elegancją i wdziękiem zalotnym go prześcignął... Czarujący ten uśmiech łagodny, który w nim ujmował, nikomu się nie wydał tym, czym był w istocie, wdzianą ozdobą dnia tego, ponętą, pod którą serca szukać było próżno. W prostocie swej zawsze skłonni do przyjmowania z dobrą wiarą, co do ich serca przemawiało, Polacy szeptali: — Dobry będzie... szcudrośliwy jest... łagodność mu patrzy z oczów, a przy sile wielkiej cóż nad to pożądańszym być może?

Radowali się więc wszyscy...

W rynku stał z garstką Wielkopolanów wcale się niczym nie odznaczający stolnik Górski. I on przybył tu, aby sobie coś wywróżyć z aspektu elekta, jak się wyrażał... Wybrano mu miejsce takie, aby wygodnie i swobodnie mógł się przypatrzeć Augustowi. Wlepił też w niego oczy z całą siłą, iż na siebie zwrócił

królewskie wejrzenie. Uderzyć musiał przejeżdżającego elekta wzrok ten, śmiało i uparcie wciskający się mu jakby do głębin jego duszy...

Górski, odepchnięty zaostrzonym wejrzeniem Augusta, nie cofnął się przed nim. Walczyły z sobą dwa te badające się wzroki i gniewne oczy króla z pewną niecierpliwością w stronę się odwróciły...

„Oszust i komediant jest!” — ozwało się w duszy stolnika, który myśl tę, narzucającą mu się, odepchnął... Niepostrzeżenie, jakby zgrzeszył tym, uderzył się w piersi i szepnął: „Przebacz mi, Panie! Grzesznie może potępiam to, czego nie znam... *Parce domine.*”

— A co, panie stolniku? — odezwał się głos z boku towarzyszącego mu Morawskiego.

Ze smutnym twarzy wyrazem obrócił się ku niemu Górski. Morawski domagać się zdawał wyroku na tego króla, którego po raz pierwszy oglądał.

— A cóż, panie stolniku, król? — powtórzył Dzierżykraj-Morawski.

— A waćpanu, panie starosto, jak się zda? — odparł pytaniem odbijając pytanie Górski.

— Piękny, choć go malować! — zawołał starosta.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, Górski zadumał się i z koniem przybliżył ku Morawskiemu.

— Uczyli was ojcowie jezuici w szkołach historii zwierząt? — zapytał po namyśle.

Morawski się rozśmiał.

— Mało co — rzekł.

— No, to życie waćpanu dało tę obserwację — rzekł stolnik zimno — że najsroźszy a najniebezpieczniejszy zwierz stroi się w najpiękniejszą sukienkę. Nie ma wdzięczniejszych barw tęcza nad skórę żmii i węża, mieni się i złoci kameleon, piękny jest tygrys i lampart...

Morawski słuchał zdziwiony.

— Więc? — wtrącił.

— Ja żadnych wniosków z tego nie ciągnę — zakończył Górski. — Nie wiem, skąd mi to na myśl przyszło, może od tych skór lamparcich, które nasi pancerni mieli na barkach...

Morawski nie pytał więcej.

— Chcesz, panie starosto, na bigos do mnie? — wtrącił, z koniem się w tył cofając, stolnik — bardzo proszę. Na zamku wprawdzie pulpety nas czekają, ale ja tam nie pojedę...

— Ja zaś nie dla pulpetów, uchowaj Boże — rozśmiał się starosta — lecz żeby bliżej poznać naszego pana przyszłego, na zamek muszę.

— A jakże się z nim rozmówisz? — spytał z przekąsem Górski — po polsku zasię nie umie słowa, po łacinie, jakom słyszał, niewiele zna, a waszmość z niemiecką i francuską mową jak stoisz?

— Na bakier — rozśmiał się Morawski — co nie przeszkadza, abym z dala choć mu się nie chciał przypatrzeć.

Górski skłonił się i odjechał ku kamienicy Hallerowskiej.

W bramie jej stał Witkę chciwie pochwytyjąc słowa i wyrazy twarzy; on sam wesoło był usposobiony.

Pobyt dłuższy w Krakowie już mu całkiem usta rozwiązał, rozumiał i mówił jaką taką polszczyzną, opowiadając się Ślązakiem...

Z wielką rewerencją powitał stolnika, bo nauczył się go szanować widząc, jaki ma mir u ludzi.

— A cóż? — zapytał przystępując do niego. — Spodziewam się, że kurfirst wstydu sobie ani koronie tej nie uczynił?

— Gdyby ludzi więcej było, choćby kamieni drogich mniej, wolałbym może — rzekł z przekąsem Górski i poszedł do mieszkania swego.

Witkę poruszył ramionami.

Pierwszy raz przez czas dłuższy przebywając między obcymi kupiec czuł coraz dobitniej, jak odmiennej natury istnieć mogą ludzkie społeczeństwa, jak różnymi one pojęciami rządzą się i żywią. Człowiek uczciwy w sprawach

powszednich, aż do drobnostek pilnujący rzetelności słowa, tu w Polsce nieustannie się ocierał o niepojęte dowody lekkomyślności w tych samych ludziach, którzy do rzeczy dla Witkego obojętnych nadzwyczaj wielką przywiązywali wagę.

Trudno mu było ich zrozumieć.

Spotykał tolerancję największą połączoną z najgorętszą pobożnością, rzucanie bezrozumne groszem obok oszczędności spartańskiej, a na ostatek, w małych i nieznaczących ludziach, którzy sił żadnych i wpływu nie mieli, takie przejęcie gorące sprawami ogólnymi Rzeczypospolitej, jakiego gdzie indziej w największych nie spotykał sferach. Sprzeczności te, które chwilami w osłupienie wprawiały kupca, znajdował na każdym kroku. Natrafiał na ludzi przekupić się dających, nie czyniących z tego tajemnicy, ale ciż sami ludzie poza pewną granicą, którą sobie zakreślili, stawali się niezłomni i niczym się ugłaskać nie dawali.

Witkę musiał się tu uczyć nowego człowieka, jakiego w Niemczech nie znał, wiedział już z krótkiego doświadczenia, że ówczesna Polska rozpadła się na dwa wielkie obozy. Gdzie tylko cywilizacja zachodnia z ogładą i pogardą obyczaju starego się wcisnęła, tam moralność była zachwiana i nadwerężona; gdzie surowe, stare panowało prawo, ludzie z żelaznym stoicyzmem opierali się zepsuciu... Na ostatek i to musiał sobie zapisać pan Zachariasz, iż pozorne nieokrzesanie, szorstka skorupa tych, których on miał za barbarzyńców, okrywała sobą nie ciemnotę i nieświadomość, ale zupełnie inną, różną jakąś, o własnych siłach wypracowaną cywilizację, od zachodnich odmienną.

W krótkim przez kraj przejeździe z Hallerem zdumiewał się Witkę w grube i brudne siermięgi poubieranym chłopom, którzy w najtrudniejszych razach umieli sobie radzić ręką i głową tam, gdzie on, wykształcony, stawał się bezsilny.

Tacy ludzie jak stolnik Górski, dawnego autoramentu mąż, znajdowali się dosyć gęsto rozsiani, choć nie wszyscy równe jemu przymioty umysłu okazywali. Obok nich Witke liczył i widział tych, których kurfirst łatwo unieść mógł i pociągnąć z sobą.

Ale i ci nawet, w razach gdy szło o prawo stare, o obyczaj, który złamać było potrzeba, raczej obejść je niż zniweczyć byli gotowi. To poszanowanie zakonu przy nieustannym wymijaniu jego skutków zdumiewało Niemca i należało do najciekawszych właściwości polskiego narodu.

W interesach elekcji, która prawomocną nazwać się nie mogła, nikt tu ani pomyślał, aby siłą skruszyć i pominąć odwieczne przywileje. Starano się wytłumaczyć, przekręcić zakon, nie śmiejąc go wyrzucić. Na chwilę tylko usuwano się spod jego skutków, ale odwieczny mur nie tknięty pozostawiano przyszłym wiekom...

Wieczorem tegoż dnia na zamku już nasz kupiec zszedł się ze zmęczonym wielce Mazotinem, Hoffmanem i Spieglem, kamerdynerami królewskimi.

Wszyscy oni zobaczywszy przybywającego kupca uradowali się niezmiernie, wiedzieli, że on tu już mieszkał dłużej, obiegli go więc pytaniami.

Mało i tylko powierzchownie poznawszy Polaków ci ichmoście znajdowali ich tak łatwymi, uprzejmymi, uginającymi się, że sobie i królowi najpiękniejszą wróżyli przyszłość sądząc, że im się uda przeprowadzić, co tylko zechcą.

Mazotin szczególnie zuchwale patrzył na przyszłość.

— Straszono nas niepotrzebnie — mówił śmiejąc się. — Nikt tu opierać się nie myśli, ludzie lgną do nas, nawet z przeciwnego obozu francuskiego co dzień się ktoś do naszego przerzuca. Niechże bliżej naszego pana poznają i skosztują, dopiero w nim zasmakują.

Hoffman z uśmiechem sarkastycznym szepnął bardzo cicho:

— Ale im Kónigsteinu i Pleisseftburga nie; pokazujcie, bo tego oni nie lubią. Mazotin, który po ciężkim dniu odpoczywał w swojej komnacie na zamku, dla towarzyszków i gości zastawił i wina, które królewskiego stołu były godne, bo też od niego zostały przyniesione. Tym bezpieczniej mogła sobie służba pozwolić, bo August też — odprawivszy gości ceremonialnych: nuncjusza, duchownych i wyższych urzędników — w ciasniejszym kółku rozpoczął zwykłe wieczorne libacje, często się dopiero kończące nad rankiem.

Flemming, Pflug i inni przyboczni dotrzymywali mu placu. Ale dnia tego nie można było biesiadowania przeciągnąć zbyt długo, bo następny miał zająć uroczysty pogrzeb poprzednika, wedle prastarego zwyczaju.

Ponieważ zwłok Sobieskiego rodzina i Contiści wydać nie chcieli i strzegli ich w Warszawie, sądzono, że nawet cały obrzęd koronacyjny rozbije się o to, iż ceremonii pogrzebowej dopełnij nie będzie można.

Zakłopotanie było wielkie, bo starego obyczaju zaniedbać i pominąć nikt się nie ważył doradzać.

Sam nowoobрани król podszeptną księdzu Dąbskiemu, że ściśle biorąc, zwłok króla nieboszczyka nie było potrzeba. Lud i tłumy nie wiedziały, gdzie się one znajdowały, dla innych starczyła próżna trumna i egzekwie wedle tej formy, której ceremoniał wymagał.

Myśl tę pochwycono. Wszystko więc na ten dzień przygotowane kłamstwem było i udaniem. Chować miano trumnę pustą, kruszyć insygnia naśladowane, niszczyć pieczęci udane. Ale prawu i zwyczajowi zadosyć się stało. Nikt przeciwko temu nie protestował, August śmiał się i poruszał ramionami szepcząc do ucha Flemmingowi:

— Słuchaj, Henrysiu, i z tego bierz miarę, jak tu postępować potrzeba. Pozory musimy we wszystkim poszanować i zachować, w tym grunt. Byle one okrywały to, co się robić będzie, przejdzie wszystko.

Był też najlepszej myśli elekt, a przed Polakami z przesadzoną troskliwością dowodził najskrupulatniejszego poszanowania prawa.

Mówił o nim ciągle i skłaniał głowę pokornie. Jeden może biskup Dąbski wiedział, że ten popis z legalnością był jednym ze środków pozyskania zaufania w narodzie.

Trzynastego września stało już w katedrze na Wawelu wspaniale wzniesione i przyozdobione *Castrum doloris*, ze szkarłatną, złotymi ozdobami przystrojoną trumną, a w tłumie, który kościół zapełniał, bardzo wielu miało to przekonanie, że istotnie zwłoki Sobieskiego grzebano.

Kruszenie chorągwi, kopii, miecza rycerza, który wjeżdżał konno, aby paść u katafalku... wszystko dnia tego widziano, jakby na prastarych pogrzebach królów. Nikt przeciwko tej komedii, tak dobrze odegranej, nie protestował.

Wieczorem, po wielkim przyjęciu na zamku i ucztach, August z przyjaciółmi pił znowu i po cichu szydził z pogrzebu, który się tak udał doskonale.

W sobotę potem jechał król uroczyście na Skałkę, wedle obyczaju, za morderstwo Świętego Stanisława przez poprzednika swego, odbywając rodzaj pokuty.

Nie potrzebujemy mówić, że skupienie ducha i pobożność, z jaką całował podane relikwie męczennika, powszechnie były ocenione i wynoszone.

Duchowieństwo gniewało się na tych, którzy posądzali Sasa o religijną obojętność, i cieszyło się jego nawróceniem.

Biskup Dąbski bardzo zręcznie dowodził:

— Chociażby dla korony wiarę zmienił, różnymi drogami Bóg do siebie prowadzi. Serce się jego poruszyło, łaska zstąpiła, zwycięży wiara i będzie gorliwym katolikiem.

A ojciec Vota szeptał: *Utinam.*

W niedzielę na ostatek dopełnić się miała z niecierpliwością wyczekiwana koronacja.

Nie wszyscy wiedzieli, jakim sposobem bez kluczków do skarbcza koronnego i nie wyłamując drzwi, nie gwałcąc zamków kurfirst przyszedł do opanowania korony Chrobrego, insygniów starych, bez których obrzęd za ważny nie mógł uchodzić.

Król był za tym, ażeby fikcję pogrzebem rozpoczętą prowadzić dalej, korony, miecza-Szczerbca, jabłka i berła kazawszy wykonać naśladowanie. Sprzeciwił się temu nawet Dąbski. Drzwi łamać nikt nie doradzał, mowy być o tym nie mogło.

Szepnął ktoś, myśl ta może atolowi przynależała znowu, że nie naruszając kutyh żelazem podwoi łatwo było mur przebić i wyłomem do skarbcza się dostać.

Fortel ten rozbójnicki nie wszystkim przypadął do smaku, zakrzyczano zrazu, protestowano, ale nie było innego środka, a koronacja insygniami nowymi nie starczyła.

Musiano więc nocą, po cichu, wypiłować otwór, weszli nim do skarbcza wysłani urzędnicy i wynieśli drogie pamiątki, po czym straż postawiono, nimby na powrót ściana została zamurowana.

Tak składało się wszystko na to, aby z tej przyśpieszonej koronacji uczynić akt niesłychanego zuchwalstwa, urągającego się prawom.

Surowi z senatorów zaszedłszy raz dalej, niż chcieli, cofnąć się już nie mogli, ale na obliczach ich widać było, jak ich bolało, że się zaawanturowali nie przewidując, do czego ich wybór króla doprowadzi.

Contiści, których, nie mieszających się do niczego, dosyć było spektatorami, urągali się, śmieli się i oburzali, co wcale ani króla, ani najbliższych jego zwolenników nie hamowało.

August spodziewał się olśnić przepychem dnia tego, bo diamenty, które miał dźwigać na sobie, szacowano na milion talarów, sumę naówczas olbrzymią, choć dzisiaj się ona taką nie wydaje.

Sam strój był najdziwaczniejszą mieszaniną, jakby m teatralne deski wymyśloną, z rzymska niemiecko-polski. August chciał się koronować we zbroi i ufając olbrzymiej sile wdział bardzo ciężki kiras złożony, a na głowę kapelusz białymi piórami przystrojony. Płaszcz na zbroi był z niebieskiego aksamitu, szyty w kwiaty złote, podbity gronostajami. Dodawszy do tego starożytne sandały, miecz rzymski i inne drobniejsze przybory, składało się to na coś nie widzianego, dziwaczного, ale przez to samo obudzającego podziw i zachwycenie.

Stolnik Górski ujrawszy go wchodzącego w tym stroju przy odgłosie trąb i muzyki, krokiew wyuczonym, z postawą teatralną — złożył ręce i jęknął:

— Komediant! Daj Bóg, byśmy tragedii pod nim nie oglądali, dobrze nasze opłaciwszy miejsca.

Zbytecznie sobie zaufawszy król, pierwszy *omen* złowrogi niebaczością swą wywołał.

Znużenie, ciężar zbroi i ubranie nawet tak herkulesową siłą obdarzonego złamały.

Śpiewano przed wielkim ołtarzem *Kyrie elejson* i biskup Dąbski miał rozpocząć wyznanie wiary, które za nim August powinien był powtarzać, gdy się pochylił blednąc i omdlał.

Bliżej stojący nie dali mu paść, a natychmiast nadbiegająca służba pośpieszyła porozpinać zbroję i zdjąć ją z niego. Człowiekowi, który swoją siłą zwykł się chlubić, a uchodził za atletę, w obliczu tłumu, w tak uroczystej godzinie omdleć było ciosem niesłychanie bolesnym. August wstydem był dotknięty i zburzony, gdyż zresztą jak w nic nie wierzył, tak i do przepowiedni żadnej nie przywiązywał wagi, ale wśród pobożnych i bogobojnych Polaków omdlenie w chwili wyznania wiary miało znaczenie jakby groźby i przestrogi.

W duszy króla srom doznany wywołał gniew straszliwy, który w sobie pohamować musiał; całą nadzieją jego było, że w ścisłości tylko bliźsi to

chwilowe osłabienie dostrzec mogli... chociaż piorunem o nim rozeszła się wieść po kościele, za kościół do miasta.

Ale wkrótce potem, gdy na skronie namaszczone włożono koronę i zaczęło się wołanie *Vivat Rex!* coraz głośniejsze, a działa zagrzmiały na wałach towarzysząc uroczystym „Te Deum”, zapomniano o wrazeniu, a inni pogłosce nawet wierzyć nie chcieli.

August, który żadnemu bolesnemu i przykremu wrazeniu nigdy sobą długo panować nie dał, razem z lazurowym płaszczem, który na szkarłatny przemienił, i humor potrafił rozjaśnić.

Zamek przepelniły tłumy, chociaż inaczej one wcale wygadały niżeli przed wieki w równie uroczystych dniach namaszczenia i hołdu. Orszaków senatorów i magnatów brakło, połowa znaczniejsza ziem Korony i Litwy wcale tu reprezentowania nie była.

Ale ci, co tu przewodzili, nie zważali na to wcale, wiedzieli oni, jakiego znaczenia dla narodu pobożnego był obrzęd uroczysty, religijny, którym sam Bóg przez swych kapłanów brał udział. Był to jak ślub, któremu choć orszaku brakło, niemniej on wiązał przysięgą nowożeńców... Na to poszanowanie namaszczenia rachował i biskup Dąbski, i wielu adherentów Augusta, a w obozie przeciwnym wiadomość o spełnionej koronacji musiała przygnębiająco uczynić wrazenie.

Biegały jednak dowcipy o tej elekcji bez prymasa, pogrzebie bez zwłok, otwarciu skarbcza bez klucza i koronacji bez paktów konwentów, o których mówiono już po cichu, że zginęły!

Fortel to był, aby nowe układając postarać się o wyeliminowanie z nich niewygodnych punktów, a między innymi warunku tyczącego się królowej, która wolała korony się wyrzec niż wiary...

Ostatnim dniem dopełniającym uroczystości koronacyjnych był zwykły hołd miasta w rynku krakowskim. Król, który wiele rachował na powierzchowność, wystąpił znowu inaczej przebrany, we wspaniałym płaszczu niebieskim, złotem podbitym, w sukni srebrnolitej, obsianej diamentami, w czapce polskiej, z kitą brylantową, i buławą dziwaczną w ręku. Dla ludu pieczono woły i urządzono winotryski... August lubił jeść i karmić a pić.

Rozdział szósty.

W kamienicy Jabłonowskich siedział sam, sparty na rękę, w myślach zatopiony pan wojewoda wołyński, syn hetmana. Uciekł on od wrzawy zamkowej i zabawy królewskiej, która go nie bawiła... Młody, w sile wieku wojewoda na twarzy pięknej typu polskiego, rysów szlacheckich, wypiętnowane miał swe pochodzenie, krew pańską i wczesną dojrzałość, która lat nie czekała.

Z pańska przybrany pokój, w którym się znajdował, świadczył o ulubionych zatrudnieniach myślącego i pracowitego hetmańskiego syna. Dosyć duży stół cały był zarzucony księgami rozmaitych formatów i powierzchowności. Leżały na nim i w drewnianych, skórą świnia odzianych okładkach stare folianty, i piękne, z pozłocistymi brzegi francuskie wydania, i niepozorne, w niebieskiej bibule nowości domowe. Papier, inkaust, pióra stały w gotowości do pisania.

Wojewoda jednak ani czytał, ani pisał, odpoczywał i dumał, wydychać potrzebował cczą wesołość z zamku przywiezioną.

Pod pięknym, wyniosłym czołem chwilami ścigały mu się brwi i usta zaciskały od jakiejś wewnętrznej boleści. Ręka bezmyślnie chwyciła jedną z ksiąg leżących przed nim, oczy roztargnione zatrzymywały się krótko na rozwartych jej kartach i wojewoda precz odsuwał uchwyconą księgę. Niepokój i walka wewnętrzna tym widoczniej się w nim piętnowały, że sam będąc nie potrzebował lękać się, aby go podpatrzono.

Każdego bowiem zdziwić by było musiało to usposobienie Jabłonowskiego właśnie w tym momencie, gdy zdawało się, że spełnione fakta zaspokoić go były powinny.

Hetman i on, po surowej rozwadze, widząc, że Sobiescy się z własnej winy utrzymać nie będą mogli, że Conti nie w czas i słabo przez Francję zostanie poparty, przeszli na stronę kurfirsta i potężnie go swym wpływem poparli. Stało się, czego pragnęli, August został ukoronowany, okazywał się dla ojca i syna wdzięcznym, obiecywać sobie mogli wpływ i znaczenie za jego panowania.

Czegóż więcej mogli na teraz żądać? W rozdawnictwie losu nie byli pominięci, jeśli nie sami, to ci, których losem się zajmowali. Pomimo tego szczęśliwego składu okoliczności twarz wojewody wyrażała niepokój i smutek... Kto znał domowe sprawy Jabłonowskich, ten strapienia nie mógł im też przypisywać.

Wina więc troski spadała na rzeczy publiczne, chociaż te po myśli ich się zdawały. Samo tak wczesne usunięcie się od towarzystwa nowoukoronowanego króla, gdy ten właśnie odpoczywał i weselił się poufale z przyjaciół, miało niemałe znaczenie. Nikt jednak z najbliższych nawet wojewodzie wytłumaczyć sobie tego nie umiał. Parą razy zajrzawszy do bajek Ezopa Jabłonowski otworzył Boecjusza, którego najmniej zdawał się potrzebować, przeczytał jedną kartę i odsunął go. Sparł się na łokciu i zadumał.

Wtem drzwi z lekka się uchyliły i znana a miła wojewodzie twarz wypogodzona Dzieduszyckiego pokazała się w nich, a wchodzący gość nie śmiejąc zakłócić spoczynku wojewodzie zatrzymał się milczący, jakby czekał na pozwolenie do wnijścia. Wojewoda wstał i zbliżył się do progu podając mu rękę, a twarz usiłując rozjaśnić.

— Pozwolicie? — zapytał starosta.

— Proszę was — rzekł Jabłonowski — widzicie, nie przerwaliście mi nic oprócz smętnych myśli!

— Smętnych! wśród prawdziwego wesela? — odparł wchodząc z wolna Dzieduszycki i zabierając miejsce przy stole, u którego Jabłonowski też usiadł na swym krześle.

— Tak jest — rzekł wojewoda — smętnych wśród wesela, a może tym weselem właśnie wywołanych. Taka jest ludzka natura, że się w sprzeczności łatwo przerzuca.

— Nie sędzę — mówił dalej starosta — abyście mogli czymkolwiek smutek usprawiedliwić, ja się już tym nawet cieszę, żeśmy szczęśliwie przebrnęli te dni ciężkiej radości urzędowej, występów galowych, wiwatów, prezentacji, mów i procesji. Wszystko to czcze a nużące bez miary...

— A, tak jest, tak jest! — potwierdził wojewoda — lubować się w tym mogą tylko ludzie płosi, ale czego zwyczaj wymaga, co tradycje narzucają, spełnić się musi. Koronacja ze wszystkimi jej przynależnościami dokonana, ale teraz dopiero sejm następuje... orzech do zgryzienia twardy.

Oba zamilkli, Dzieduszycki potrząsnął głową.

— Najgorsza to — rzekł — że go trudno uczynić prawnym, bo nim nie jest, nie cała Rzeczpospolita będzie na nim reprezentowana.

— A kwestie przyjdą — dodał wojewoda — które i najpełniejszemu zgromadzeniu rozstrzygać by niełatwo było...

Po krótkim milczeniu Jabłonowski dodał:

— Wiecie, że oryginał paktów konwentów zaginął.

Ruszył ramionami Dzeduszycki, a wojewoda z pewnym przekąsem ciszej dokończył:

— Osobliwa to rzecz, że co zawadzać by mogło, w sam czas znika, a co pomagać ma, znajduje się najniespodziewaniej. Wielkie to szczęście króla, szczerze powiedziawszy, nie podoba mi się.

Trochę zdziwiony, spojrzął na mówiącego pan starosta. Parę razy w milczeniu zmierzył krokami niewielki pokój gospodarz i zawróciwszy stanął przed swym gościem.

— Tak, tak, wiele mi się rzeczy nie podoba i dlatego widzicie mnie smutnym. Przed wami zeznać to mogę — mówił dalej — sam nasz nowy regent, im go bliżej poznaję, tym mniej mi przypada do serca...

Dzeduszycki szeroko zdziwione otworzył oczy. Wojewoda westchnął.

— Gładki, miły, uprzejmy — ciągnął dalej wojewoda — ale zbyt łatwy, gdy o rozwiązanie takich węzłów idzie, które dla sumiennego człowieka bywają szkopułem i zaporą. Wszystko omija lub nadrabia, śmieje się ze wszystkiego. Rozumiem teraz, że mógł łatwo zmienić wiarę, bo do niej żadnej nie przywiązuje wagi. Mamże ufać temu, który Boga w sercu nie ma?

— Panie wojewodo — przerwał z boleścią Dzeduszycki — za późno to przychodzi! Niestety! klamka zapadła.

Nic nie odpowiedział Jabłonowski, jak gdyby nie uważał klamki za nieodwołanie zamkniętą. Potrzebował, uczyniwszy wyznanie szczerze a przykre, uniewinnić się z niego i począł o stół się oparłszy, a głowę spuściwszy:

— *Mea culpa!* Zawiódł mnie ten człowiek, bom go takim sądził, jakim się okazywał pierwotnie. Zdawał się otwarty, szczery do zbytku, dobroci pełny, tymczasem...

Starosta przerwał.

— Wątpicie?

— Wszystko fałsz! Komédie są wszystko! — kończył rozgrzewając się Jabłonowski — teraz, gdy mniej potrzebuje się kryć przed nami, co dzień straszniejszy mi się wydaje. To, co o nim z Saksonii dochodzi, przeraża. Gdyby nam pan był potrzebny do bankietowania i zabawy, z pewnością byśmy lepszego nad niego wybrać nie mogli, my zaś właśnie o silnego, surowego, ale sprawiedliwego Boga-śmy byli prosić powinni. Rzeczypospolitej gmach nie podpierać, ale zgoła przebudować by należało, nie obalając. Śmieciem i brudami stare nasze grzechy zarzucone oczyścić. Sądziłyśmy, iż weźmiemy człowieka, który to zadanie pojmie, a będzie miał siłę je rozwiązać. Tymczasem cała jego moc w dłoni, w głowie płochości i próżności, w sercu chłód i egoizm.

— Na Boga — wykrzyknął Dzieduszycki — nie patrzajcież na przyszłość z takim o niej zwątpieniem, a pozwólcie sobie powiedzieć, że jakeście się raz omylili na nim, tak i w sądzie bez miary surowym możecie być niesprawiedliwi.

Jabłonowski ręce złożone podniósł do góry.

— Obyście byli prorokiem, a ja kłamcą! — zawołał — ale niestety, niestety, lękam się, abym tym razem nie widział za jasno. Rozpatrzcie się w całym jego postępowaniu, wszystko jest fałszem, podrobieniem i obłudą.

— Nie wiem tylko — przerwał Dzieduszycki — czy wszystko to jogo jest winą. Widzicie go otoczonym doradcami, a w sprawach Rzeczypospolitej on nie tyle rozstrzygał, co Dąbski i Przebendowski. Złóżcie winy część na tych doradców.

— Macie słusność — rzekł wojewoda — lecz w takim razie przyzwolenie i przyswojenie sobie tych środków fałszu jest współnictwem w nim. Wiecie to, że kto pomaga do spełnienia przekupstwa, a nie opiera mu się, ten niewinnym nazwać się nie może.

Od elekcji począwszy, stąpamy na bezprawiach, Dąbski uzurpuje miejsce prymasa, garść wyborców mianuje się większością... my wszyscy rokoszanie jesteśmy... lecz pomińmy to. Na koronację kradniemy insygnia, na zamek dostajemy się przekupstwem, grzebiemy Sobieskiego, gdy zwłoki jego są w Warszawie, i tak dalej.

Z tego wszystkiego — gdybyście wiedzieli, jak się on wesoło śmieje! Cóż my po nim spodziewać się możemy... co go wiąże? Nasze ustawy i prawa łącno mu będzie obchodzić lub wywracać, a życie prywatne, zgroza!

— Młodość — odparł starosta.

— Namiętność, krewkość — mówił dalej Jabłonowski — wszystko to przyjmuję, ale nie, gdy się chluby szuka z grzechu i urąga temu, co jest prawem Bożym i ludzkim.

Nauczyli nas cesarowie rzymscy, iż dla nich praw i granic nie było, że sobie mogli pozwolić konie konsulami mianować, siebie Bogami, a wyzwoleńców swych niewiastami, ale po nich przyszedł Chrystus, światło się rozlało po ziemi, kondycja człowieka zmieniła się, obowiązki przysłyły nowe, od których się wyzwolić nie może.

Westchnął wojewoda i długa chwila milczenia nastąpiła potem. Zachmurzył się i Dzieduszycki jaśniej przejrząwszy, ale pierwszy potem usta otworzył:

— Panie wojewodo, bądź co bądź nam już nie utyskiwać trzeba, lecz myśleć o tym, jak złemu zapobiec.

Jabłonowski spuścił ręce jakby bezsilne.

— Macie słuszość. Zbolałe serce tylko otworzyłem przed wami — dodał — a wiercie mi, że nikomu więcej do niego nie dał zajrzeć. Macie słuszość, że popełniamy błąd przyznając się do niego, gdy się go nie usiłuje naprawić; na nic się lamenty nie zdały. My, cośmy sądzili, że temu panu pomagać tylko będziemy obowiązani, niestety, podobno z nim wkrótce do walki stanąć będziemy musieli.

— Nie wzdrygniemy się przed nią — odparł mężnie starosta. — Do tegośmy niestety wdrożeni i nawykli.

— Ale tu o szkopuł rozbić się łatwo — dodał wojewoda — na który w ciągu długich lat natrafialiśmy ciągle... Walka o prawa przechodziła w namiętne rokoszowanie i spiski. Nastawano na życie Batorego, zatruto żywot jego następcy, warcholono za dwu synów jego, zamęczono Wiśniowieckiego, znęcano Sobieskiego i toż samo by miało się powtórzyć znowu?

Dzieduszycki się podniósł z siedzenia.

— Sądzę — odezwał się weselej — że, da-li Bóg, nie przyjdzie do tego! Zawczasu tylko należy mu dać uczuć, że poprawy Rzeczypospolitej żądamy, ale wywrotu jej nie dopuścimy.

I po chwili dodał starosta:

— Mielibyśmy się ulęknąć ośmiu tysięcy Sasów, których wpuścimy do kraju?

— Wojska? — rozśmiał się smutnie Jabłonowski. — Ja wojska się wcale nie lękam, boję się czegoś innego... tych ludzi dla prywaty gotowych na wszystko, którzy królowi służyć będą tak w przyszłości, jak mu teraz posługiwali.

— Większość przecież uczciwa — dodał Dzieduszycki.

— Tak, ale uczciwi są to ludzie spokojni, którzy nie radzi krzyżeć i podnosić wrzawę, a szyby w oknach wybijać. Mniejszości burzliwe wszędzie górą.

To mówiąc i jakby już syt był własnych smutnych wieszczb i przeczuć, wojewoda zbliżył się do stolika, wziął w ręce jakąś książkę, rzucił oczyma na nią i zwracając się do starosty zapytał:

— Nie wiecie o czym nowym od Łowicza?

— Od prymasa — podchwycił starosta — wiem o tym, co i dla was nowością nie będzie, że Radziejowski, choć się dotąd trzyma uparcie Contiego, bodaj dlatego to czyni, aby drożej się sprzedał.

Wojewoda dał znak potwierdzający.

— A o Contim co słyhać?

— Płynie do nas, to pewna — mówił starosta — ale siły znacznej z sobą nie prowadzi, a tu jej zebranej na przyjęcie nie znajdzie. *Ni fallor*, rachuje na to, że dosyć mu się pokazać, aby za nim poszły zbrojne rzesze, a my, my wielce wątpimy o tym.

— Gorzej, bośmy pewni, że garść się może znajdzie tych, co swe wota na polu pod Wolą orężem popierać gotowi. Wojna domowa... najstraszniejsza klęska, jaka może kraj dotknąć... rokosze.

Dlatego my nie tylko przy Auguście stać musimy, ale mu jednać nowych przyjaciół... to w istocie zadanie obecnej godziny, a jutro — *Deus scit et Deus providebit!*

Na tym skończyła się rozmowa *de publicis*, a Jabłonowskiemu, zrzuciwszy ciężar z serca, lżej się jakoś zrobiło. Niedługo jednak rozchmurzony pozostał, brwi mu się najeżyły i twarz posmutniała.

— Wiecie o tym — rzekł — że ten elekt jadący na koronację nie mógł się bez tego obejść, aby z sobą nie wlec jakiejś Niemkini, pani Dufeki, która jawnie rezyduje w Łobzowie i wygląda jak wielka pani, a zowią ją hrabiną? Służba zaś jego niepocziwa już tu po Krakowie lata polując na twarzyczki i miłośnice dla pana, któremu coraz coś świeżego potrzeba.

— *Proh pudor* — odparł marszcząc się starosta — ale nie sąż to wymysły i potwarze?

— Nie — rzekł wojewoda — są to sromotne początki tego, co nas czeka. Nie damy mu potem złamać ustaw naszych, ale cóż to pomoże, gdy rodzinę nam zarazi rozpustą, a ze świętych niewiast naszych porobi sobie nałożnice. Ognisko domowe zburzy... co nam pozostanie?

Milczał starosta, spuścił głowę i wzdychał, dopiero po długiej chwili rozmysłu wyrwało mu się:

— Nie może to być, nie może! Zaraza ta nas nie imie. Nie wierzę! Nie przypuszczam, nie boję się! Niewiasta nasza zbyt czysta jest i święta. Matki nasze zbyt pobożne.

I silną pięścią uderzył w stół, a oburzenie to widząc wojewoda porwał go w ramiona i serdecznie uściśnął. Obu im łzy na powiekach stanęły.

Jabłonowski się rozweselił znowu, a że godzina wieczery nadchodziła, klasnął na sługi, aby ją podawano, zaprosiwszy Dzeduszyckiego.

— Na zamek dziś nie pójde, jutro się będę musiał wytłumaczyć chorobą — rzekł — bo pijatyki, jaka tam wczoraj była i dziś się powtórzy, nie znoszę, a nawet patrzeć na nią mam obrzydzenie.

Przy wieczery, choć wojewoda rad był rozmowę odwrócić od tego, co umysł jego zajmowało, jemu i starości zarówno przychodziło to z trudnością i mimo woli najmniejsze słówko na powrót ją do króla i bieżących spraw ciągnęło.

Dla Jabłonowskiego był on niepokojącą zagadką, której coraz nowe strony się ukazywały. Obok płóchego, rozpasanego i lekkomyślnego człowieka zdradzał się zuchwałych planów polityk, który obudzał obawę. Wojewoda dostrzegł, iż August po kilkakroć, zawsze sam na sam i w nieobecności panów polskich, narady miewał z posłem brandenburskim, von Gverbockiem, usiłując widocznie go sobie pozyskać.

Ze słów pochwytyanych w różnych źródłach dawało się wnosić, że król już zbliżył się do cara Piotra i na jego przyjaźń i alians rachował.

Wszystko to wprawdzie tłumaczyło się potrzebą zabezpieczenia od Szweda, któremu Inflanty należało odebrać.

W paktach, które zaginęły, stało odzyskanie *awulsów*, a do tych należały również Inflanty jak Kamieniec, Podole i części Ukrainy.

W kraju szczególnie boleśnie się czuć dawała utrata Kamieńca i na tę twierdzę zwracały się wszystkich oczy, tymczasem na dworze saskim mówiono więcej o Inflantach i nie ulegało wątpliwości, iż król naprzód myślał o ich odzyskaniu. Wojska saskie, które miano wprowadzić do Polski, do Inflant przeznaczone były.

Wiedziano już, że młody Karol Dwunasty był wielce rycerskiego ducha, surowego obyczaju i męskiego, żelaznego charakteru, ale i w Augustcie spodziewano się znaleźć siłę mogącą się mierzyć z nim. Generałowie niemieccy — pomimo wspomnień kampanii dwukrotnej przeciwko Turkom, którą się chlubić nie było można — wychwalali rycerskie męstwo Augusta i wielkie militarne wykształcenie.

Spodziewano się w nim przyszłego bohatera, który mógł stanąć godnie obok wielkiej postaci zwycięzcy spod Wiednia.

Niepowodzenia pierwsze przypisywano powszechnie zazdrości i podstępom dowódców austriackich.

— Konzachty potajemne z Brandenburczykiem i jego posłem nie podobają mi się — mówił po cichu Jabłonowski — tak jak i zbyt serdeczne bratanie się z carem Piotrem.

— Czegóż byśmy się obawiać mogli? — uspokajał Dzieduszycki — trzeba przypuścić aż zdradę tego kraju, któremu się wierność zaprzysięgało, ażeby waszą trwogo podzielać.

— *Utinam sim falsus vates!* — westchnął wojewoda — ale ja obawiam się najgorszych rzeczy. Bóg może nie dopuścić ich spełnienia, a jednak...

Hałas w przedpokoju nagle zmusił przerwać rozmowę.

Gospodarz wstał nie mogąc zrozumieć, kto się dobija, gdy dworzanin wbiegł oznajmując posłańca od króla Jego Mości.

Był nim znajomy nam Zachariasz Witke, chociaż nie król go przysłał, ale Constantini, który sam nie chcąc się fatygować na miasto, pozwolił sobie wysłać tego podręcznego swego, pod pozorem, że się z wojewodą po polsku porozumieć potrafi.

Witkę też dla własnych celów już się tu był przebrał po polsku, nazywał się śmiejąc Witkowskim i wcale nieźle udawał Polaka.

Wojewoda oznajmionego królewskiego posła przyjął nie powstając. Zdziwił się widząc niby polską postać, choć król jeszcze polskiego nie miał dworu.

Witkowski miał powierzchowność nader ujmującą.

— Przychodzę — rzekł pokłoniwszy się — z polecenia króla do pana wojewody, gdyż rad by był go N. Pan oglądał na zamku, gazie w wesołym towarzystwie odpoczywa i do niego zaprasza.

Zafrasował się nieco Jabłonowski i posłańcowi kazawszy nalać kubek wina rzekł uprzejmie.

— Czuję się niezdrów, prosiłem pana marszałka koronnego, aby mnie uniewinnił, iż muszę się dziś wyrzec szczęścia oglądania oblicza Jego Królewskiej Mości. Nie pojmuję, jakim sposobem Lubomirski mógł moją zapomnieć ekskuzę.

— Mógł on oświadczyć królowi — odparł Witkowski — ale król snadź tęskni za panem wojewodą.

— Chciejże pan oświadczyć, iż choć niezbyt usposobiony, podziękować przynajmniej królowi natychmiast przybędę.

Nowokreowany przez Mazotina dworzanin uklonił się i odszedł. Pozbywszy się go wojewoda kazał natychmiast podać ubranie i zaprzęgać kolebkę.

— Jestem zmuszony jechać — rzekł żegnając Dzeduszyckiego — może też posłuży mi na coś przypatrzenie się mu lepsze w tym stanie podchmielenia, w jakim się już musi znajdować... *In vino veritas*, ale mi się trafiło przy końcu takiej pijatyki, gdy go we dwu pod ręce prowadzili do łożnicy Sasi, jeszcze tak przytomnego, że się żadnym słówkiem nie zdradził.

Jabłonowski zastał na cichym od dawna zamku krakowskim, w oddalonych komnatach Augusta, otoczonego Niemcami i Polakami, w humorze nadzwyczaj

podnieconym, śmiejącego się, dowcipkującego, wyszydzającego swych przybocznych, lecz nie upojonego wcale.

Polacy i Sasi w najlepszej komitywie obejmowali się i ściskali. Ze złościwością dziecinną król jednym przeciwko drugim podbudzał i robił sobie z tego igraszkę.

Zobaczywszy wojewodę podszedł ku niemu z nadzwyczajną grzecznością i nazwał go dezserterem, za którym tęsknił...

Ale zarazem przenikliwymi oczyma badał go, jakby się czegoś domyślał i obawiał. Wojewoda, trochę chmurny i przemóc się nie mogący, podziękował pokornie dosyć, lecz nie potrafił udawać wesołego.

Zmuszono go do wychylenia zdrowia króla tokajem, jednym z licznych przygotowanych kielichów rozmaitego kalibru, które stały uporządkowane.

August ujmował Polaków za serca swą nie praktykowaną w panującym poufałością. Nie zrzucając z siebie nigdy majestatu umiał jednak tak się uczynić łagodnym i przystępnym, że prostoduszni byli zachwyceni. Jabłonowski raz już wpadłszy na trop charakteru widział w tym tylko niezmiernie zręcznie odegraną komedię, w której szczerść nie wierzył.

Rozmowa, z której poważniejsza treść była wykluczona, toczyła się o fraszkach. Flemming i Przebendowski badali króla, jakie na nim krakowska ludność uczyniła wrażenie, a szczególnie kobiety, pomiędzy którymi i pań polskich wiele się wmieszało przez ciekawość.

Flemming utrzymywał na wpół serio, że teraz, gdy August został zarazem królem polskim i kurfirstem saskim, sprawiedliwość wymagała, ażeby przez pół roku bawiąc w Saksonii miał tam kochankę Niemkę, a w Polsce Polkę sobie wybrać był powinien.

Król się uśmiechał, Przebendowski coś mruczał.

Było to już nie pierwsze naówczas panowanie metresy, która Augustowi poczynała się przykrzyć. Po pannie Kessel, nie licząc przemijających miłostek, których obrachować nawet Mazotón nie umiał — po pięknej Kessel nastąpiła Aurora hrabina Kónigsmark, ze Szwecji rodem; a chociaż król nie zerwał z nią zupełnie, już ją zastępowała hrabianka Lamberg, Austriaczka wydana za hrabiego Esterle.

Dąbski przestrzegł elekta, ażeby przynajmniej na koronację z sobą nie wiozł skandalu, który by Polaków mógł zrazić... Esterle więc miała pozostać w Dreźnie, ale się uparła towarzyszyć królowi utrzymując, że nikt o niej wiedzieć nie będzie, i siedziała w Łobzowie pierwszych dni, a potem wśliznęła się do Krakowa. Udawano, że nie wiadano o tym.

Oprócz niej, za wiadomością i zezwoleniem Augusta, jako niby ochmistrzyni i żona jednego z urzędników dworu przybyła tu panna Klengel i ta otwarcie na Wawel zajechała.

Służba ta cała, Spiegle, Hoffmanowie, Constantiny, Lehman bankier, Flemmingi i Pflugi, na ostatek sam pan — jak się wydawał w tym starym, poważnym, smutnym, opuszczonym zamku, który nigdy podobnych ludzi i obyczaju nie oglądał — wypowiedzieć trudno. August czuł się tu obcym, gościem i było mu tak nieswojsko na zamku jak w kościele katolickim, jak w katolickiej Polsce. Rozumiał to sam, że wchodził we wnętrze Rzeczypospolitej jako okryty skórą baranka nieprzyjaciel. Wszystko go tu raziło, z gruntu pragnął też to wszystko wywrócić i obalić.

Tymczasem zadanie to właśnie wymagało uśmiechania się i radowania z tego, co dla niego było wstrętne i śmieszne. Tę walkę wewnętrzną Jabłonowski pochwyił i odgadnął intuicją jakąś w królu Auguście. Nie była ona tu w panującym nowością, bo z podobnymi uczuciami wchodził na tron Henryk Walezy, który uciekł od niego, Batory i Zygmunt Trzeciego, w początkach chcący się pozbyć korony ustępstwem rakuskiemu Ernestowi. Ani Władysław, ani Jan Kazimierz Polakami się nazwać nie mogli.

Ale w tych wszystkich była dobra wola porozumienia się z krajem i przejednania, gdy w Auguście koronację poprzedziły plany nieprzyjazne wywrotu i zamachu na ustawy Rzeczypospolitej.

Zaledwie zstąpiwszy z majestatu w rynku krakowskim król suknie polskie natychmiast zrzucił i poczuł się zaraz swobodniejszym.

Z panami polskimi, nie wyjmując zaprzedanego mu Przebendowskiego, nigdy się nie zdradził z tym, co myślał... Z Sasami nie mówił też otwarcie, z żadnym oprócz Flemminga.

Tego dnia, po przybyciu na zamek wojewody wołyńskiego, który stanowczo się od kielichów wymówił, zapijano, śmiano się i żartowano, tak że dopiero bardzo późno w noc wszyscy się porozchodzili. Przez cały czas pobytu wojewody wołyńskiego na zamku król go nie spuszczał z oka, chociaż nie dawał tego poznać po sobie. Jabłonowski też źle w sobie ukrywał jakieś podrażnienie.

Z Flemmingiem potem wszedłszy do sypialni August mu szepnął:

— Jabłonowski ojciec i syn są mi podejrzani. Ponieważ oni byli jednymi z pierwszych, którzy się nawróciło dali, i wpływ ich wielce dopomógł elekcji, Flemming znalazł to podejrzenie dziwacznym... Ruszył ramionami.

— Tego wcale nie rozumiem i nie widzę najmniejszego powodu do zniechęcenia przeciwko nim — odparł. — Nie godzi się im czynić takiej krzywdy.

Król stał patrząc ostro na przyjaciela.

— Przyczyny do posądzenia ich nie mam — rzekł — to prawda, nic im dotąd wyrzucać nie mogę, zgadzam się, a pomimo to wszystko czuję w nich prędzej czy później wrogów moich. Szczególniej wojewoda wołyński, filozof i świętoszek, nie podoba mi się...

— Śmieszna rzecz — dodał po chwili — zawsze się obawiałem ludzi, co nie piją, wesołymi być nie umieją, cnotę swą jak płaszcz na ramionach noszą. W Jabłonowskim ja nie widzę nic jasno, zamknięty dla mnie, nigdy ani na chwilę nie otworzył się przede mną.

— Ależ — odparł niecierpliwie Flemming — są natury i temperamenty różne. Ja się przynajmniej w Jabłonowskim nie obawiam zdrajcy.

— To są republikanie — zamknął król.

Z tym samym uczuciem wstrętu wojewoda z zamku powrócił. Im dłużej był z królem, tym czuł większą do niego odrazę.

Nazajutrz rano już się przygotowania do sejmu koronacyjnego rozpoczynały, które wszystkich pochłonęły. Znaczna część przybyłych przerażona była tym, że podpisane *pakta konwenta* zginęły. Gdzie się one podziały i jak zaginać mogły, dojsć było nie podobna, najściślejsza inkwizycja nie wykazała nawet jaśniej, w czyje one ręce przeszły po podpisaniu i kto je zatracił.

Nie był to jednak prosty przypadek, tak jak Dąbski go podawał... Domyślano się zamiaru jakiejś zmiany w tych punktach, które królowi niewygodnymi być mogły.

Ze stronnictwa Augusta nawet ludzie podnosili głosy groźne, czując, że milczeniem tym na siebie część winy za to przyjąć musieli. Król sobie

lekceważył w początku i dopiero postrzegłszy, że się na burzę zanosilo, oświadczył, iż w razie konieczności po raz wtóry takie samo słowo podpisze.

Z całego obejścia się jego w Polsce widać było, że fermy gotów był zachować, do których wagę tu wielką przywiązywano, ale do celu swego innymi zamierzał iść drogami.

Myśli jego poza kulisami szukać było potrzeba, nigdy ona nie występowała na scenę.

Witkowski-Witke, który nie odstępował przyjaciela Constantiniemu, nazajutrz na rozkaz jego stawiał się na zamek. Tu, pomiędzy niemiecką dwornią, przebranego po polsku kupca z Zamkowej ulicy witano zawsze śmiechami, drwinami i cieszą się niezmiernie z tej maskarady, która dzielnie dopomagała Witkemu do wciskania się i podsłuchiwanie.

On sam, jakby upojony i rozmarzony, gdy mu się udało stać potrzebnym Constantiniemu, głowę tym sobie zawrócił i zapomniawszy własnych planów dał mu się ciągnąć dalej.

Zdawało mu się, że stał już na pierwszym szczeblu drabiny, która go gdzieś do wymarzonych, górnych sfer prowadzić miała.

Co do handlu przekonał się, iż tu niewiele miał do zrobienia. Na czas pobytu króla w Warszawie, gdy ze dworem niemieckim musiał gościć, mógł wprowadzić Witkę przywieźć to, czego Niemcom było potrzeba i do czego byli nawykli. Toż samo w Dreźnie dla przybywających panów polskich mógł przygotować, lecz wszystko to razem niewiele znaczyło. O jakimś handlu olbrzymich rozmiarów nie było mowy, bo nowego nic stworzyć nie umiał pan Zachariasz.

Zabiegi jego wszakże nie spełzły na niczym. Pochlebiał sobie, że król już o nim nawet wiedział, chociaż się w tym mylił. Zręczny Włoch posługiwał się nim jak drugimi, strzegąc się wyjawiać przed panem, jakich używał narzędzi, a wszystko biorąc na siebie.

I teraz widząc, że królowi szło o to wielce, aby jakiś stosunek z rodziną prymasa, z Towiańskimi, zawiązać, oświadczył mając na myśli Witkego, iż znajdzie człowieka, który się tam wcisnąć potrafi.

I gdy tu sejm się miał rozpoczynać, Witkę od Mazotina odbierał instrukcje na podróż do Warszawy i Łowicza. Dla niezbyt jeszcze z krajem obznajmionego kupca było to zadanie dosyć trudne, ale Witkę wiele sobie ufał i miał odwagę niepospolitą. Może też nowość tej roli, jaką miał odegrywać, pociągała go i

nęciła. Miał na myśli zużytkować wreszcie Łukasza Przebora, który mu się już od pierwszej z nim rozmowy niepotrzebnie wypowiadał. Aby pokryć te roboty pokątne, musiał nareszcie Witkę czymś usprawiedliwić swój pobyt w Polsce, a że tu handel napitków i słodczy mógł iść korzystnie, nie powątpiewał o tym. Godził się na to i Constantini, aby niedaleko zamku gdzieś handel otworzyć, wina sprowadzić i z winiarni zrobić źródło informacji.

Z planami więc gotowymi pożegnawszy Hallerów wyruszył tym razem sam Witkę do Warszawy. Constantini wyprawiając go, dając mu zlecenia, zużytkowawszy już do otwarcia bram zamku krakowskiego, dotąd o żadnym wynagrodzeniu, a nawet o zwróceniu kosztów nie mruknął.

W ogólnych wyrazach mówił o wdzięczności króla, w przyszłości ukazywał świetne widoki, na teraz jednak klepał go po ramieniu tylko, chwalił zręczność i na tym się skończyło.

Witkemu na środkach nie zbywało, był więc cierpliwy, ażby stał się niezbędnie potrzebny. Nie szło mu o małe zarobki, ale o grubą całość przyszłości rachubę.

Z głową pełną rojeń sunął się do Warszawy. Na ostatnim popasie przed stolicą trafem w gospodzie spotkał się z Francuzem Renardem, właścicielem winiarni pod zamkiem, w której Przebora znalazł. Utkwiła mu dobrze w pamięci jego fizjonomia francuska, a że nauczył się z każdej zręczności korzystać, przybliżył się do niego.

Renard długim w Polsce pobytom nauczył się nieźle mówić po polsku.

— Kupcem jestem jak waćpan — rzekł — i miło mi z nim zrobić znajomość. W Warszawie byłem w pańskiej winiarni... Co słyhać w stolicy?

Renard był wielomówny, chętnie zabierał znajomość.

— A pan skąd jesteś i jakim się handlem zajmujesz? — zapytał.

— Sklep mam w Saksonii, w Dreźnie, ale na pół Polak, myślę z okazji wyboru kurfirsta korzystać i przenieść się do Warszawy. Handluję... a trudno powiedzieć czym, między innymi i winem... tylko go u siebie nie daję.

— W Warszawie też myślisz wino sprzedawać? — rozśmiał się Renard. — To się na nic nie zda. Wielcy panowie sprowadzają z Węgier beczkami, szlachta też po kilku razem do Węgier posyła, pośrednika nie potrzebują.

— Ja też na jednym winie tylko nie stoję — odparł Witkę — gotowym kupczyć czymkolwiek bądź... Muszę się rozpatrzyć. Nasz kurfirst dużo pije i poi, wasi panowie też pono za kołnierz nie wlewają.

Renard śmiał się.

— Więcej się w Polsce przepija, niż przejada — rzekł z przekąsem.

Począł Sas rozpytywać, jak szedł handel. Francuz ruszył ramionami.

— Choć mógłbym dla zrażenia was do konkurencji narzekać, nie uczynię tego — począł. — Handel szedłby dobrze, gdybym miał kapitał potrzebny. Muszę się rachować i łątać, a szlachta też nierada płaci i często długo czekać potrzeba... Jeżeli waćpan pieniądze masz, możesz być szczęśliwszy ode mnie.

— Pieniądze się znajdują — odezwał się po namyśle Witkę — ale mnie doświadczenia i znajomości kraju brakować będzie... dla tego celu jeszcze nie wiem, co zrobię i co przedsięwezmę. Król nowy pół roku tu będzie mieszkać.

Tak rozpoczęta gawędka przeciągnęła się dosyć długo. Renardowi bystry i przedsiębiorczy Witkę podobał się, a nawzajem, Witkę Francuza ocenił czując w nim uczciwego człowieka. Przyszło mu nawet na myśl jakąś z nim spółkę zawiązać, ale się z tym nie wygadał. Ciągnęła go ku temu i pewna okoliczność, której wstydził się przed samym sobą... Wyrostek ten, Henrietka, którą ujrzał w winiarni, córka Renarda, choć to było dziecko jeszcze, dziwnie mu wpadła w serce i oko. Twarzyczkę jej uśmiechniętą miał ciągle na pamięci.

Ile razy się pochwycił na tej słabostce, rumienił się sam przed sobą.

Renard, który za interesem winnym jechał do Krakowa, obiecywał rychło powrócić do Warszawy i zapraszał kolegę, aby go odwiedził, co pan Zachariasz z chęcią przyobiecał.

Rozstali się po tych paru godzinach spędzonych z sobą w dobrej komitywie. Renard wiele skorzystał z rozmowy, lepiej się obeznając z Sasami i dworem.

Tegoż dnia Witkę był na noc w Warszawie, a nazajutrz poszedł do winiarni i pani Renard, która gospodarowała sama z córeczką, przywiózł od męża pozdrowienie, przy tej zręczności zabierając z nimi znajomość.

Wyrostek śmiały, nad wiek swój już rozwinięty, trochę zalotny, jeszcze mu się teraz więcej podobał. Nie zbywało i w Saksonii na ładnych twarzyczkach,

ale żadna z tych, jakie tam spotykał, takiego charakteru szlachetnego, takiej dystynkcji nie miała.

W winiarni było huczno. Witkę się nasłuchał dużo, szczególnie Contistów, bo ci tu panowali, a sascy adherenci, jeżeli byli jacy, milczeli i siedzieli przyczajeni.

Następnych dni z systematycznością niemiecką wziął się pan Zachariasz do obchodzenia sklepów, handlów, rozpatrywania ich położenia, wynajdywania sobie miejsca, gdzieby najwłaściwiej było się zagospodarować.

Nie zwierzał się nikomu i nie brał do porady narzucających mu się pośredników, którzy odgadywali, co go tu sprowadziło. Chociaż mówił po polsku i przebrał się z polską, wychowanie i obcowanie długie tak niemieckie na nim wycisnęło piętno, iż nic go już zatrzeć nic mogło.

O Przeborze w tych pierwszych dniach ani się mógł dowiedzieć, ani go spotykał. Zbyt małe było to stworzenie.

Ze wszystkich rachub Witkego wypadało nie śpieszyć z żadnym krokiem stanowczym. Oglądał się na Constantinię... nie był pewien, gdzie go on, to jest król, użyje. Wyobrażał sobie bowiem, że Włoch zamiast na swą korzyść go obrócić, podzieli się z nim zasługą i królowi naiwnie rywała zaleci.

Bystrego w innych rzeczach oka jego nie uszło, że w Warszawie Contiści, chociaż głośno bardzo przeciwko Sasowi krzyczeli nie uznając go, troszczyli się już, dowiadywali po cichu, co wiało z Krakowa, liczyli siły Augusta i niespokojni, dlatego trzymali się Francuza, aby się sprzedać jego współzawodnikowi...

Postępowanie nowoukorowanego było nadzwyczaj zręczne i mądre. Wszystkie jego odezwy, listy do prymasa, uniwersały tchnęły nadzwyczajną łagodnością i dobrocią. Nikomu drzwi nie zamykano, kto by się chciał zawrócić. Król wszystkim obiecywał być jak najczulszym ojcem.

Gdy prymas groził i niemal wyklinał, August uśmiechał się, przyrzekał zapomnienie win wszelkich.

Potrząsano głowami, czytając i różnie sobie z tego rokując.

— Lis — mówili jedni — wszystkich on wywiedzie w pole.

— Mądry i dobry monarcha — unosili się drudzy, a inni dokładali:

— Wie, mospanie, że u nas kułakiem i grozą nic się nie robi.

Rozdział siódmy.

Gdy w Krakowie przygotowywał się i toczył burzliwy sejm koronacyjny, na którego posiedzenia August przychodził zmęczony codziennym ucztowaniem nocnym, słuchał nie rozumiejąc i lekceważąc próżne wyrzekania, ostatni akt dramatu, w którym Conti miał smutną rolę zawiedzionego, odegrał się pod Gdańskiem. Kandydat Francji, zaledwie wylądowawszy, aby się przekonać o swej bezsilności, powracał wyrzekając się marzenia o koronie.

Pozostawił jednak za sobą garść swych wiernych adherentów, a na ich czele prymasa Radziejowskiego, uparcie stojącego przy rokoszu, który już był tylko środkiem do uzyskania od Augusta okupu.

Nowoukoronowany król z dziwną przenikliwością, która kazała się domyślać, że go zawczasu dobrze ze stanem umysłów w kraju obeznano, pojmował swe położenie wesołą twarzą i spokojnym umysłem. Nic mu się nie wydawało groźnym, szedł powolnym, ale pewnym krokiem do zamierzonych celów, jednając sobie cara Piotra i najprzyjaźniejsze utrzymując stosunki z kurfirstem brandenburskim.

Nawet rekuperacja awulsów była mu bardzo na rękę, bo usprawiedliwiała wprowadzenie wojsk saskich do kraju, których liczby nie kontrolowano.

Przyboczna rada, Flemming, Przebendowski, Dąbski, mniej więcej wtajemniczeni w plany, sterowali dalej królewską łodzią... August zresztą do intryg i zabiegów politycznych miał więcej usposobienia niż do wojny, o której wiele mówił, ale w pole wyciągać nie miał ochoty.

Przebendowski z biskupem kujawskim tak mu dobrze mówili, iż Polacy krzyczą głośno, ale w końcu ulegają, że na króla wrzawa sejmowa nie robiła już żadnego wrażenia.

Drugą zasadą i prawidłem było wszystko — czego się sejm domagał — obiecywać, podpisywać nawet z tym przekonaniem, że go to bynajmniej nie wiąże.

Po każdym niemal posiedzeniu, na pokojach u króla w poufałym kółku wyśmiewano najgorętszych i Dąbski szczególnie szkalował ich, doradzając zawsze iść przebojem.

Ważyło się już tylko, kiedy się wybrać do Warszawy i stawić czoło rokoszowi.

Tymczasem, gdy z Contim w listopadzie skończono, szło tylko o tajemne pozyskanie prymasa, a August pozostawał sam, mimo wszelkich nielegalności przy elekcji i koronacji, prawomocnym monarchą, uznanym przez całą Rzeczpospolitą.

Witkę znajdował się jeszcze w Warszawie, gdy posłaniec Mazotina przywiózł mu instrukcje, aby koniecznie się starał dostać do kasztelanowej Towiańskiej, siostry Radziejowskiego. Przez nią tylko prymasa można było pozyskać.

Pani kasztelanowa słynęła z wielkiego rozumu, ale więcej jeszcze miała przewrotności i cynizmu. Nasłuchiwała się tego od młodości, jak Maria Ludwika i Maria Kazimiera płacić sobie za wszystko kazały; wydawało się jej sprawiedliwe wyzyskać swe położenie... Miała wpływ wielki na brata, zuchwalstwo, bezwstyd a chciwość jej spocząć nie dawały. Za jej poradą kardynał się trzymał, burzył, protestował, aby doprowadzić do tego, żeby go kupiono; pośredniczka nie myślała o sobie zapomnieć.

Witkę dowiedzieć się mógł łatwo wszystkich potrzebnych mu szczegółów o pani kasztelanowej, ale drogi, jaką miał się do niej wcisnąć, niełatwo mu było wyszukać. Pani Towiańska lada z kim by się układać nie chciała ani zwierzyć pierwszemu lepszemu.

Miała dumę rodziny, która świeżo się dobiła senatorskiego krzesła i w Rzeczypospolitej wcale dotąd znana nie była.

Pomimo całej zręczności kupca-Sasa, który dniem i nocą przemyśliwał nad tym, jak się dostanie do kasztelanowej, nie mógł dotąd nic począć.

Zapowiedziano mu tylko, że gdyby do tego przyszło, ażeby umowa stanęła jakaś i klejnoty lub pieniądze składać było potrzeba, winien się mieć na ostrożności, gdyż bardzo łatwo mógł być oszukany.

Przebor, którego na ostatek wynalazł płatającego się na małych posługach u Contistów, przyznał się, że był używany do prymasa dla informacji o Dreźnie i królu, że mówił z panią Towiańską, ale się nie mógł wcale jej łaską pochwalić.

Witkę musiał tak chodzić około niego, aby nie wpraszając się sam, przez niego dostał się do kasztelanowej.

Panu Łukaszowi było na rękę tą posługą się pani Towiańskiej zalecić.

— Uprzedź waćpan ją tylko — rzekł Witkę zgodziwszy się na wycieczkę do Łowicza — że ja mojego pana zdradzać nie myślę i dlatego chętnie objaśnię, czego się po nim spodziewać mogą, ażeby się fałszami nie łudzili. Prawdy taić nie mam powodu, bo kurfirst wszystko, co czyni, czyni otwarcie i jawnie.

Niemало to zachodu kosztowało, nim się gładko złożyło posłuchanie u kasztelanowej.

Nie opuszczała ona prawie brata i żyła przy nim z większą częścią rodziny swej, zajmując część zamku. Konie, kolebki, służba kardynała była pod rozporządzeniem Towiańskiej, tak jak i brat. Ona tu rozkazywała.

Krzykliwa, zuchwała, dumna, nie miała przyjaciół, nie cierpiano jej, ale tłumy pochlebców ją otaczały i klientów wszelkiego rodzaju, Zbliżając się już do lat sześćdziesięciu, silna pomimo to, w nieustannym ruchu wcale nie okazywała się znużoną życiem.

Mąż, dzieci, tak samo jak brat, musieli jej być posłusznymi. Wpadała bardzo łatwo w pasję, a naówczas nie miała pomiarkowania i brak wychowania na jaw wychodził, bo klęła i łajała w sposób grubiański.

Purpura brata, jego prymasowska godność, która go w bezkrólewiu dostojnością *interrexa* okrywała, zawróciły głowę Towiańskiej, która w świecie ledwie go równym sobie sądziła.

Korzono się przed nią.

Niepowodzenia Contiego, słabość jego partii, która poprzec go nie umiała, budziły jednak niepokój w kasztelanowej, a szczególnie gdy, pomijając prymasa. August się porozumiewał z naczelnikami rokoszu.

Szeptano już o przyjacielu Sobieskiego, biskupie Załuskim, że się chciał zbliżyć do Sasa, podejrzewano i Sobieskich. Potrzeba więc było korzystać z chwil ostatnich może, aby wyjednać korzystne warunki.

Przebor oznajmił kupca jako człowieka, który miał na dworze stosunki wielkie i mógł niepostrzeżenie, cicho służyć za narzędzie.

Kasztelanowa wcale się pewnie innego czegoś spodziewała i wyglądała... gdyż zdumiała się, gdy siedząc w krześle z poręczami, jak na tronie, ujrzała wchodzącego bardzo przystojnego młodzieńca, po polsku ubranego. Tak mało Sasa w nim pozostało, że go pani Towiańska wcale nie dostrzegła. Sądziła nawet, że zaszła omyłka, ale Przebor, który go przedstawiał, wątpliwości nie pozostawiał.

Pan Łukasz zrozumiał to, że świadkiem rozmowy być nie potrzebował, a byłby zawadą, nie pomocą; wysliznął się więc zaraz za drzwi.

Chwilkę jakoś Towiańskiej trudno było nawiązać rozmowę. Zaczepiła go o to, iż Sas, czy go kto królem uznawał, czy nie, ciekawość obudzał, a mało osób go w Polsce znało i różne dochodziły pogłoski.

— A!! możemy powinszować jego wyboru — pośpieszył z odpowiedzią Witkę — pan ze wszech względów godzien tronu... Umysłu wielkiego, wspomniały, szczodrobliwym aż do zbytku, ludzki i łagodny.

— Więc tylko same pochwały masz waćpan dla niego — odparła kasztelanowa. — To się rozumie, kto mu służy...

— Ja nie mam szczęścia być w służbie króla — rzekł Witkę — ale mówię to, co wszyscy, którzy go znają, powtórzą.

— Mówią, że bardzo płochy jest — dodała Towiańska — no i wiarę katolicką chociaż przyjął na pozór, swoją dawną podobno trzyma...

— Nigdzie się to jednak nie pokazało — począł Witkę. — W Krakowie go wszyscy widzieli przystępującego do komunii.

Towiańska głową kiwnęła.

— Szczodry jest — wtrąciła — powiadasz waćpan. Pewnie, pewnie, bo inaczej by nic nie dokazał. Rzeczpospolita, wycieńczona wojnami, potrzebuje pieniędzy. Wojsko nie płatne.

Zatrzymała się, patrząc badawczo na kupca, który stał z pozoru bardzo chłodny.

— Na wszystko mu stanie — odezwał się po namyśle — nawet na zawdzięczenie tym, co mu sprzyjać i posiłkować zechcą...

Spojrzał w oczy kasztelanowej, której rumieniec dał poznać, że się już dorozumiewała posłańca.

— Na tym świecie — odezwała się, wzdychając — nic darmo... My tego nie przerobimy...

— Król też August zaopatrzył się w zasób znaczny, jadąc na koronację — rzekł z uśmiechem. — Rad by pozyskać sobie przyjaciół i wojnie domowej zapobiec. Nie będzie ofiar żałował na to...

Po chwili milczenia Towiańska, która już wytrzymać dłużej nie mogła, zawołała:

— Przyznaj się waszmość, czy masz jakie polecenia.

— Nie, ani rozkazów, ni zleceń nie mam — rzekł Witkę, spokojny. — Jestem mały człeczek, ale ze znaczącymi ludźmi stosunki mnie wiążą. Wiele bym uczynić mógł, choć do niczego nie jestem obowiązany... a milczeć umiem...

Kasztelanowa wstała z krzesła, obejrzała się dokoła i skinęła na Witkego, odprowadzając go ku przyległemu gabinetowi.

— Przyznajże mi się waszmość — powtórzyła — masz co do powiedzenia? Ja ceregieli nie lubię, u mnie, co w myśli, to na języku... Przecież nie zdradzę...

— Powtarzam pani kasztelanowej — odezwał się Witkę — zlecenia nie mam, ale królowi dobrze życzę, rad bym mu pozyskać tych, od których pokój i uśmierzenie rokoszu zależy. Gotówem podjąć się zanieść, gdyby mi co powierzono...

Towiańska skinęła głową... Nie wiedzieć jaką drogą wpadła na myśl poczęstowania gościa.

— Może byś waćpan napił się czego? — wtrąciła.

— Nie, dziękuję — rzekł Witke.

— Ale któż waćpan jesteś?

— Ja? kupiec z Drezna...

— A skądże ta polszczyzna?

Witke się zarumienił.

— Dawnośmy w Niemczech osiedli...

— Jak się waćpan nazywasz?

— Niemcy mnie zowią Witke, a Polacy Witkowskim — odezwał się kupiec.

— Bo to tak, widzisz waszmość, z pierwszym lepszym w traktaty wchodzić...

Pokręciła głową. Witkę wcale nie nalegał, chciał poznać i coś z niej wyciągnąć, nie spodziewał się od razu dojść do celu... Towiańska przypatrywała mu się z chciwą, rozbudzoną ciekawością. Nie wątpiła, że to był poseł jakiś z królewskiego obozu albo wysłany na zwiady; nie wierzyła, ażeby kupcem był, usiłowała przeniknąć go, aby się nie dać oszukać. Poczucie własnej nieudolności, bo wcale zręczna nie była ani stworzona do subtelnych intryg, w których podejścia wszystko stanowią, nieufność czyniła ją podejrzliwą... Nie miała cierpliwości i kończyła zawsze zdradzając się wybuchem niezgrabnym. Zagadkowy Sas, kupiec, mówiący po polsku, wychwalający króla, a przybywający do Łowicza na żądanie, niepokoił ją mocno.

— Mówmy bo otwarcie... co tam! — rzekła żywo, zakłopotana — ja lubię wprost, tak, karty na stół... Macie przystęp do dworu...

— Najłatwiejszy, choćby do samego króla — odparł Witke.

— No, to możecie powiedzieć, żeście słyszeli i widzieli — poczęła coraz prędzej i goręcej — że prymas do ostatka nie ustąpi... a póki prymas trzyma z Contim, poty jego partia żyć i bruździć będzie, a rokosz nie ustanie... Prymasowi zaś nic uczynić nie może... nic, ani nawet w Rzymie... Tknąć go nie śmie nikt pod ekskomuniką, tym bardziej taki król, który tylko co katolikiem został. Prymas jest potęgą, ma on więcej niż wojsko, bo jego słowo waży za regimenty... Brat mój dosyć utracił przez to bezkrólewie, zdrowie nadwerężył... pieniądze rozsypał, nieprzyjaciół sobie przysporzył, w czymże mu to nagrodzi?...

Witkowski pomilczał trochę.

— Oczywiście rzecz — odezwał się — że pan mój nie ma tego czym wynagrodzić, ale straty pieniężne przynajmniej zwrócić i mnie się tu słuszne wydaje.

— Spodziewam się — krzyknęła Towiańska. — Król ma z czego ciągnąć... a mój brat własną ojcowiznę zmarnował dla dobra Rzeczypospolitej, rodzinę zubożył...

— Król z pewnością te straty będzie się starał wynagrodzić — przerwał Witkę — ale nie od rzeczy byłoby, choć mniej więcej, wiedzieć, ile one wynieść mogą... Wydatki były i są ogromne, wojsku musiał król żołąd zaległy wysypać.

— Tu się też małym czym nie obejdziesz — dodała kasztelanowa. — Ja tam nie wiem... ale mnie się zdaje, że stu tysiącami talarów trudno będzie to załatwić.

Spojrzała na Witkego, który udawał przestraszonego.

— Dla króla — ciągnęła dalej pani Towiańska — to mała rzecz... a kardynał, gdyby to dostał, ledwie będzie miał czym opłacić długi na ojcowiste dobra pozaciągane czasu *interregnum*. No i spodziewam się — rzekła zniżając głos — że ja, jako pośredniczka, gdyby do czego przyszło, zapomniana nie będę... Choćby wioskę król kupował, musiałby porędkawiczne dać, a toć tron...

Zaczęła głową rzucać; kupiec słuchał z uwagą natężoną, ale nie śpieszył z odpowiedzią.

— Jeżeli o pieniądze trudno — dodała nie ustając kasztelanowa — wiem, że król w klejnotach się kocha i ma ich przepaść. Ja się nimi będę kontentowała, tylko znowu lada jakich nie przyjmę.

Dawszy się jej tak odkryć i wygadać Witkę podniósł głowę.

— Wszystko się to da zrobić, jak mnie się zdaje — rzekł — oczywiście nie przez tak małego człowieka jak ja, idzie tylko o to, aby wymagania nie były za wielkie.

— Cóż to waćpan znajdujesz, że kardynał może mniej wziąć nad sto tysięcy? a ja klejnotów za czwartą część tej sumy? — zawołała kasztelanowa.

— Myślicie, że my będziemy się targować?

— Ja tu przecie nic nie stanowią — odezwał się Witkę spokojnie — jedna rzecz, w której usłużyć mogę, to, że gdy mi pani zleciła, to doniosę królowi, iż się da wszystko ukończyć zgodą i powróceniem strat. Życzy sobie tego pani kasztelanowa?

Zagadnięta wprost, oczyma błysnęła stara pani i zagryzła wargi. Udawała źle — niby wahającą się, choć gorąco pragnęła, uprzedzając innych, sama rozpocząć układy, sama je prowadzić — i dopilnować w nich przede wszystkim własnego interesu.

Kupiec zwrócił raz jeszcze uwagę jej, nie doczekawszy się odpowiedzi, na wysokość wymagań dla prymasa.

— Sto tysięcy talarów, pani kasztelanowo, duży to pieniądz, nawet dla króla — rzekł powoli. — Za wiele wymagając można wszystko zepsuć...

Towiańska porywczo mu przerwała:

— Wiesz waćpan co? O sumę dla mojego brata niech się sobie układają. Może on co zaskryfikuje i ustąpi, ja nie wiem, ale ja, ja klejnotów za ćwierć sta nie odstąpię... król ma ich na miliony, powiadają, chodzi cały od stóp do głów okryty diamentami, choć mu ich kochanki sporo nadebrały.

Wspomnienie o kochankach milczeniem pokrył Witkę, choć jejmość, ciekawa bardzo, gotowa była o nich przedłużyć rozmowę. Spytała potem, czy prawda, że król się do Warszawy wybierał.

— Niezawodnie przyjdzie i zajmie swą stolicę — rzekł Witkę. — Nikt mu się tu opierać nic będzie, a gdyby nawet przyszło do tego...

Nie dokończył.

— O! wiemy, wiemy — zawołała kasztelanowa — wojska ma pono dosyć. Wpuścili je do Rzeczypospolitej, niechże teraz myślą zawczasu, jak się Ich pozbędą. Skarzyli się na swoich, że ich hibernami i stacjami objadali, teraz dopiero zakosztują tego, co żołdak może, Sasi dopiero rozumu nauczą.

Wszystko to Witkę przyjął w milczeniu, a Towiańska niespokojna, nie tracąc głównego przedmiotu z myśli, powróciła do prymasa i do układów, radząc, aby się z nimi król nie ociągał, bo może mieć pomoc wielką i dzielną w kardynale.

— Król sobie wybrał tę purchawkę — Dąbskiego — zawołała z obrzydzeniem — ale co on znaczy?! Nikt go nie słucha i nie szanuje, a kara musi spotkać za uzurpację. Kardynał mu nie daruje. Mówią, że i Załuski myśli się przejednać, ale z tego też wielkiej pociechy nie będzie miał król.

Kupiec słuchał ciekawie, aż, zmęczona, umilkła. Zdawało mu się, że czas ją było pożegnać, ale widząc ten ruch, zatrzymała go.

— Czekałże waszmość! mów! mam się czego spodziewać? dasz mi jaką wiadomość?

— Pozwalasz mi pani mówić? — spytał.

— Mówić — ale nie trąbić — odparła Towiańska zwykłym sobie grubiańskim tonem. — Mów waćpan tym tylko, co wiedzieć o tym powinni, a daj mi znać, czy się czego spodziewać mamy. Prymas chce zwołać rokosz, od was będzie zależało, czy się on wzmocni i utrwali lub rozwiąże.

Gość, który już całej tej rozmowy miał dosyć, zdobywszy, co mu było potrzeba, zaręczył, że uczyni, co będzie mógł, aby spokój i zgodę przyspieszyć.

— Nam, kupcom, więcej o to chodzi niż komu, aby w kraju i w stolicy bezpieczeństwo i pokój panowały. Chętnie więc moje małe usługi ku ternu ofiaruję, a skoro czegoś nowego się dowiem, nie omieszkam dać wiedzieć.

Odmówiwszy wszelkiego przyjęcia i ugoszczenia, jak wszedł tylnymi drzwiami potajemnie, tak wysliznął się nimi nazad Witkę, zastawszy Przebora na straży oczekującego.

Nie zwierzył mu wcale tego, co mówił z kasztelanową, i zbył go tym, że do porozumienia pono niełatwo przyjść może.

— Wszakże — dokończył — rozpaczać nie trzeba. Waćpanu — dodał zwracając się do dawnego nauczyciela — za ułatwienie mi znajomości z panią kasztelanową bardzo wdzięczny i postaram się to okazać. Wiem przynajmniej, co tu myślą i co sobie obiecują.

Ponieważ szło o zachęcenie do posług eks-kleryka, któremu zupełnie było obojętne, czy służył Conti emu, czy Sasowi, byle coś na tym mu się upiekło, Witkę, nie zwlekając, gotowizną zapłacił za doprowadzenie do Łowicza.

Polecił mu tylko Witkę, aby uszu nadstawił, a co mu w nie wpadnie, donosił, bo i drobnostki czasem przydać się mogą.

Powróciwszy do Warszawy kupiec rozmyślał, czy mu samemu nie wypada jechać do Krakowa, bo przez listy i niebezpiecznie, i trudno się było porozumieć; wstrzymywał się jednak aż do otrzymania odpowiedzi na raport w ogólnych wyrazach, który umyślnym wysłał. Tymczasem, korzystając ze

znajomości z Renardem zrobionej, z uprzejmości, jaką mu Francuz okazywał, czując w nim kapitalistę, Witkę dogadzał swej słabostce, nosił małe podarki i łakocie Henriette i patrzył w jej śliczne, żywe, ogniste, do życia się rozbudzające oczy.

Rodzice oboje, a szczególnie w sprawach miłosnych wiele mająca doświadczenia matka, postrzegli to szczególne upodobanie młodego kupca w wyrostku, którego piękność wszystkich zachwycała. Oboje się tym cieszyli, gdyż zamożny zięć za kilka lat bardziej się im mógł przydać do utrzymania przy handlu, który szedł bardzo dobrze, ale wyjść z długów nie mogli. Przyczyniało się do tego to, że pani Renard lubiła się stroić, ubierała córeczkę jak pańskie dziecię, płaciła do niej nauczycieli drogo i wielkie pokładała na tej piękności nadzieje.

Jej widokom nie odpowiadał skromny także, choć majątny kupiec, bo się losu świetniejszego dla Henrietki spodziewała, ale na wszelki wypadek wygodnie mieć go było w zapasie.

Witke przychodził co dzień, a że dziecku - Henriette pochlebiało jego nadskakowanie, przyjmowała go uprzejmie i posługiwała się nim bez ceremonii.

Pan Zachariasz tak się zajął gorączkowo wyrostkiem tym, iż myśl ożenienia powziąwszy, z nią się nosił. Ale jakże tu było chcieć wprowadzić do tego domu, tak cichego, skromnego, tak po mieszczańsku urządzonego, dziewczę rozpieszczone, rojące tylko o błyskotkach, o zbytkach, o zabawach, nawykłe do uwielbień i upojone nimi.

Wszyscy goście Renarda na rękach niemal nosili śliczną Henrietę, rosła w tym dymie i woni kadzideł. Jakżeby taka synowa się mogła pogodzić z tą pobożną, cichą, pracowitą Martą, z kluczykami po całych dniach drepczącą po domu, utrzymującą rachunki, posługującą w sklepie, wydającą ze spiżarni i mającą oko na kuchenkę?

Za to Henrietka śpiewała jak słowik, wyglądała jak aniołek, spoglądała zalotnie, a odcinała się tak dowcipnie! Urok jej młodości działał na spokojnego dotąd Niemca w taki sposób, iż sam już sobą nie władał.

Często, uląkłszy się tej nedorzecznej pasji, próbował z nią walczyć, wstrzymywał się dni parę od odwiedzania Renardów, ale potem biegł do nich jak oszalały, a gdy w progu zapytała go Henrietka, dlaczego o nich tak zapomniał, uniewinniał się jak z grzechu z tej walki z samym sobą.

Renard też i żona jego starali się wszelkimi sposobami trwale sobie przyjaźń jego zaskarbić. Projekt założenia wielkiego jakiegoś handlu dojrzywał z wolna, lecz Witkę, gdzie szło o pieniądze, bardzo był rozważny i rachował wszystko ściśle.

Odpowiedź z Krakowa niedługo na siebie czekać kazała. Mazotin w wielu słowach żądał przybycia Witki go dla ustnej narady. Potrzeba więc było, pożegnawszy Renardów i piękną Henrietkę, pospieszyć z powrotem, chociaż Constantini donosił, że król wkrótce się wybiera do Warszawy.

Opanowany dwoma swymi marzeniami, jakiegoś wybicia się w górę i pozyskania pięknej Henrietki, Niemiec sam siebie nie poznawał. Mało nawet tęsknił za Dreznem, za matką i troskał się o swój interes, o który spokojny był, pod opieką staruszki. Pomimo przykrej już pory jesiennej, Witke z wieczora odebrawszy list ledwie wpadł do Renardów z pożegnaniem, a nazajutrz rano biegł do Krakowa.

Tu wszystko znalazł, jak było... Król zapamiętałe ucztował, zamykał się czasem godzinami z posłem Brandenburczyka von Overbeckiem, z Flemmingiem, Przebendowskim i Dąbskim, podpisywał, co chciano, przyrzekał, czego się domagano... śmiał się i widział się już panem jedynym Rzeczypospolitej...

Co dzień prawie dezertrowie z uszczuplonego obozu francuskiego przybywali poddając się mu dobrowolnie. August wszystkich przyjmował z niewymowną grzecznością, łagodnością i łatwym przebaczeniem. Serca sobie zjednywał. Wynoszono go pod niebiosa. Statyści poważniejsi szeptali między sobą:

— To nic, że dobry i łagodny pan jest, ale ma rozum i takt.... ma energię... potrafi powstrzymać wichry nasze, wprowadzi ład, wywoła reformę praw przestarzałych, władzę monarchiczną ukrzepi.

Wszyscy to prorokowali, choć wcale się na to nie zanosilo, pijatyka tylko niesłychana, gorsząca, nie ustająca, od której ani stan, ani wiek nie uwalniał, wchodziła w obyczaj codzienny, a przy niej o niczym nie mówiono, tylko o kobietach i o królewskich amorach...

Niejedno uczciwe, stare polskie lice zarumieniło się i oblało wstydem, ale przykład szedł z góry...

Constantini pochwyił przybyłego Witkego; z niezmierną niecierpliwością go badając dobył z niego wszystko... Kupiec się spodziewał, że z tym raportem

dopuszczony będzie do króla i tym sposobem się mu da poznać... Miał to być pierwszy krok... ale Włoch klepnął go po ramieniu.

— Co ci się śni! Nie pora tobie jeszcze wprost z królem traktować. Zostaw to mnie, ja sam ci powiem, kiedy się będziesz mógł stawić... To za wcześnie!!

Nie podobało się Niemcowi to pozostawienie go na stronie, ale z Mazotinem ani zrywać, ani spierać się nie chciał, zamilkł więc. Zręczny posługacz królewski naturalnie całą zasługę zdobycia tych pożądanych wiadomości sobie przypisał przed królem.

Razem jednak z tym, co przyniósł Witke, z drugiej strony król otrzymał wiadomości potwierdzające w pełni, co kupiec słyszał od Towiańskiej, razem i przestrozę, ażeby z kasztelanową traktować, nie z prymasem, który nie inaczej jak przez nią mógł być pozyskanym. Król był niezmiernie ostrożny. Nieprzyjaciele Towiańskiej i ci, co ją dobrze znali, powiadali, że i klejnoty przepaść mogły, i pieniądze; jeśliby się nie opisano i nie zapewniono, końca by rokoszowi nie było. Radzono więc przynajmniej klejnoty Towiańskiej — pokazywać, ale ich nie dawać poty, póki by czarno na białym nie stało przy mierze, a prymas się publicznie nie pojednał.

Constantini z nadzwyczajnym uwielbieniem dla pana swego, pod niebiosą go wynosząc, zwierzył się Witkemu, że August miał pewne na podarki przeznaczone klejnoty podwójne, zupełnie podobne sobie na pierwszy rzut oka, ale jedne z nich fałszywe były i bez wartości, drugie istotnie cenne.

Król więc August wnosił, aby pani Towiańskiej dla rozłakomienia pokazać fałszywe, bodaj jej powierzyć je, ale prawdziwych nie dawać, ażeby skończono układy.

Witkemu się to nie bardzo podobało.

— A nuż się na tym poznają? — odparł. — Wstyd by było panu naszemu, że w jego imieniu śmiano fałszywymi się popisywać...

— Czy to tam ta baba, która pono nigdy nie widywała takich precjozów — odparł Constantini — ma się na nich znać? albo będzie jubilera pod ręką miała?

Gorzej by było, gdyby pochwyciła drogocenne klejnoty, a my się nawet o nie nie śmieli dopominać!!

Constantini więc przy tym stał, aby Witkę fałszywe kamienie zabrał z sobą dla zaoskromienia nimi Towiańskiej. Potrzeba słuchać było. Naśladowanie to zresztą tak doskonale było wykonane, że tylko oko znawcy mogło dojść fałszu...

Kupiec odebrał zlecenie ukazać tylko klejnoty, ale ich nie dawać z rąk, a co najdłużej na dwadzieścia cztery godziny je powierzyć Towiańskiej.

Do zawarcia z prymasem przymierza i targowania się z nim o okup sumienia miał być ktoś znaczniejszy wyznaczonym... Witkę tylko pole przygotowywał, co w istocie najważniejsze było. Król stu tysięcy talarów dać nie chciał, ale na trzy czwarte tej sumy się zgadzał, a klejnoty dla kasztelanowej przeznaczone miały mieć wartość przez nią oznaczoną.

Wszystko to, wielce pożądane Augustowi, zrobił w jego przekonaniu nieporównany, nieprześcigniony Mazotin... Król go za uszy targał śmiejąc się i pieśczośliwie zwał wielkim *ladrone*... Pysznił się kamerdyner, radował August, rósł w łaskach Włoch, o Witkiem ani mowy nie było...

Zaledwie instrukcję otrzymawszy, kupiec na powrót się puścił do Warszawy, chociaż z tej swej wycieczki niekoniecznie rad, bo się spodziewał króla widzieć, a wcale nie przewidział, że mu fałszowane dadzą precjoza... O tym myśląc, twarz mu się krwią zalewała. Uczciwa jego, kupiecka natura wzdrygała się na myśl posługiwania fałszem, chociaż był on tu tylko użyty dla zabezpieczenia od oszukaństwa. Ale nie chciało mu się wierzyć, aby pani kasztelanowa, siostra prymasa, pomimo swego grubiaństwa wielka pani, należąca do arystokracji, zdolna była popełnić, o co ją posądzano. Z pewnym wstrętem jechał niemal upokorzony, przemyślając nad tym, że drogą, którą go Constantini prowadził, niedaleko zająć może i że lepiej by ją rzucić było...

Lecz jak w bardzo wielu wypadkach tak i z nim się działo, że dawszy się pochwyć i wciągnąć raz, z trudnością się mógł wycofać nie narażając.

Bał się Mazotina...

Pierwsze chwile w Warszawie poświęciwszy Renardom i Henriette, która także trzymała go w niewoli, musiał wybrać się do Łowicza, bo nie miał czasu do stracenia, a król był niecierpliwy.

Ci, co go tu już widzieli na sekretnym posłuchaniu u Towiańskiej, spieszenie mu wyrobili przyjęcie i kasztelanowa, która się ubierała na jakieś przyjęcie gości, wyszła do niego bez ceremonii, zaledwie się płaszczykiem okrywszy, z włosami rozrzuconymi, w przydeptanych trzewikach, podobniejsza do starej ochmistrzyni niż do siostry księcia Kościoła.

Zmierzyła go badającymi oczyma, a że pudełka z klejnotami z trudnością się ukryć dawały, domyśliła się zaraz, z czym przychodził, i ledwie się wstrzymała od tego, ażeby mu ich z rąk nie wyrwała, tak pilno jej było.

— No, z czymże acan przychodzisz! mów — zawołała — czasu nie mam...

— Ja też nie mogę nim szafować — odezwał się Witkę. — Trafiłem różnymi drogami do przyjaciela króla, do Flemminga... Król August, jak był, tak jest za tym, aby szkody i straty indemnizować, ale i dla niego też czasy ciężkie, co przewidywać było łatwo... Wyśle król wkrótce bardzo poważnego posła dla układów i sądzę, że jego propozycje zostaną przyjęte... Coś księżę kardynał musi spuścić...

Towiańska zatrzepała rękami.

— Nic może! nie może! — krzyknęła — ale zresztą niech się układa, jak chce... ja tam nie wiem, a ze mną co będzie?

— Król dla pani kasztelanowej nie chce być skąpym — rzekł Witkę — i owszem, gotów szczodrym się okazać... Klejnoty, które dla niej przeznacza, wysokiej ceny... z pewnością warte będą tego, co pani mieć sobie życzyłaś...

Towiańskiej oczy zdawały się wyskakiwać z powiek.

— Znaczniejszą ich część — mówił dalej Niemiec — powierzono mi dla pokazania... ale nie mam prawa z rąk ich puścić, tylko dano mi je, byś się pani przekonała, że król na serio o tym myśli.

O mało z rąk mu pudełek nie wyrwała Towiańska, taka ją paliła ciekawość. Witkę jakby na przekór flegmatycznie zaczął pudełka rozkładać na stole.

Wielce kunsztowna oprawa i doskonałe naśladowanie kamieni w niej zawartych w pierwszej chwili tak zachwyciły kasztelanową, iż stanęła osłupiała.

Kosztowne kanaki, naszyjniki, pas, kolce, diadem błyszczały ogromnymi szmaragdami i topazami.

Nauczony o cenie tych wyrobów, Witkę z kolei wymieniał wartość każdego z nich.

W Towiańskiej, po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, obudziła się nieufność. Nie przypuszczała fałszu i na myśl tę nie wpadła, ale posądzała, że przeceniono te precjozy.

Sama ona nie bardzo z takimi rzeczami była obeznana.

— Ano! piękne, piękne — zawołała powstrzymując się od pochwał — ale lichy wie, ile to może być warte. Ja się na tym tak dalece nie znam.

— Przecież król... — wtrącił Witkę.

— A! co tam król — odparła — czy on tam o wszystkim wie i rozporządza sam... Jego razem i mnie mogą jubilerowie oszukać. Ja nikomu nie wierzę.

— Na sprawdzenie wartości czas będzie później — rzekł kupiec — mnie tylko pani pokazać to zlecono.

— Dajże mi się w nich choć kilka godzin rozpatrzeć — poczęła natarczywie kasztelanowa. — Właśnie mam w gościnie Lubomirską, podkomorzynę koronną, ona to się lepiej na tym zna niż ja, a jest naszą bliską krewną. Pokażę jej, nikomu więcej, słowo daję, nikomu więcej. Waćpanu każę dać kwatery w zamku, przenocujesz, klejnoty oddam jutro.

— Nie kazano mi ich z rąk puścić, nie mam prawa — odparł Witke.

Towiańska z błagalnego tonu przeszła natychmiast w gniew.

— Cóż to ja nawet na tyle wiary nie mam, aby mnie na kilka godzin powierzyć klejnoty? Nie przywłaszczę ich sobie przecie.

— Ja jestem sługą i spełniam rozkazy — dodał Niemiec.

— Musiałeś je źle zrozumieć — ciągnęła dalej Towiańska — nie może być, aby mnie, senatorowej, okazywano nieufność.

Witkę nie wiedział, co począć, gniewała się, fukała, rzucała. Koniec końcem tak go znużyła, że pomyślał, iż niebezpieczeństwa nie było w powierzeniu na kilka godzin rzeczy nie mających nadzwyczaj wysokiej wartości. Nie zdawało mu się też, ażeby na fałszu Towiańska poznać się miała, bo oglądając unosiła się najbardziej nad kamieniami bardzo niezgrabnie naśladowanymi. Nadchodził wieczór, a nazajutrz do dnia ofiarowała się zwrócić wszystko.

— Pani kasztelanowo — rzekł w końcu — pani mnie zgubić nie zechcesz.

Zaczęły się targi, prośby, nalegania tak nieznośnie napastliwe, że znużony nimi Witkę w końcu, rozmyśliwszy się, do następnego poranku zgodził się dla rozpatrzenia pozostawić przywiezione klejnoty. Nie czyniłby był tego pewnie, gdyby nie wiedział, że podrabiane były.

Przywołano natychmiast marszałka dworu prymasa, niejakiego Skwarskiego, i kasztelanowa zdała mu gościa swego, upominając, ażeby jak najlepiej był przyjęty i umieszczony. Skwarski, mrukliwy jakiś i kwaśny człek, popatrzwszy na Witkego spode łba, zabrał go z sobą.

Tymczasem kasztelanowa dostała gorączki, zamknęła powierzone precjoza i co najprędzej się ubierać zaczęła.

Rozdział ósmy.

Kasztelanowa Towiańska nierychło ochłonęła z wrażenia, jakie na niej widok tych kosztownych uczynił klejnotów. Przywiezienie ich samo miało znaczenie wielkie, układy więc przychodziły do skutku. Prymas za jej pośrednictwem miał otrzymać, do czego się dobijał. Znaczenie jego miało się wzmóc. Spodziewał się innych pozbyć doradców i opanować króla. Kasztelanowa nim rządzić się gotowała. Nawykły był jej ulegać.

Zawracała się głowa jejmości, która sobie przypisywała tak szczęśliwy obrót okoliczności. Pomimo tego upojenia jednak musiała być ostrożną.

Przyszło jej na myśl w tej chwili, że z Warszawy przywieziony jubiler mitrę arcybiskupią starą właśnie, pod nadzorem i strażą w pałacu zamknięty, przerabiał. Klasnęła w ręce z radości, że się tak wszystko dziwnie pomyślnie składało.

Jubiler, chrześcijanin, mieszczanin warszawski, którego już trzy czy cztery pokolenia do cechu należały, człowiek stary, majątny, uczciwy, niejaki Mrużak, głoszony był jak wielki znawca w złotniczych rzeczach. Nieraz go już do koronnych insygniów reperacji i oceny ozywano, gdy je zastawiać przychodziło.

Postanowiła go wezwać. Musiała się jednak śpieszyć, bo i na obiad jako gospodyni w domu brata wyjść musiała, i Lubomirską młodą, krewną swą, wielką podkomorzynę koronną, miała w gościnie, i dni były krótkie, a wieczór niesposobny do oglądania kamieni, które często kolor mieniały przy świetle.

Umiała jednak wszystko to pogodzić w ten sposób, że u stołu kazała się zastąpić synowej pod pozorem jakimś, jedzenia się wyrzekła, a tylko dwa talerze rosołu spożywszy prędko, gdy wszyscy zasiedli jeść, ona Mrużaka do siebie wezwała.

Stary jubiler rządzącej się tu szarej gęsi nie lubił, dokuczała mu już niemało w różnych targach, ale wiedział, że ona tu więcej od prymasa znaczyła, poszedł przeklinając po cichu, a obiecując sobie od baby sekutnicy jak najprędzej się uwolnić.

Towiańska w swoim gabinecie przyjęła go z niebywałą nigdy uprzejmością. Poczęła od tego, że go o sekret zaklęła i zażądała, aby jej klejnoty wskazane ocenił. Jedne po drugich drzwi zamknawszy, wydobyła z szuflady pudełka i zwycięskim wzrokiem mierząc Mrużaka domagała się jego zdania.

Stary zabrał się do dzieła sumiennie, stolik kazał do okna przystawić, dobył szkła powiększające i rozpatrywać się począł. Zrazu zaimponowały mu te misterne oprawy, głową pokręcał, nie mówił nic, jakby zdumiony.

Nagle jakieś podejrzané łamanie się światła zwróciło jego bacność, bliżej zaczął badać i jakby skamieniały siedział chwilę, powtórnie wziął się do egzaminu i znowu, ruszając ramionami, dumął głęboko.

— Pozwoli mi jaśnie wielmożna kasztelanowa zapytać się, czy klejnoty te już nabyła.

Towiańska odparła żywo:

— Nie jeszcze, ale mi je tanio chcą sprzedać.

Mrużak się uśmiechnął, dumął znowu, ciężko mu było coś powiedzieć.

— Co to wszystko razem wzięte warto? — nalegała Towiańska — mniej więcej.

— Hm! — po długim namyśle rzekł jubiler, szkła chowając do kieszeni. — Hm! klejnoty te mało co więcej warte nad to, co oprawa misterna... Kamieni czeskich siła, szkła dużo, prawdy w nich mało.

Kasztelanowa krzyknęła na głos, łamiąc ręce.

— Co się waćpanu w głowie pomieszało! — zawołała — to nie może być. Ja wiem, skąd one pochodzą.

— Choćby i ze skarbcza koronnego — rzekł z przekąsem Mrużak — albo z zakrystii gnieźnieńskiej, niemniej to są podrabiane karbunkuły, których część największa żadnej wartości nie ma.

Stanowczy ton, z jakim wyrok ten wydał Mrużak wstając od stołu, kasztelanową wprowadził w stan nie do opisania.

Gniew, wściekłość, przestach jakiś ją ogarnął. Widocznie drwiono z niej sobie. Król mógłże w ten sposób chcieć ją oszukać? W pierwszym momencie oburzenia chciała kazać wziąć pod straż i uwięzić Niemca, rozgłosić sprawę, ale rozmysł zmusił ją do pomiarkowania.

Powściągnęła wybuch gniewu.

— Pewno to acan twierdzisz? — spytała zimniej.

— Tak pewny jestem tego, jak. żem żyw — odparł złotnik. — Zęby na tym zjadłem, a toć przecie tak jawne, że wielkiej mądrości nie potrzeba, aby się tego dopatrzeć. Prawda, że złotnicza robota tak piękna, iż najdroższych kamieni warta i siedzieć one w niej musiały, ale dziś...

— O! ja zaraz to spostrzegłam — przerwała Towiańska — i właśnie dlatego acana wezwała.

Mrużak się skłonił i już ku drzwiom kroczył. Nie zatrzymywała go już kasztelanowa. Pierwszą myślą jej było klejnoty do rana zachować, pochwalić się nimi przed Lubomirską, ale oburzenie nie dało jej czekać do jutra. Natychmiast posłała po Witkego, który ledwie do stołu marszałkowskiego miał zasiadać.

Tknął go ten pośpiech, wysunął się frasobliwy. W gabinecie, z policzkami jakby krwią oblanymi i trzęsąc się cała, oczekiwała na niego siostra prymasa. Klejnoty w pudełkach i powyrzucane z nich leżały na stole.

Wskazała ręką dumnie na nie.

— Zabierać mi to natychmiast i precz stąd! — krzyknęła. — Jedno z dwojga, oszukaństwo albo drwiny, a ja ani jednego, ani drugiego nie nawykłam znosić. Rozumiesz waćpan?

— Wcale nie rozumiem — rzekł śmiało Witke — proszę mi wytłumaczyć...

Kasztelanowa parsknęła gniewnie.

— To są szkła i fałsze — poczęła głos podnosząc — chcieliście mnie wziąć na plewy! alem ja nie w ciemię bita... wiem, że Niemcom na słowo ich wiary dawać nie można.

— Za pozwoleniem — przerwał Witkę. — Niech pani kasztelanowa rozważy naprzód, czy tu jest się gniewać za co. Ja pani tych klejnotów nie przywożem oddać, ale pokazać. Rzecz cała tylko dla mnie się w sposób najprzykrzejszy tłumaczy. Że też pani tego nie rozumie, iż snadź mnie prawdziwych a tak kosztownych precjozów powierzyć się obawiano i dlatego dano mi podrobione. Jam się gniewać za to powinien na królewskie sługi... Pani z pewnością nikt oszukiwać nie chciał, bobyś się podejść nie dała.

Rozumowanie to i wielce zbiedzone oblicze pośła, który pokornie zgarniał pudełka, dało do myślenia Towiańskiej. Ochłonęła nieco.

— Toś acan nie wiedział, co wiozłeś? — zapytała.

— Gdybym się domyślał, nie podjąłbym się z tym jechać — rzekł sucho i zimno Witkę obliczając pudełka i sprawdzając, co w nich było. — Ja się więcej w żadne już pośrednictwa wdawać nie chcę i nie myślę...

Tym szczęśliwym zwrotem ułagodziwszy kasztelanową, ale sam podrażniony i gniewny, Niemiec się zabierał opuścić nie tylko pokój, ale i Łowicz, nie powracając już do marszałkowskiego stołu. Domyślając się tego stara jejmość pożałowała porywczosci swojej...

— Waćpan się na mnie też gniewać nie powinieneś — odezwała się łagodnie — bo i ja obrażona jestem... Mówisz sobie, że waćpanu nie dowierzano, a ja też mogę powiedzieć, że we mnie ufności nie miano.

Poruszyła ramionami.

— Opowiadacie o wielkiej szczodroblewości i szlachetności waszego króla — dodała — a toż królewska rzecz takimi się podstępami i wykrętami posługiwać?

— Ja też o to Jego Królewskiej Mości nie obwiniam ani mu przypisuję tego postępkę — odezwał się Witkę. — Sprawa to być musi podrzędnych sług, z którymi miałem do czynienia, a król o niej nie wie...

— To pewna teraz — rzekła Towiańska — że gdyby do układów przyszło, ja bez jubilera od króla waszego nic nie wezmę... Jaki pan, taki kram... dobre ma sługi.

— Zasłużyłem może w przekonaniu pani, abyś mnie do nich policzyła — przerwał Witkę z pewną rezygnacją dumną — alem pani już mówił i powtarzam to raz jeszcze, że w służbie króla nie jestem...

— Dla mnie waćpan zawsze sługą jego jesteś — odparła Towiańska — boś mu tu służył i dobrze na tym wyszedłeś...

Poczęła się śmiać, gdyż gniew jej powracał.

— Od początku do końca wszystko u was na kłamstwie i na obłudzie stało i stoi... Dąbski bezprawnie go okrzyknął, garść samozwańców poszła go witać w imieniu Rzeczypospolitej. *Pakta konwenta* ten skradł, kto podpisał, po koronę się do skarbcza włamywać przyszło, a na zamek okupem się dostać.

Rzuciła ręką.

— Bywaj waćpan zdrów. — Wtem głos jej złagodniał. — Dlatego gdyby potrzeba było porozumieć się ze mną, liczcie, że brat beze mnie nic nie zrobi, dlatego waszmość się nie zrażaj, możesz przyjechać i mówić ze mną... ale mi kłamstwa nie przywoż, bo my się na farbowanych lisach znamy.

Gdy Witke nic na to jakoś nie odpowiadał, kasztelanowa jeszcze uprzejmiej dodała w końcu:

— W takich sprawach gniewu nie masz... Będiesz miał z czym, przybywaj... ja szparka jestem, ale ze mną do ładu przyjść można. Rankoru w sercu nie chowam.

Kupiec nie mając już co odpowiadać pokłonił się grzecznie a zimno i wyszedł. Co się z nim potem działo, gdy do gospody powrócił na nocleg, a nazajutrz puścił się do Warszawy, trudno opowiedzieć. Wszystkie jego zamiary, plany, myśli ambitne zdawały się wniwecz obrócone. Wiedział teraz dopiero, że uczciwemu a sumiennemu człowiekowi w te konszachty z ludźmi luźnego sumienia wdawać się nie było podobna. Chciał rzucić wszystko, powracać do matki i skromny swój ojcowski handel dalej powoli prowadzić. Wyrzucał sobie nierozsądną ambicję, która go na straty i na upokorzenia narazić miała.

Ale zaledwie rozumne to postanowienie uczyniwszy, Witke natychmiast go żałować zaczynał. Nie chciało mu się porzucać zasnutego dzieła i zrażać

pierwszym niepowodzeniem, a raczej nieprzyjemnością doznaną. Być może też, iż wdzięk Henrietki, słabostka dla tego dziecka do Warszawy go ciągnęła.

Nim z Łowicza się do stolicy dostał, po kilkakroć zmieniał przekonanie. Chciał powracać do Drezna i zostawał w Warszawie, rumienił się doznany zawodem i tłumaczył tym, że on go przewidywał, a Constantini sam był winowajcą i sprawcą. W tej walce z sobą niesłuchanie zmęczony dobił się nareszcie do gospody, ale tak się uczuł złamanym, że listy tylko do Mazotina przygotowawszy już się dnia tego nie ruszył z domu, choć go bardzo do dziewczęcia ciągnęło...

Constantiniemu w niewielu słowach, z żalem do niego, opisał swą całą przygodę czyniąc mu srogie wymówki, że go na taką sromotę naraził, przy czym i na króla samego cień podał a podejrzenie, że mógł się takimi posługiwać środkami, samemu sobie nie mógł przebaczyć, iż się dał na takie namówić oszukaństwo.

A choć i w istocie nie miał na myśli zrywać i wyrzekać się dalszych stosunków z kamerdynerem królewskim, w liście się wyrażał tak, jakby z dalszych usług chciał się uwolnić.

Wypocząwszy, potem poszedł do Renardów, gdzie go jak zawsze wielce serdecznie przyjęto. Renard sam przynaglał, ażeby czasu nie tracił i coś postanowił na przyszłość, ofiarował mu swe usługi i Warszawę tym razem mu zalecał.

Nad całą jego jednak wymowę oczki śmiejące się Henriety wymowniej przemawiały... ale Witke chwiał się jeszcze. Przez samą miłość i poszanowanie dla matki bez niej nic stanowczego przedsiębrać nie chciał. A tu mu się do niej wyrwać tak ciężko było!

Bardzo prędko przez królewskie kresy przyszła od Mazotina odpowiedź krótka i nakazująca.

Przybywaj waćpan co najprędzej do Krakowa i przywoź z sobą powierzone klejnoty.

Raz z Włochem skończyć było potrzeba. Nazajutrz Witkę pożegnał się z Renardami i zgryziony a upokorzony powlókł się na powrót do Krakowa.

Podróż go rozweselić nie mogła, szczególnie gdy się ku stolicy zbliżył, około której wojska saskie były rozłożone. Wyprowadzono na okaz, na placu monstry (musztry); świeżo poubierane, na pozór karne, wyglądały one bardzo ładnie i

elegancko, ale potrzeba czytać świadectwa współczesnych, ażeby mieć wyobrażenie o stanie rzeczy wistym, o rozpasaniu starszyzny, nędzy prostego żołnierza, niegodziwym wypotrzebowaniu go przez oficerów, po całych dniach i nocach oddanych pijaństwu, kosterstwu i rozpuście.

Dopóki król nie został ukoronowany, dowódcy mieli najsurowsze rozkazy, aby ciurów trzymali w ryzie, bo za spokojne ich zachowanie się odpowiadali. Nie dopuszczano gwałtów. Natychmiast potem, gdy król już był pewny tronu, wszystko się zmieniło i żołnierz zaczął dokazywać jak w zawojowanym kraju. Ze wszystkich miejsc, w których wojska rozłożone były, skargi, lamenty, narzekania się posypały. Sasi wprost napadali na dwory, do szczętu niszczyli włości, rozrywali stogi, rozkradali brogi, włamywali się do stodół i spichrzów. Skargi nie pomagały, przenoszono winnych na inne stacje, gdzie się toż samo ponawiało.

Witkę w ciągu podróży sam, że był przebrany po polsku, o mało nie został odarty i ledwo się swą niemczyzną obronił, a najzuchwalszych nadużyć i przekleństw napatrzył się i nasłuchał.

Gotowała się straszliwa burza przeciwko tym rozpuszczonym wojskom saskim. Naradzano się już, na jaką je granicę przeprowadzić, skąd skargi i krzyki nie dochodziły.

Tam gdzie Sasi stali, toczyła się niemal wojna między nimi a mieszkańcami; szlachta, gdy ich mogła pochwycić w małej liczbie, zabijała i topiła.

Opatrzono się też, że król Sasami zamek krakowski obsadził, i podejrzania rosły, że z nimi chce opanować całą Rzeczpospolitą. Dopomagało to rokoszanom.

Na pozór coraz lepiej stojąca sprawa Augusta w istocie znajdowała teraz przeciwników w tych nawet, co Augusta na tron prowadzili. Zaczęto się dopatrywać tego, że zadanie, jakie wziął na siebie, przechodziło siły jego.

Zdając się to na Flemminga, to na Przebendowskiego, sam on myślał tylko o rozrywkach, o świetnych występowaniach z przepychem, o rozrywkach coraz nowych, pił i swawolił. Sądząc, że to, co zamierzał, samo się jakąś siłą cudowną dokona.

W rozmowach rozwijał najtrafniejsze pomysły, najpiękniejsze plany, nie już poprawy, ale przekształcenia zupełnego Rzeczypospolitej, połączenia jej z Saksonią, stworzenia silnej monarchii. Ale na słowach i marzeniach, na pozyskaniu pojedynczych ludzi wszystko się kończyło. Przed innymi sprawami

szły kobiety, biesiady, polowania, turnieje, popisy z siłą i zręcznością. Rzadki był dzień kończący się już nie na trzeźwo, ale bez zupełnego upojenia gości i gospodarza. Poważniejsi ludzie coraz smutniejsze okazywali oblicza.

Przybywszy do Krakowa, zrażony i zniechęcony Witkę pospieszył do Mazotina, który go, dąsając się, przywitał wymówkami:

— Co!!! Sameś winien wszystkiemu! — zawołał. — Nie trzeba było klejnotów z rąk puszczać, przestrzegałem, ani się dać zbyt w nich rozpatrywać! Gdybyś postąpił, jak chciałem, nie mieliby czasu w klejnotach fałszu dochodzić, ale z waszeci nowicjusz.

— Ano, do takich spraw w istocie jestem nowicjusz — rzekł rozgniewany kupiec — bom nawykł prostą chodzić drogą i nigdy nie kłamać. Mniejsza z tym, żem się sromać musiał, ale i sprawie królewskiej zaszkodzić to może.

Constantini mu się w nos rozśmiał.

— O, prostaczku ty! — zawołał — cóż to ty myślisz, że król na siebie weźmie to, co sam skomponował. Powie, żem ja winien, i ukarze mnie, a ja złożę na ciebie i skrupi się zawsze na najmniejszym. Gdyby się tylko rozgłosiło o fałszywych brylantach... powiedzą, żeś ty je dla zysku podstawił i chciał przywłaszczyć, i temu więcej uwierzą, niż żeby król miał coś podobnego wymyślić...

Witke się uklonił składając na stole pudełka.

— Dziękuję wam za naukę i będę z niej korzystał — rzekł. — Wdałem się w nie swoje rzeczy, powrócę do handlu... Nie widzę, co bym zyskał na takich posługach. Uda się, wam to przypiszą, pośliznie się noga, ja odpokutuję...

Chciał już odchodzić, ale Constantini go oburącz za kołnierz chwycił i nie puścił.

— Tak się to skończyć nie może! — zawołał — i króla, i siebie musimy oczyścić. Tym razem dam waszmości też same klejnoty, ale z prawdziwymi kamieniami. Zawiesziesz je do kasztelanowej i domagać się będziesz, aby je oszacowano, okaże się, że Towiańska oczów nie miała i potwarz na nas rzuciła.

Witke zgodził się na to, dogadzała mu ta rehabilitacja. Nie dłużej nad dni dwa czekać musiał, aby w tę samą oprawę wstawiono wyjęte drogie kamienie. Na oko były to też same naszyjniki, kolce i diademy, ale teraz były one warte około dwudziestu kilku tysięcy talarów...

Constantini tylko zalecił, aby Witkę kosztownego depozytu z rąk nie puszczał. Ciągłe to podróżowanie zmęczyło już i znudziło Niemca, musiał jednak raz jeszcze poselstwo sprawić dla oczyszczenia się. A że gościńce nie bardzo były pewne, przyłączono go do wozów królewskich, które szły pod eskortą do Warszawy, dokąd się i sam August wkrótce wybierał. Nie było jej komu bronić i potajemnie zapewnione miał zdanie zamku, cekhauzu i wszystkiego. Czekano tylko na dokończenie z prymasem układów. Witkę ponieważ żałował, że się tak zaplątał, iż teraz z więzów wyswobodzić się było mu trudno. W Warszawie prawie nie spoczawszy wyruszył do Łowicza.

Chociaż z panią kasztelanową nienajlepiej się rozstali, gdy o nim oznajmiono, natychmiast wielce zaciekawiona wpuścić go kazała.

— Cóż to waszmości sprowadza? — zapytała żywo, podchodząc.

— Usprawiedliwienia się potrzeba — odparł Witkę. — Pani kasztelanowa osądziła te klejnoty fałszowanymi, tymczasem ci, co mi je powierzyli do okazania, ręczą za nie, a ja żądam wezwania tu choćby dziesięciu złotników, którzy się na tym znają... Ślepy był, kto się w nich fałszu dopatrzył...

Towiańska się rozgniewała.

— A to mi dopiero historia! — krzyknęła.

Pobiegła do drzwi niespokojna.

— Prosić do mnie Mrużaka... natychmiast.

— Choćby nie jednego, ale ilu ich pani zechce, byle takich, co oczy mają — rzekł Witke.

Począł potem uskarżać się na doznane z tego powodu nieprzyjemności i domagać się koniecznie *expertum vivum*.

Na bardzo rozognioną rozmowę nadszedł złotnik, ale zaledwie usłyszał, o co idzie, poruszył ramionami.

— Nie mam co drugi raz patrzeć — odezwał się — bo com powiedział, to trzymam.

— A ja stawię gardło — zawołał Witkę — że tego nie dowiedziesz...

— Jest przecie drugi mój towarzysz, także doświadczony człek — odezwał się Mrużak — niechaj on przyjdzie.

Posłano po owego towarzysza, także niemłodego już człowieka, flegmatyka, który słynął z tego, że złoto w jego rękach wszelkie kształty przybierało, jakie zamarzył, bo z niego plółł, tkał, wyciągał, co zamarzył, a szczególnie kwiaty robił bardzo piękne. Zwano go Padniewczykiem.

Mrużak, sam już nie chcąc nawet drugi raz się rozpatrywać, szepnął mu, o co chodziło. Poszedł Witkę z nim do stołu pod okno i z kolei począł pudełka otwierać.

Nastąpiło milczenie, pani Towiańska zbliżyła się także do rozpatrujących.

Padniewczyk, który pono ze starszym mistrzem w konflikt nierad był wchodzić, długo nie mówił nic, brał, patrzył, obracał, kładł, wzdychał, głową potrząsał.

— No, a cóż? — śmiejąc się spytał pewien siebie stary — a cóż?

— Jam tu dotąd fałszu żadnego nie napotkał — odezwał się Padniewczyk — jak Bóg miły, nie widzę albow ślepy...

Żywo podbiegł Mrużak chwytając pierwszy lepszy naszyjnik, który dobrze pamiętał, bo w nim szafiry duże były jawnie podrabiane.

Ale tym razem wpatrzywszy się osłupiał i przeżegnał się.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał — oprawa też sama, ale kamienie...

— Także też same — dodał Witkę z przekąsem — tylko dziś oczy inne. Patrzajcież ichmość i rozpatrujcie dobrze, abym czysty był.

Mrużak się pięścią buchnął w piersi.

— Jam się omylić nie mógł — krzyknął. — Patrżze w. mość na siwą głowę moją. Cóż to mnie po raz pierwszy z kamieniami i perłami do czynienia mieć?

Oba złotnicy pospuszczali głowy, podobywali szkła, poczęli próbować twardości kamieni. Mrużak pootwierał wszystkie pudełka i zamilkł.

— Szatańskie to jakieś sprawy są — odezwał się z westchnieniem — nie wiem już, co mówić... Ja sam dziś nie przeczę, że tu fałszów nie ma, ale tak samo przysięgać bym gotów, że fałsz był.

— Cóż waćpan myślisz — przerwał dumnie Witkę — że się kto będzie bawił w taką drogocenną oprawę szkła i diamenty wstawiać?

Mrużak zmilczał, odstąpił od stolika upokorzony.

— Pierwszy to raz w życiu podobna mnie kontuzja spotkała — rzekł — niech ona Boga chwali.

Padniewczyk po kolei rozpatrzył klejnoty wszystkie podziwiając już nie tyle owe karbunkuły w nich jak robotę wytrawną i misterną; przypisywał on ją Włochom.

Kasztelanowa stała zadumana.

Ona też życzyła sobie rzucić okiem na te błyskotki, których była łakoma, ale Witkę bardzo skrzętnie natychmiast wszystko w pudełka układał i zamykał.

— Jeżeli pani kasztelanowa życzy sobie — rzekł na ostatku — gotowym poddać te klejnoty każdemu znawcy, jakiego wyznaczy.

Mrużak wyszedł gniewny, nie czekając, aby go obwiniono.

— Złotnik się omylił — dodał Niemiec — a jam za niego odpokutował.

Milczała zmieszana kasztelanowa, cała ta przygoda w głowie się jej jakoś pomieścić nie mogła. Chciała się coś dowiedzieć o dalszych układach, ale Witkę złożył się z tym, że nic nie wie, że mu nie dano żadnego zlecenia, od niechcienia tylko niby dodał, że król się bardzo prędko ze wszystkimi panami senatorami u boku jego będącymi wybiera do Warszawy.

— Jak to? nie czekając na to, aby się z bratem moim porozumiał? — zapytała.

— Nic nie wiem — rzekł Witkę. — Być może, iż pewny jest, że prymas widząc, jak się składają rzeczy, króla uzna, a rokosz rozwiąże.

Kasztelanowa śmiać się poczęła.

— Ja jeszcze o tym nie wiem nic — odparła. — Król przecież krok jakiś uczynić musi, bo on nas potrzebuje...

Słów tych domawiała Towiańska, a Witkę stał przygotowując się do wyjścia, gdy boczne drzwi pokoju, w którym się znajdowali, ostrożnie się i cicho otworzyły i zza nich, nadzwyczaj wdzięcznie ufryzowanymi włosami otoczona, ukazała się zachwycająca twarzyczka, po której różanych, małych usteczkach krążył uśmiech figlarny. Zjawisko to nawet obcego tu zupełnie Witkego wstrzymało nieco, tak było pociągające, taki urok miał wzrok i wyraz nęcący tej młodziuchnej jeszcze, ale śmiałej istoty. Zalotność naturalna, nie wymuszona, tak zdawała się właściwą temu obliczu, iż bez niej pojąć by go nie można było. Ciemne, przysłonięte tajemniczo powiekami i długimi rzęsami oczy, buzia koralowa, przeglądające spod warg perłowe ząbki, całość tych rysów, raczej wdzięcznych niż pięknych, wyzywała i przykuwała.

Kasztelanowa Towiańska, jakby zjawienie się gościa tego wcale jej nie było przeszkodą do otwartej rozmowy z Witkiem, nie przestała mówić i nie przeszkodziła zaglądnącej ciekawej pani wsunąć się poufale do pokoju.

Była to niewielkiego wzrostu, ale nadzwyczaj kształtnej, gibkiej postaci osóbką, której strój wykwinny i śmiałość ruchów świadczyły, że już zamężną być musiała. Nóżki, rączki, które umiała uwidocznic, jakby od posągu greckiego były zapożyczone, choć rysy twarzy wcale klasycznymi się nazwać nie mogły, miały one jednak więcej niż to, co daje nieposzlakowana rysów prawidłowość: życie, wdzięk, urok niezwykły.

Weszła na paluszkach, śmiejąc się, trochę roztrzępana umyślnie, dla nadania sobie życia, z kolei wpatrując się to w Towiańska, to w przystojnego mężczyznę, którego miała przed sobą. Bo chociaż łatwo było odgadnąć, że położenie towarzyskie daleko tego młodzieńca stawiało od nadobnej pani, nie omieszkała go oczarować strzeliwszy do niego parę razy wzrokiem śmiałym razem i omdlewającym.

Witkę jak przykuty stał myśląc w duszy: „Czarodziejka”...

Towiańska, nadąsana, usiłowała się jej uśmiechać, ona całą baczością swą zwróciła na Witkego. Jawne było, że kasztelanowa dla niej nie miała tajemnic i że to być musiał ktoś należący do rodziny kardynała.

Tak było w istocie, natrętny ten gość zwał się Urszulką Lubomirską, podkomorzyną wielką koronną. Ojciec jej, który z Francji tu przywędrował pono za Marią Ludwiką, zwał się Boucon, ożenił się on w Polsce, nazwisko

spolszczył nieco i piękna Urszulka umiała, kilkunastoletnia zaledwie, choć nie posażna i rodziny nie odznaczającej się wcale, usidlić młodego syna hetmana.

Namiętnie w niej rozkochany Jerzy Dominik Lubomirski pomimo oporu familii powiódł ją niedawno do ołtarza, ale małżeństwo państwa podkomorzych koronnych, jak głośzono, nie bardzo było szczęśliwe. Ona oskarżała męża o dumę, zazdrość, dziwactwa, tyranię, on ją o zalotność i płochość.

Piękna Urszulka śmiała się z męża, on gniewał się na nią. Po całych miesiącach nie mówili do siebie, on wymagał wyjazdu na wieś i mieszkania gdzieś w pustyni, poza światem, ona świata, życia, ruchu, wesołości i młodzieży około siebie potrzebowała.

Godzono ich rano, a wieczorem się już znów rozchodzili. Dodać wszakże potrzeba, że gdy piękna Urszulka zagniewanego męża potrzebowała przyciągnąć i przejednać, umiała to bez niczyjej pomocy dokazać. Leżał u nóg jej przepraszając. Cóż po tym, gdy niedługo trzpiot ze śmiechem odbiegł i zalotnością swą przyprowadzał go do rozpaczny.

Witkę zacząwszy się żegnać miał już odejść, gdy go Lubomirska wstrzymała.

— Czekaj waćpan — zawołała zbliżając się i z nałogu wdzięcząc do niego — czekaj waćpan! Wszak przybywasz z Krakowa! Znasz króla? Widziałeś go? Mów, myśmy nadzwyczaj ciekawi naszego młodego pana... Ja już się tam wybierałam na koronację, ale ten mąż nieznośny zawieźć mnie nie chciał!

Nie wiedząc, jak odpowiedzieć na to szczebiotanie poufałe i natrętne, Witkę stał wpatrzony w śliczną panią, głową tylko znak dał, że gotów był poddać się badaniom.

Podkomorzyna poprawiając pukle fryzury otaczającej wdzięczną jej twarzyczkę ciągnęła dalej:

— Mówią nam i portrety pokazują, że król jest młody i bardzo, bardzo przystojny, ale te portrety tak kłamią... że się stroi wytwornie, że dla kobiet jest grzeczny... Prawda to?

Witkę się mimo woli uśmiechnął.

— Wszystko to, co o królu mówią — odezwał się, już całkiem oczarowany — nie starczy... Portrety robią go starszym daleko, niż jest, a co do dam, aż do zbytku dla nich powolny.

Tupiąc nóżką, przerwała mu Lubomirska.

— Jak waćpan śmiesz mówić, że można być nadto dla nas powolnym. Ale myśmy stworzone na to, aby nas słuchano, przynajmniej dopókiśmy piękne. A że ten wdzięk nasz rychło przekwita, za to się nam tym więcej należy.

— Ale — przerwała zwracając rozmowę — ale powiedz mi pan otwarcie... Wiele król ma teraz kochanek?

Śmiałość tego zapytania zmieszała Witkego, który się zarumienił i oczy spuścił.

— Ja — rzekł zakłopotany — o żadnych nie wiem.

— A! cóż bo znowu — rozśmiała się podkomorzyna — należysz do dworu, masz stosunki na nim i nic nie wiesz! Dyskrecja to bardzo piękna, ale bądź waćpan szczery, ja go nie zdradzę. Wszakże hrabina Esterle z nim przybyła do Krakowa, więc zapewne zabierze ją z sobą do Warszawy, gdy tu zjedzie?

Kupiec tak zagadnięty potrzebował namyślić się chwilę, co miał odpowiedzieć. Nie chciał króla zdradzić, a trudno się było oprzeć tej inkwizytorce, która oczyma dobywała tajemnic z najskrytszych duszy zabytków.

— O hrabinie Esterle — rzekł w końcu widząc, że i Towiańska się przysłuchuje i zdaje się być radą temu badaniu — nie słyszałem w Krakowie. Być może, iż ją ciekawość na koronację sprowadziła... ja jej nie widziałem...

Lubomirska krok jeszcze bliżej przystąpiła, jakby chciała zbliżeniem się tym wyrzucić jeszcze silniejsze na nim wrażenie. Zniżyła głos czyniąc go słodkim i przymilającym się.

— Powiedz bo pan prawdę, wiesz wszystko — szeptała — wszak to nie pierwsza miłość króla? Bardzo on do niej przywiązany? A ona? kokietka? — Słysząc było, jak drobnymi nóżkami z niecierpliwości stuknęła o podłogę, a maleńkie rączki, pierścieniami okryte, rwały, poprawiając, koronki ubioru. Witkę choć nie mógł oprzeć się jej urokowi, nie wiedział spełna, co ma mówić.

— Niech mi pani wierzy, że nie tak jestem dobrze o tych rzeczach prywatnego życia króla uwiadomiony, abym mógł o nich mówić z pewnością. Król jest żonaty...

— At! — rozśmiała się na głos Lubomirska — wszyscy wiedzą, że bardzo szanuje żonę, ale jej nie kocha. Zresztą, on teraz katolik, a ona dysydentka, więc przez to już to małżeństwo zerwane i my królowej mieć nie będziemy...

I dziwnym, namiętym śmiechem wybuchając dodała:

— Musi tu sobie tymczasową wybrać królową! — My Esterle nie chcemy! Esterle! Esterle!

Podkomorzyna skrzywiła się i usteczka jej podniosły się pogardliwie.

— No! jakże? — nalegała — bardzo ją kocha? Mów pan...

— Nigdy w życiu nie widziałem hrabiny Esterle — rzekł wstrzymując się Witkę. — Nie pokazuje się ona w Dreźnie tak bardzo, a stąd wnoszę, że więcej o tym mówią, niż warto.

Lubomirska słuchała.

— On sobie tu musi wybrać tymczasową królową — szepnęła i wtrąciła żywo: — Cóż się stało z piękną Aurorą?

Kupiec, oniemiały, znowu wstrzymał się z odpowiedzią dla namysłu.

Hrabina Kónigsmark — rzekł w końcu — jak wszystkim wiadomo, jest zawsze w łaskach u króla.

— Choć ją tak haniebnie zdradził z tą Fatimą, a potem dla Esterle — dodała podkomorzyna, dowodząc, jak doskonale była o wszystkich króla miłostkach uwiadomiona i jak one ją obchodziły.

— Widzę — odezwał się po chwili kupiec — że prędzej bym się ja od pani mógł czegoś dowiedzieć, niż jej coś nowego przynieść. My nie podnosimy oczów do góry i wolimy nie mieszać się do serdecznych spraw Najjaśniejszego Pana. Muszę też pani wyznać, że ja do dworu nie należę, z powołania kupcem jestem...

— A! — wtrąciła żywo i porywczo Lubomirska — czymże handlujesz? Kamieniami, klejnotami? Nieprawdaż?

Witke się rozśmiał.

— Bynajmniej — począł wesoło — na tych się ja wcale nie znam.

To mówiąc, chociaż go podkomorzyna usiłowała zatrzymać i jeszcze miała na ustach natrętnie pytania, Witkę skłonił się kasztelanowej, potem pięknej nieznanym i wyniósł się co żywo, obawiając się wygadać mimo woli.

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, a Towiańska miała począć rozmowę z podkomorzyna, gdy oczekujący w przedpokoju Mrużak wszedł prowadząc za sobą kolegę Padniewczyka. Oba mieli twarze posępne i uroczyste.

— Jaśnie wielmożna pani — odezwał się nisko kłaniając Mrużak — nie chciałem przy tym jegomości sporu wszczynać... Prawdą a Bogiem, kamienie dnia dzisiejszego były drogocenne i piękne, ale pierwsze, które on tu w tej samej przywoził oprawie, na oszukaństwo, tak mi Boże dopomóż, wprawione zostały... Padniewczyk mi poświadczy, że na oprawie nawet znać świeżą dłubaninę, gdy je wyjmowano i zakładano...

— Nie moja rzecz sądzić, co to miało znaczyć — dodał — alem ja stary wyga, ja na tym zęby zjadłem, ja do szacowania klejnotów koronnych byłem wzywany, gdy je w zastaw dawano, ja się nie mogłem omylić i zbłąźnionym być nie chcę.

Głos mu drżał, tak wziął do serca przypisywaną sobie omyłkę.

Kasztelanowa ruszyła tylko ramionami, gdy Padniewczyk pomrukując potwierdził zapewnienie towarzysza.

— Wierzę, wierzę — dodała — bądź waćpan spokojny, chcieli mnie oszukać, ale się nie udało, będę ostrożna. Ale że to są bądź co bądź królewskie sługi, lepiej o tym zamilczeć.

Miała słuszość pani kasztelanowa, ale zaleciwszy milczenie Mrużakowi, sama go nie umiała utrzymać. Wiedziała o tej przygodzie piękna podkomorzyna Lubomirska, nie była ona tajemnicą dla synowej, dla prymasa, dla znaczniejszej części jego dworu, nikomu nie zalecano, aby nie rozpowiadał, co posłyszał, wieść o fałszywych klejnotach rozeszła się po kraju i rozmaite wywołała sądy. Towiańska się nie bardzo sromała tego, że wymagała porękawicznego, które było w obyczajach, i nikt się nie taił, kto go wymagał, daleko mocniej to ją obchodziło, że mogła być zawiedziona i oszukana. Witke w przekonaniu, że naprawił popełniony błąd, wrócił trochę spokojniejszy do Warszawy.

Rozdział dziewiąty.

Aż do nowego roku 1695 na pozór się mało zmieniło położenie; potajemnie toczyły się układy z główniejszymi przywódcami rokoszu, zapewniano, że prymas nawet został pozyskany i że piękna podkomorzyna Lubomirska, nie wiadomo jakim sposobem, wmieszała się w to pojednanie i grała w nim pewną rolę, pomimo męża i podobno jego wiedzy.

To pewna, że głośno przy każdej zręczności wyrażała się z najwyższym uwielbieniem o pięknym, o miłym, o niezrównanie uprzejmym dla kobiet królu Augustie. Nie ulegało wątpliwości, że widywać go musiała, była nim zachwycona, ale wzdychała do tej chwili, gdy otwarcie i jawnie będzie mogła zabrać z nim bliższą znajomość. Usposobienie to pięknej Urszulki tak było na rękę i prymasowi, i Towiańskiej, że nie tylko jej nie powstrzymywali w tych zapalach, ale zdawali się podburzać i rachowali na czarodziejkę, aby wpływ, jaki pozyskać miała, na korzyść swoją obrócić.

Wielce zazdrosny młody Lubomirski nie wiedział ani o tych zabiegach żony, ani o jej uwielbieniu dla króla.

Tymczasem pozyskawszy sobie łagodnością i wielce zręcznym pobłażaniem Sobieskich, biskupa Załuskiego, Lubomirskiego też z rodziną jego, przygotowawszy pojednanie dwóch na Litwie walczących stronnictw: Sapiehów i szlachty, król August już się nie wahał przedsięwziąć podróży do stolicy.

Na skargi i żale przeciwko nadużyciom wojsk saskich, których wyprowadzenia z kraju natarczywie się domagano, król zręcznie bardzo odpowiedział rozkazem przenoszącym ich do Prus, skąd nie tak łatwo krzyki dochodzić mogły i szlachty mało- i wielkopolskiej nie obchodziły już tak mocno.

Cały liczny i wystawny swój dwór, wszystkie okazałości jego, stroje i błyskotki August przewoził do stolicy, w której Mazurom chciał się pokazać równie świetnie jak w Krakowie Małopolanom.

Zawczasu się upewniono, że dowodzący na zamku w Warszawie zda go bez oporu saskiej gwardii, która królowi towarzyszyła...

Cały ten dosyć powolny pochód od jednej do drugiej stolicy był jakby triumfem dla Sasa, który teraz mógł sobie pochlebiać, iż tak dobrze począwszy, dalej już żadnych groźnych do przełamania nie znajdzie trudności.

Po drodze nie było prawie popasu ani noclegu, na którym by gromady szlachty z urzędnikami na czele nie witały Augusta okrzykami i nie składały mu hołdów. Nie badając przeszłości, nie poszukując za nią pomsty król wszystkich, bez różnicy ich dawnych stosunków w obozach przeciwnych, przyjmował z uprzejmością nadzwyczajną, z twarzą jasną i otwartym stołem a pełnymi szklanicami.

Na każdym noclegu wyprawiano ucztę dla gości, a August ze swymi przybocznymi zasiadał do niej biesiadując niemal do chwili, w której do dalszej podróży sposobić się było potrzeba. Na wygodniejszych stacjach, po miasteczkach zatrzymywano się całymi dniami.

Szlachta zachwycała się nowym panem, który ją tak uprzejmie poił, przyjmował i ciągle wokół, uśmiechami uszczęśliwiał. Rozmówić się z nim wprawdzie mało kto mógł, oprócz tych, co po francusku umieli, ale oblicze jego mówiło, że się czuł szczęśliwym, i wszystkich około siebie chciał widzieć szczęśliwymi.

Najwspanialszą z tych biesiad po drodze była wyprawiona w Radomiu, w klasztorze księży bernardynów, w wigilię Trzech Króli, gdzie August zastał nie tylko gromady szlachty, ale wiele osób znaczniejszych, o których pozyskanie mu chodziło... Przybycie ich i połączenie się z orszakiem pańskim miało znaczenie wielkie. Rokosz stracił siły i rację bytu.

Chociaż Rzym dotąd przez nuncjusza, przez oo. jezuitów sprawę króla w Polsce popierał, choć nawróceniem się jego na katolicyzm duchowieństwo zdawało się pozyskane, niemniej szło Augustowi wielce, aby między nim miał jak najwięcej przyjaciół, bo stolica apostolska dotąd dla niewiadomych jakichś pobudek uznać go królem ociągała się.

Rad był więc bardzo August znajdując tu przyjaciela nieboszczyka Sobieskiego i jego rodziny, wielce rozumnego, uczonego i powszechnie szanowanego Załuskiego.

Prymas, jak powiedziano, był już kupiony i albo był lub miał być wkrótce zapłacony... Zgodził się za siedemdziesiąt pięć tysięcy talarów, a Towiańska ostatecznie, kaprysząc, wahając się, papląc o fałszywych klejnotach, przyjmowała precjoza o dwudziestu pięciu... Król, który lubił błyskotki i okrywał się nimi, tęsknie wzdychał po utracie pięknych kamieni, ale spokój i zgoda coś warte były. Prymas obiecywał iść z królem i silnie go popierać... Rokosz miał być rozwiązany.

W Radomiu szczególnie wielka się miłość dla Sasa przy suto zastawionych stołach zrodziła i urosła. Raz powiadano, że na wszystko się zgadzał, czego tylko sobie szlachta życzyła, że niesforni żołnierze wyciągali do Prus, że rokoszanom przebaczenie bezwarunkowe było przyobiecane, że natychmiast miał znakomity wódz iść odzyskać Inflanty albo wespół z carem moskiewskim zwrócić się przeciwko Turkom, aby opanować ten nieodżałowany Kamieniec.

Można sobie wyobrazić, jak powolna była ta podrób Augusta, gdy w wigilię Trzech Króli uczując w Radomiu, potem w Warce, dopiero po przyjęciu przez Sobieskich w Wilanowie, dnia 15 stycznia odprawił wjazd do Warszawy. Obaj królewicze wyszli naprzeciw niego aż do drzwiczek powozu.

Cała ta podróż była szeregiem pomyślnych dla króla wypadków. W Radomiu w sam dzień świąteczny z pomocą Załuskiego i Lubomirskiego udało się zbliżyć do siebie zajadłych wrogów, zakłócających pokój na Litwie, Słuszkę, kasztelana wileńskiego, z podskarbisem litewskim Sapiehą. Tu znaczna liczba dwójko upojonej szlachty i panów przyłączyła się do pochodu i towarzyszyła królowi do Warki.

Dwaj Sobiescy naprzód tu go w przeprawie przez Pilicę powitali, a potem polecili przodem do Wilanowa, aby mu tam zgotować przyjęcie i wypoczynek, nimby obmyślono, z jaką uroczystością miała go witać stolica.

Królowi pomimo zimnej pory, która nie dozwalała ocenić wszystkich piękności Wilanowa, rezydencja dawna Sobieskiego podobała się wielce.

Nie wiedzieli pewnie Sobiescy, że poufnie August szepnął na ucho Flemmingowi:

— To jak stworzone jest dla mnie, Sobiescy muszą mi, radzi nieradzi, tego małego Wersalu ustąpić!

Nareszcie dzień piętnastego stycznia został na wjazd przeznaczony. Ze stolicy naprzeciwko przybywającego monarchy wyjechali w kolebkach Załuski, podkanclerzy Radziwiłł, podskarbi Sapieha, Dąbski, referendarz Szczuka, Bielawski, podkomorzy, i wielu pomniejszych.

Król nie dosiadł konia dla chłodu, wjeżdżał przystrojony w brylanty swe i złotogłowy, z całą pompą teatralną, do której taką przywiązywał wagę i tak się w niej lubował, w ośmiokonnej, pozłocistej kolebce, otoczony świetną swą i doborową gwardią saską. Niezliczone tłumy w części za nim, w części naprzeciwko niego się wylały ze stolicy... I wśród bicia z dział, dźwięku wszystkich dzwonów, okrzyków radości wjechał tak triumfujący wprost się

kierując do kościoła Świętego Jana, gdzie mowy i „Te Deum” zamknęły uroczyste objęcie stolicy.

Witkę, który z innymi znajdował się w zamkowym kościele, dostrzegł, jak na podwyższeniu umieszczona, niedaleko wielkiego ołtarza, strojna jak obraz cudowny a w istocie będąca cudownym obrazkiem, Lubomirska oczyma przymrużonymi witała z uśmiechem Augusta, który bardzo widocznie oddał jej ten uśmiech i skłonił głową znacząco.

To dowodziło, że się już znali. Niemiec poruszył ramionami i rzekł sobie po cichu:

— No, teraz już prawdziwym jest królem polskim, bo i Esterle zastąpi pewnie pani podkomorzyna!

O tym jednakże dotąd słyhać nie było. Po odwiedzinach u królowej wdowy, po objęciu zamku, do którego zaciągnęli Sasi, poczęły się naprzód uroczystości, uczty, zabawy i turnieje. Sam król chciał być w nich czynnym i popisywać się ze swą zręcznością i siłą.

Drugiego czy trzeciego dnia, po obiedzie i kielichach mnogich, które tyle tylko że humor dobry podniecały, bo król August głowę miał mocną i niełatwo mu się ona zawracała, biegali Sasi do pierścienia. Próbowali i niektórzy z naszych tej zabawy. Szło o to, aby konno, z kopią w ręku, rozpędziwszy się, końcem jej do zawieszzonego w górze pierścienia trafić i zdjąć go.

Najwprawniejsi w to igrzysko nawet bardzo często chybiali, bo lada drgnięcie konia albo ręki kopię trzymającej od celu odbiło, a choć kto o pierścień potrafił, jeśli go nie zdjął, liczyło mu się za chybione.

Ponieważ w Polsce jakoś dawno te rycerskie zabawki ustały, bo zabawiać się nie było czasu, mało kto mógł do pierścienia biegać i zręcznym się okazać. A był to popis, w którym piękny, dorodny młodzian mógł się z siłą i gibkością popisać. Dnia tego nikomu się nie powodziło; i Niemcy, i Polacy biegali na próżno, konie męcząc i siebie. Odbywał się ten turniej na placu przed zamkiem, opasanym łańcuchami, poza którymi ludu ścisk był ogromny, patrzącego na te pańskie wyścigi jak na hecę. Król, zawsze galant, dla gości przedniejszych i dam kazał na te wszystkie dni z tarcic pobudować trybuny, które kolorowymi płótnami poobwieszano. Wszystkie panie, żony senatorów i córki, postrojone, zajmowały tu miejsca siedząc godzinami, aby się pięknemu młodemu królowi przypatrywać mogły...

Między innymi, wprost naprzeciw tego miejsca, w którym król pod baldachimem, otoczony panami, zasiadł jako sędzia i wódz, traf czy rachuba dała się pani podkomorzynie Lubomirskiej wraz z kasztelanową Towiańska i jej synową. Pomiędzy polskimi paniami nie zbywało na pięknościach, były może i przechodzące Urszulę rysami twarzy i wspaniałą figurą, ale pomimo to Lubomirska jaśniała tu jak gwiazda. Miała ona dar szczególny zwracania oczów na siebie. Twarzyczka jej, wejrzenie, cała powierzchowność jakaś oryginalna, ubiór bardzo szczęśliwie zastosowany, przy tym żywość ruchów, śmiałość, zalotność gasiły wszystko, co ją otaczało. Gniewano się, zazdroszczono, ale mężczyzny wzrok jak w tęczę w nią był wlepiony. Widzieli wszyscy, że król nieustannie oczy ku niej obracał, a ona też ciągle się w niego wpatrywała. Podkomorzy po kilkakroć przychodził jej coś szeptać, był posępny, ale ona ani jego, ani nikogo słuchać nie miała zwyczaju.

Wśród śmiechów, oklasków, krzyków, przygrywania na trąbach ciągnęło się tak widowisko niefortunne, aż król sam wstał i Flemmingowi szepnął, ażeby mu konia jego przyprowadzono.

Miał w bieganiu do pierścienia wprawę niemałą i bardzo często w Dreźnie udawało mu się z rzędu kilka razy wziąć nagrodę.

Tym razem jednak Flemming był przeciwny, chciał odwieść króla Augusta od tego popisu.

— Sława z tego niewielka — szepnął mu — a gdyby się nie powiodło, przykrość dotkliwa, tyle oczów patrzy.

Nie posłuchał król dobrej rady przyjaciela. Zrobił się rumor wielki, zaczęto sobie z ust do ust podawać: król, król będzie biegał do pierścienia.

Lubomirska w ręce klaskała.

W istocie, było na co patrzeć, bo koń piękny i król dorodny a bohatersko i rycersko wyglądający stanowili obrazek wielce powabny. Siadanie na konia, ujęcie kopii ciężkiej, którą on jak piórkiem władał, panowanie nad wierzchowcem, każdy ruch pełen wdzięku obudzał uwielbienie w patrzących.

Z wielką pewnością objechał naprzód August arenę prowadząc pod sobą rumaka jak w tańcu. Kobiety klaskały i powiewały chustkami, Lubomirska szalała, niemal od zmysłów odchodząc.

Odbywszy tę paradę wstępną król August jakby od niechcienia stanął naprzeciw pierścienia. Kopię złożył, popatrzył i nagle dawszy znak koniowi kopnął się z wielkim impetem do pierścienia.

Co się naówczas stało, tego nikt ani zrozumieć, ani wytłumaczyć później nie umiał, koń się pod nim związał, padł, przywalił nieco sobą Augusta, a jedna jego noga tak została uciśnięta, że gdy natychmiast rzucili się wszyscy na ratunek, a król powstać chciał, nie mógł się utrzymać, bo wielki palec był straszliwie zgnieciony i krew z niego trysnęła.

W chwili gdy się to stało, Lubomirska wychyliła się ręce rozpostarłszy, jakby na ratunek biec chciała, i padła zemdlona w objęcia Towiańskiej.

Nie wszyscy to postrzegli, gdyż cała uwaga była na króla zwrócona, który nie chciał okazać, jak cierpiał, i wsparty na ręku Pfluga, zniknął natychmiast.

Ale że Lubomirskiej potem się dotrzeźwić nie było można i około niej też zbiegła się ciekawa gromadka, a osłabioną wynieść prawie musiano do powozu, rozgłosiło się to i rozeszło.

Nadbiegł podkomorzy przeklinając nerwy i lękliwość kobiecą, gniewny i oburzony tak, że gdyby nie prymas, może by natychmiast Lubomirska na wieś albo sam wywiózł, lub odprawił, ale Towiańska ją zabrała z sobą.

Z wypadku tego tedy w .owym wieku, pełnym jeszcze przesądów, zaczęto wróżyć niedobrze. Upadek, skaleczenie, krew, wszystko to dawało do myślenia.

Lubomirska też z aprehensji o króla Jego Mości i z niechęci przeciwko nieznosnemu mężowi rozchorowała się. Króla pocieszając tegoż wieczora, naturalnie opowiadali mu jego zausznicy o omdleniu pani podkomorzyny. Dowiedział się o tym bardzo rad, bo mu się ona niezmiernie podobała.

Ale z drugiej strony przestrzegano go, aby w Polsce, przynajmniej w początkach, był niezmiernie ostrożny. Lubomirskich sobie narazić było rzeczą niebezpieczną.

Wiedział o tym bardzo dobrze, a jednak, nawykły zawsze dogadzać swoim fantazjom, nie mógł się wyrzec Lubomirskiej. Ona zaś ze swej strony wprost mu się narzucała i od tego dnia stosunki jej z mężem stały się nieznośną walką. Dodać trzeba, iż pani kasztelanowa Towiańska rachowała na tę kuzynkę i jej wpływ na króla, więc zamiast ją powstrzymywać, choć niezręcznie, podzegała.

Dwór otaczający króla, którego próżność tak dotkliwie ucierpiała dnia tego, wypadek starał się tłumaczyć składając winę na konia. Skaleczenie nogi z początku miano za rzecz bardzo mało znaczącą, tymczasem uderzenie było tak silne, iż lekarze z początku o odjęciu palca mówili. Chodzić długo August nie mógł, a gdy wyzdrowiał i ranę zagojono, pozostał mu ból, który trwał do zgonu, i później wcześniej laski używać zaczął dla tej nogi.

Nazajutrz jeden z paziów królewskich, potajemnie przysłany, przyszedł do Towiańskiej z komplementem, dowiadując się o zdrowie pięknej Urszuli.

Omdlenie to stanowiło o losach przyszłych Lubomirskiej. Król też, już zubożniały dla Esterle, nie mogący nigdy długo wytrwać bez zmiany w tych swych afektach, szukający ciągle czegoś nowego, pomimo przestróg przyjaciół całkiem się zwrócił ku podkomorzynie.

Flemming ruszał ramionami i uśmiechał się utrzymując, że był pewny wyboru Polki, bo należało Augustowi mieć dwie przynajmniej kochanki, tak jak miał dwie korony. Sasi, przywykli do sposobu życia kurfirsta, niewielką wagę przywiązywali do tego, co się im wydawało naturalne; pomiędzy polskimi panami samo imię i położenie towarzyskie Lubomirskiej podnosiło znaczenie tych miłostek i czyniło je gorszącymi.

Pomrukiwano przypominając Radziejowską za Jana Kazimierza i wszystkie klęski, jakie niesłusznie przypisywano słabości króla dla niej. Ale dotąd stosunki podkomorzyny nie dawały powodu do obwinienia ani jej, ani Augusta. Nie zerwała ona z mężem, nie dała powodu do posądzenia niczym oprócz omdlenia, które się mogło drażliwością niewieścią tłumaczyć.

Tylko dla tych, co z przeszłym życiem kurfirsta lepiej byli obeznani, jak Przebendowscy, widoczne było, że August, nawykły do łatwych zwycięstw, gotów dla nich do największych ofiar. Raz rzuciwszy okiem na piękną Urszulę już jej się nie wyrzecz.

Z mężem podkomorzyny, który niemal co dzień mu się na oczy nawijał, uważano, iż król stał się uprzejmym, serdeczniejszym niż kiedykolwiek. Dawał mu pierwszeństwo przed innymi, starał się wyróżnić i okazać dlań pełnym atencji. Był to zwykły sposób postępowania Augusta; w wigilię tego dnia, gdy kogo do Kónigsteinu miał wyprawić, nadzwyczajną czułością go otaczał.

Lubomirska po omdleniu następnych dni się nie pokazywała. Podkomorzy musiał się do niej gwałtem dobijać. Powiadano, że pomiędzy małżonkami we cztery oczy nastąpiła scena gwałtowna. Towiańska słyszała krzyki, a pod-

komorzy wyszedł wściekły, rzucając drzwiami, nie chcąc widzieć ani się rozmówić z kasztelanową.

Gdy po oddaleniu się jego weszła ona do pokoju Urszuli, znalazła ją we łzach gniewu, z policzkami gorejącymi, rozdrażnioną do szaleństwa.

— Nie chcę go znać — poczęła wołać — tyranem jest, żyć z nim nie mogę... Podam się do rozwodu, niech będzie, co chce... Wuj mi w Rzymie wyrobi zerwanie tego małżeństwa. Byłam przymuszona, nie kochałam go nigdy...

Na próżno Towiańska starała się ją ukołysać, przedstawiając, że zerwanie z mężem jest niepotrzebne, a nadto wywoła potwarzy i krzyków. Radziła się pogodzić, ułagodzić go, brała to na siebie i na prymasa.

Podkomorzyna zaklinała się, że woli do klasztoru.

Lubomirski, który choć kapryсами żony znużony, miał dla niej przywiązanie, gotów był wszystko zapomnieć pod warunkiem, ażeby z nim zaraz na wieś jechała. Ale o tym Urszulka słuchać nie chciała. Stało się, co już Niemcy przewidywali, potajemnie zawiązały się stosunki, tak umiejętnie osłonię, że nawet Towiańska, stojąca na straży, nic o nich nie wiedziała.

Król, który tyle miał do czynienia z rokoszem, ze sprawami Rzeczypospolitej, w tej chwili przełomu najważniejszej zdawał wszystko na Flemminga, Dąbskiego, Przebendowskich, Pfluga itp., a sam myślał już tylko o pięknej Urszuli. Ani Inflanty, ani Kamieniec oderwać go od niej nie mogły. Poświęcał im zaledwie krótką chwilę, gdy intryga z Lubomirska pochłaniała dnia resztę. Król ukazywał się, znikał, zamykał, posłańcy się kręcili, podarki sypały... Małżeństwo jednak dotąd rozerwane nie było i podkomorzy do żony się dobijał, wpadał, kłócił z nią mając nadzieję pojednania, kładł za warunek wyjazd na wieś, a piękna Urszula zarzekała się, że z mężem nie pojedzie nigdzie i musi od niego oddzielić.

W tym wszystkim prymas i pani kasztelanowa grali taką rolę jak w sprawach rokoszu. Radziejowski już był pozyskany, szło tylko o wysokość sumy, którą go miano opłacić, potajemnie znosił się z królem, a jawnie powstawał przeciwko niemu i rokosz podsyczał i przeciągał.

Oszukiwał szlachtę i cały obóz swój, ale razem i króla trzymał w zawieszeniu nie kończąc z nim, nie dopuszczając pacyfikacji, aby wymóc i utargować jak najwięcej. Doskonałym pozorem do tego zwlekania ze strony prymasa było, że z biskupem Dąbskim pojednać się nie mogli. I jeden, i drugi rozjątreni byli do najwyższego stopnia.

Na Litwie, pomimo wszelkich zabiegów do pogodzenia Sapiehów ze szlachtą, wzmagano się wzburzenie umysłów, groziła wojna domowa. August tymczasem gotował się przeciwko Turcji, a zarazem usiłując pozyskać sobie kurfirsta brandenburskiego nie tylko przez posły z nim wchodził w układy, ale sam pod pozorem polowania pojechał omawiać dalsze losy Rzeczypospolitej. Pozostało tajemnicą to, co ze swej strony ofiarował król kurfirstowi i czego się od niego domagał w zamian, lecz nie ulega wątpliwości, że szło o radykalne zmiany, o podział kraju, o zmianę formy rządu...

Domyślać się można, iż król bardzo korzystnymi warunkami i ustępstwami terytorialnymi usiłował przeciągnąć na stronę swoją kurfirsta, lecz ten czuł się w położeniu swym tak silny i miał widoki na przyszłość tak wielkie, że wolał się nie wiązać żadną stanowczą umową... Jeżeli Rzeczpospolita miała z gruntu być przetworzona, wolał ów sam z tego ciągnąć korzyści niż się nimi dzielić z Saksą, który niezbyt bezpieczny był na swym tronie.

Wśród tych wycieczek Augusta do Gdańska, do Prus, porozumiewali z brandenburskim kurfirstem i carem moskiewskim Piotrem, którego spodziewał się sobie pozyskać, król zarazem o miłostkach z Lubomirską nie zapominał.

Piękna Urszula już tak pewna była ukoronowanego kochanka, że sama nagliła i przyspieszała zerwanie z mężem ostateczne. Podkomorzy kilka razy dla zgody przybywał i nie został dopuszczony. Żona go znać nie chciała.

Przez kilka tygodni nawet, chcąc uniknąć widzenia się z nim, za poradą prymasa piękna Urszula zamknęła się w klasztorze klarysek, a słucho po mieście chodziły, że król August, przebrany za kapucyna, w habicie ją odwiedzał.

Radziejowski spodziewając się, że Lubomirska będzie mu w przyszłości pomocą, przez nią na króla wpływać sobie obiecując, przez Towiańską i sam popierał rozwód i zupełne oswobodzenie pięknej Urszuli.

Podkomorzego różnymi środkami starano się ukołysać dowodząc mu, że rozwód był jedynym środkiem wyjścia z tego nieprzyjemnego zawikłania. Przeształ odtąd być odpowiedzialny za żonę i jej postępowanie. Ze złamanym sercem w końcu podkomorzy na rozłączenie się zgodził, a żona jego opuściła klasztor i z nową świetnością ukazała się światu jako triumfatorka. Dwór jej, klejnoty, sposób życia, osoby otaczające, jawne już z królem stosunki, nie dozwalały wątpić, iż była jego kochanką.

Zdradzało się to i nagłym zniknięciem hrabiny Esterle, którą zawczasu przyjaciel jej, kanclerz Beichling, i pani Rechenberg ostrzegli o tym, że Lubomirska miała ją zastąpić...

Uląkłszy się wygnania i pozbawienia bardzo kosztownych klejnotów, które król jej dawał do użycia i popisu, hrabina Esterle z pomocą Beichlinga potajemnie zabrawszy precjoza uciekła z Warszawy.

Mówiono, że Lubomirska, która na te same klejnoty oko miała, utraty ich Beichlingowi nie mogła przebaczyć i przyczyniła się do upadku jego.

Król rad, że się pozbył Esterle bez wymówek, łez i scen, których znieść nie mógł, stratę kosztowności zniósł łatwo i do Esterle nie miał później żalu... Ona i Aurora Kónigsmark umiały się ze swym losem pogodzić zachowując przyjaźń Augusta, który im okazywał życzliwość i wesoło się czasem zabawiał z nimi...

Pomiędzy warunkami rozwodowymi podkomorzy położył jeden, który do pewnego stopnia imię Lubomirskich od zakąły miał ratować, i żądał, aby nowy jakiś tytuł przybrawszy piękna Urszula przestała się nazywać jego imieniem.

Król przystał na to, równie jak podkomorzyna. Czekają ją księstwo cieszyńskie.

Miłości z Lubomirską, które by w Saksonii wielkiego znaczenia ani rozgłosu nie miały, ani zgorzenia nie wywołały, w tej Polsce, w której węzły rodzinne szanowano, gdzie niewiasta była niewidzialnym duchem opiekuńczym domowego ogniska, uczyniły wrażenie ogromne... Nie słabość kobiety, nie płochość króla nadawały im znaczenie, ale jawność urągająca się prawom Bożym i ludzkim.

Mogła się w Polsce przytrafić nieraz zdrożność podobna, lecz ją przynajmniej przez poszanowanie cnoty ukryć się starano, a nie chwalić i na jaw wystawiać. Tu na tronie osadzony ów pomazaniec Boży, który przy koronacji wdziewał szaty kapłańskie, który był stróżem wiary i zakonu narodu, deptał oboje z lekceważeniem świętokradzkim.

W innych krajach można było to uniewinniać i tłumaczyć tym, że król stał ponad prawem wszelkim, bo sam prawa nadawał i odbierał, mógł dla siebie w nich wyjątek uczynić. W Rzeczypospolitej elekcyjnej wyjątkowy ten charakter panującego nie istniał.

W początkach wiadomości tej, rozchodzącej się po kraju, ale na ucho rozprowadanej, aby niekoniecznie dochodziła do młodzieży, nie chciano dawać

wiary. Imię Lubomirskich czyniło ją wątpliwą. Król stracił wiele u tych ze swych adherentów, którzy na nim pokładali nadzieje. Mógłże reformować Rzeczpospolitą, kto siebie powściągnąć nie umiał? *Quid leges sine moribus!* — szeptał Jabłonowski — a wtórowali mu tacy, jak Stanisław Leszczyński, jak mnodzy inni, czyści i prawi ludzie... Nie mogli oni tego brać lekko, co dotyczyło rodzinę, kobietę, najświętsze i najdroższe węzły... Piękna Urszula spostrzegła wkrótce, że oprócz Towiańskich i niewielu innych rodziny wszyscy z nią zerwali. Nowych przyjaciół musiała sobie szukać na dworze saskim, pomiędzy Niemcami i tą kosmopolityczną arystokracją, którą August się otaczał, wygodniejszą ją znajdując nad swoją szlachtę saską.

Wchodziło to w tradycje i obyczaj dworu, aby się otaczać cudzoziemcami. W tym samym czasie prawie w Saksonii ograniczono prawa szlachty nie dopuszczając do zgromadzeń doradczych (*Landesversammlungen*), tylko tych, którzy po mieczu i kądzieli ze czterech pokoleń szlacheckich wywieść się mogli, i urzędników wyższych stopni.

Rodzaj ten wiernopoddańczych sejmów, chociaż najmniejszej nie miał siły, jeszcze się groźny wydawał. Włosi, Szwajcarowie w znacznej liczbie do wojska i posług króla byli zaciągani.

Każdego, kto znał dwa kraje pod jednym teraz berłem połączone, uderzała niezmierna różnica ich ustaw. August w początkach lekcewał ją jak wszystko, sądząc, że łatwo swobody wiekowe potrafi zatrzeć, ale wrzawa, jaką wywołały wojska saskie, zajęcie w Warszawie przez nie cekhauzu, przeciwko któremu Kątski zaproteutował, a August mu ustąpić musiał, przekonały go, iż obalenie wiekowych instytucji, zrosłych z życiem narodu, wcale lekceważone być nie mogło.

Chociaż w tym roku miał król tyle spraw ważnych, iż zdawało się, że dla nich wyrzec się będzie musiał ulubionej swej rozrywki, karnawałowego jarmarku lipskiego, było nad siłę jego pozostać w cichej i nudnej Warszawie, gdy tam zapowiadano bytność znakomitych gości, między innymi Zofii Karoliny pruskiej, pani słynącej ze złośliwości dowcipu.

Lubomirska też bardzo pragnęła poznać ten karnawał, który jej August tak wychwalał. Czym on był, to się dziś trudno opowiedzieć daje. Dostojni goście zapominali na chwilę o swych wysokich stanowiskach, mieszały się z tłumem i weselili jak prości śmiertelnicy. August incognito, z fajką w ustach, jeździł konno, po jarmarcznych budach wypatrując ładnych twarzy.

Trafiło się, że w tym roku na jarmark się zjechały razem, nie wiedząc o sobie, Lubomirska, hrabina Aurora Konigsmark, zbiegła z Warszawy hrabina Esterle i pani Haugwitz, niegdyś panna Kessel, pierwsza jawnie ogłoszona metresa, która panią hrabinę Konigsmark poprzedziła.

Na zapowiadany bal maskarady wybrała się Lubomirska. Była na nim Zofia Karolina. Król naturalnie czynił jej tu honory. Zażądała ułożyć kadryl dla niego obiecując mu dobrać cztery najpiękniejsze panie. Na czele ich postawiła Augusta z Urszulą, obok i naprzeciw wcześniej już upatrzoną Konigsmark, Esterle i Haugwitz. Panie te, dopiero gdy się taniec rozpoczął, poznały się i domyśliły złośliwej psoty księżnej, która znikła. August natychmiast domyślił się, odkrył w maskach dawne kochanki, ale nie dopuścił, aby, podrażnione i obrażone, sprawiły przyjemność tej, która mu kadrylem płochość jego chciała dać uczuć dotkliwie.

Po kolei musiał każdą z nich błagać i zaklinać, aby wesołymi twarzami się powitały i nie okazywały bynajmniej obrażone.

Aurore już doświadczenie z piękną Fatymą nauczyło być pobłażającą, Esterle potrzebowała króla przebłagać, pani Haugwitz musiała pójść za ich przykładem. Najtrudniej przyszło wymóc na Lubomirskiej, aby stanęła w jednym rzędzie z tymi paniami, które za daleko pośledniejsze od siebie uważała.

August musiał ją obietnicami, zaklęciami, naleganiem niejako zmusić do przyjęcia bez wybuchu psoty już wyrządzonej. Tylko wesołość i lekceważenie mogło uczynić kadryl obojętnym i zapobiec skandalowi.

Z podrobioną, wymuszoną wesołością przetańczyły, głośno się śmiejąc, a w duszy przeklinając kadryla tego, w którym król z pogardą na twarzy, z gracją i właściwą mu obojętnością podawał z kolei ręce przeszłości i terażniejszości.

Dla pięknej Urszuli, która pochlebiała sobie, że będzie ostatnią i pozostanie u boku jego na wieki, było to straszliwe *Memento mori*.

Na przekór Zofii Karolinie, która ukrywając się śledziła wszystkie ruchy tych pań, z zazdrością w sercach ocierające się o siebie i strzelające ognistymi oczyma, August wszystkie je razem z ich partnerami zaprosił na wspólną wieszczkę, przy której z bólem, upokorzeniem, gniewem w sercu piękna Urszula grała rolę gospodyni.

Kónigsmark, najzimniejsza z nich, z dumą pańską i obojętnością dowcipkowała najswobodniej, przycinając królowi, który przyjmował jej dowcipy z poddaniem się losowi swemu.

Przez drzwi, na wpół otwarte umyślnie, ta, która kadryl ten piękny stworzyła, mogła się przekonać nie postrzeżona, że August z Jowiszowym majestatem, nie zachmurzony królował wśród tych bogiń.

W dziejach jego serca, jeżeli taka rozwiąłość z sercem może mieć co wspólnego, był to dopiero początek; świat miał się zdumiewać, bo rozpasanie doszło aż do potwornych wybryków.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

Rozdział pierwszy.

Biedny Witkę. Po pierwszych próbach zbliżenia się do dworu z pomocą Constantiniego, zrażony tym, że musiał być prostym, bezwiednym narzędziem w rękach kamerdynera, a przed królem ani się pokazać, ani się dać poznać nie mógł, miał wielką ochotę dać swej ambicji za wygraną i do handlu powrócić. Ale potężne maszyny, gdy ich koła raz pochwycą człowieka, nie łatwo mu się z nich wydostać. Szczęśliwy jeszcze — gdy na miazgę nie zdruzgotany, wyrwie się na swobodę, nie gdy zechce, lecz gdy go wyrzucą jak owoc, z którego sok wyciśnięto.

Witkę pokutował teraz za lekkomyślność, z jaką się rzucił dobrowolnie w ten wir intryg dworskich, które dokoła króla polskiego osnuwały. Zręczny Mazotin umiał go ocenić, niełatwo było uczciwego i zamożnego kupca zastąpić, nie puszczał więc z rąk tego szczęśliwego nabytku. Witkę nie śmiał mu się narazić zrywając z nim gwałtownie, bo wiedział, jak okrutny był i mściwy. Musiał więc służyć, choć z odrazą. Używano go do Lubomirskiej, do Towiańskich, do prymasa, w wielu wypadkach, gdy szło o sprawy pieniężne, dla których bezinteresowność Witkego była rękojmą nieocenioną.

Jedyną pociechą związanego tym kupca, który na przemiany rolę Niemca i Polaka odgrywać musiał w interesach króla, a ten o istnieniu jego nawet nie wiedział, było, że w Warszawie mógł codziennie prawie napawać się widokiem w oczach jego z nadzwyczajną szybkością rozwijającej się pięknej Henrietki.

Matka, stęskniona i niespokojna, od roku domagała się powrotu, a przynajmniej przyjazdu jego na czas jakiś do Drezna, interesa handlu cierpiał na oddaleniu głowy domu. Witkę tęsknił, zżymał się, ale Constantini Judząc go, grożąc, wyśmiewając i łechcąc na przemiany, z dnia na dzień wyjazd do Drezna wstrzymywał.

Podkomorzyna Lubomirska już wcale pośredników do króla nie potrzebowała. Między Augustem a nią porozumienie było zupełne. Stosunki ułatwione, a przez nią prymas i Towiańscy trafiali do króla i nawzajem.

Tu więc bez niego się już obchodzono, ale Constantini sam, zupełnie w Polsce obcy, nie dowierzający nikomu, rad był, że miał na posługi z językiem i obyczajem kraju obeznanego Witkego.

Wrzawa, jaką wywołały nadużycia wojsk saskich, o których wyjście z granic Rzeczypospolitej gwałtownie się dopominano, zmuszała króla Augusta do ukołysania niespokojnych umysłów, do szukania środków, które by choć część saskich sił w granicach Rzeczypospolitej zatrzymać dopuszczały.

Wojna z Turcją okazała się niemożliwą, nieprawdopodobną. Turcy, choć z bólem serca, Ukrainę i Kamieniec powracali Polsce, żądali pokoju. Tu więc Sasi nie byli wcale potrzebni. Szczęściem pozostały Inflanty, jako *awuls* do odzyskania.

Oczy Augusta, zarówno brandenburskiego Fryderyka i cara Piotra na Inflanty się zwracały.

W interesie Augusta, który zamierzał Rzeczpospolitą przetrwać i rozciągnąć, było opanowanie Inflant. Zdobyte saskimi wojskami, dawały mu niejako prawo obchodzenia się z sobą jak z krajem zawojowanym. Porozumieć się o posiadanie ich z Fryderykiem zdawało się możliwe.

Wszystko nadzwyczaj szczęśliwie się składało dla Augusta. Dania z nim iść obiecywała, brandenburski kurfirst przyrzekał jeśli nie pomoc, to sympatię, car Piotr pierwszy rękę wyciągał do króla i ofiarował mu przymierze.

Na ostatek August, silny, dojrzały, polityk przebiegły, pochlebiający sobie, że był wodzem znakomitym, miał naprzeciwko siebie młodzika, okrzyczanego na wpół szalonym, dziwakiem, bez doświadczenia, który zjednoczonym przeciwko sobie na żaden sposób czoła stawić nie mógł. Szwecja, mówiono, nie miała pieniędzy, broni, ludzi ani wodza. Zwycięstwo zdawało się łatwe, wojna nęcąca. Flemming i generał von Carlowitz namawiali króla do niej, a August sam nie potrzebował podbudzania i niecierpliwie jej pożył.

W chwili więc gdy się walka z Karolem Dwunastym rozpocząć miała, porozumienie się z carem Piotrem było wagi niezmierniej.

Właśnie car, incognito rozpatrując się po dworach europejskich, miał przybyć do Drezna, jadąc do Wiednia. Król sam nie mógł pośpieszyć na przyjęcie go. Szło o to, ażeby Piotr w stolicy saskiej był tak przyjęty, ażeby czuł się tu jak w domu, jak u przyjaciela.

Znano już pewne dziwactwa jego i charakter nie cierpiący przymusu. Chodziło o to wielce, aby go najmniejszą nie zrazić rzeczą. Mieli już wydane w tej mierze instrukcje: namiestnik, księżę Furstenberg, generał von Rose i baron von Rechenberg, ale niespokojnemu królowi Augustowi ciągle coś nowego na myśl przychodziło, a oprócz tego chciał mieć tam kogoś potajemnie śledzącego, jak jego rozkazy spełniano, miał wysłać na zwiady i z rozkazami Constantinięgo, ale Włoch obawiał się oddalić na dłuższy czas od swego pana w obawie, aby z tego nie skorzystali Hoffman lub Spiegel i nie podkopali go w łaskach i zaufaniu Augusta. Nie mówiąc, kogo miał użyć do tego posłannictwa, Mazotin ręczył panu, iż nie jadąc sam, znajdzie zastępcę, który wszystko spełni, co mu polecane zostanie. Witke nie wiedział jeszcze, co go czekało, gdy król, ulegając namowom ulubionego sługi, zdał na niego wysłanie zaufanego człowieka do Drezna dla przygotowania przyjęcia cara Piotra w saskiej stolicy.

Kupiec nasz naradzał się właśnie z Renardem nad założeniem wielkiego hurtowego składu win i przysmaków, gdy go wieczorem na zamek powołano.

W progu spotkał go Constantini, wprost witając rozkazem:

— Jutro waćpan jedziesz z poleceniami króla do Drezna. Oto jest, na wszelki wypadek, podpisane przez Najjaśniejszego Pana świadectwo, że ci wiara ma być dana.

To mówiąc kartę otwartą z pieczęcią prywatną Augusta położył przed nim. Witkę rzucił na nią oczyma. Spodziewał się w niej znaleźć imię swoje przynajmniej, co by dowodziło, że król zna go choć przez Constantinięgo, ale nadzieja ta omyliła, list był wystawiony dla oka-ziciela. Skrzywił się Witke.

— Dlaczego nie wypisaliście mojego nazwiska? — zapytał kwaśno.

— Żądałem tego — odparł kłamiąc Mazotin — ale król miał snadź powody postąpienia, jak widzicie, a ja mu się sprzeciwić nie mogę. Dowód to jednak nadzwyczajnego zaufania, że was Pan wyprawia, a nie kogo innego.

— Wie więc o mnie? — spytał kupiec.

— To się samo przez się rozumie — rzekł Constantini.

Zawahał się na chwilę Witkę, lecz przypomniawszy sobie nalegania matki, potrzeby własnej bytności w Dreźnie, na ostatek pragnął sobie zaskarbić króla, nie sprzeciwiał się już wcale.

Constantini, jakby opozycji z jego strony nie przypuszczał nawet, natychmiast począł mu dawać instrukcje, jakie otrzymał od króla. Ustnie miał księciu namiestnikowi, generałom, dworowi zalecić, aby car został z całą możliwą uprzejmością przyjęty. Nie miano się zrażać żadnymi jego wymaganiami, choćby najkapryśniejszymi. Zamek, służba, wojsko, wszystko miało dlań stać otworem. Witkemu zlecono wmieszać się pomiędzy służbę dworską i manewrować tak, aby mógł później zdać sprawę z każdego najmniejszego kroku cara Piotra. Pochlebiło to może kupcowi, gdyż stawiało go jako kontrolującego ponad najpierwszymi tu urzędnikami. Miał prawo wszystko widzieć, być wszędzie i pytać, o cokolwiek mu się podobało.

Działo się to jeszcze w czerwcu 1698 r. Constantini przez znaczniejszą część wieczora zatrzymał u siebie Witkego, wrażając mu jego obowiązki i nagłąc o pośpiech w podróży, gdyż w tym miesiącu jeszcze car, powracający z Amsterdamu i dążący do Wiednia, w Dreźnie być obiecywał.

Pochwycony tak niespodzianie, Witkę tegoż wieczora jeszcze poszedł pożegnać Renardów, a gdy w oczy patrząc pięknej Henriette spytał ją, jakiego miał gościńca przywieźć z Drezna, dziewczę zarumienione odpowiedziało zalotnie, ażeby sam jak najprędzej powracał. Rano jak dzień Witkę siedział już w swym wózku krytym i pośpieszał najprostszą drogą do Drezna. Długa niebytność w domu, niewidzenie matki, zaniedbanie spraw własnych rodzajem zgryzoty uciskały mu serce. Wyrzucał sobie to zaniedbanie obowiązków, a najmocniej ostygnięcie dla tej matki, która go tak kochała i tak za nim tęskniła. Tym razem miał jej uczynić niespodziankę, gdyż wcale spodziewać nie mogła. Zbliżanie się do domu dało mu niemal zapomnieć poselstwa, jakie miał powierzone.

Był wieczór i chłopcy właśnie okiennice sklepu zamykać mieli, gdy wózek stanął przed wrotami; staruszka, poznawszy syna, z krzykiem radosnym wybiegła naprzeciwko niego. Wzruszony Zachariasz padł przed nią na kolana, czuł się winowajcą. Radość była wielka, niewysłowiona, ale trwała krótko, gdy Witkę oczy spuszcżając wyznał, że przybywał tu z ważnymi zleceniami i niedługo zabawiwszy, będzie musiał do Warszawy powracać. Posmutniała pani Marta, chociaż nie mogąc jej wtajemniczać w swe obrotы Witke oznajmił, że handel w Warszawie, przybrawszy sobie Francuza do pomocy, zakłada.

Stara jejmość miała wstręt i niewiarę ku Włochom i Francuzom, których przy dworze widywała, słyszała o nich często. Francuz więc wspólnik nie bardzo jej był mity, a Witke, przeczuwając to, o pięknej Henriette ani słowem nie wspomniał, aby matki bardziej jeszcze nie nabawić niepokoju.

Siedzieli do późna w noc, tak wiele różnych, dotyczących się handlu, kasy, interesów miała matka do rozpowiadania synowi. Starszy pomocnik jej powołany był także, bo Witke chwili czasu nie miał do stracenia.

Następnego poranka ze swym listem był już w przedpokoju księcia Furstenberga, w domu tuż naprzeciwko zamku położonym, i kazał się oznajmić mu jako posłaniec od króla.

Namiestnika znał tylko z widzenia. Był to średnich lat mężczyzna, nader pańskiej powierzchowności, słusznego wzrostu. Po nim łatwo było poznać wytrawnego dworaka i doskonałego komedianta. Obcy w Saksonii, bo król go sobie, zaleconego jako katolika, przywiózł z Austrii, Furstenberg w krótkim czasie zawiązał stosunki ściśle z arystokracją miejscową, umiał ująć ją sobie, i był już podówczas, jak się zdawało, silnie ubezpieczony od niełaski. Popierali go naówczas rej wodzący Friesenowie.

Furstenberg znając potrzeby króla, który był nieustannie żądny pieniędzy, wszelkimi sposobami starał się ich dostarczyć, a — jak wielu jemu współczesnych — i sam król wierzył mocno, że alchemicy do robienia złota z pomocą swych nauk tajemnych przyjść muszą, i na alchemię chorował. Całe podziemie kamienicy Furstenberga zajęte było pracownią alchemiczną, w której ciągle jakiś adept smażył coś i na jutro skutek obiecywał.

Jak tylko mu oznajmiono posłańca królewskiego, namiestnik natychmiast go do gabinetu swego wpuścić kazał i niespokojny wyszedł na spotkanie.

Witke naprzód ukazał mu list wierzytelny. Nie podobał się on Furstenbergowi, ale dumny namiestnik, zmierzyszy go okiem niby obojętnym, szepnął (skłamał), że już był o jego przybyciu zawiadomiony.

Witke, co mu zlecono, oddał Furstenbergowi, zawsze tę jedną odbierając odpowiedź z góry, iż wszystko to było mu już wiadome. W końcu książę dał mu od siebie zlecenie niby, aby Rosemu i Rechenbergowi się przedstawił i wglądał we wszystko.

— Właściwie mówiąc — dodał książę z półśmiechem — żądałem, ażeby mi król przysłał kogoś zaufanego. Cieszę się, że mi waćpana dano do pomocy. Car prawdopodobnie za parę dni przybywa. Rose i Rechenberg dziś jeszcze na spotkanie go wyjechać powinni. Zresztą jesteśmy na zamku w pogotowiu, o ile być można gotowym na przyjęcie gościa, który jedzie *incognitissimo*, a co chwila się swą samowolą i zachciankami zdradza.

Kilka pytań od niechcienia rzuciwszy, pomiędzy którymi wmieszało się dwuznaczne, dotyczące pani podkomorzyny, namiestnik pożegnał Witkego. Spieszył na mszę świętą do kaplicy katolickiej, gdyż wielką gorliwość religijną objawiać potrzebował.

Wprowadzony tu przez ojców jezuitów wiedeńskich, musiał postępowaniem swym to usprawiedliwiać, choć, gorliwa protestantka, królowa była tym zrażona i zniechęcona, a Furstenberg łaski u niej nie miał.

Na zamku, gdzie jeszcze zastał barona Rechenberga, Witke znalazł w istocie wszystko przygotowane tak, że car mógł przybyć natychmiast, a niczego by na przyjęcie jego nie zabrakło. Zamiłowany w zbytku i wspaniałości, król August chciał i znanego z prostoty obyczajów cara olśnić swoim przepychem, a grzecznością okazać mu wielką serdeczność. Przez cały niemal ranek Witkę chodził po zamku, rozpatrywał dom Neitstutza, gdzie Piotra także ugaszczą miano, dowiadywał się o ceremoniał obmyślany i dopiero na obiad mógł powrócić do siebie.

Z natrętnego wglądania we wszystkie kąty, do którego się czuł obowiązany, tę tylko korzyść miał Witkę, że się wszystkim naraził. Musiał nieustannie wierzytelny list swój dobywać, skłaniano głowę przed nim, ale kwaśno spoglądano na tego nadzorcę.

Resztę dnia mógł już spędzać z matką i przybyłym na powitanie go, starym ojca przyjacielem, który go o tysiące szczegółów pobytu królewskiego w Polsce rozpytywał. Witkę z mowy jego i w ogóle — co tu widział i słyszał — mógł się łatwo przekonać, że Sasi z zazdrością i niechęcią spoglądali na Polskę, która im odbierała kurfirsta, a kraj wycieńczała, bo z niego ciągle pieniądze wyciągano, a nastarczyć ich nie było można.

Na dyskretnych ubolewaniach nad położeniem upłynął dzień cały. Nazajutrz zapowiadano przyjazd cara, który naprzód już zalecał jak najściślej incognito. Rozkazy Augusta sprzeciwiały się temu.

Przebrany znowu po niemiecku, od rana już Witkę musiał się wmieszać pomiędzy oczekujących na przybycie Piotra urzędników dworu i służbę.

Na ostatek długo oczekiwane powozy, które generał Rose i Rechenberg przeprowadzali, poczęły wjeżdżać w podwórze zamkowe od stajni, wprost do pokojów przygotowanych i rześkie oświeconych.

Trzy powozy pierwsze zajmowali: generał Le Fort, urzędnik ministerium wojny Gołowkin i kanclerz towarzyszący Piotrowi. Z czwartego dopiero

wysunął się car, w krótkim hiszpańską modą kabacie, z rękawami na wyloty wiszącymi, obcisłych spodenkach i prostych trzewikach holenderskich, z głową bardzo krótko ostrzyżoną, na której miał rodzaj czarnego birecika, ale widząc mnóstwo oczów zwróconych na siebie przy wysiadaniu, zdjął czapeczkę i zasłonił nią twarz, aby go nie poznano.

Zaledwie wszedłszy do wspaniałego apartamentu, który oczyma zmierzył szybko, car zażądał jedzenia. Stało ono w jadalnym pokoju gotowe. Zasiadł do stołu, ale pospiesznie nieco skosztowawszy, napiwszy się wina podniósł głowę i zawołał:

— Do kunstkamery!

Hrabia von Eck, któremu powierzone było oprowadzanie, jako mistrzowi ceremonij, natychmiast rozkaz spełnić był gotów, chociaż pora spóźniona i znużenie podróżą nie dozwalały go się spodziewać. Światło, służba w mgnieniu oka były na rozkazy.

Przejdzie do tego skarbcza, razem i muzeum, przez korytarze zamkowe car Piotr przebiegał żywo, pilnując, aby jak najmniej był widziany. Eckowi oświadczył, że nie życzy sobie pokazywać się nikomu.

W kunstkamerze, pomimo że ją nieco odarto dla króla do Polski, tyle było rzeczy do widzenia, a car tak się troskliwie przypatrywał wielu przedmiotom, że obejrzawszy dwa pierwsze pokoje uczuł się zmęczony i resztę na jutro odłożył.

Mistrz von Eck odprowadził go do sypialni i pierwszy dzień tak się szczęśliwie, dokonał.

Witkę po namyśle nie powrócił do domu, ale w mieszkaniu Constantinięgo poszedł spocząć, nie chcąc się z zamku oddalać. Można się było spodziewać, że car bardzo rano wstanie i dzień rozpocznie.

Cały dwór od brzasku był na nogach, gotów do zabawiania dostojnego gościa, który się nie pokazał nikomu, niczego nie żądał i oświadczył, że obiad u siebie sam jeść będzie.

Stało się, jak rozkazał.

Mało co po obiedzie spocząwszy, car zażądał widzieć cekhauz, a baronowi Rechenbergowi polecił oznajmić odwiedziny u żony i matki kurfirstowej. Obie panie, przystrojone w klejnoty, pomimo żałoby po kurfirście hanowerskim, oczekiwały go na próżno do późnego wieczora.

Car wbiegł do nich na małe pół godzinki z grzecznymi komplementami, siadł pomiędzy dwiema paniami na krzeselku, ale tak do tego posłuchania mało przywiązywał wagi, że się nie przebrał nawet na nie.

Z pokojów królowej przeszedł car do antykamery, w której panie dworu, urzędnicy i przedniejsi z miasta zaproszeni się znajdowali. Ale tu nie zatrzymując się wcale, prowadzony przez Furstenberga, udał się do Neitschutza domu, naprzeciwko stajen, w którym nadzwyczaj wspaniała wieczerza była zastawiona i na nią sproszone najpiękniejsze damy z miasta i ze dworu. Tu późno w noc zabawił się car w ich towarzystwie, przy biciu z dział na wałach, gdy zdrowie jego wnoszono.

Cała ta wytworność, przepych, zbytki i galanteria nie zdawała się wcale na nim czynić wielkiego wrażenia, a z przytomnymi osobami obchodził się nie czyniąc ceremonii, jadł i pił ochoczo, ale zastrzegł sobie u Furstenberga, aby publik i ciekawych do widzenia go nie dopuszczano, pod groźbą ciężkiego ukarania.

Namiestnik i wszyscy urzędnicy, mający surowy przykaz króla, aby na przyjmowanie cara nie żalowali, wysadzali się dla zrobienia mu przyjemności i urozmaicenia rozrywek, tak że udobruchany w końcu nawet ciekawym z dala przypatrywać się sobie nie zabraniał, ale też nic go oni nie obchodzili i swobody mu nie odejmowali.

Następnego dnia już zbierał się jechać, ale Furstenberg nowe przyjęcie wymyślił we wspaniałej sali przy moście na Elbie, którą Jungfer zwano. Tu przy doskonałym winie humor też doskonały przyszedł gościowi i pozostał jeszcze nawet na dzień następny, a co osobliwsza, ubrał się w bardzo przyzwoity strój niemiecki.

Ponieważ chciano mu pokazać wszystkie przepychy, zawieziono go do tak zwanego wielkiego ogrodu i włoskiego pałacu za Pirnajską Bramą, gdzie ugaszczano go i rozweselano do trzeciej rano, to jest do białego dnia, a car jakoś w tej ciepłej atmosferze, którą go otoczono, choć w początkach był skrzepty i chmurny, coraz się okazywał weselszym. Wpływała może na to okoliczność, że, sam będąc tu, nie potrzebując na nikogo zważać, otoczony tylko ludźmi niższej sfery, poczynął sobie nie oglądając się na nikogo.

Nad rankiem zgadało się o sławnej twierdzy Kónigsteinie. Car zażądał ją widzieć. Podano konie i powozy i ruszono tak żwawo, że o szóstej kareta stanęła u bramy.

Nastąpiło tedy oglądanie twierdzy, cekhauzu, wszystkich osobliwości, potem obiad i koncert, do którego car zasiadł w doskonałym usposobieniu. Do piątej godziny wieczór zabawiał się i nie powracając już do Drezna, wprost przez Czechy ruszył stąd do Wiednia. Nie miał najmniejszego przeczucia, jakie go wiadomości oczekiwały tam i jak rychło nazad powracać będzie musiał.

W ciągu tych wszystkich uroczystości nieszczęśliwy Witke, któremu przykazano wszystko widzieć na własne oczy dla zdania sprawy, musiał w kącie nie postrzeżony stać, patrzeć i słuchać. Miał więc czas badać jednego z najoryginalniejszych ludzi swego wieku, w którym uderzała go najbardziej energia i lekceważenie tych fraszek, do których tu wykwintne towarzystwo wielką przywiązywało cenę.

Obejście się też jego z ludźmi znamionowało panującego, który granic swej władzy nie znał i nawykły był postępować wedle własnego popędu, nie krępując się niczym.

Wieczorem Witke nie czekając na panów, którzy z Furstenbergiem przeciągnęli ucztowanie na Kónigsteinie, pośpieszył do domu.

Spełniwszy, co mu zlecono, musiał natychmiast z raportem jechać do Warszawy. Utrącone to było życie i pan Zachariasz obiecywał sobie oswobodzić się z niego, lecz musiał się oglądać na przyszłość. Matka sądziła, że dłużej go zatrzyma po tak długiej niebytności, a on nie śmiał jej zapowiedzieć, że natychmiast powracać musiał...

Gdy, nocą już przybiegłszy do Drezna, witającej go uściskiem matce zaraz na wstępie przyznał się ze smutkiem, że dłużej nad kilka godzin pozostać z nią nie może, biedna staruszka, srodze zaniepokojona, pierwszy raz w życiu z pewną energią wystąpiła. Wprawdzie energię tę widocznie natchnęła miłość, ale Zachariasz tak nawykły był nigdy w niej najmniejszego nie znajdować oporu, iż z początku nie umiał nawet na zakłęcia i prośby odpowiedzieć.

— Ja ciebie nie rozumiem — odezwała się Marta z płaczem — i dlatego może drzę o ciebie. Żyliśmy spokojni, bezpieczni, ojcu i tobie powodziło się szczęśliwie... Jakaś fatalność wciągnęła cię w sprawy i interesa cudze, których niewolnikiem się stałeś. My tu robimy, co umiemy, aby cię zastąpić, ale bez głowy domu nie mamy odwagi, a ty o sobie i o nas zapomniałeś... Co masz na widoku — ja nie wiem. Zaklinam cię, porzuć obce nam interesa i wróć do własnych, nie krępuj się.

Mówiła płacząc. Witkę się czuł i winny, i zmęczony, ale nie mógł przed nią wyznać całej prawdy, a cofnąć się całkowicie za późno było. Począł tylko

starsuszkę uspokajać czczymi obietnicami, zaręczając, że będzie się starał wyswobodzić, chociaż nagle tego dokonać nie może.

Udało mu się zapewnieniem tym matkę nieco uspokoić, ale bądź co bądź powracać musiał nazad. Wiedział z przybyłych listów ode dworu, że króla już nie miał zastać w Warszawie, że pod pozorem wyprawy przeciwko Turkom trzeba go było szukać gdzieś na Rusi. Razem z tym Constantini, który towarzyszył Augustowi, dawał mu znać, ażeby w przejeździe przez stolicę starał się dowiedzieć, co się działo u prymasa...

Radziejowski był na pozór przejednany z królem, ale Włoch miał już doniesienia i dowody, że Towiańscy i on, mimo wpływu Lubomirskiej, gdzie tylko mogli, knuli i spiskowali przeciwko królowi i najnieprzyjaźniej dla niego usposobieni byli. Odmówiono Towiańskiemu jakiegoś urzędu, Radziejowski zawiódł się obiecując wielki wpływ sobie. Zamęt w ogóle panował na Litwie i w Polsce niewypowiedziany.

Wikłały się tu i krzyżowały intrygi, najsprzeczniesze kierunki działały na króla. Przyjaźń czy wojna przeciwko Szwecji jeszcze nie była postanowiona. Karol Dwunasty zaczynał z całą potęgą młodzieńczą ukazywać się na horyzoncie. August lekcewał go. Dania i Brandenburg występowały przeciwko niemu, car Piotr oświadczył się także z pomocą. Mimo więc pokrewieństwa, pomimo zapewnień danych Karolowi Dwunastemu — król się wahał.

W tej chwili właśnie szlachcic inflancki, o którym już fama chodziła jako o człowieku wielkich zdolności i znaczenia, zjawił się w Polsce.

Był to ów sławny a nieszczęśliwy, śmiały, ale przewrotny Reinhold Patkul, którego los czekał tak smutny, a krew jego obryzgać miała na wieki Fryderyka Augusta.

Gdy Witke przybyć miał do Warszawy, nie mówiono tu o niczym, o nikim, prócz o Patkulu. Prymas zapewniał, że przywoził od swych współziomków wezwanie, prośbę do Augusta, aby szedł wyswobodzić Inflanty. Zapewniano pieniądze nawet pomoc z ich strony... Sto tysięcy talarów na początek... Przydawszy do tego przymierze Duńczyka, Brandenburga i cara Piotra, jakże się nie miał dać skusić August niemal z góry zapewnionym zwycięstwem?

A naprzeciw tych potęg występował młodzik, sam jeden, bez ludzi, bez broni, bez pieniędzy i doświadczenia.

Dać się ująć szlachetnością i temu młodzieńcowi osamotnionemu rękę podać — na to król August zanadto był ambitnym i egoistą. Rychlejszy zdradzić był gotów niż się poświęcić.

Do tych wszystkich pobudek wojny ze Szwedem dołączyć należy i urok, jaki Patkul sam wywierał.

Odważny, wykształcony, w najwyższym stopniu przebiegły, w polityce był zupełnie tej szkoły, co August Drugi. Szukał w niej powodzenia, nie oglądając się na środki i nie krępując żadnymi moralnymi względami, ale zręczniejszy był może od niego, bo lepiej to ukrywał, gdy August nie wstydził się swej przewrotności i łatwo ją przeniknąć dawał.

Wymowny, znawca ludzi, gładki jak dworak, a energiczny jak żołnierz i pełen entuzjazmu, gdy ten mógł mu posługiwać — Patkul pozyskiwał sobie niemal wszystkich, z którymi wszedł w stosunki. Niepospolite też zdolności dawały mu wyższość nad tymi, z którymi miał do czynienia.

Witkę, wierny swej słabości dla Henrietki, o której nie zapomniał i w Dreźnie, bo wiózł dla niej nabyte tu podarki, pobiegł, wróciwszy, do Renardów, gdzie był zawsze miłym gościem.

Dziewczynka pierwsza wybiegła przeciwko niemu, bo była pewna, że ją próżnymi nie powita rękami. Jakoż w istocie z pełnym fartuszkem powróciła do matki.

Oboje rodzice pośpieszyli też naprzeciwko przyjacielowi, gdyż tak go tu już nazywano. Wzięto go do sypialni, aby się rozmówić na osobności.

Renard, któremu zresztą po ucieczce Contiego było obojętne, kto miał panować, byle panowanie to życie i ruch wprowadziło do miasta, chociaż nie miał szczególnego nabożeństwa do Sasa, choć w duszy wolałby był Francuza, umiał ze swego stanowiska ocenić Augusta i dosyć mu sprzyjał. Wiedział, że król pił dużo i upijał się chętnie, że ściągał do siebie ludzi, sypał pieniędzmi i świetne wyprawiał uczyty, był więc za nim i życzył mu powodzenia, aby potem Warszawa sejmami, karnawałami, polowaniami i intrygami kobiecymi odżyła.

On pierwszy oznajmił Witkemu o Patkulu i prawdopodobieństwie już przewidywanej wojny szwedzkiej. Przyjęcie cara Piotra w Dreźnie, o którym wiadomość przywoził Witkę, było rękojmią przymierza z Moskwą, zaręczającego niemal łatwe pognębienie nieopatrzonego młodzika.

Mając polecenie od Mazotina, aby się dowiedział dokładnie, co słyhać było około prymasa i niedobitków rokосу, kupiec nasz, choć mógł znaleźć jakiś środek pozorny dla wciśnięcia się do Łowicza, nie bardzo życzył sobie się tam pokazywać. Chciał gdzieś pochwycić naprzód Przebora, z którego wszystko spodziewał się wyciągnąć, czego mu było potrzeba.

Renardowie lekko go wazyli, bo mu się jakoś nie wiodło, nie wiedzieli więc nawet, gdzie się zabłąkał. Witkę musiał tropić za nim po mieście i dopytał tymczasowym amanuentem przy którymś z Lubomirskich.

Ów wiele sobie obiecujący Łukasz, w chwili gdy samowolnie Przebendowską porzucił, bolał teraz nad nieopatrnością swoją, bo nazad powrócić nie było podobna. Do prymasa docisnąć mu się nie udawało i z biedy przystał do jednego z młodych Lubomirskich, który królowi przebaczyć nie mógł sromu, jaki spotkał ich rodzinę przez zbałamucenie podkomorzyny.

Przebor bolał nad swym losem, szukał lepszego czegoś i z radością chwycił się Witkego, gotów do usług jego.

Niewiele jednak z niego zrobić było można. Więcej pan Łukasz o sobie rozumiał, niż mógł dokazać. Zazdrosny, mściwy, zbyt namiętny, nie umiał stąpać po śliskiej drodze, na którą wszedł, a im się więcej niecierpliwił, tym mniej mu się powodziło. Przez niego Witkę dostał języka z Łowicza, sam się tam nie chcąc pokazywać.

Przebor, co mu się zdawało nadzwyczaj szczęśliwe, zawiązał był stosunek miłosny z niemłodą rezydentką bawiącą przy kasztelanowej Towiańskiej. Służył on mu za upozorowanie wycieczki do Łowicza.

— Pamiętaj tylko jedno — rzekł mu Niemiec dając pieniądze na drogę — nie kłam przede mną, bo mnie nie okłamiesz, a jeśli cię raz przychwycę na chętcę oszukania, więcej cię nie tknę!

Przebor, który teraz jedyną miał nadzieję na bogatym kupcu, poprzysiągł służyć mu wiernie. Niemniej byłby go zdradził, ale na ten raz na nic by mu się to nie zdało.

Dwa dni przesiadując u Renardów czekał na wysłańca swego Witkę, nareszcie Łukasz powrócił. Mętne i niepewne przywoził nowiny, ale jedną stanowczą i pewną, że pomimo zaręczeń i pozorów Radziejowskiemu król nie powinien był ufać i dawać wiary.

Nastrój w Łowiczu był najnieprzyjaźniejszy dla króla, ale zarazem prymas zachował sobie swobodę łudzenia Augusta swą wiernością i oddaniem dla niego.

Towiańska i jej syn występowali niemal otwarcie przeciwko Przebendowskiemu głównie i królowi, Radziejowski publicznie trzymał z Sasem i za nim przemawiał. Nic nadto nie dowiedziawszy się w Warszawie, posłuszny rozkazom Włocha, Witkę wyruszył szukać króla na Ruś i spodziewał się go znaleźć w Brzeżanach, co w istocie się sprawdziło. Miał zamiar i teraz oswobodzić się z niewoli Constantiniego, lecz nie wiedział, co go tu czekało.

Mazotin go oburącz za szyję pochwyił zobaczywszy i kazał sobie opisywać drobnostkowo pobyt cara w Dreźnie.

Szło nadzwyczaj o wyrozumienie charakteru i temperamentu, sposobu obejścia się z ludźmi cara Piotra, gdyż August miał nadzieję spotkać się z nim.

Domyślano się, że niewątpliwie o buncie strzelców musiał się car w Wiedniu dowiedzieć, a nie wątpiono, że ten wypadek, tak ważny, musiał go skłonić do szybkiego powrotu i zaniechania dalszej podróży. Bunt wprawdzie został stłumiony, ale następstwem jego tylko sam car mógł zapobiec.

Włoch dobywając, co mógł, z Witkego pochlebiał sobie, iż król raportem się jego zaspokoi. Skłamał naprzód, że raport otrzymał na piśmie, ale ze sposobu opowiadania August się dorozumiał fałszu i groźnie nakazał Constantiniemu, aby mu przyprowadził i stawił swojego wysłańca.

Był to wypadek dla Włocha najniezszczęśliwszy, gdyż musiał za sobą, nieodzownie prawie, pociągnąć to następstwo, iż król bez pośrednictwa jego Witkiem się zechce posługiwać.

August, jak szybko powziął podejrzenie, iż Mazotin skłamał, kazał Hoffmanowi wysledzić, kogo wysyłał i kto przybył do niego. Musiał więc Constantini skonfundowany uznać się zwyciężonym, gdy mu król wręcz powiedział:

— Jeżeli nie chcesz, abym ja go sobie sam kazał przyprowadzić, tego Witkego, to mi jutro rano staw go sam.

I pogroził w dodatku. Constantini nadrobił śmiechem i rezolucją.

— Najjaśniejszy Panie — odparł — ja się tego nie zapieram, że niechętnie kogoś przypuszczam do Waszej Królewskiej Mości. Jestem zazdrosny i sam pragnę służyć Mu.

August przerwał mu.

— *Pulcinello!*

Nazajutrz Witkę nagle, niespodzianie, osiągnął cel swych życzeń. Sam Mazotin miał go przedstawić królowi.

Okoliczność ta miała o jego przyszłych losach rozstrzygnąć. Od Constantiniego łatwo się mógł uwolnić, od króla nie było sposobu.

Gdy weszli do sypialni, August na złość i dla ukarania faworyta wskazał mu drzwi, kazał wyjść, a sam na sam pozostał z Witkiem.

Natychmiast poddał go badaniu o cara Piotra tak zręcznemu, iż nawet mniej zdolny i pojętny człowiek musiałby być dać o nim jakieś wyobrażenie. Witkę, chociaż zrazu onieśmielony nieco, odzyskał panowanie nad sobą, a widząc Augusta dobrze usposobionym, swobodnie i zręcznie począł opisywać pobyt w Dreźnie.

Wszystko to przyjąwszy wdzięcznie, król spytał jeszcze, jakie piękności dreźnieńskie zrobiły wrażenie na carze, ale kupiec wiedział to tylko, że z nimi gość obchodził się nader poufale i lekceważąco, chociaż nie przykrzy! sobie nimi.

Dodał i to, że odwiedzając królową i jej matkę car zachował się przyzwoicie, chociaż stroju dla nich podróznego nie odmienił, a na pożegnanie obowiązany się nie czuł przybyć do nich.

August ze sposobu tłumaczenia się Witkego zdawał się bardzo rad i uderzył go po ramieniu, pytając, czy chce wejść w służbę jego.

— Najjaśniejszy Panie — odparł kupiec — mam sklep przy ulicy Zamkowej i dość znaczne interesa, których porzucić nie mogę... ale ilekroć Wasza Królewska Mość użyć mnie zechcesz, chętnie służyć. Umiem po polsku, mam ochotę osiedlić się na pół w Warszawie.

— Wszystko to mi jest na rękę — rzekł — nawzajem, jeżeli w czym pomóc ci mogę, zrobię, co mogę. Tylko — dodał śmiejąc się — pieniędzy teraz nie żądaj ode mnie!

Rozdział drugi.

Pierwszych dni sierpnia w małej mieścinie Rawie Ruskiej panował ruch, jakiego za ludzkiej pamięci w tych stronach nie bywało. Okolicę całą zajmowały najpiękniejsze regimenta saskie, gwardie króla i artyleria; w mieście wszystkie nieco lepsze domostwa, z których właściciele ustąpić musieli, wypożyczano dla dostojnych gości, a że te nie starczyły, w rynku przypierały do nich porozbijane wspaniałe namioty. Łatwo poznać po nich było, że pochodziły z łupów na Turku, zdobytych pod Wiedniem. Świeżo i nadzwyczaj wytwornie postrojony dwór Augusta, którego Sasi zwali Silnym, a inni Wspaniałym, w liczbie wielkiej kręcił się około gospód i połączonych z nimi namiotów.

Stajnie zaledwie mogły pomieścić konie, a szopy powozy króla i jego przybocznych. Najznacniejsi generałowie, najwyżsi urzędnicy, służba, na której August najwięcej polegał, wszyscy się tu znajdowali. Czuć i widać było na dni już kilka przedtem, że się spodziewano gości. W istocie, car Piotr, powracając pośpiesznie do Moskwy, miał się tu spotkać z polskim królem. Szło o to niezmiernie Augustowi, aby sobie ujął cara Piotra, na którego pomoc do pokonania ciotecznego brata, młodziuchnego Karola Dwunastego, rachował.

Wszystko, co się obrachować dawało, aby Piotra zjednać i przywiązać, August przygotował zawczasu. Znał Piotra z powieści, z jego podróży po Europie, z raportu Witkego i z tej intuicji, jaką mu pewne charakterystyczne cechy dać mogły.

Z tym wszystkim Piotr, w którym tyle sprzecznych łączyło się przymiotów i wad, z wielu względów był dla Augusta, jak dla wszystkich, zagadką. O jednym tylko powątpiewać nie było podobna: że miał energię żelazną i wytrwanie, wolę niezłomną i że przyszła wielkość państwa, które na drodze cywilizacji się opóźniło, leżała mu na sercu.

Popęd do przekształcenia i postępu, którego uśpionemu narodowi własna dać nie mogła wola, musiał od Piotra wyjść, przez niego być stworzonym. Oprócz tego, wszystkie warunki życia nowego car sam zniewolony był tworzyć i nie przewidywał, ażeby wola jego nie mogła stworzyć cudu, zastąpić czasu.

August z tego, co słyszał, wyobrażał sobie cara samowolnym i dumnym; pocieszało go to, że przy stole i kielichach, które lubili oba, łatwiej się porozumieć będą mogli.

Nie gniewał się i za to, że Piotr zawczasu zapowiadał i wymówił sobie, aby incognito mógł zachować i żeby do niego nie przypuszczano nikogo, z wyjątkiem chyba najwyższych dostojników.

Owe incognito, o które się car upominał, rzeczywiście utrzymać się nie mogło. Mówiono naprzód o przyjeździe cara, a zresztą, pomimo skromnego i nielicznego dworu, mimo niepozornych powozów, jakimi jechał, sama ich powierchowność zdradzała pochodzenie z daleka.

W dniach poprzedzających przybycie cara król August głowę sobie łamał, wymyślając, czym go zabawić potrafi, zająć, rozerwać, przypochlebić może...

Kilka dni spędzić razem musieli, aby przymierze z sobą ułożyć i zawrzeć stanowczo. Miał król swe saskie wojsko do popisu, miał wiele pięknych rzeczy do pokazania, od własnej począwszy siły, lecz chciał olśnić i oczarować cara.

Nadszedł nareszcie dzień przyjazdu, do którego z całym blaskiem, przepychem i świetnością ulubioną przygotował się August. Car Piotr przybył z niewielu ludźmi, niepozornymi powozami, służbą niepokązną, sam z podróży w stroju zaniedbanym i wytartym, którego nie myślał zmieniać.

Wspaniała Herkulesa-Antinosa saskiego postać, szlachetne a dumne i słodkie razem oblicze, jego teatralne ruchy i miny uczyniły Piotra, pogardzającego wszelkimi zewnętrznymi oznakami, postacią na pozór podrzędną. Ale wpatrzywszy się w nich obu, gdy byli razem, rozpoznać było łatwo, że w niepozornym Piotrze więcej było energii i siły niż w saskim kunsztmistrzu.

Cały ów blask, bogactwo, wytworność, z jaką August przyjmował cara, były niemal stracone. Piotr nie patrzył na nie, a to, co widział, tak mu było obojętne, jakby lekceważył wszystko, do czego nie był nawykły. Gdy August z uniżonością niemal skłaniał się przed nim, pieścił go, zabiegał około niego, car z króla, i z przyjęcia, i z tych honorów, i ukłonów zdawał się niemal urągać. Oko jego mierzyło Niemców i niewielu Polaków z niejakim szyderstwem a jawną obojętnością.

Razem z tym August zaraz pierwszego dnia się mógł przekonać, że ów prostakowaty, rubaszny car ani się podejść, ani z duszy nic wyrwać nie dawał.

Był nadzwyczaj otwarty, ale nie mówił nic. W ostateczności zbywał śmiechem i kielichem. August, pomimo całej swej polityki subtelnej, zdradzał się co chwila, Piotr nigdy.

Pierwszego zaraz wieczoru po przybyciu cara zamknęli się do rozmowy na cztery oczy, Augustowi bowiem pilno było, jak mówił Flemmingowi, za puls cara potrzywać, ale puls mimo buntu strzelców bil spokojnie.

Sas pośpiesznie poruszył wszystkie sprężyny, których dźwięku był ciekawy, odpowiadały mu one głośno, ale niezbyt zrozumiale. Potrzeba było zbadanie ich odłożyć na dni następne.

Król chciał dać naprzód o sobie i swej potędze, i bogactwach wielkie wyobrażenie carowi, ale największy wysiłek nie sprawił skutku.

Piotr udając małą, podrzędną figurkę krył się za swoim Le Fortem i stawał ciągle po lewej ręce, utrzymując incognito.

Obóz saski w pewnej odległości od miasteczka był rozłożony, gospodarzył w nim Flemming. Z rana pojechali go oglądać monarchowie oba; a August, na koń siadłszy, sam pułki swe przeprowadzał. Był to lud dorodny, piękny, wykwintnie uzbrojony i ubrany. Car mu przyklaskiwał, ale zachwytu na nim widać nie było.

Polskich regimentów wcale w obozie nie znaleziono.

Flemming równie z panem swym zabiegał, aby się Piotrowi zalecić, ale również jak on przeczuł, że mieli do czynienia z twardą i nie dającą się uwieść naturą, która miała swe własne zdanie i sąd, a niełatwo się im dorozumieć dawała.

— Ja — mówił po przeglądzie car do króla — ja takich pięknych wojsk mieć nie mogę, moje — to są proste chłopcy, ale piechota moja stoi jak mur, a oficerowie słuchają jak żołnierze. Jak mi się zbuntować spróbują, to im łby wszystkim poucinam i będę na długo spokojny. U mnie dużo zaspanego, za to ja teraz dzień i noc czuwać muszę.

Po przeglądzie wojsk Flemming zaprosił monarchów do namiotu, gdzie ich bardzo wspaniale przyjmował, karmił, poił i zabawiał. Car Augusta ścisnął i całował, śmiał się, zaręczał mu swą pomoc i stałą przyjaźń i pomrukiwał znacząco, gdy o Szwedzie była mowa.

Młokosa Karola Dwunastego traktowano jako zarozumiałego wyrostka. Dania miała taniec z nim rozpocząć, August iść w jej ślady, Piotr był też w gotowości, a bardzo ostrożny brandenburski kurfirst milcząco zapewniał, że i on się później do nich przyłączy. Stanowczo tylko rozpoczynać sam nie chciał.

Wróciwszy z obozu monarchowie zasiedli w namiocie do nowej uczyty i kielichów, a król nie mógł dotąd dobrać sposobnej chwili do stanowczej ze swym gościem rozmowy.

Późno w noc wreszcie umyślnie tak przygotowano wszystko, aby sam na sam pozostali z sobą. August miał zawczasu plan rozmowy ułożony. Car Piotr zdawał się czekać na nią, ale sam nie rozpoczynał.

Ponieważ po kilkakroć dnia tego mowa była o tym, co car u siebie zamierzał dokonać i jak ogromne miał przed sobą zadanie, wojsko, marynarkę, szkoły, rzemiosła, kunszta europejskie chcąc przeszczepić do siebie, August do tego naprzód przyczepił zagajenie o własnych sprawach.

— Kochany bracie! — odezwał się do Piotra ściskając go i przyjmując gorący uścisk wzajemny — my się w istocie nazwać możemy braćmi. Nie sądzę, żebym ja w moim nowym królestwie mógł siedzieć z założonymi rękami. Tu też zgoła wszystko przerabiać potrzeba! ty masz do czynienia z narodem posłusznym, ja z rozpasanym swobodą, jakiej nigdzie żaden naród nie ma w świecie. Sądzisz, że to tak może pozostać? Nie na to sięgnąłem po koronę, abym nią się przystroił tylko. Myśli moje i zamiary sięgają daleko i szeroko. Ty mi rękę podać możesz. Granice mojej Rzeczypospolitej według waszych dawnych pożądań uregulować możemy, ale wy mnie do zaprowadzenia ładu, do obalenia niedogodnych swobód pomóc musicie. Mam przyrzeczenie Brandenburga, którego też jest z czego zaspokoić. Ziemi mu też dać mogę, od hołdownictwa go uwolnię, ale to, co mi pozostanie, jako monarchię dziedziczną połączę i dynastię Wettinow osadzę na tronie. Ty na północy wzniesiesz państwo ogromne, ja od zachodu. Nowe królestwo brandenburskie musi być z nami, aby się mogło oprzeć Austrii, którą ja sobie pozyszczę.

Car Piotr słuchał z uwagą.

— O! o! — odezwał się popijając — z panami polskimi twardy mieć będziesz orzech do zgryzienia. Oni tu królować nawykli.

August się rozśmiał pomrugując oczyma.

— Na to mam sposób, kochany bracie — rzekł — patrzcie, co się już dzieje na Litwie, tam dwa tak zajadłe obozy stoją przeciwko sobie, iż się nawzajem tępić będą, a jeden z nich, okupując zwycięstwo, wyrzeczy się swobód. Toż samo przeszczepię do Polski. *Divide et impera!* — zakończył z uśmiechem wdzięcznym. — Stara i nieomylna maksyma, nie chybi ona nigdy, a nigdzie jej łatwiej zastosować jak u mnie.

— Naród rycerski, wojsko... wojsko się niegdyś biło dobrze! — westchnął car.

— Wojsko! — zaśmiał się Sas — wojsko i dziś na popis bardzo piękne. Niektóre pułki skrzydła u ramion mają, ale te czasy przeszły, gdy latały nimi — i nie wróca. Kopie ich do turniejów się zdały, nie do wojny. Szlachta zleniwiła, pól wykarczowali za dużo... z rycerzy stali się chleborobami.

Słuchał car z uwagą i głową potrząsał.

— Tak — dodał — ja mam wiele do zrobienia w domu, ale u mnie wszystko z nowa poczynać trzeba, gdy u ciebie popsute trzeba naprawiać.

— Mylisz się, bracie — odparł August — u mnie także nowe stworzyć muszę, bo to, co jest, na nic się nie zdało. To są naśladowcy Rzymian i republikanie, a mnie trzeba z nich posłusznych zrobić poddanych.

— Życia ledwie stanie na tę robotę — rzekł Piotr.

August nalany puchar potracił o kielich cara, który się zadumał nieco.

— Bracie, wszystko się dokona, pójdziemy-li zgodni. Wam Karol Dwunasty i Szwecja wrogiem i przeszkodą, dla mnie ona jest narzędziem i środkiem. Zuchwały mój kuzynek musi nam stąd ustąpić. Spuścizną jego się podzielimy.

— Brandenburczyk też się nam do niej przypyta — szepnął Piotr. — Ja się go lękam, przebiegły jest, ostrożny, stąpa powoli, ale gdzie stopę postawi, tam się trzyma. Patrzcie i teraz, on poczynać nie chce... a gdyby nam się ośliznęła noga — poda rękę Szwedowi.

August, mniej bystry a świeżo ujęty przez Fryderyka, głową potrząsnął.

— To się tłumaczy — rzekł — mniej od nas ma do stracenia. My się ziemią dzielić i okupywać możemy, on nie, jemu ciasno dla przyszłej Królewskiej Mości.

— A komuż z nas za szeroko? — odparł car — mnie Turek dusi. Rad nierad w przyszłości wojnę z nim zostawić muszę następcom, aż do wygnania ich lub wyćpienia. Dlatego z wami pokój stanąć powinien... pokój mocny...

— Tak mocny, jak my dwaj jesteśmy — przerwał król i mówiąc to srebrny kubek zgniótł jak liść w rękę.

Napili się razem. Piotr, który się nieco zachmurzył, rozjaśnił twarz powoli i rzekł:

— Pokaż mi swych Polaków! Słyszę o nich wiele, nie widziałem prawie. Rad poznam tych carzyków waszych.

Wojska polskie, naówczas w marszu będąc pode Lwów, niezbyt się daleko znajdowały. August, zaledwie posłyszawszy życzenie cara, pochwycił dzwonek... wbiegł paż; kazał król powołać sekretarza i list natychmiast na całą noc do hetmana Jabłonowskiego wyprawić, który, po trosze się tego wezwania spodziewając, z hetmanem polnym, Szczęsnym Potockim, był już w pogotowiu do wyruszenia. Staremu Jabłonowskiemu zdawało się, że ujmą byłoby dla wojsk polskich, gdyby Sasi tylko mieli się prezentować carowi.

Półtora tysiąca jazdy co najprzedniejszej, chorągwi pancernych, usarzów, petyhorców, towarzyszyć panom hetmanem się gotowało. Gdy zapraszający list królewski nadszedł do Jabłonowskiego, w którym wyrażone było, iż car nie życzy sobie być widziany od wielu i zaledwie najprzedniejszych dopuści przed swe oblicze, ledwie się mógł hetman obronić napierającym gwałtem, bo każdy cara na ziemi Rzeczypospolitej, osobliwość wielką, a w dodatku cara, o którym dziwne rozpowiadano rzeczy, widzieć pragnął. Jedni więc za zgodą i przyzwoleniem hetmanów, inni samowolnie do ich orszaku się przyłączyli. Wszyscy stali o to wielce, aby się nie dać Sasom zakasować, więc tych parę tysięcy koni za Elierów pomiędzy Elierami liczyć było można; chłop w chłopa, konie cudne, zbroje i rzędy na tysiące dukatów dające się szacować. Orszak miał Jabłonowski, jakiego mu król mógł zazdrościć.

O ćwierć mili od Rawy hetmanowie z kolebek się na koń przesiedli i tak w paradzie wielkiej, pod chorągwią hetmana i z buńczukami, z buławami w rękę, ciągnęli aż na rynek.

Król, któremu dano znać, czekał na nich w namiocie i tu przyjął Jabłonowskiego z Potockim. Za nimi, co było osób przedniejszych, wcisnęło się tuż, ciekawych cara oglądać.

August powitał doskonałym humorem gości tych, ale spojrzawszy, że ich pełen namiot był, a wiedząc, jak car się broni, aby nie pokazywać lada komu, rzekł do Jabłonowskiego po cichu:

— Mój gość jest mąż oryginalny, a ja jako gościowi muszę dogodzić fantazji. Pójdę więc go zapytać, ilu i kogo przyjąć raczy.

To mówiąc odszedł król i po krótkiej chwili wrócił uśmiechnięty.

— Przewidywałem to — rzekł — car nie chce do oblicza swego dopuścić, tylko hetmanów i senatorów. Jam temu nie winien, chodźcie.

Mówiąc to król zawrócił do drzwi wiodących z namiotu do domostwa i przez nie na podwórzec, a z niego tyłami wprowadził osiem tylko osób za sobą. W tej liczbie syna hetmana, wojewodę ruskiego Jana Stanisława.

Wystąpił stary hetman z powitaniem po polsku, nie wątpiąc, że go car zrozumie, bo mowy obie powinowate spodziewać się tego kazały.

Postawa pańska, spokojna, szlachetna wielce, a bynajmniej nie poniżająca się zbyt ani też nadymająca, starego Jabłonowskiego musiała na Piotrze uczynić wrażenie wielkie i dobre, bo oka z niego nie spuszczał i odgadywać było można, iż mu się podobał, a gdy dokończył przemówienia, po krótkim namyśle odparł po rusku:

— *Diakuju waszoy miłosti, coście brata moho Awhusta korólom obraty.*

W czasie przemówienia i odpowiedzi, gdy hetman się zbliżał coraz do cara, ten ciągle się w tył cofał, ale później do Jabłonowskiego przystał bardzo.

Na rozmowę już czasu wiele nie pozostawało, bo król pilnował tego, aby znaczniejsza część dnia u stołu upływała, wkrótce więc dano znać, iż obiad gotów był, ale w innym domu, do którego poszli przodem monarchowie i hetmanowie, a senatorowie za nimi.

Ponieważ car stał uporczywie przy swoim incognito, zasiadł więc August w pośrodku z prawej strony, po lewej Piotr, za królem hetman wielki polny i senatorowie rządem, za carem Le Fort, Gołowkin i całe jego poselstwo. Zaledwie rozpoczęto jeść, już ogromne kielichy i puchary nalewano, a król Jabłonowskiemu zapowiedział, że tu o honor narodu chodzi, aby Polacy do dna wychylali.

— Najjaśniejszy Panie — i rozśmiał się Jabłonowski — ja mam słabą głowę, upiję się.

— No, to upijesz się — rzekł August — i ja też upić się spodziewam, a sądzę, że nikt nam stąd trzeźwy nie wyjdzie.

Szedł tedy obiad, a więcej jeszcze pijatyka zabójcza, wesoło i ochoczo, ciągnąc się bardzo długo.

Król, chcąc niby senatorów przypuścić do swych układów z Piotrem, przy stole zapowiedział im, że nazajutrz do konferencji względem koniunktur przyszłych wezwani będą. Tego dnia wszyscy już tak dobrze mieli w głowach, że o tym myśleć nawet nie było można.

Jabłonowscy oba, ojciec i syn, którym całe postępowanie króla wielce było podejrzane, i w tym wezwaniu Polaków do konferencji widzieli to tylko, co istotnie się w nim kryło. Szło Augustowi o pokrycie umowy o wojnę szwedzką z carem Piotrem, o której na naradach nikt ani słowa się nie odezwał, chociaż czuć ją było. Car Piotr tylko mówił o karłowickim traktacie, a ostatecznie się oświadczył ogólnikiem, że będzie sojusznikiem Rzeczypospolitej i króla Augusta nieodstępny przyjaciele, bratem *et caetera*.

Wszystko to ułożył na pozór zrzęcznie król, ale nie wszystkich uwieść zdołał. Czas pobytu w Rawie schodził zresztą na pijatykach, uściskach i pocałunkach króla z carem i na przeglądach wojska, z którym August się popisywał, a car je z uśmiechem ironicznym wychwalał.

Ze strony gospodarza nadszkanie gościowi było bardzo widoczne i posunięte do uniżoności niemal; car zaś Piotr zdawał się to przyjmować jako rzecz należną, chłodno. Przy kielichach śmiał się i całował, resztę czasu oczyma niespokojnie badał, co go otaczało. Król codziennie wdziawał najwytworniejsze szaty, złotogłowy z brylantowymi guzami, prezentował się sam i dwór galowo, gdy car, pod pozorem, że bagaże za sobą zostawił, chodził ciągle w szarym, wytartym kaftanie i prostym, holenderskim, grubym obuwiu, skórzanymi sznurkami pozawiazywany. Wśród dworskich trudno go było rozeznąć i domyślić się, chyba po respekcie, jaki mu wszyscy okazywali.

Z tego powodu zdarzył się wypadek, który króla mocno zirytował. Piotr, jako był samowolny i na nic nie zważający, wyrwał się następnego ranka po przybyciu hetmanów na pole do musztr przeznaczone, po którym się różnych jezdnych i pieszych dużo snuło.

Koniuszy hetmana polnego, Szczęsnego Potockiego, który nigdy w żywe oczy nie widział cara, biegnąc konno potrafił go nieostroźnie, za co Piotr, rozgniewany, biczyskiem, które w rękę miał, chłostać go zaczął. Koniuszy, czy się domyślał, czy nie, przy sobie mając towarzyszków kilku, natychmiast szabli dobyli i rzeško się za uchodzącym Piotrem rzucili.

Nierychło jakoś dopiero wstrzymano koniuszego wołaniem:

— Stójcie, stójcie, to car!

Zadyszany, sapiąc przybiegł Piotr do króla, który szczęściem z Jabłonowskimi stał w pobliżu i pół śmiejąc się, na pół gniewnie zawołał do starego hetmana Jabłonowskiego, którego jakoś szczególnie polubił.

— *Twoi Lachy chotiły mne rozrubaty.*

Rzucił się nastraszony hetman zaraz, chcąc inkwizycję surową począć i sprawiedliwość wymierzyć, ale Piotr go wstrzymał.

— Daj pokój, jam go pierwszy uderzył! Cicho, lichy, nie ma czego roztrąbiać...

Hetmanowi staremu mógł król nawet zazdrościć, tak widocznie go nad innych car preferował. Powaga, wiek, szlachetny sposób obejścia się, w którym eleganckiej uniżoności Augusta nie było, podobały mu się i powtarzał kilkakrotnie, napiwszy się, hetmanowi, że gdyby go u siebie miał, jak ojca by szanował i słuchał. W części zaś afekt ten przeszedł na wojewodę ruskiego, syna hetmana, który że trzymał nad granicą ukraińską Białocerkiew, car go zwał „sasidom”.

Dla króla Piotr był mimo wielkich zabiegów, czynionych, aby go sobie pozyskać, chłodny. Zamykali się dla narad co dzień, z twarzy Augusta widać było pewne uradowanie, ale poufały stosunek ze sztywności się jakiejś nie mógł nawet po pijanemu uwolnić.

Na ostatek przyszło do pożegnania i rozstania się. Ponieważ Piotr dla pośpiechu, ekwipaże za sobą zostawiwszy, prostym przybył powozem, August nastąpił na niego, aby przyjął kolebkę podróżną aż do Moskwy i wojskową straż do granicy. Oprócz tego na drogę wyposażono w napitki, jadło jak najobficiej i na niezabudź król ofiarował gościowi piękną i kosztowną laskę, diamentami sadzoną, car zaś Piotr wywdzięczając się, a wiedząc, że się w kamieniach kochał, dał Augustowi bardzo szacowny, duży szafir, czym go niemało uradował.

Pożegnanie sprzymierzeńców było, na oko przynajmniej, bardzo serdeczne, a po twarzach Przebendowskiego i Flemminga poznać było łatwo, że cel został osiągnięty. Do wypadków w czasie pobytu cara w Rawie i to trzeba dodać, że Przebendowski, którego nie lubiono, a wszystko mu przypisywano, cokolwiek król poczynił z Polakami, o mało nie został poturbowany przez Potockiego, strażnika koronnego, którego do stołu nie dopuszczono; gdy dwaj młodzi Jabłonowscy, chorąży i oboźny koronni, zaproszenie otrzymali, Przebendowski, uląkłszy się, po obiedzie już wprowadził pana strażnika.

Tak się to potajemnie dla wielu, ale dla innych już jawnie, przygotowała niefortunna wojna ze Szwedem, którego król lekceważył ani przypuścić mogąc, co go czekało od tego młodzika.

Nigdy może tak bliscy krewni, bo bracia cioteczni, mniej do siebie nie byli podobni nad Karola i Augusta.

Pominąwszy to, iż męstwo osobiste i poczucie godności swej w Karolu Dwunastym aż do przesady i do szału posunięte, że jako żołnierz i wódz despotyczny był i nie rozumiał, aby mu się kto śmiał sprzeciwiać, jako człowiek i jako żołnierz, jako wódz był to mąż znakomity.

Sama też powierzchowność młodego króla uderzała kontrastem z Augustem. Najprostsze z grubego sukna ubranie, bez galonów, bez oznak żadnych, ogromne grube buty, których czasem miesiącami nie zrzucał, kładąc się w nich na spoczynek, aby być na każde zawołanie gotowym, pogarda wszelkiego zbytku, życie anachorety, trzeźwość, surowość obyczajów — czyniły go wyjątkową istotą. Marzył tylko o bohaterstwie, o sławie, a wierzył w to, że potęgą woli można siłę nawet cielesną zastąpić.

Niczym go w świecie ująć i złamać nie było można.

Jako człowiek był to też czciciel ideału, cnoty, poświęcenia, czystości obyczajów. O męstwie mówić jest zbyteczne, posunięte ono było aż do zuchwalstwa i zupełnego zapomnienia się. Wzgarda wszystkiego, co było zewnętrznym popisem i konwencjonalną formą, cechowała go tak, jak, przeciwnie, Augustowi odegrywanie komedii stało się naturą.

W tej jednak chwili dwaj przyszli zapaśnicy i przeciwnicy wcale się jeszcze nie znali. Jakie miał wyobrażenie o Augustie Karol, trudno zgadnąć, ale August najmniejszego przeczucia nie okazywał, aby lekkomyślnego młodzika sobie za coś ważył.

Obok spraw takiej doniosłości — które po większej części zdawał król na Flemminga, a Flemming się do nich w Polsce znienawidzonym Przebendowskim posługiwał — miłości szły swoim porządkiem, Lubomirska panowała dotąd nad sercem i zmysłami Augusta. Zajęty był nią, co nie przeszkadzało bynajmniej utrzymywania stosunków przyjaznych z odprawioną już hrabiną Konigsmark, ze Spieglową, ze wszystkimi dawnymi ulubienicami i niekiedy zawiązywania nowych przelotnych miłości z francuskimi aktorkami i zalotnymi paniami jarmarków lipskich.

Rozwiążność króla posunięta była do najwyższego stopnia, a jawność jej w Polsce szczególnie wydawała się potworna i oburzająca. Zmuszeni dla interesów katolicyzmu popierać Augusta, jezuiti i inni duchowni tym postępowaniem jego nieraz byli przywiedzeni do rozpacz, nie umiając uniewinnić i obronić.

Zadawano kłam wszystkiemu, ale król nazajutrz jakby na przekorę się sam potępił. Karnawały te i jarmarki lipskie, na które umyślnie zjeżdżał, aby w towarzystwie Francuzek i Włosek, z fajką w ustach się snując, majestat swój królewski pospolitować — i nieszczęśliwą Lubomirska niepokoiły.

Złudzenie jej co do trwałości stosunków z królem nie mogło się utrzymać długo. Musiała udawać, że o sprzeniewierzeniach nic nie wie, ażeby nie dać powodu do zerwania. Nie miała bowiem jeszcze nic oprócz trochy klejnotów i wielkich obietnic.

Piękna Urszula zresztą przewidywaną katastrofę mogła znieść lżej niż kobieta, która by się istotnie przywiązała do Augusta. Lubomirska miała tę naturę zalotnic w ogóle, które w pierwszym momencie dla zdobycia sobie kogoś życie gotowe dać, ale cały ten szal ich, im gwałtowniejszy jest, tym trwa krócej. Siła jego w przeciwnym zawsze stosunku do trwałości się objawia. Najmniejsza potem pobudka ostudza nagle.

Piękna pani podkomorzyna mdlała, gdy król upadał z konia, rozwiodła się z mężem, naraziła rodzinie, cierpiała wzgardę i rodzaj banicji z towarzystwa, ale zniósłszy to dla króla już po kilku miesiącach przywiedziona była do udawania miłości, która zupełnie ostygła.

Król zaś z wielu powodów trzymał się podkomorzyny.

Naprzód — pozostała mu jeszcze resztką namiętności dla niej, którą piękna Urszula nader zręcznie żywić umiała. Następnie — w Polsce dla niego podkomorzyna była narzędziem potrzebnym. Przez nią trafiał do prymasa, nad którym czuwać było potrzeba, ona często mogła mu objaśnić i ułatwić to, czego nie potrafił ani Flemming, ani Przebendowski.

Lubomirska przewidywała, że się w sercu króla nie potrafi utrzymać, chciała tylko zdobyć tytuł i wyposażenie.

Na pozór lekka, roztrzepana, zalotna, nawet nieoględna, w istocie była niesłychanie zręczna i przebiegła, a ta powierzchowność motyla, to zdradzanie się, te rzekome omyłki, jakie popełniała, słabości, za które ją rodzina strofowała — były doskonale obliczone i przygotowane.

Najprzebieglejsi nawet, których zwieść i obalamucić było nadzwyczaj trudno, dawali się jej w błąd wprowadzić, tak doskonale naturalną się wydawała w postępowaniu. Jednym ze środków obudzenia zaufania był najmniej pospolity, a więc najskuteczniejszy.

Popępiała umyślnie jawne omyłki, ażeby zmylić tych, co by ją posądzać chcieli o zbyt mądre obrachowanie.

August, zazdrosny i podejrzliwy, nigdy jej nie posądzał. Omdlenie to w czasie turnieju było rękojmią przywiązania, które tym gwałtowniej się objawiało, im więcej stygło.

Oprócz tego podkomorzyna w stosunkach z królem umiała je utrzymać na pewnej wysokości idealnej, gdy August gdzie indziej schodził aż do najostatniejszych krańców bezwstydu i rozpasania. Z nią zawsze musiał grać rolę rycerskiego kochanka, bohatera, półbóstwa.

Miłość dla niej miała tę właściwość i to ją niestałemu panu czyniło znośną. Znajdował w niej pewną odmianę urozmaicenia. Z aktorkami francuskimi dopuszczał się bydlęcych niemal wybryków, z nią musiał być — choć najbardziej namiętny — przyzwoity i wytworny.

Nieprzyjaciele podkomorzyny, których pomiędzy Niemcami miała, równie jak przyjaciół, nie śmieli jeszcze rozpocząć nic przeciwko niej, tak dotąd stała mocno.

Król okazywał dla niej największe uszanowanie. Była to pierwsza Polka wielkiego imienia i rodziny, która dla niego poświęciła męża, głowę, rodzinę, wszystko. Tego nie uczyniła dla niego ani Kessel, ani Kónigsmark, ani Fatyma-Spiegel, ani de Lamberg-Esterle. Tamte on mógł wynagrodzić dając im mężów, tej odebrał go, musiał więc sownie zapłacić za to. Rozumiała swe położenie Lubomirska i pomimo natury zalotnej nie dała królowi najmniejszego powodu do podejrzenia i zerwania.

Zajęty swą polityką tajemniczą, August czasem miesiącami całymi nie mógł widywać podkomorzyny. Naówczas krążyły pomiędzy nią a królem najgorętsze listy, najczulsze zapewnienia miłości, a wkrótce potem nadzieja potomka uszczęśliwiła panią podkomorzynę. Było to jedno, czego najmocniej pragnęła. Król nie mógł już, doczekawszy się dziecięcia, mniej uczynić niż dla Aurory.

Po powrocie swym do Drezna i niespodzianym wezwaniu do króla położenie Witkego zmieniło się całkowicie. Doszedł do tego właśnie, czego pragnął: król

go znał i rachował na jego służbę. Ale z drugiej strony nie mógł się łądzić Witkę. Constantini, który posługując się nim dla siebie był mu chętny i przyjacielski, teraz, z obawy, aby nie zostać podkopanym, stawał się podejrzliwy, a u króla po prostu wrogi.

Mazotin miał już tu tak wielkie zasługi, a sądził się Augustowi tak niezbędnie potrzebnym, że pozbycie się nowego człowieka, Witkego, uważał za zadanie bardzo łatwe.

Zaraz po królewskim posłuchaniu Constantini go powołał do siebie.

— No — rzekł mu — widzisz! Zawdzięczasz to mnie, żem cię królowi zalecił. Rozumiesz! Czujże się do wdzięczności dla mnie i służ wiernie, bo jak łatwo mi było cię polecić, tak jeszcze lżej będzie precz odprawić.

— Ale, na Boga! — odparł Witkę — jak możecie co podobnego przypuścić, ja bez was kroku nie stąpię.

Podali sobie ręce i rozstali się.

Do najmądrzejszych środków utrzymania króla w zawistości od siebie Lubomirska liczyła jak najtroskliwsze śledzenie każdego kroku kochanka. Miała około siebie paziów, których umiała pozyskać, i polskich panów, co jej donosili o najdrobniejszych szczegółach.

Constantiniego podejrzewała słusznie, gdyż ten nie śmiejąc jeszcze nic przedsiębrać zmierzał do tego, aby król z Lubomirską zerwał, a zawiązał stosunek nowy, z kimś przystępniejszym dla Włocha. O Witkem doniesiono jej zaraz, gdyż na dworze domyślano się, że król, który się z wielką o nim pochwałą odezwał, używać go nie omieszka.

Natychmiast podkomorzyna wszystkie poruszyła sprężyny, aby Witkego poznać i pozyskać go sobie. Nie było to łatwe, ale próbując, dowiadując się księżna trafiła na Przebora. Ten — że wcale się jej nie podobał, użyła go za pośrednika tylko, poleciła mu, aby jej sprowadził Witkego. Wy tłumaczyć się z tej zachcianki łatwo było. Kupiec mieszkał w Dreźnie, podkomorzyna miała się tam przenieść, potrzebowała je poznać.

Witke mógł jej w tym być pożytecznym.

Naówczas już August obmyślał, gdzie ją umieści, a wszechmocny jeszcze Beichling, przyjaciel od serca hr. Esterle, począł przeciwko niej intrygować. Dla obrony od niego i bezpiecznego zamieszkania w Dreźnie, dla objaśnienia się

o stosunkach na dworze, podkomorzyna potrzebowała kogoś. Witkę mógł jej w tym i u króla usłużyć.

Postarała się więc ściągnąć go do siebie i pozyskać. Witkę nie był ani tak doświadczony, ani tak przewidujący, ażeby się w tym domyślił jakiejś intrygi. Lubomirska wydała mu się zachwycająca; urok jej całkiem go zjednał. Służyć jej zdało się mu zarazem dać dowód wierności królowi. Nie wydało mu się nawet dziwne, iż mu poleciła tajemnicę i zastrzegła, aby Constantiniemu się nie zwierzał. Po dwukrotnym potajemnym spotkaniu się z Lubomirską kupiec całkiem już był pozyskany. Sekret, jakim się osłaniały stosunki te, wydawał mu się naturalny.

W ten sposób, dwakroć uwikłany, o cofnięciu się już ani mógł pomyśleć.

Rozdział trzeci.

W Bielanach pod Warszawą, gdzie król dla siebie nowy pałacyk letni postawić kazał, w nim się ze swoimi amatorami i pijatyką schraniając, aby go z nich Polacy nie wyśmiewali, w antykamerze pełnej służby saskiej i polskiej panowała martwa cisza.

Jedni na drugich spoglądali z jakimś przerażeniem, trwogą, niepewnością, co począć mieli. Widoczne było na pierwszy rzut oka wchodzącemu, że na coś oczekiwano, iż popłoch rzucić musiała wieść jakaś.

Od pokojów, w których król natenczas się znajdował, nie słyhać nic było, a ku nim oczy i uszy służby się zwracały. Niektórzy ostrożnie na palcach zbliżali się ku drzwiom chcąc posłuchać... na próżno...

Przed chwilą zbiegli się tu byli senatorowie najbliżsi Majestatu, oddani mu, pojeżdżali Sasi, wpadł Pflug, przybyła blada Lubomirska... Wszystko to znikło w głębi pokojów, w których złowrogie panowało milczenie.

Saska i polska służba, pomiędzy którą, rzecz niezwykajna, starszyznę i faworytów: Constantiniego, Hoffmana, Spiegła i Witkego widać było, zwykle stroniąca od siebie i trzymająca się osobną gromadką, zbliżała się ku sobie i wymieniała pytania i odpowiedzi.

Rok zaledwie upłynął od świetnych owych nadziei, którymi karmił się August po zjeździe z carem Piotrem w Rawie, ale położenie niespodzianie zmieniło się straszliwie. Ów młokos nieopatrzny, któremu pewną zgubę przepowiadano, w

Danii zadał ciężką klęskę przeciwnikowi, cara Piotra zbił pod Narwą. August przeciwko niemu stał z przemagającą artylerią swoją i najlepszymi ludźmi — pod Rygą, oczekując wieści zwycięskich od Flemminga. Same działa saskie miały Szwedów zetrzeć na miazgę.

Goniec przyszedł do Warszawy od Flemminga. Co przyniósł, nie wiedział jeszcze nikt stanowczo, ale trwoga się szerzyła. Nie zwiastował zwycięstwa, to pewna.

Z Warszawy do Bielan po kolei przyjeżdżali konno i kolebkami przyjaciele królewscy, z twarzami bladymi wpadali do sali na pokoje i nikli w nich. Panowało grobowe milczenie.

W antykamerze Mazotin stał zapatrzony w okno, a na sfałdowanym jego czole czytać było można więcej niż niepewność i troskę. On i Witke, który wychudł, zbladł i w tych usługach pana i Lubomirskiej zestarzał i znędzniał do niepoznania, spoglądali na siebie i potrzęsali głowami znacząco.

Reszta służby snuła się około nich, pragnąc zaczepić i wybadać, ale Constantini i Witkę ruszali ramionami, na żadne nie odpowiadając pytania. Oczywiście to przeciągnęło się niezmiernie długo.

Przez cały ten rok przygotowywano się na Szweda. August osobnym poselstwem Gałęckiego uścił go, zapewniając, że traktat oliwski zachowa... a potem... knuto i gotowano wojnę.

Sam król tymczasem?

Król zdawał się niezmiernie zajęty, a nic nie robił. Posługiwał się Flemmingiem, generałami, dworakami, kobietami, szpiegami, rozprawiał, kombinował, jeździł, z daleka spoglądając tu i owdzie, ale ani swoich rozrywek, ani miłostek, ni uctowań i pijatyki nie poświęcił polityce.

Sobie pozostawiając kierownictwo z dala i z góry, nie czuł się w obowiązku troskać o wykonanie.

Rzucał rozkazy Flemmingowi, zdawał się pewny, że Opatrzność i ludzie mają obowiązek je spełniać nie wymagając od niego ofiar nawet rozrywek i napawania się życiem.

W ciągu tego roku Lubomirska dała mu syna Jerzego, Chevalier de Saxe, który równie jak syn Aurory, Maurycy, przyznany został, a piękna Urszula

zwała się księżną Cieszyńską. Doszła więc do tego kresu życzeń swych, ku któremu dążyła, i zdawało się jej, że króla uwięzi, utrzyma przy sobie.

Okazywał jej czułość wielką, poszanowanie prawie przesadne, a księżna się nimi cieszyła nie rozumiejąc tego, iż były oznakami zubożenia.

Bliżej znający Augusta, jak przebiegły Mazotin, wiedzieli dobrze, iż niedługo już być mogło panowanie Lubomirskiej i że wszelkie oznaki znużenia i przesytu z kolei się zjawily. Coraz częściej wykradał się August od księżnej na tajemnicze wycieczki i łowy. Constantini jeden — albo mu towarzyszył, albo zdradzał świadomość celu tych podróży.

Przed Lubomirską najczęściej polityka służyła za wymówkę oddalania się, zmęczenia i widocznego ostygnięcia.

Piękna Urszula siliła się na rozpędzanie chmur. Król odpowiadał jej wymuszoną czułością, ale pomiędzy nimi stygło powietrze.

Lubomirska przeklinała politykę, czekała, aby co najrychlej obalono Szweda, zabrano Inflanty i odśpiewano Te Deum.

W chwili gdy ta cisza grobowa zalegała antykamery pałacyku na Bielanych, w gabinecie, obok wystrojonej, ubielonej, utrefionej, uśmiechniętej, dziwnie ślicznej księżny, siedział jeszcze król z twarzą na pół posępną, wpół znudzoną.

Skarżył się na Flemminga, że mu o sobie nie dawał wiadomości, gdy od wczora już rozstawionymi kresami nadejść były powinny. Ile razy to powtarzał, Urszula nieśmiało zaglądała mu w oczy, drżały jej wargi, zdawała się gotować coś wyrzec i brakło jej odwagi.

Znała niezmierną króla gwałtowność, który z płóczego śmiechu przechodził do wściekłego gniewu czasem, a naówczas, jak oszalały lew, gotów był gnieść i zabijać, co mu się nastęczyło.

Mruczała więc piękna pani, łagodząc go i pieszcząc, a król, choć ziewać mu się zbierało, uśmiechał się do niej czule.

Drzwi tylko zamknięte dzieliły ich od salki, w której po cichu, strwożeni widocznie, stali wszyscy króla przyjaciele. Już samo ich gromadne zbiegowisko na Bielany nic nie wróżyło dobrego, a twarze wyrażały pogębienie i przestraszony niewypowiedziany.

Czytać w nich było można niemal rozpacz. Pomimo wielkiej usilności, aby zachować milczenie, szmer wśród tego ścisku dawał się słyszeć niekiedy.

Król, roztargniony i niespokojny, mimo zabiegów księżnej, nagle nastawił ucha. Doszedł go szelest i mruczenie, w których domyślił się znacznej liczby zgromadzonych, choć się ich tu w tej godzinie spodziewać nie mógł. Bez namysłu, chociaż księżna chwyciła go za rękę chcąc powstrzymać przy sobie, zerwał się zbladły i rzucił ku drzwiom, które nagle na oścież otworzył.

Widok tego ścisku przyjaciół, na których czele stali przedniejsi senatorowie i duchowni, wprowadził go chwilowo w osłupienie. Twarze ich same niosły mu wyrok jakiś przerażający. Na widok króla wszyscy z trwogą spoglądać po sobie zaczęli. Dąbski stał na przedzie.

August krokiem gwałtownym zbliżył się do niego.

— Co to jest? Mów! — zawołał — klęska! Mówcie! I z taką natarczywością przypadł do biskupa, a od niego do Jabłonowskiego, jakby w drżących rękach miał ich zdusić. Na kimś musiał tę wściekłość spędzić. Dąbski, znający go już, wojewoda, wszyscy, ilu ich było, chociaż gotowali się uwiadomić go o ciężkiej klęsce pod Rygą poniesionej, stracili odwagę, mówić nie śmieli. Tymczasem milczenie wzmagało gniew i rozdrażnienie.

Król natarł na Dąbskiego.

— Mów, klecho! — krzyknął porywczo — mów... co mi taicie? Ja od dni dziesięciu noszę w sobie przeczucie klęski... Spotkać mnie musiało, co Duńczyka i cara...

— Klęska — odezwał się w końcu Dąbski — nie jest wcale tak znaczna, jak zadana sprzymierzeńcom... Flemming dał się ubiec. Nie bitwa była, ale napaść zdrażliwa.

Wtem nieopatrzny Pflug łamiąc ręce zawołał:

— Osiemdziesiąt dział naszych... oko z głowy nam wy łupiono!

August stał, jakby nie rozumiał, nagle rzucił się ku oknu, było to na piętrze, wyrwał je druzgocząc i zamierzył skoczyć.

Wszyscy, ilu ich tam było, objęli go, nie dopuszczając. Z drugiego pokoju wpadła księżna i uklękła przed nim. Drżący, miotając się, August stanął.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał Pflug — działa można innymi zastąpić, Was nam nikt i nic w świecie nie potrafi...

Co się naówczas działo z królem, tylko po jego bledniejącej, kraśniejącej, mieniającej się twarzy domyślić się było można. Suknię, zapiętą na piersiach, rozerwał, aby odetchnąć. Chciał krzyknąć, zabrakło mu głosu, aż wybuchło z ust:

— Konia! konia! Kto żyw, konia!!

Niemcy, którzy go znali, iż nieraz w gniewie srogim dla uśmierzenia go znużeniem konie do zdechu zajeżdżał, nie wahali się usłuchać rozkazu, chociaż księżna u nóg mu się położyła błagając. Nie widział jej nawet... i wołał konia.

Constantini rzucił się ku stajniom, ale zamiast konia dla króla rozkazał wyprowadzić wierzchowych, ile ich było, gdyż samego puścić go nie chciał.

August, gdy się prowadzony siwy jego wierzchowiec pokazał, jak stał, nic nie biorąc na głowę, szablę tylko konwulsyjnie, bezwiednie przypasawszy, wybiegł rozpychając tych, co mu na drodze stali... wprost do konia... Kilku Sasów, kilku z polskiej młodzieży skoczyło na podane wierzchowce, aby mu towarzyszyć.

Sądzono, iż król popędzi do Warszawy — tymczasem, zdaje się, że nie patrząc kierunku, wbił ostrogi koniowi i puścił się cwałem na oślep.

W pałacyku wszyscy pozostali w oczekiwaniu i trwodze jak osłupieli, milczący — czekali, a kobiety wyniosły księżnę omdlałą.

Król i towarzyszący mu znikli z oczów wśród drzew otaczających.

Poczęło się coś niepojętego, niezrozumiałego dla tych, którzy za królem gonili.

Krew koniowi ciekła pod wbitymi w brzuch ostrogami. Koń i jeździec, oba wściekli, walczyli z sobą. W szalonym pędzie siwy przeskakiwał kłody, płoty, rowy, a król smagał, kolanami dusił, ostrogami krajał mu boki. Całą swą wściekłość wywarł na nim. Oszalały był. Goniący spoglądali z nieopisaną trwogą, zdawało się, że co chwila on i koń padną oba, lecz koń był godzien jeźdźca. I on się wściekał i szalał.

Z lasu wyjechawszy w pole August pędził jeszcze staj kilka, ale już ów siwy, którego tak dusił kolanami, że tchu mu w końcu zabrakło, słaniać się począł.

Padł nareszcie. Jeźdźcy pozostali z daleka, nie mieli czasu jeszcze dopędzić króla, gdy ten stał drżący zeskoczywszy z siodła.

Siwy podniósł ku niemu głowę okrytą pianą ze krwią zmieszaną. Naówczas błysnęła szabla z pochew dobytą i jednym zamachem August łeb uciął ulubionemu wierzchowcowi. Było w tym coś tak dziwnie szalonego, iż zadrżeli wszyscy, bo pomyśleli, że tak samo w tej chwili człowieka by zamordował jak konia.

Widok tego strumienia krwi, którą go obryzgał od stóp do głów, uśmierzył szła nagle. August padł na ziemię, precz odrzucając szablę skrwawioną. Wtem przybiegli otaczając go Niemcy i Polacy.

Zdziwienie było niezmierne. August się zdawał ostygły i zębami tylko zgrzytał tak, że przytomnych dreszcze przeszły.

Nikt się odzywać nie śmiał długo. Król dyszał jeszcze, umazany krwią cały. Oczy jego błądziły dokoła nic nie widząc. Pflug zaczął mówić do niego, lecz nie zdawał się ani słyszeć, ni rozumieć. Nie wiedziano, co począć.

Wszyscy stali, okoliwszy siedzącego na ziemi, wśród kałuży krwi, która z konia zabitego płynęła.

Tak upłynęła chwila jak wiek wydająca się długą. August obejrzał się przychodząc do przytomności, wzdrygnął się, otrząsł i powstać usiłował.

Naówczas Pflug z jednej strony, Jabłonowski z drugiej rękę mu podawali. Dźwignął się na nogi. Podprowadzono silnego konia, ale Niemcy nastawiali, aby go masztalierz prowadził w rękę. Dobrano najsilniejszego hajduka. Król ani się sprzeciwiał, ani się zdawał wiedzieć, co się z nim działo.

Po szalonym tym biegu pochód z powrotem szedł noga za nogą. August nawet wodzów nie brał w ręce. Koń, którego konwulsyjnie czasem ścisnął kolanami, stawał i dyszał. Następowwała folga i stapał dalej.

Tak doszli do lasu i na ostatek do pałacyku na Bielanych, już o mroku.

Tu, co było gości, pomnożonych świeżo przybyłymi z Warszawy, wszyscy stali w podwórzu, w trwożnym oczekiwaniu powrotu, a widok króla powitano z radością. Krew tylko, którą był zboczony, z początku wznieciła przestrasz, ale służba ją wytłumaczyła.

Król dał się tak podprowadzić do ganku, skoczył Ł siodła i z Constantinim i z Hoffmanem wszedł do swej sypialni.

W pokojach czekali wszyscy.

Księżna Cieszyńska, przez cały ten czas trzeźwiona, płakała, omdlewała, rzucała się bezprzytomna, aż król powrócił. Chciała natychmiast biec do niego, Constantini nie dopuścił.

Gdy się to działo, siedzącemu na łóżku Augustowi Pflug czytał listy i raporty Flemminga, a zgrzytanie zębami towarzyszyło cichemu szeptowi jego.

Ani słowem nie przerwał czytania król. Skończone już było i Niemiec miał rozpocząć kondolencje i pociechy, gdy zmarszczony pan nakazał mu milczenie. U wezłowia stał doktor.

Wtem, obejrzawszy się dokoła, głosem stłumionym August zażądał wina.

Doktor chciał się sprzeciwić, ale groźny wzrok króla nie dozwolił mu ust otworzyć.

— Wina! — powtórzył po raz drugi.

Constantini, który skinienie jego każde rozumiał, rozbierał go i odziewać począł. Zwolna wszystko się w nim uśmierzało i uspokajało. Dwa ogromne kielichy wychylił jeden po drugim... i bezcześcić zaczął Flemminga.

Nikt przerywać nie śmiał. Ożywiał się coraz mocniej.

Przeciągnęło się tak do wieczery.

Księżna stała niemal ciągle u drzwi, ale nie wpuszczała jej służba. Uspokojono ją tylko, iż król zupełnie przychodził do siebie i wkrótce całkiem będzie uśmierzony.

Stół czekał do wieczery nakryty. Constantini coś szeptał. Zwolna podniósł się August i skierował wprost do jadalni. Tu zajął zwykle swe miejsce.

Podczaszy na skinienie nalał mu wina. Polacy, jeszcze nie oprzytomnieni po tym, co widzieli, z podziwieniem spostrzegli, że król jeść począł. Ze wściekłości całej pozostało mu na wargach szyderstwo.

Spodziewano się, że mówić będzie o tym, co go do takiej doprowadziło rozpaczy, tymczasem August począł o rzeczach całkiem obojętnych. Spytał jednego z Polaków, czy widział, jak łeb koniowi ucinął, a po odpowiedzi potakującej rzekł:

— Drugi raz w życiu.

Zamilkł potem i cicho szepnął imię wierzchowca, który mu był ulubiony.

Dobierał tak do rozmowy treści, aby z tym, co zaszło, najmniejszego nie miało związku. Było w tym coś tak niepojętego dla tych, co go po raz pierwszy widzieli w tym stanie, że nie śmiejąc ust otworzyć spoglądali tylko po sobie. Stopniami, pod wpływem wina i jakiegoś rozmysłu a walki z sobą, twarz się zaczynała rozjaśniać.

Pflug coś mu szepnął. Wstał od stołu nie żegnając współbiesiadników i z kielichem w ręku wyszedł krokiem powolnym. Za ledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy przypadająca z płaczem księżna zawisła mu na szyi.

— Panie mój! Królu mój! a ty mi niemal śmierć zadałeś.

August spojrzał na nią i ścisnął jej rękę.

— Idź spocząć — rzekł dziwnym głosem — idź spocząć. Wszystko przeszło... ja potrzebuję się orzeźwić...

To mówiąc pocałował ją w czoło i nie słuchając błagającej powrócił do gości.

Codzienna pijatyka rozpoczęła się naówczas z tą tylko różnicą, że król pił daleko więcej, a pozostał zupełnie trzeźwy, i że zamiast być uprzejmym i grzecznym, litościwie był szydrczy i złośliwy.

O pierwszej tej porażce pod Rygą, która była zwiastunką całego szeregu klęsk dla króla i dla Rzeczypospolitej, mimo woli swej w wojnę ze Szwedem wciągniętej, ani słowa, ani najmniejszej aluzji nie było.

Dobrze z północy, gdy wszyscy towarzysze zmuszeni przez niego do picia już siedzieli nieprzytomni, a niektórzy z nich obezwładnieni leżeli na stołach, Constantini z pomocą służby poprowadził króla nagle upojonego do łóżka.

Nazajutrz księżna Cieszyńska z obawą wielką oczekiwała na króla, lecz noc i biesiada zdawały się dzielić od siebie dwa momenta, które z sobą żadnego nie miały związku.

Po szale, uśmierzoną krwią, nastąpił dalszy ciąg życia powszedniego.

Swoim zwyczajem August znowu zdał wszystko na usługi pomocników, a sam szukał rozrywki. Zdaniem jego, nieszczęściu byli winni ludzie, on sam nie miał sobie nic a nic do wyrzucenia. Tak samo Flemming składał winę na swych podwładnych, a król, który miał w nim zaufanie i nałogowo się do niego przywiązał, brał jego stronę.

Saski ów oddział wojsk, którego w obozie zniemacka tak zaskoczył Karol Dwunasty, niemal cały został zniszczony, a co gorsza, osiemdziesiąt kosztownych dział, których część była zapożyczona od Brandenburczyka, wpadła w ręce Szwedom. Zapasy kul, prochu, amunicji drogo opłaconych dostały się zwycięzcom.

Brandenburski sprzymierzeniec, który obiecywał posiłki, od tej chwili cofnął się i ani poruszył, zostawiając cara Piotra i Augusta samych z Duńczykiem w tej matni.

W Polsce wieść o klęsce pod Rygą wywarła wrażenie straszliwe. W świeżej tu jeszcze pamięci były szwedzkie wojny za Jana Kazimierza. Karol Dwunasty występował jako godny następca swego poprzednika. Wzburzenie umysłów w całej Rzeczypospolitej powstało wielkie i brzemieniem padło na Augusta.

Skryci jego nieprzyjaciele już je wyzyskiwali.

Nazajutrz księżna Cieszyńska długo na próżno oczekiwała na króla. Ukazał się na chwilę w progu i zimno, chociaż z nadskakującą grzecznością, prosił ją, aby powróciła do Warszawy, sam się tam obiecując.

Nie śmiała mu się sprzeciwić, ale tego dnia w szklanym wejrzeniu rzuconym na siebie wyczytała jakby wyrok.

Potrzeba było znękanemu gwałtowniejszych wrażeń nad te, jakie po kilku latach pożycia księżna z sobą przynieść mu mogła.

Rozumiał to najlepiej Constantini.

Witkę i on siedzieli razem tego wieczora.

— Wszystko to się odmieni — mówił Włoch — myśmy jeszcze dosyć mocni, aby Flemminga ospałość naprawić i odwetem się pomścić na Szwedzie, ale królowi trzeba silniejszej rozrywki, nowego czegoś, nie księżny tej, która mu się uprzykrzyła.

Witke się oburzył.

— Co bo mówicie — zawołał — przecież teraz ona, dawszy mu syna, jest pewnie droższa niż była królowi. Włoch się śmiać począł.

— To go ty znasz dobrze — począł szydersko. — A cóż pomógł Maurycy Kónigsmarce? Właśnie teraz już on ma i Cieszyńskiej dosyć. Czegóż ona może więcej żądać? Ma księstwo cieszyńskie, któremu równego żadna nie dostała, a oprócz niego Hoyerswerdę i tyle dóbr na Łużycach! Jest z czego w Dreźnie na królewskiej żyć stopie.

— Bo też ona do niej nawykła — odezwał się Witke.

— Wątpię, aby król jej to kiedy odebrał — dodał Constantini — a więcej żądać chyba nie może.

— Jak to, odebrał? — krzyknął kupiec — alboż to możliwa rzecz?

A Constantini się wziął w boki i postąpiwszy do Witkego w głowę go pocałował.

— Kto daje, ten ma, spodziewam się, prawo odebrać, Ja za nic nie ręczę! A ty, przyjacielu pięknej Urszuli, patrzaj lepiej i myśl, czy mu innego dziewczęcia pięknego gdzie nie znajdziesz. Gdybyś nastreczył, podzieliłbym się z tobą nagrodą.

Witke aż się cofnął.

— Jam do tego się nie zdał — rzekł. — Nawet gdyby mi sam pan rozkazywał, do sprzedawania ludzi nie mam ani talentu, ani ochoty.

— Cóż ty myślisz! — przerwał marszcząc się Constantini — służba nasza nie zna granic. Gdy potrzeba zabić, musimy zbirów nasadzić, gdy się zechce świeżego kęska, nasz obowiązek go dostarczyć. Inaczej co z ciebie za sługa?

Witke nie odpowiedział nic, cofnął się nieco ku drzwiom. Constantini całkiem był tylko tą myślą zaprzątnięty, że Augustowi gwałtownego trzeba było roz-targnienia, a tego nikt mu dać nie mógł prócz kobiety.

— Widzisz — rzekł do Witkego — kiedy po kościach kogo łamie, doktor przystawia plaster z much hiszpańskich, aż narwą. Dziewczyna mu będzie tym

plastrem, innego nic nie pomoże, nawet zwycięstwo nad tym Szwedem przeklętym!

W kilka dni potem król już się zabawiał w Warszawie, gdy wcale niespodziewanie oznajmiono mu tu przybycie Aurory z kondolencją.

Kónigsmark wozila z sobą prawie zawsze Spieglową, prócz więc księżnej Cieszyńskiej dwie pocieszycielki stawily się z kondolencjami.

August je prawie wszystkie zawsze przyjmował z wielką galanterią, grzecznością, zalotnością niemal, obdarzał czasem, zapraszał na wieczerzę, odwiedzał, ale żadna z tych Ariadn, opuszczonych raz, na nowo sobie serca, a raczej zmysłów, zdobyć nie mogła. Nowość, nawet najmniej ponętna, więcej go ku sobie pociągała.

Przyjął jednak przybywającą Aurorę bardzo wdzięcznie, pojechał do niej i przesiedział dosyć długo. Kónigsmark próbowała go pocieszać, za pierwszym jednak słowem brwi mu się ściągnęły i porywczo zwrócił na inny przedmiot rozmowę.

Był to jego zwykły sposób unikania wrażeń bolesnych. Zamiast szukać przeciwko nim ratunku, August je ignorował. Jak ów struś chowający głowę przed nadchodzącym niebezpieczeństwem, ani myśleć o nim, ani mówić nie chciał. Opatrzność i ludzie mieli obowiązek uwalniać go od wszelkich losu napaści.

Zamiast mówić o Szwedzie i o wojnie z nim z Aurorą, w początku zabawiał ją rozpowiadaniem o paniach polskich, o strojach i obyczajach wiejskich, o plotkach z warszawskiego bruku, a właściwie błota, bo znaczniejsza część miasta nie była brukowana.

Dopiero po dość długiej zabawie z piękną zawsze Szwedką, wstając z siedzenia, odezwał się zartobliwie:

— Któż wie? bardzo mi się jeszcze możecie przydać, Karolek jest waszym królem, wy Szwedką. Młodziuchny jest, a wy macie potęgę wdzięków i rozum. Kto wie? — powtórzył — możecie być pośredniczką pomiędzy waszym królem a przyjacielem.

Aurora ścisnęła rączki.

— Jam życie dla was i za was dać gotowa — odezwała się — rozkazujcie.

— O! dziś jeszcze nie ma nic do zrobienia dla was — rzekł król — wolałbym go pobić i upokorzyć, niż się z nim układać, ale...

Nie kończąc ścisnął ramionami.

Aurora, której ta wzmianka o pośrednictwie do Karola Dwunastego była nadzwyczaj pożądana i obiecująca na przyszłość, rozstała się z Augustem pełna nadziei i marzeń. Zdawało się jej może, iż odzyska u niego dawne zachowanie i łaskę.

Rozeszła się natychmiast wiadomość o tym po mieście, a Witkę, który potajemnie służył księżnie Cieszyńskiej, przybiegł dowiedzieć się, czy już o swej współzawodniczce była uwiadomiona. Wyszła do niego piękna Urszula, trochę smutna, ale więcej jeszcze znudzona.

— Wiem, że Konigsmark przyjechała — odezwała się — ale ja się jej nie boję. Ani ona, ani żadna go nie odzyszcze raz utraciwszy, chyba na jaką godzinę, gdy będzie bardzo znudzony.

Poruszyła białymi ramionami.

— Nowych się lękam więcej — dodała — a im królowi w Polsce i Inflantach gorzej się powodzi, tym więcej się obawiam, aby dystrakcji gwałtownych nie szukał.

Spojrzała na Witkego pytająco.

— A! nowego nie ma nic — odparł kupiec — król więcej zajęty polityką niż miłostkami.

— Wy go nie znacie — wtrąciła Urszula — im gorzej mu się wiedzie, tym gwałtowniej zapragnie rozrywki. Rada bym, by jej nie szukał gdzie indziej, tylko wśród francuskich aktorek.

Z tych, którzy na króla co dzień mogli patrzeć i do jego towarzystwa dopuszczani byli, z wyjątkiem najpoufalszych mało go kto mógł zrozumieć. Wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw, najstraszniejszych zawikłań i zaburzeń w kraju, gdy sądzić było można, iż całą duszą i całą siłą odda się ratowaniu siebie i kraju, August zabawiał się, okazywał dumnie obojętny na kłęski, lekceważąco traktował najważniejsze sprawy. Stąd niektórzy go mieli za wiernego polityka, gdy najpospolitszy egoizm, nie rachujący się z jutrem, władał nim i był pobudką czynności. Zdawał się na swych posługaczów, w Polsce na Przebendowskiego, w Saksonii na Furstenberga i Flemminga. Zresztą,

czyż los sam nie powinien był, zawiódłszy go chwilowo, natychmiast dźwignąć się z tej matni?

Jak owi cesarowie starego Rzymu, jak prototyp Ludwika Czternastego, August się miał za istotę wyjątkową, której wszystko było wolno, którą bogowie i fata musiały bronić.

W walce tej z Karolem Dwunastym, im się ona dalej i nieszczęśliwiej ciągnęła, tym obojętniej patrzył na nią, pewnym będąc, że odzyszcze, co utracił. Jak? O to się los powinien troskać. W najszcześniejszych godzinach zdawał się tylko chcieć dowieść, że nieszczęście dotknąć go nie mogło.

Daleko silniej odczuwali to ludzie otaczający króla, bo upadek jego był ich ruiną.

Lubomirska, dotąd będąca w łaskach, ze wszystkich ulubienic najszczodrzej obdarzona, bo też najwięcej poświęciła, choć nie kochała króla, zalewała się łzami, przewidując i trwając się, że zostanie tak zaniedbana jak Aurora.

Wrócić do polskiego towarzystwa, do stosunków rodzinnych, oprócz jednych Towiańskich i prymasa, nie miała widoku ani nadziei. Lubomirscy, spokrewnieni nawet z nią samą, ze starej szlachty polskiej, której cześć była nad wszystko droższa, nie dopuszczali jej na oczy. Ofiarowała się im pomagać, wyrabiać u Augusta urzędy i starostwa, wzdragali się od niej cokolwiek bądź przyjąć.

Między innymi pan starosta Górski, który przez żonę był z nią skoligacony, na wspomnienie pięknej Urszuli uszy sobie zatykał i drzwi wskazywał tym, co mu się o niej mówić ważyli.

— Ja bym miał panią, duszkę królewską, do mojego wprowadzić domu? I córki moje musiałyby się jej kłaniać — wołał — żona ją szanować, a ja całować w ręce! Nigdy w świecie!

Wszelkie insynuacje, prośby, upokorzenia nie pomagały. Górski pierwszy rzucił na nią anathema, nikt nie śmiał głosu podnieść w obronie.

— Króla z jego rozpustą wszeteczną znoszę — wołał starosta — bo muszę, a Rzeczpospolita szanować mi go nakazuje. Bóg, nie ja, będzie go sądził; ale na tym dosyć, nie może mnie nic zmusić kłaniać się Uriaszowej.

Przekonawszy się, że w Polsce ani klejnotami, ani swym tytułem księżnej, ani wystawnością życia nie potrafi sobie bezkarności uzyskać, Lubomirska w

przewidywaniu upadku, którego była pewna, niestety, oglądała się już za tym, co by jej mógł Augusta zastąpić.

Łatwo go było znaleźć chyba na saskim dworze, ale i tu, począwszy od kanclerza, miała zajadłych nieprzyjaciół wielu. Na przemiany więc próby zbliżenia się to do rodziny własnej, to do obcych, nieustannie po sobie następowały.

August jednak dotąd trwał przynajmniej na pozór wierny jej. Z wielu względów piękna Urszula odpowiadała najlepiej jego wymaganiom.

Była piękna, dowcipna, łagodna, nie dokuczająca scenami zazdrości, czyniła mu honor swym dworem, życiem wystawnym i stanowiskiem, na jakim się umiała utrzymać. Na ostatek ona mu pilnowała prymasa, który, na pozór się oddawszy, pokątnie działał przeciwko niemu. Żadna też inna nie uczyniła na nim w tych czasach większego wrażenia.

I to jej nawet za dobre miał, że się dla jego spokoju godziła z Aurorą, nie brała za złe spędzanych u niej wieczorów, a gdy powracał, uśmiechała mu się zalotnie.

Nie odgadywał, co w duszy jej się działo i jak się dręczyła przewidując przyszłość. Los pomścił na niej męża, ale znosiła męczarnię swą nie okazując tego przed nikim, nie skarżąc się, uśmiechając, strojąc coraz wykwintniej, zaćmiewając blaskiem wszystkie panie, występując jak królowa.

A ponieważ w Polsce królowa protestantka nigdy się nie pokazywała i tytułu sobie należnego nie nosiła, Lubomirska niejako tu ją zastępowała.

W ciągu tych zawikłań, jakie wojna o Inflanty, potem walka w Polsce i braterska waśń na Litwie Ogińskich ze Sapiehami sprowadzała, król prznosił się ciągle z miejsca na miejsce, zwoływał zjazdy, narady, sejmy, łączył się z wojskiem, nawiedzał Kraków, Warszawę, wyrywał się bez zezwolenia do Drezna, do Lipska... i niezmordowana księżna Cieszyńska za nim goniła, towarzyszyła mu, nie dając się porzucić. Zjawiała się w stolicy Saksonii, jednając tu sobie sprzymierzeńców, a nieprzyjaciół kanclerzowi Beichlingowi, który przeciwko niej intrygował; biegała potem do Warszawy, do Łowicza, do obozu, za którym zawsze niezliczona moc pań i różnej kondycji kobiet ciągnęła, ażeby król zapomnieć o niej nie mógł.

Witkę tymczasem podsłuchiwał, donosił jej, dawał rady.

Ale i on sam ich potrzebował, skrepowany, wypotrzebowany przez drugich, straciwszy swobodę, cierpiał i na majątku, i na handlu swym, i na swobodzie.

Król zażywał go do posług najdrażliwszych i płacił obietnicami. Constantini strachem i groźbą go trzymał. Nie pozbyta namiętność do Henrietki nie dawała mu się oddalić, a tymczasem biedna staruszka matka zamęczała się pracą i posyłała do niego błagając, aby powracał.

Witke czasem, poruszony, zrywał się już jechać, postanawiał zwyciężyć słabość, uciec i wrócić do ojcowskiego trybu życia. Najczęściej, gdy to dobre postanowienie miał przyprowadzić do skutku, powoływał go Mazotin, król dawał polecenie, księżna Cieszyńska zapotrzebowała i Witke pozostawał na miejscu.

Z dnia na dzień odkładał tak poprawę, do której brakło mu siły. Nie zyskał nic, czuł swoje upokorzenie i upadek, a o własnej sile nie mógł wydobyć się z tej grzędawicy.

Śmiało powiedzieć można, że wszyscy, co otaczali Augusta Drugiego, co mu służyli, co w jakimkolwiek z nim byli związku, padali jego ofiarą, bo wszystkich bezlitośnie sobie poświęcał. Tak samo jak z pięknymi paniami, które wyborem zaszczycał, a wprędce, ostygły, porzucał najobojętniej, obchodził się z faworytami, z narzędziami swej polityki, intryg i wodzami wojsk swoich. Serce się w nim nigdy nie odezwało.

Z najzimniejszą krwią skazywał ofiary swe, gdy mu tego było potrzeba, sam nigdy najmniejszej chwili nie poświęcając dla nich. Wyszukana galanteria i grzeczność służyły mu tylko na zamaskowanie egoizmu i na zasłonięcie od scen przykrych i wymówek.

Lubomirska nauczyła się przykładem Aurory i innych swych poprzedniczek, że chcąc sobie zapewnić względy króla, potrzeba mu było wszystko przebaczać, aż do zdrady jawnej, i ubóstwiać go, choćby najboleśniej się znęcał.

Wiedziała, że godziny jej były obrachowane, a pocieszała się tym, że jak Aurora dla Szwedów, tak ona dla prymasa potrzebną być jeszcze mogła.

Sprawa króla w Polsce szła coraz gorzej. Najstraszniejszy zamęt panował w kraju, który się burzył wciągnięty w wojnę, choć się od niej bronił... i wołał już o to, aby sam mógł ze Szwedem wejść w układy, aby od większych jeszcze klęsk się ubezpieczyć.

Witkę, który pochlebiał sobie wciskając się w tę niefortunną służbę, że August spokojnie i swobodnie nad Polską panować będzie, teraz dopiero błąd popełniony postrzegał.

Warszawa i Kraków zagrożone być mogły przez Szweda, który niczyjej nie szanował własności, o handlu myśleć nie było można. Wycofać się do spokojnego Drezna, wrócić do dawnego bytu nie dozwalały pozawiązywane stosunki. Zachariasz byłby może w ostatku pozrywał wszystkie, gdyby nie piękna Henrietka...

Rosła ona i dojrzewała w oczach, przedwcześnie, Witkę się przywiązał do niej, a choć głosiła się jego przyjaciółką, widział z boleścią, że równie zasobna była dla wszystkich gości uczęszczających do Renardów. Nieopatrzni rodzice jej przede wszystkim, chcąc do winiarni swej ściągnąć gości, nie tylko jej nie wzbraniali wychodzić do nich, zabawiać się z nimi, dozwalać sobie prawić komplementy, ale sami do tego podbudzali. Pustemu dziewczęciu smakowało to życie wśród kadzideł, pochlebstw i tłumu wielbicieli.

Szczególniej oficerowie sascy z gwardii króla, ilekroć się znajdowali w Warszawie, tłumnie biegli i po całych dniach przesiadywali u pięknej Francuzki.

Wieczorami śpiewała im piosenki, niekiedy sprowadzano muzykę... Henrietka popisывała się tańcami. Młodzież szalała za nią. A biedny Witkę usychał i żółkł z zazdrości.

Gdy rodzicom szepnął czasem, na jakie niebezpieczeństwo narażali córkę, sama Renardowa uśmiechała się obojętnie.

— Mamy na nią oko — uspokajała go — wszystko się dzieje jawnie, przy nas... a nie możemy rozpędzać gości ani jej oddać do klasztoru, bo jutro by sklep zamknąć trzeba.

Henrietka z Witkiem mówiąc wyśmiewała się ze wszystkich oficerów, którzy jej nadskakiwali, przypinała wszystkim łatki, ale któż mógł zaręczyć za to, że z nimi nie szydziła z niego po cichu?

Rozdział czwarty.

W Wielkich Górach, rezydencji pana starosty Górskiego, zjechała się gromadnie dla narady wielkopolska szlachta, zagrożona wojną od Szweda. Tu naprzód obudziło się uczucie oburzenia przeciwko Augustowi za podstępne wciągnięcie Rzeczypospolitej w walkę ze Szwecją, gdy wszyscy się przeciwko niej oświadczyli, nikt jej nie chciał, a Karol Dwunasty też głosił od początku, iż z Rzeczpospolitą chce pozostać w zgodzie i pokoju.

Z całą swą przebiegłością August, nie mogąc sobie wyrobić licznego i silnego stronnictwa, rzucał się na wszystkie strony, chwycił najdzikszych pomysłów, zmieniał postępowanie z dnia na dzień.

Ale też w Polsce przyjaciół wcale mu nie przybywało, a co dzień odpadał ktoś z pozyskanych.

Gdy wieść przyszła do króla, że się Wielkopolanie naradzali i zamyślali o jakiejś konfederacji czy rokoszu, August nie miał nawet kogo posłać tam na zwiady. Starosta Górski był tam powagą charakteru osobistością znaczącą i znaczną. Lubomirska po kilkakroć to Augustowi powtarzała, że była z nim w powinowactwie. Król, który się posługiwał i kobietami chętnie, a wierzył w ich umiejętność pozyskiwania ludzi, zagadnął piękną Urszulę, czyby rodziny dalszej w Wielkopolsce odwiedzić sobie nie życzyła..

Zawahała się nieco piękna pani, ale widząc, że Kónigsmark do Szwedów parlamentować wybierała się, nie chciała się dać jej wyprzedzić i oświadczyła z gotowością do podróży.

Znała nadto dobrze Górskiego, aby sobie mogła coś obiecywać, ale próbować przynajmniej musiała. Złożyło się tak, że wspaniałe kolebki i liczny bardzo dwór księżnej Cieszyńskiej ukazały się w Wielkich Górach właśnie dnia tego, gdy tam się największy zjazd gotował. Dla starosty i dla księżnej nieszczęśliwie] złożyć się nie mogło.

Górski ani się uniżać przed królewską kochanką nie myślał, ani kłamać przed nią, postanowił nawet żonie do niej nie dozwolić wyjść i odprawić ją niemal od progu. Piękna Urszula spodziewała się być przyjęta zimno, ale nie odepchnięta!

Blady jak ściana, drżący, z brwiami ściągniętymi, w opróżnionej sali oczekiwał na nią pan starosta, z mocnym postanowieniem nie dać się ubłagać. Księżna — już tym zmieszana, że pomimo ogromnego tłumu gości, który był

widoczny, nikt jej przyjmować ani witać nie myślał, choć obdarzona siłą nerwów, jaką tylko kobiety mają, szła dodając sobie odwagi.

Służba otworzyła jej drzwi do sali, w pośrodku której sam jeden, wyprostowany, z obliczem surowego sędziego, czekał na nią Górski.

Żwawo, wesoło rzuciła się ku niemu.

Górski posłyszawszy tytuł pokrewieństwa natychmiast jej przerwał.

— Mościa księżno — rzekł — sądzę, żeś Wielmożna Pani nowy tytuł przyjmując wszystkich się dawnych wyrzekła stosunków. Pomędzy nami nie istnieje już żadne powinowactwo.

Piękna Urszula zaniemiała.

— Przecież mi pan starosta nie możesz odmówić... chociażby przyjacielskich stosunków... Nie zawiniłam nic, czym bym na to zasłużyć mogła...

— Jak to? — podchwycił surowo Górski — księżna więc nie czujesz, żeś nam tym swoim upadkiem uczyniła srom wszystkim? Nie tylko rodzinie, ale całemu szlacheckiemu plemieniowi naszemu... Postawiłaś siebie i nas na równej stopie z francuskimi, włoskimi i niemieckimi tancerkami i śpiewaczkami. Możesz sobie być księżną Cieszyńską, ale żadna szlachcianka polska nie poda jej ręki... Dlatego ani żona moja, ani córki nie wyjdą do niej.

Wyrazy te wyrzekł starosta z okrucieństwem niemal i księżna z początku zdawała się przybita nimi, na pół żywa, ale gniew ją ogarnął i rozbudził do życia. Obejrzała się pogardliwie po próżnej sali.

— Taka więc dziś gościnność w Polsce — odezwała się z goryczą po krótkim namyśle — że się dla jakichś politycznych względów kobiecie odmawia... przyjęcia...

— Księżna się mylisz — rzekł starosta — nie o politykę tu idzie, Bóg z nią! Chodzi o pogwałcone prawa kościelne i urąganie się z moralności.

— Wypowiadacie już posłuszeństwo królowi — ciągnęła dalej księżna Cieszyńska nie zważając na to, co mówił Górski — chcecie zawiązać rokosz...

— O tym ja z kobietami mówić nie mam zwyczaju — odezwał się starosta — i odpowiadać nie będę.

Usiłując przedłużyć choć cokolwiek pobyt swój, w nadziei, że sromotnie wobec mnóstwa zgromadzonych nie będzie odprawiona, księżna się obejrzała szukając krzesła.

— Dajcież mi choć odetchnąć! — odparła dumnie, rzucając się w krzesło.

Gniew, wzruszenie łzy jej wycisnęły, ale na rozpalonych powiekach zaledwie się ukazały, nikły zostawując tylko po sobie plamy, jak od oparzenia.

Górski stał nic nie odpowiadając. W sąsiednich pokojach gromadnie zebrana szlachta głośno mruczała i pokrzykiwała. Pusta salka ta, obok ludzi, którzy z posłannicą króla nie chcieli ani przełamać chleba, ani jej cierpieć przy sobie, gospodarz stojący i oczekujący pozbycia się natrętnego gościa-kobiety, dumne i pomarszczone oblicze starosty, boleśnie zmieniona, pokrzywiona twarzyczka kobiety były obrazkiem mogącym poruszyć serce litościwe. Starosta miał je, ale z zasadami nie wchodził nigdy w układy i ustępstwa im nie był zwykł czynić. Niemal grubiańsko wypowiedziawszy prawdę księżnej Cieszyńskiej, stał, już czekając tylko, by go od swej przytomności uwolniła.

Piękna Urszula nie chciała, nie mogła sobie jeszcze powiedzieć tego, że podróż miała się zamknąć takim sromotnym zawodem.

Cały tłum zebranej tu szlachty widział ją przybywającą i miał patrzeć na daną jej z okrucieństwem nielitościwym odprawę, własny jej dwór mógł się swej pani uragać. Upokorzenie było straszliwe.

— Waszmość Pan nie masz litości, panie starosto — odezwała się po chwili długiej namysłu. — Narażasz mnie na srom, a siebie na zemstę króla, który przebaczyć nie może wyrządzonej mi krzywdy. Nie możesz przecie być surowszym od księdza prymasa, który mnie przyjmuje w Łowiczu, od rodziny, która mnie odwiedza.

— Każdy postępuje podług swojego przekonania i sumienia — odparł Górski bardzo spokojnie. — Ja nie mam litości nad wami, boście wy jej nad sobą, nad rodziną, nad poczciwym imieniem nie mieli. Zerwaliście z nami, żyjcież z tymi, którzy wam milsi byli niż cnota.

Urszula oczy sobie zasłoniła.

Starosta wychodząc do niej stanowczy wydał rozkaz żonie, aby się ukazywać nie ważyła; pani Góraska nie śmiałaby pewnie lekceważyć małżonka woli, ale zza drzwi, pod którymi stała niespokojna, podsłuchując, zdało się jej, że

usłyszała łkanie, miękkie serce niewieście ją uniosło, uchyliła nieco drzwi... Surowy wzrok małżonka zmusił ją natychmiast do cofnięcia się. Chwilę jeszcze trwało oczekiwanie. Księżna pochlebiała sobie, że go zmiękczy, starosta, że się jej pozbędzie, wtem w podwórzu dały się słyszeć krzyki. Wiwat! wiwat! Wszczął się hałas wielki i podniesione głosy wrywały się ponad tę wrzawę. Górski domyślił się przybycia jakiegoś znakomitego gościa i nawet nie skinąwszy głową księżnie wyszedł z salki, pozostawiając ją samą.

Od tej pamiętnej chwili, gdy piękna Urszula na widok króla upadającego z konia omdlała i oddała mu się cała, niejednym upokorzeniem musiała przyplacić swą miłość, ale nigdy tak dotkliwa kara, tak niemiłosierne nie spotkało jej potępienie. Cała moc charakteru nie zdołała przezwyciężyć doznanego wrażenia. Zawróciło się jej w głowie i z lekkim okrzykiem omdlała.

Starościna, która przeze drzwi przypatrywała się jej z politowaniem, wbiegła na ratunek. Kilka kropel wody, trochę trzeźwiącego octu starczyło, by ją ocucić, i jakby omdlenie nową jej siłą dodało, ks. Cieszyńska zerwała się dumna, do wyjazdu.

Zawołano własną jej służbę, a że wyjście do ganku i w podwórze, pełne szlachty zalegającej dwór cały, było nad siły, starościna wskazała drogę przez ogród, do którego furtki powozom księżnej podejść kazano.

Z jakimi uczuciami, na wpół obłąkana gniewem i pragnieniem zemsty, rzuciła się do powozu i rozkazała w pierwszym miasteczku stanąć na spoczynek, domyślić się łatwo.

Ten, którego z takimi okrzykami witała szlachta w Wielkich Górach, dla obcego wydałby się być postacią wielce zagadkową, ze względu na sam wiek swój, gdyż nie zdawał się mieć więcej nad lat dwadzieścia, a czerstwe zdrowie i czynne życie dozwoliło mu zachować całą świeżość pierwszej młodości. Okryci siwizną, chlubnymi bliznami w wojnach, starcy bezsilni, cały ten tłok rycerzy, szlachty witał przybywającego konno, z małym i skromnym poczem gościa jakby bohatera, chociaż lata nie dozwalały przypuszczać, aby mógł sobie zdobyć zasługi.

Wejrzenia zgromadzonych zwracały się ku niemu z poszanowaniem i miłością, jakby ku człowiekowi przeznaczonemu do ratowania w tych ciężkich czasach zagrożonej ojczyzny. Zdawali się go znać wszyscy Wielkopolanie, bo po drodze wyciągali ręce ku niemu, podnosili czapki, mrugali oczyma, schylali się w pokłonach, z taką serdecznością gonili wzrokiem za nim, jakby w nim zbawcę widzieli.

Młodzięczy ten gość, piękny, szlachetnego oblicza, pełnego spokoju i łagodności, choć się w nim domyślać było można potomka jednej ze znaczniejszych rodzin wielkopolskich, przybywał małym poczem, bez żadnego zbytku i wystawności przyodzianym i zbrojnym. On sam ani koń, na którym wjeżdżał, nie odznaczał się błyskotkami, z jakimi naówczas lubiono się popisywać przy każdym wystąpieniu. Postać była rycerska i pańska, ale wyraz twarzy, wejrzenie, wszystko w nim — raczej zwiastowało statystę niż żołnierza.

Senatorskie dziecię łatwo w nim poznać było. Szlachta, która w młodzieży i dzieciach magnatów niechętnie szanuje ojców pamięć i zasługi, a im może więcej niż komu zwykła przypominać, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, temu paniczowi wcale za złe nie miała, że się wydawał tak arystokratycznie, jakby na wodza był zrodzony.

Bez zawiści, z weselem w oczach witano go po drodze coraz żywszymi wiwatami. Stary Górski, który nierad się komu kłaniał, z otwartymi rękami, z odkrytą głową wychodził przeciwko niemu.

Ci, którzy już wprzódy przybywszy w jadalnej sali zasiadali około stołu, aby się pokrzepić zastawionym śniadaniem, wszyscy się porwali od mis i talerzy, wybiegając na spotkanie. Uśmiechały się wąsate oblicza Wielkopolanów, których buta znana była. Był to ulubieniec wszystkich, nadzieja Rzeczypospolitej, syn wojewody poznańskiego i generała wielkopolskiego, sam już po zgonie jego, mimo lat młodych, mianowany poznańskim wojewodą, Stanisław Leszczyński. Po matce płynęła w nim krew Jabłonowskich, bo córka hetmana nią była, a stary wódz wnuka tego kochał jak własnego syna. Nadzwyczaj staranne, miłości, ale i przezorności pełne wychowanie, od natury czyniły go w istocie tym, czym go głoszono, fenomenem, wyjątkową osobistością.

W dwudziestoletnim zaledwie młodzieniaszku była już cała powaga i rozwaga senatora Rzeczypospolitej. Najmniejszą płochością się nie skaził nigdy i można było twierdzić, że cudem wprost z dzieciństwa przeszedł do męskiej dojrzałości. Spokój i moc nad sobą, jaką dają innym lata i życie, jemu, szczególną łaską losu, dostały się w tym wieku, gdy drudzy szaleć jeszcze nawykli; odbył podróż za granicę dla obeznania się z ludźmi i światem, dwudziestoletni — już następował po ojcu na to województwo, które było głową ziem wielkopolskich.

Ci, co go bliżej znali, odzywali się o nim nie tylko z poszanowaniem, ale z rodzajem uwielbienia i zapału. Powszechną tę miłość nie był winien Leszczyński pochlebstwu dla tłumu i pospolitym środkiem zyskiwania sobie względów szlachty, czapką i papką. Miał zawsze odwagę wypowiedzenia

prawdy, nawet gdy znał i wiedział, że ona ogółowi może być niemiłą. Gdy się opierał zuchwałym zachciankom, słuchano go cierpliwie i z poszanowaniem.

I tym razem, z żywszymi może niż kiedykolwiek oznakami miłości, otoczono go zaraz zsiadającego z konia przed gankiem. Uśmiechając się witał tych, co mu się skłaniali nisko.

— Stawiam się na rozkazy panów braci! *adsum!* radźmy i myślmy sami o sobie, gdy o nas nikt myśleć nie chce czy nie może.

Górski go ścisnął w progu.

— Już samo przybycie wasze — rzekł — daje nam otuchę. Ponure twarze wyjaśniliście, panie wojewodo, bez pochlebstwa, jakby słońce wschodzące. Jaśniej nam z wami.

Zarumienił się wojewoda.

— Na Boga! kochany starosto — odparł — ja u was światła przyjechałem szukać, a przywożę z sobą gorące pragnienie pracowania z wami dla wspólnego dobra.

Z tym weszli do największej sali na dole, tak przepełnionej, że ledwie przecisnąć się było można. Na widok przybywających wrzawa się natychmiast uśmierzyła.

Wszyscy się cisnęli uścisnąć rękę wojewody lub choćby wzrokiem go pozdrowić.

Ład sam przez się wyrobiło uszanowanie dla gościa pożądanego. Starszyzna otaczała go kołem, inni ustawili się, jak mogli, a krzykliwe głosy, które przed chwilą usiłowały zapanować nad wrzawą, ucichły dobrowolnie.

Górski chciał naprzód wojewodę zaprosić do stołu, sądząc, że się po podróży pokrzepić zechce, ale gość podziękował utrzymując, że głodny nie był i do obiadu rad czekać będzie.

Wystąpił natychmiast jeden z najgorętszych.

— Panie wojewodo — rzekł — dość-emy przez niezgody i rozdwojenia cierpieli, a mamy ich jeszcze na Litwie i w Koronie pod dostatkiem, by nowych nie mnożyć. Łatwy zawsze rokosz i konfederacja, ale wszelka potem pacyfikacja trudna. Są przecież chwile, gdy, widząc się nad krańcem przepaści,

każdy chwyta za taki oręż, jaki ma, aby się od zguby ratować. To, czemu by uwierzyć trudno, co dzień się jawniejsze staje. Obierając króla, niebaczenie wprowadziliśmy wroga *in viscera* Rzeczypospolitej. Fraszką to jest, że Sasów swych wprowadził bez konsensu wszystkich, a trzyma ich i pomnaża, pozorów różnych wyszukując, mijam to, że obce to żołdactwo znęca się nad nami, że August, sam zaczepiwszy Szweda, zmusza Rzeczpospolitą do ujęcia jego własnej sprawy za naszą... ale dziś jawna i co dzień widoczniejsza, że się on sprzysiągł na zgubę, na rozerwanie, na zdeptanie swobód, na okucie nas w absolutum dominium. Pochwytnane listy, zdradzone układy, cały chód spraw jego przekonywa, że z carem Piotrem nie o co się zmówił, tylko o ujarzmienie nas, o rozplatanie ziem naszych i obrócenie ich w monarchię dziedziczną dla siebie. Gotów o to traktować z Brandenburiem, z carem, a nawet i ze Szwedem, byle mu w tej imprezie dopomógł. Wszystkie siły jego ku temu są wyczerpane.

Gdy to mówił głosem od wzruszenia drżącym pierwszy, który rozprawy zagaił, starzec już, Górski mu milcząco głowy poruszeniami potakiwał.

— Srogi zarzut królowi czynicie — przerwał Leszczyński — a niżli mu wiarę damy, należy zebrać dowody. Nie chcielibyśmy wierzyć temu obwinieniu.

— Ani my — dodał Górski — ale przez zbytek zaufania zaślepiac się nie godzi, a lepsza gorliwość zbytnia niż lekceważenie tam, gdzie o skarby nasze jedyne chodzi. Otwarcie wyznam — ciągnął dalej gospodarz — żem nigdy za elekcją tą nie był, żem wołał Francuza, a bodaj jednego z synów króla Jana, niż tego pana, który się nam, łamiąc prawa nasze, od początku narzucał. Gdy Conti przybył, tak rachując na nas, jak myśmy na niego rachowali, a zawiódłszy się porzucił, i ja, i wielu za mną poszliśmy za Augustem, aby rozterek i wojny domowej, już na Litwie grasującej, nie pomnażać. Poddaliśmy się, aleśmy źle za to wynagrodzeni. Podstępami, fałszem i przekupstwem zdobywszy tron, Sas postępuje tak dalej, jako począł, sprzedać nas chce, kupiwszy. Dlatego się tak rozmiłował w carze Piotrze, dlatego z Brandenburczykiem we związku jest, a ten mu niby potajemnie, a dla nas jawnie, dopomaga, na ostatek nie tajne to, że gdyby Karol Dwunasty z nim się zgodził podzielić Polską, i jemu by podał rękę. Posądzaliśmy królów naszych dawnych o to, że absolutum dominium zaprowadzić chcieli, ależ tu już nie o dyktaturę jakąś chodzi, ale o rozszarpanie dziedzictwa dziadów, krwią okupionego. Na ostatek traktaty z Karolem, z którymi jeździła *proh pudor! virago!* i ów Vitzthum... nie co innego opiewać miały, jak rozdział Rzeczypospolitej i jej ujarzmienie. Damy mu się tu wzmóc u nas i osiedzieć? Doprowadzi do skutku zamiary swoje?

Górski spuścił głowę, wojewoda stał milczący.

— Są sprawy — odezwał się w końcu głosem spokojnym — którym lepiej jest nie wierzyć, aby możliwości ich nie dopuszczać.

Tak czarnej zdrady nie godzi się na pomazańcu Bożym posądzać nawet, póki dowodów jej nie mamy. Czyńmy, co w naszej mocy, aby zapobiec jej, lecz nie rzucajmy sromu tego na króla, któremuśmy winni poszanowanie.

Mamy wprowadzić przykłady krajów, w których dokonały się przewroty niegodziwe, lecz myśmy przykładem sami, że tam gdzie cnota obywateli czuwa, złamać się nie dadzą łącznie prawa poprzysiężone.

Czuwajmy więc, lecz pozostajmy królowi wierni, a stójmy przy nim, bo to środek najlepszy, ażeby na zgubną drogę namowami obcych ludzi wprowadzony nie został.

— Z carem Piotrem — odezwał się jeden z otaczających — stosunki najściślejsze a tajemne nie ustają, głośno o tym mówią na dworze, jako Inflantczyk, dziś generał w służbie saskiej, przewrotny a rozumny Patkul, za narzędzie do zawiązywania zgubnych dla nas traktatów służy.

— Z carem Piotrem — przerwał Leszczyński — dla wspólnej obrony przeciwko Karolowi Dwunastemu August mógł się porozumiewać. Tego mu jeszcze wyrzucać nie można.

— Cóż nas może obchodzić waśń króla Augusta ze Szwedem — wtrącił inny — Rzeczpospolita, oliwskim traktatem związana, nieprzyjaciela w nim widzieć nie chce, a on nieustannie głosi i uroczyście zapowiada, że Rzeczypospolitej przyjacielem i protektorem być pragnie. On ci to pierwszy nam oczy otworzył, z czym do niego ową niewiastę i pana Vitzthuma posyłano. Zapraszając na biesiadę, w której my byśmy z siebie dostarczyli im pastwy, August, co Piotrowi carowi ofiarował się pomagać przeciwko Szwedowi, Szweda ująć chciał tym, że mu gotów na Piotra posiłkować, byle razem Polskę rozszarpali. Sasowi nie idzie o całość naszą ani o rekuperację awulsów, ale o zwiększenie dziedzicznej monarchii swej kosztem naszym. Łącznie mu było wpaść na tę myśl niepoczciwą widząc naszą nieopatrność i rozterki. Na Litwie wre braterska wojna... wojska mamy mało, szlachta do ruszenia nie łatwa, pieniędzy na wojsko wyzebrać u niej trudno... Same pergaminy, swobody nasze gwarantujące, nie obronią się, kiedy my w ich obronie stawać nie chcemy.

Dokończył mówić, a milczenie pogńębienia panowało chwilę, Leszczyński westchnął.

— Niech nas Bóg uchowa od tego — rzekł — aby się słowa wasze ziścić miały chociaż w najdrobniejszej części. Dotychczas możliwości tej klęski nie widzę. Nie dopuścimy jej, gdy ją widzimy i przeczuwamy.

— Tak, należy się skupić, bodaj skonfederować i stanąć w obronie własnej. Rzeczpospolita sama, bez pośrednictwa króla, gdy zechce, może ze Szwedem układać się i nie dopuścić z nim wojny. Możemy i powinniśmy wyznaczyć posłów od nas i wyprawić ich do Karola Dwunastego. Przyjmie ich chętnie.

— Ale to rokoszem pachnie! — wtrącił ktoś z boku.

Leszczyński nie zabierał głosu. Widoczne było, że przeciwko ostateczności i zerwaniu z królem był nie-usposobiony, że mnożyć nierad był rozerwania, a August miał przy sobie zastęp dosyć znaczny senatorów, którzy się na związek mający ze Szwedem układać zgodzić nie mogli.

Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, iż Karol Dwunasty z Rzeczpospolitą się porozumieć nie tylko pragnął, ale dla niej ustępstwa gotów był uczynić. Rzeczpospolita, zdaniem wielu, mogła tu być sama pośrednikiem między dwoma przeciwnikami. Ten i ów rzucał po słowie, rozprawiano spokojniej, gdy przybywający dopiero Bronisz, starosta pyzdrski, zaledwie gospodarza powitawszy i wzięwszy języka, głosu się domagać zaczął.

— Dobrze by to było — rzekł — gdyby Szwed przyjął Rzeczpospolitą za mediatora, ale o tym wątpić potrzeba, bo wielce rozjątrzony Karol Dwunasty tym głównie, iż się nań z carem Piotrem król August sprzysiągł, od początku w żadne pono układy nie wejdzie z nami, dopóki pana tego, któregośmy obrali, z tronu nie zrzuci.

Bliskimi są krewnymi sobie, ale Szwed, żelazny człowiek, w nienawiści równie jak w przyjaźni namiętny, gdy raz co postanowił, od zawziętej myśli się nie da odciągnąć. Chce on od Rzeczypospolitej Kurlandii i Inflant, ale rychlej by się ich wyrzekł, niż Augustowi przebaczył. Wiem to pewno, że mierzy, aby Sasa zdetronizował.

Głuche naprzód milczenie, potem tu i owdzie szepty i głosy różne odzywać się zaczęły. Leszczyński ostateczności tej przypuścić nie chciał.

— Od tej myśli zgubnej dla nas — rzekł — myśmy go właśnie przez wysłane poselstwo, jeśli ku temu przyjdzie, odciągnąć powinni i my jedni to możemy, okazując, że na to się zgodzić nie chcemy.

Bronisz spojrział z uśmiechem znaczącym na wojewodę.

— Znakiem to jest — dodał — że Karola Dwunastego nie znacie, gdy sądzicie, że go nawrócić i do zmiany przekonań skłonić można. Nie jest on politykiem gładkim i tak kłamliwie ujmującym jak Pan nasz, o którym nikt powiedzieć nie może, aby wiedział, co on myśli i ku czemu zmierza; nie tai się z zamiarami, po żołniersku traktuje sprawy, lecz prędzej życie da, niż ulegnie. Prorokiem nie jestem, lecz mi się zdaje, że wojna ta nie będzie miała końca, dopóki August na tronie pozostanie.

Oburzył się na to Leszczyński, inni też, tak dalece, iż i przypuszczać nie chcieli, aby Karol mógł zemsty pożądać sięgającej tak daleko.

Przybycie starosty pyzdrskiego, który choć się nie przyznawał do tego, że Szwedem miał jakieś potajemne facje, rozjaśniło nieco rozprawy namiętne, w których wiele bałamuctw było.

Bronisz stosunki miał, z których się nie tłumaczył, a znano go jako człowieka nie powtarzającego pacierza za panią matką, ale mającego przekonania własne i zdrowy sąd o ludziach i sprawach.

Gdy drudzy bajeczne prawili rzeczy o tym Szwedzie, który z młokosa niedawno pogardzanego wyrósł w przeciągu lat niewielu na olbrzyma, starosta pyzdrski za boki się trzymał, a mówiąc sam o nim, widać było, że na własnym opierał się zdaniu.

— Prawda, że Karol srodze naszą Rzeczpospolitą, choć się protestuje, że ją kocha, ciśnie i uciemieją, ale mu się zdaje, że tylko adherentów Augusta prześladowe — mówił Bronisz. — Króla polskiego i kurfirsta saskiego będzie on nękał poty, aż mu tę koronę z głowy zdejmie i dziedziczne jego ziemie spustoszy, a kontrybucjami wyssie. Ma do niego wstręt i anse osobistą, a żelaznej woli jego nic w świecie nie złamie, zobaczycie. Augusta my próżno bronić i zasłaniać będziemy się starali.

— Aleśmy obowiązku tego dopełnić powinni — odezwał się Leszczyński. — Dotąd Karol Dwunasty miał do czynienia z pojedynczymi ludźmi i gromadkami, teraz wystąpi Rzeczpospolita i poselstwo w imieniu jej. Zmieni to postać rzeczy.

— Bardzo wątpię — rzekł Bronisz. — Karol Dwunasty ma już nawet pono króla upatrzonogo...

Wszyscy się poruszyli ciekawie, ale starosta zamilkł, jakby więcej mówić nie mógł i nie chciał.

— Króla upatrzonogo! — wtrącił gospodarz posepnie — nie ulega wątpliwości, że i my wolelibyśmy innego, bo nie ma dla nas wstrętliwszego, naszym obyczajom i tradycjom przeciwniejszego nad tego Sasa, ale właśnie poszanowanie tradycji naszych wymaga, abyśmy wybranego, namaszczonego, ukoronowanego, tego, któremuśmy poprzysięgli, tak lekkomyślnie nie opuszczali.

Gorąco potwierdził to Leszczyński.

— Zaprawdę, tak jest — rzekł — może on nam być niemiły, bo naszych praw nie szanuje i drogami tajemnymi wymijać je się stara. Powinniśmy go na drogę prawą skierować, ale nie porzucać i nie opuszczać. Prawo zapobiega nawet złożeniu korony bez przyzwolenia narodu. Opierajmy się Augustowi, który przywykł do samowoli, bo Sasi nie znają ani sejmów, ani ich szlachta nie bierze udziału w rządzie, ale nie dopuszczajmy, aby obcy monarcha zrzucił naszego króla i innego nam z woli swojej nadawał.

— Zaprawdę — zawołał Górski — święte słowa. Wzięliśmy nieopatrznie Sasa, musimy się go trzymać i co gorzej, z nim walczyć i za niego wojnę cierpieć, a kraju wyniszczenie; ale *pereat mundus, fiat iustitia*. My przy paktach i przysięgach stać powinniśmy. Nie poszanuje się prawo w jednej rzeczy, pójdzie za tym lekceważenie go we wszystkim. Dostyc już mamy rokoszów i konfederacji, związków wojskowych i sejmowych waśni.

— Nawzajem — rzekł Leszczyński — ja muszę też zawołać ku wam, panie starosto: święte wasze słowa. Nie dawajmy przykładu lekkomyślności, król da się, jak sędzę, na dobrą wprowadzić drogę.

Jeden z przyjaciół dawnych, a zarazem powinowaty ks. biskupa kujawskiego, Zakrzewski, ramionami poruszył na te ostatnie słowa.

— Pozwólcie, panie wojewodo — rzekł — abym, dobrze poinformowany, temu, co utrzymujecie, mimo respektu, jaki dla was mam, zaprzeczył. Dąbski pokrewny mi jest, od dziecka żyliśmy z nim jak bracia, a nikt nad niego lepiej nie jest wtajemniczony we wszystkie *arcana* jego myśli. Przez niego znam Augusta.

Śmiać się począł Zakrzewski.

— Dąbski go weneruje, uniewinnia, tłumaczy — ciągnął dalej — ale moim zdaniem samą obroną tą potępia. Chodzący to fałsz, dysymulacja i despotyzm, a przede wszystkim *egoismus*. Flemming go z Przebendowskimi wprowadził do

nas, rachując na bezład rzeczy i na to, że w tak mętnej wodzie łatwo ryby łapać. Nie kryje się z tym przed swoimi Sas, że naszą Rzeczpospolitą chce ujarzmić i w monarchię dziedziczną, z Saksonią połączoną, obrócić. Myśmy tylko na to ślepi. Szukał pomocy do zamachu na nas u Brandenburga, który ostrożny jest i wolałby wreszcie sam zagarnąć, gdyby zdołał; szuka u cara Piotra, który mu przyrzekł z nim iść; gotów był i z Karolem Dwunastym na wpół rozedrzeć nas. Nie naprawimy go, a przy tym zgroza patrzeć na jego życie! Wiemy, jak dziadowie i ojcowie nasi krzyczeli zgorszeni przeciwko Zygmuntowi Trzeciemu za to, że siostrę po siostrze poślubiał, ale jakże porównać życie tego świątobliwego pana z żywotem Augusta, który jawnym konkubinatem urąga się prawom Bożym i ludzkim? Poczęły już z Lubomirską nasze panie mu służyć, będzie tego więcej. W cóż się pocziwy obyczaj nasz i srom, i domowa cnota obróci!

Górski podniósł ręce do góry i westchnął.

— Nie tajno wam — rzekł cicho z rezygnacją bolesną — iż duchowieństwo katolickie, nawet oo. jezuita oczy zamykają na tę rozpustę króla, bo interesem kościoła jest mieć go z sobą dla nawrócenia Saksonii, którą gniazdem luteranizmu nazwać można. Winniśmy i my pójść za duchowieństwem, milczeć, ale zarazem Augustowi nie pobłażać.

— Mówicie, że Rzym go trzyma i popiera — przerwał Zakrzewski — tak? A dlaczegóż dotąd obierał się go królem uznać?

— Dlatego, aby zmusił do gorętszego popierania katolików — odezwał się Górski. — Przyrzekł August syna swojego wychowywać po katolicku, tymczasem jest on w ręku matki i babki, gorliwych protestantek. Dlatego papież się ociąga, aby wymógł rękojmię przyszłości. Znają snadź w Rzymie Augusta, iż słowu jego zawierzyć nie można.

Zakrzewski ramionami poruszył i jakby już dłużej o tym rozprawiać nie życzył sobie, obrócił się do Bronisza.

— Mówiliście, że Szwed ma już kandydata do korony upatrzonego — odezwał się — radzi byśmy wiedzieli, kogo.

Skrzywił się Bronisz.

— Wy byście radzi wiedzieć — rozśmiał się kwaśno — a ja bym nierad rozplatał.

— Skoro wiecie, że prawdą jest — podchwycił Zakrzewski.

— Nie każdą prawdę też na ulicy wywoływać — rzekł starosta pyzdrski.

— Ale to nie ulica — ofuknął szlachcic — zebraliśmy się na radę *de publicis*, jakże radzić, gdy nam kryjecie, co wedle was grozi albo się obiecuje, *clara pacta! clara pacta!*

Poczęli nalegać inni na Bronisza, który sobie węża zagryzał.

— Nigdy nie sądził — zawołał — abyście waszmość tak mało byli domyślni, że aż mojego zeznania potrzebujecie, aby się dopatrzeć rzeczy tak jasnej.

Wszyscy po sobie spoglądali.

— Domyślić się w istocie można — przerwał młody wojewoda — że nikogo innego rozumiecie nad jednego z Sobieskich.

— Naturalnie! — zawołał Bronisz — Karol Dwunasty był i jest wielbicielem naszego Jana Trzeciego, bohaterem go i wojownikiem największym naszych czasów zowie, wizerunek jego ze sobą wozi, w historię się wczytuje, wie, że Jakub i Konstanty z ojcem walcząc od niego się sztuki wojowania uczyli, a w krwi z nim wzięli męstwo.

Niektórzy z przytomnej szlachty, usłyszawszy to, psykać i prychać poczęli.

— Hej! hej! — zawołał Piętka — widać, że Karol Dwunasty ze Szwecji tu przybył i u nas się nie rozszuchał. Sobiescy i królowa wdowa, co mieli u nas miru, postradali. Ani nawet ręczyć za to, żeby sami teraz chcieli z Augustem wniść w kolizję. Przyjmowali go nader uprzejmie w Wilanowie.

Potrząsano głowami, a wojewoda Leszczyński dodał:

— O ile wiem, nie myśleli wcale Sobiescy o podobnej ewentualności i gdyby ona mogła nastąpić, pewnie korzystać z niej nie zechcą. Zdaje mi się, że król szwedzki zawczasu powinien wyrzec się rachuby na nich.

Cicho, pochyliwszy się do ucha wojewodzie, zapytał gospodarz:

— Cóż nasz prymas?

Rozważny zawsze i wielce umiarkowany, młody pan ociągał się z odpowiedzią i po namyśle rzekł cicho:

— Nie godzi mi się odgadywać, co w jego duszy się dzieje, a jawnie kardynał dotąd stoi po stronie Augusta i głośno się za nim oświadcza.

— Chodzą pogłoski różne — rzekł również cicho Górski. — *Relata refero*, Towiańskich król podrażnił tym, że im dostojęństwa, którego się spodziewali, odmówił; *inde irae*, a gdy Towiańscy się gniewają, prymas obojętnym pozostać nie może. Wnoszę stąd, że przy pierwszej zrzeczności gotów będzie wystąpić czynnie przeciwko temu, którego nie koronował. Są nawet tacy, co go już usposobionym do popierania Szweda widzą.

— Panie starosto — przerwał Leszczyński — ja wam nie potrzebuję powtarzać tego, iż z wami się godzę we wszystkim. Nie pomnażać nam rozterki, ale godzić i goić należy. Więc gdyby do poselstwa i pośrednictwa przyszło pomiędzy Karolem Dwunastym a Rzeczypospolitą, my nie nowych kandydatów, ale króla, jakiego Pan Bóg nam dał, popierać powinniśmy. Nie pochwalamy tego, co czyni niemiła nam swawola i rozwiąłość, złe są frymarki i zamachy na Rzeczypospolitą, wszystko to prawda, ale ów królem jest, uznaliśmy go i przysięgli. Zda rachunek przed Bogiem, a my mamy nasze prawa, które dają siłę niedopuszczenia gwałtu. Może chceć Rzeczypospolitą w monarchię dziedziczną obrócić, ale temu my zapobiegać powinniśmy, a nie anarchię mnożyć zrzucając go.

Bronisz, który tego cichego porozumienia się ich nie dosłyszał, prawił dalej o Karolu Dwunastym, jakby go sam spraktykował.

— Nie ma w świecie — mówił — dwu monarchów mniej do siebie podobnych nad tych dwu ciotecznych braci. Karol tak się odziewa, że by go za prostego żołnierza można wziąć, gdyby nie twarz i wejrzenie przebijające na wylot człowieka. Odzież na nim z takiego sukna, którego by August dla czeladzi swej nie chciał. Do ucztowania jak żyw nie zasiadł, je to, co jego dwór, a pije więcej wody niż wina. Zbroi czasem i butów nie zrzuca po dni kilka, jak stał kładąc się spoczywać z mieczem jak koncerz ogromnym u wezglowia. Klejnotów ani na nim, ani przy nim nikt nigdy nie widział, na kobiety nie patrzy i znać ich nie chce. Obyczajów jest surowych, żołnierz przede wszystkim, dla siebie i drugich nieprześlągany. August przy nim jak lalka wygląda i śmiać się z niego może nieokrzesanym go gburem mieniać, ale gbur... bije i zwycięża.

— Myślicie — wtrącił Ślaski, który na dworze bywał i miał na nim przyjaciół — iż August bardzo do serca bierze, iż mu ludzi nabijają i armat nazdobywają! Byleby mu Lubomirskiej i nałożnic jego nie odebrano, zresztą, co go kosztuje kontrybucję nową na Sasów nałożyć i akcyzą ucisnąć? W kilka dni po batalii, w której go na głowę pobito, pił, ucztował i śmiał się, jakby nic a nic

nie obchodziło go, iż mu najpiękniejszą gwardię jego wytrzebiono. Wszakci dla niego stworzony świat, a nie on dla tego świata... Karol Dwunasty kiedyś ustąpić musi, Austria i cesarstwo ogłosi swojego kurfirsta, mogły porosną darcia, a August, diamentami okryty, Herkulesa i Samsona na *theatrum mundi* będzie reprezentował!

Rozdział piąty.

Drżąca, blada, zapłakana, gniewna wypadła z furki ogrodowej księżna Cieszyńska i rzuciła się w otwarte drzwiczki kolebki swojej. Nie spojrzała na swych dworzan i sługi, nie wiedziała, co pocnie, ludzie żadnego nie mieli rozkazu... Przyszedł do niej starszy rękodajny spytać:

— Dokąd księżna rozkaże?

Cieszyńska musiała się namyślać... i nie wiadomo co by była postanowiła na razie, gdyby niespodzianie z dworzaninem się nie zjawił Witkę, który gonił za nią.

Zobaczywszy go krzyknęła piękna Urszula, niemal uradowana, bo kogokolwiek bądź mieć po tej kłesce i gromie, choćby do kondolencji nad sobą, ulgą dla srogiego było bólu.

— Do miasteczka, do gospody! — zawołała. — Padam ze znużenia... na rany Pańskie... Znalazłam się tu wśród jakiegoś sejmiku, wrzawy... nie mam co robić, nie ma z kim mówić, a warchoły głowy potracili...

Witke dał znak, aby gospody szukano, pokłonił się i odszedł, a towarzyska, stara sługa księżnej, niańka jej niegdyś — Grądzka dobyła flaszki z larendogłą i oblewać ją poczęła a trzeźwić.

Nie mówiąc nic, ciągle jeszcze na poły osłupiała, leżąc na poduszkach kolebki jechała Cieszyńska do gospody. Przejęta tym, co ją tu spotkało, pod wrażeniem odprawy, jaką jej dał Górski, straciła tak siły, że z powozu musiano ją niemal wynosić na rękach.

Czekał tu na nią Witke, spojrzenie na niego otrzeźwiło nieco zesłabłą i zbolałą. Spodziewała się, że jej coś może pocieszającego przywiezie, ale naprzód potrzeba ją było do życia, sił i zwykłego przywrócić stanu.

Stara Grądzka знаła naturę jej, wiedziała, co i jak mówić, czym pocieszać, i z wolna tymi wypróbowanymi, znanymi sobie środkami potrafiła uspokoić.

— Paniusiu, królowo ty moja — szeptała pieszcząc ją — czyż tobie desperować a cokolwiek brać do serca? Czy to ty nie masz siły, czy ty nie potrafisz wybrnąć z największego zawikłania? Zmiłuj się, nie trać tylko animuszu! Nie płacz, nie pokazuj, że się czego obawiasz. Tyś królowa, królewna, tyś wyżej ich wszystkich... dla ciebie strachu nie ma...

Ukołysawszy ją tak, Grądzka uznała właściwym dla samej dystrakcji przywołać Witkego, ale u progu szepnęła mu:

— Jeżeli wasza mość masz co niedobrego jej zwiastować, bo to teraz taki czas szelmowski, że nam wszystko idzie na przekorę, nie występujże od razu. Biedne kobiecisko strasznie zboleła.

Witke dał znak, że położenie rozumiał, i wszedł do izby.

Piękna Urszula leżała na łóżku naprędce zasłanym, z oczyma na wpół przymkniętymi, jakby obumarła, lecz zobaczywszy Witkego, którego niecierpliwa była badać, zerwała się tak żywo, tak silnie, jak gdyby wcale nie została dotknięta niczym.

Zawszę taka była, równie łatwa upaść i podźwignąć się.

— Co mi masz do powiedzenia? — poczęła nacierając. — Zmiłuj się... pewnie Grądzka, która mnie pieści, zalecała ci mnie oszczędzać, ja proszę — nic nie taić! Gdzie król, co robi? co myśli?

Załamala ręce.

— Biją go i biją... Żołnierzy mu zabierają, działa, nawet kasę wojskową! Mówią, że beczkę złota Szwed po ostatniej batalii pochwycił! Ci wasi sascy generałowie! co oni warci, te Flemmingi, te Karłowice i wszyscy, wielu ich tam jest. Na paradzie to bohaterowie, a na placu boju gorzej ciurów...

I ręce tak łamiąc ciągle, poczęła chodzić po pokoju. Witkę stał dotąd milczący.

Nagle przypadła do niego.

— Ale to do mnie nie należy — rzekła — mów mi prawdę! Co słyhać z Drezna? co z Lipska? co August myśli? O mnie już jakby zapomniał, a ja tu za niego w ogień się rzucam.

Wlepiła oczy w Witkego, który stał smutny i chmurny. Miał litość nad tą kobietą biedną, wyobraziwszy sobie, iż ona namiętnie była do króla przywiązana, że na niestałości jego straszliwie cierpieć będzie. Dlatego o wszystkich wybrykach Augusta, o których był przez Constantiniego zawiadomiony najlepiej, milczał przed nią.

Sądził, że te miłostki płoche, przemijające, przywiązaniu do księżnej i jej syna łatwo ustąpią, że August do niej wierny powróci, jak to już nieraz bywało. Miałby być wiele do powiedzenia — wahał się. Tymczasem rozplomieniona, rozdrażniona piękna Urszula przejrzała się parę razy w zwierciadle, które jej na stole już ustawiła Grądzka, ostygła powoli i myślała tylko o sobie.

Witkę, widząc ją teraz zupełnie na pozór uśmierzoną, ważył, czyby nie wyznać całej prawdy, którą wiozł z sobą, chociaż była wcale nie pocieszająca.

Upadek Cieszyńskiej przygotowywał się już z dawna, ale teraz był prawie nieuchronny. August się nawet zwierzył Constantiniemu, iż rad był w jakikolwiek sposób bez wrzawy i rozgłosu zerwać z piękną Urszulą. Wyobrażał sobie wszakże, po okazywanej przez nią namiętności, iż cios jej zada straszliwy. Miał trochę litości. Zresztą w Polsce to zerwanie mogło być u prymasa szkodliwe i odbić się na sprawie jego, na rokosz, na burzących się żywiołach.

Zwlekano więc krok stanowczy, a zręczny Constantini, sam nie chcąc być narzędziem do niego, wyznaczył w myśli Witkego na pośrednika.

Przez niego się dowiedział po raz pierwszy Witkę, że król był szalenie, daleko zapalczywiej zakochany, niż w Aurorze, Fatymie i Lubomirskiej, w kobiecie istotnie nadzwyczajnej piękności, w żonie ministra Hoyma, który po pijanemu pochwalił się i zakład trzymał, że żona jego nad wszystkie była najpiękniejsza.

Działo się to, rzecz do uwierzenia trudna, właśnie w chwili, gdy największe troski, straty, niebezpieczeństwa otaczały Augusta.

Zabierano mu armie i obozy, a on zdobywał nową kochankę.

Ta jednak nie tak była do zbałamucenia łatwa jak inne. Nie kochała męża, który ani umysłem, ani sercem jej nie dorósł i trzymał zamkniętą jak niewolnicę, ale metresą jak Aurora i Urszula być nie chciała. Wozy złota i stopy klejnotów nie mogły oporu jej zwyciężyć.

Opór pięknej Hoymowej (z rodziny duńskiej pochodzącej — tym razem narodowość nowa wstępowała w szeregi) powiększył tylko namiętność króla, który mógł znieść, że go Karol Dwunasty pobił, ale zwyciężonym cnotą kobiecą nie chciał się uznać. Największe ofiary nic go nie kosztowały, a poświęcenie Lubomirskiej nie wchodziło w rachubę.

Zachwycająca Anna, po tylu dowodach niestałości Augusta, inaczej mu się poddać nie chciała, jak na piśmie wymógłszy obietnicę ożenienia, w razie śmierci królowej. Król i na ten warunek się zgadzał, w myśli może, iż przyrzeczenie dane łatwo odebrać potrafi. Oprócz tego olbrzymią sumę dla siebie rocznie zabezpieczyła Hoymowa, a na wzór księżnej Cieszyńskiej żądała nowego tytułu.

August na wszystko zgodzić się był gotów. O tym Constantini przez Witkego chciał uprzedzić księżną przewidując jej rozpacz, obawiając się wybuchu. Pan Zachariasz obeznany był już ze wszystkimi towarzyszącymi temu wybrykowi króla okolicznościami. Konigsmark, z którą się widział, oswojona już ze swym położeniem, obojętna na nie, byle pozostała przy tym, czym ją August obdarzył, także przez Witkego ostrzec kazała swą przyjaciółkę, a teraz towarzyszkę niedoli, aby na próżno nie starała się zapobiec temu, co nieuchronnie się stało. Zalecała jej pokorę i zdanie się na los cierpliwe, które króla mogło usposobić łagodnie i zapewnić jej jego protekcję, zachowanie dóbr i wyposażenia.

Posłannictwo to biednego Witkego ciążyło mu jak kamień, ale się od niego nie mógł uwolnić, spełnić je musiał. Tu zaś trafiał w godzinę taką, której bólu i utrapienia dodawać — litość brała.

Nie wiedział spełna, jak przyjęto księżną u Górskich, ale domyślić się było łatwo z wielu drobnych wskazówek.

Na ostatek ona sama ostygłszy nieco nie omieszkała Wszystkiego odkryć, poskarżyć się przed Niemcem, którego miała za przyjaciela.

— Wyobraź sobie — poczęła przemógłszy pierwsze rozdrażnienie — wyobraź sobie, jak mnie tu moja rodzina przyjęła, co ja za tego króla cierpię. Starosta się żonie pokazywać zabronił, a mnie tak odprawił, jakbym nie Cieszyńską księżną była, ale z ostatnich ostatnią! Myślałam, że tam oszaleję albo mnie to ubije! Nie mogę jeszcze przyjść do siebie.

— Ale po cóżeś wasza książęca mość naraziła się na to — zapytał Witkę — znając pana starostę?

— Po co? Już ciż nie dla siebie — wykrzyknęła księżna — uczyniłam to dla króla, bo wiem, że oni tu wszyscy knują przeciwko niemu. Chciałam mu zjednać tego.. tego...

Łkanie jej przerwało, lecz natychmiast zwróciła się zmieniając już usposobienie, zapominając o tym, o czym mówiła.

— Cóż król? co król myśli? widziałeś go? słyszałeś co? I na twarzy Niemca wyczytawszy pomieszenie, z natarczywością poczęła nalegać.

— Mów! ty mi coś przynosisz! ja czuję! nigdy jedno nieszczęście nie przychodzi samo. Ty masz litość nade mną — szczebiotała dalej. — O! ja od dawna przeczuwałam, że mnie spotka niewdzięczność od niego! Ja wiem...

Chciał jeszcze Witke bólu jej oszczędzić na razie, ale napastowała go tak, iż mógł się domyślać, że coś już wiedziała.

Potrzeba ją było przygotować do tego ciosu, który już nieuchronnie groził.

— Mościa księżno — odparł kupiec — ja... ja o niczym tak dalece nie wiem, zwykle powszednie sprawy... nowego nie ma nic... król jeździ czasem do Kónigsmarki na wieczerzę, gdy jest w Dreźnie, zabawia się z Francuzkami w Lipsku.

Mówiąc to uśmiechał się Witke.

— No, chyba to nowina, że ministrowa, piękna pani Hoymowa, po raz pierwszy była do dworu zaproszona i na nim się pokazała.

— Hoymowa? kto? — przerwała Dorywczó księżna — Hoymowa! czekaj...

— Nikt jej nie znał, nikt w Dreźnie nie widywał nigdy — dodał Niemiec — mąż ją trzymał zamkniętą pono w Laubegast i pilnował zazdrosny, że ją na oczy nie widział ani król, ani dwór.

— A ty? a ty? — wtrąciła gorąco księżna, już o wszystkim, oprócz pięknej Hoymowej, zapomniawszy.

— Gdzież ja ją mogłem widzieć? — odparł Witke, smutnie się uśmiechając.

— Cóż mówią? — nagliła księżna .

— Mówią... mówią, że w istocie ma być nadzwyczajnej piękności — ociągając się rzekł Witke — no i że króla, jak u niego zwykle, gdy nową twarz zobaczy, zajęła bardzo.

Dumnie się wykrzywiła Cieszyńska, ostygła znacznie, przeszła się parę razy po izbie.

— Domyślam się — rzekła — że królowi nowe sitko będzie się od wszystkich innych piękniejsze wydawało, a długo ono na kółku się utrzyma?

Kupiec zmilczał. Nie chciał nastawać zbyt od razu i bezpieczniejszym znajdował na dwa dania swe poselstwo rozłożyć. Piękna Urszula zarzuciła go pytaniami, na których większą część odpowiedzieć nie umiał. Nie dał z siebie dnia tego dobyć, co przywiózł. Wieczór nadchodził, a choć księżna chciała koniecznie dnia tego bodaj do najbliższego miasta, namówił ją, aby przenocowała. Dała się skłonić wreszcie, bo myśli ją oblegały, z którymi chodziła i rzucała się nie wiedząc sama, co czyni. Pograżona w nich, Grądzkiej i Niemcowi dawała z sobą robić, co chcieli.

Wieczorem późnym przywołała raz jeszcze Niemca chcąc go zapytać jeszcze, czy się nie widział z Aurorą. Przyznał się do tego.

— Nie kazała mi co powiedzieć?

— Owszem — dodał kupiec — kondolencję wam oświadczyć poleciła, bo jej się zdaje, że król Hoymową mocno zajęty, tylko Hoymowa o niczym słuchać nie chce.

Parsknęła śmiechem dzikim jakimś księżna.

— A wy w to wierzycie? — zawołała. — Droży się i nic więcej.

Zmilczał Witke.

Dnia tego na tym się skończyła rozmowa, księżnę przyszła stara Grądzka położyć do łóżka, zmuszając do spoczynku.

Nazajutrz rano konie stały zaprzężone, nie wiedziano, dokąd jechać zechce.

Zawahała się nieco. Dla samego uzalenia się, a może przez pewną rachubę, rozporządziła do Łowicza. Zdziwiło ją to nieco, że Witkę oświadczył, iż towarzyszyć jej będzie.

— Oho — rzekła w duchu — ma więc jeszcze coś do powiedzenia, a kiedy się wahał mi od razu wyznać, musi być coś niedobrego.

I wychyliła się z powozu rękodajnemu zalecając, aby w pierwszej lepszej gospodzie na popas stanęli.

Niemiec dopomagając jej wysiąść z powozu postrzegł, że chmurna była, zakłopotana, ale zarazem ostygła.

Nie miał już potrzeby zwłóczyć dłużej. Sam wprosił się za nią do przygotowanej izby.

— Mów mi co jeszcze o tej Hoymowej — poczęła zaraz, nastając. — Mnie się zdaje, że ty chcesz oszczędzać mnie, a ja na wszystko z dawna byłam i jestem gotowa. To, co spotkało Haugwitzową, Kónigsmark, czeka i księżnę Cieszyńską. Co mówią o niej?

— Chwała Bogu — przerwał Niemiec — żeś wasza książęca mość przygotowana. Mówią w istocie, że król zajęty nią mocno, że ją chce Hoymowi odebrać i znaczną sumę na to przeznaczył.

— Gotów koronę stracić — wyrwało się księżnie — nie będzie za co nowych dział kupić, tyle ich postradawszy, ale fantazji dogodzić musi.

— Nie wiem tylko, czy się na ten warunek zgodzi, jaki mu postawiła Hoymowa, bo się domaga, aby jej na paśmie dał przyrzeczenie, że gdyby królowa zmarła, z nią się ożeni.

— At! — wyrwało się gwałtownie z ust pięknej Urszuli. — Myślicie, że nie podpisze? Gotów diabłu duszę oddać na cyrograf, a nie ustąpi. Po kilku miesiącach każe odebrać pismo i ją jak nas odprawi.

Witke dał się jej wyburzyć.

— To zapewne wszystko, coś mi miał do doniesienia?— poczęła Urszula.

— Z tym chyba, że niektórzy twierdzą, jakoby król August nawet już ów cyrograf podpisał.

Księżna pobladła, ale się natychmiast przemogła. Podumała chwileczkę.

— Ja zawsze wolę — wyrwało się jej — nie łudzić się nadaremnie, a radzić zawczasu, jak złemu zaradzić.

Mówiła to drżącym głosem, widać było, że się dotąd łudziła jeszcze, a teraz mierzyła całą głębinę swego upadku. I ona była tak prawie jak królową, i ona o koronie marzyła, a teraz...

Twarz jej pobladła, łzy się potoczyły z oczów, ale wnet je gniew przyszedł osuszać.

O! gdyby była mogła się pomścić! Niestety! August był za silny, nawet gdyby go z tronu zepchnięto. Witke ciągle się jeszcze litując jej, śledził ruch jej każdy.

— Hrabina Aurora — rzekł wyczekawszy — która wam jest życzliwa, kazała wam radzić, abyście królowi wymówek nie czynili, nie starali się nawet docisnąć do niego, aby próbować serce jego poruszyć...

— Serce! — mruknęła piękna Urszula — poruszyć serce, kiedy on go nie ma. Z Panem Bogiem tak się obszedł jak z nami, porzucił luterskiego, a przystał pod komendę papieskiego i z obu ich pono drwi sobie. Ale przyjdzie zemsta Boża!

Witkę dał znak, aby się powstrzymywała, lękał się, aby ich nie podsłuchano, a teraz i sług się obawiać było potrzeba.

— A! — zawołała Urszula niedługo się namyślając — pójdę za radą Aurory, mam najlepszy z niej przykład. Co tu się darmo zżymać i rzucać. Chciałabym go choć pożegnać, choć posłyszeć z ust jego...

— Wierz mi, pani, że to niepotrzebne — odparł Niemiec — wkrótce Hoymowa zajmie pałac, o którym dla niej myślą, w pobliżu zamku, cały świat wiedzieć będzie o tym, a król, gdy się rozstanie bez wyrzutów, wdzięczny będzie. Nie jątrzcie go.

Księżna Cieszyńska ramionami poruszyła.

— W Dreźnie ja mieszkać nie chcę — wyrwało się jej — tam dosyć Aurory, Haugwitzowej, Spieglowej, mnie nie przystało. Znajdę sobie gdzieś schronienie.

Zmęczona padła na krzesło i znowu płakać zaczęła.

Liczyła swych przyjaciół: wczoraj jeszcze miała ich do wyboru, padali przed nią wszyscy, teraz... szukała na próżno. Ani na Pfluga, ani na Furstenberga wiele liczyć nie mogła.

W Polsce, oprócz prymasa i Towiańskich, wszyscy ją wytykali palcami, jak Górski, i uchodzili od niej. Miała księstwo swe, dobra na Łużycach, klejnoty, pieniędzy trochę, w tych nieszczęsnych bogactwach musiała szukać, co by przyjaciół zastąpiło.

Usposobienia księdza Radziejowskiego była pewna, krył się z największą niechęcią ku królowi, należało się z nim połączyć... to nie ulegało wątpliwości. Była pewna, że wiadomość o jej upadku, o nowej faworycie już się szeroko rozejść musiała.

— Grądzka — rzekła zwracając się do starej sługi — nakaz, niech, konie popaszą, pomyśl o dalszej wygodnej do Łowicza podróży.

Witke spojrział.

— Księżna do prymasa? — mruknął.

— A dokądże się mam udać? — rozśmiała się gorzko. — Choć poskarżę się jak dziecko, to mnie pożałuje.

Rozmowa z Niemcem jeszcze się toczyła, gdy Grądzka powróciła od stajni z jakimś śmieszkiem na ustach. Oznajmował on, że coś się jej przytrafić musiało. U drzwi gwar słychać było wesoły.

— Cóżes to tam tak wesołego znalazła? — zapytała Urszula, dotknięta nieprzyjemnie wesołością niewczesną.

Grądzka ręką machnęła i odparła jednym wyrazem:

— Puciata!

Na twarzy księżnej uśmiech, ale pogardliwy, wykwitnął.

Ten Puciata, szlachcic dosyć zamożny, ale z imienia i rodu do księżęcej mitry sobie roszczący prawa, od bardzo dawna rozmiłowany w pięknej Urszuli bez żadnej nadziei ani wzajemności, ani nawet jakichkolwiek względów za wierne usługi, trwał uparcie kręcąc się około Lubomirskiej, a później przy Cieszyńskiej księżnie.

Piękna Urszula czasem się gniewała na niego za napastliwość, ale w pilnych sprawach często się nim posługiwała.

Puciata, można było powiedzieć, życie pędził na dworowaniu koło niej. Musiał wyobrazić sobie, że kiedyś, znudzona, poda mu rękę... gdy nic lepszego nie wyszuka.

Słysząc było pilne ocieranie nóg, brzękające ostrogi, odchrząkiwanie, drzwi się otworzyły i — zawsze dobrej myśli, wesół, z czupryną do góry zadartą, wbiegł mężczyzna słusznego wzrostu, ani brzydki, ni piękny, ale śmiały, żywy i śmiejący się, nim było z czego się rozśmiać, podbiegł do rączek księżnej, uchwycił je, mimo że mu się wyrywała, i począł wołać:

— Nareszciem wasza książęca mość przyłapał! Aha!

— A cóż to tak pilnego pędziło do mnie?

Puciata rękę położył na sercu.

— Czyż po setny raz mówić potrzebuję? — odparł. — Pierwsza rzecz, a pryncypalna, żem tęsknił, a po wtóre, może mam i co donieść.

To mówiąc obrócił się, obejrzał i zamilkł.

Witke się na palcach wyniósł z izby.

Grądzka stała opodal. Puciata wąsa długiego, bardzo wypieszczonego, pokręcał.

— A co! mościa księżno — rzekł. — Nie mówiłem ja, że zdradzi i że pańska łaska na pstrym koniu jeździ?

— I myślałeś waćpan, żem ja tego nie wiedziała? — rozśmiała się księżna. — Och! tak dobrze jak i wy! — Zamilkła na moment. — Sądzicie, że teraz się we łzach będę rozpląwała?

— Nie? no, to tym ci lepiej! — wykrzyknął Puciata. — Ale wieszże wasza książęca mość, co się stało?

— Zdaje mi się — szepnęła Urszula.

— Bo to prawią, panie, takie historie... jak o królowej Banialuce — dodał Puciata. — Tedy ma być syreniej piękności owa pani, jakiej oko ludzkie nie widziało... Mąż ją zamykał, bo szalał, kto ją zobaczył. Tymczasem trzeba mu się upić było. Wszyscy się żonami chwalili, pochwalił i pan Hoym. Co to wasze piękności, to są kucharki i pomywaczki przy mojej... Stanął zakład, sędziów

wyznaczono, a król się zajął strasznie i rozgorzał. Postrzegł pan minister wytrzeźwiwszy się, że głupi był, ale poniewczasie. Musiał żonę na dwór przywieźć. No i okazało się, że tam żadna do niej umywać się nie mogła.

— Grzeczny pan jesteś — wtrąciła księżna urażona.

— Księżnej tam przecież nie było — dodał wesoło. — Hoymowej już nie puszczono do domu.

— I kochani moi przyjaciele — wtrąciła Cieszyńska — postarali się, aby mnie do domu wyprawiono.

— Jak tam król z wizytą do niej przyszedł dźwigając wór złota, którego by trzech ludzi nie podniosło, jak do nóg jej padał, jak cyrograf na siebie wydał, a Hoym poszedł z kilku tysiącami dukatów konsolować się po stracie uleciałego ptaszka... toś pewno księżna słyszała.

Wtem przerwał sobie nagle.

— Mościa księżno, a cóż dalej? Macie jakie rozkazy?

Chciał na próżno odgadnąć, co myślała i jakie to na niej robiło wrażenie. Cieszyńska obojętną się osłoniła pogardą.

— Nie ma nic dalej — odparła — wybiorę sobie rezydencję i raz przynajmniej w życiu spocznę. Co ma być dalej? — dodała zaciskając usteczka i sznurując je. — Widzisz waćpan sam, jestem stara, czas pokutować za grzechy. Jadę też spowiadać się wujaszkwowi... ten, spodziewam się, da mi rozgrzeszenie... a potem — mówiła zamyślona, poczynając się przechadzać, jakby zapomniała o Paciacie — a potem? potem...

Gość stał i słuchał, zwróciła się ku niemu:

— Zapomniałam spytać. Waćpan o tym wiedzieć musisz. Co myślą, gdzie są Sobiescy?

Zapytanie to dosyć ociążałej myśli i nie przygotowanemu do odpowiedzi Puciacie tak się wydało zrazu dziwne, że długo zawahał się z odpowiedzią. W rzeczy samej, Sobiescy go niewiele obchodzili, nikt na nich teraz wielkiej uwagi nie zwracał. Ruszył Litwin ramionami.

— Bóg ich święty wiedzieć raczy — przemówił w końcu. — Królowa, której tu nie królując ciężko żyć, podobno się wybiera za granicę... naśladowując szwedzką, bodaj do Rzymu, jeden syn pewnie jej będzie towarzyszył, a reszta...

Ręką zamachnął.

— Pieniędzy nadaremnie się kłócąc stracili dużo... a teraz już królowa nie ma urzędów na sprzedaż...

Nie dopytywała go dłużej piękna pani, zajęta własnymi myślami więcej niż nim. Tymczasem powozy gotowe wychodziły i Puciatę pożegnać było potrzeba.

Z królewską powagą zbliżyła się do niego, tym dumniej, że w nim postrzegła pewne spoufalenie, które upadkowi swojemu przypisywała.

— Dziękuję waćpanu — odezwała się — za jego troskliwość o mnie. Tymczasowo ja usług jego życzliwych nie potrzebuję, ale możesz mi później być użytecznym. Sama jednak nie wiem dotąd, gdzie się osiedlę. W Cieszynie — wątpię, na Łużycach — pustynia i za blisko Drezna, w Polsce nie mam jakoś ochoty. Muszę się namyślić i rozważyć. Dowiesz się łatwo, gdzie mnie szukać.

Odprawa ta, dana z góry i zimno wiernemu słudze, zasmuciła go widocznie, chciał czynić wymówki, lecz księżna, unikając ich, już z Grądzka do kolebki swej pośpieszała wydając rozkazy i ani spoglądając na Puciatę.

Ludzie zawiadomieni już byli, że do Łowicza jechała. W milczeniu smutnym i rozmyślach upłynęła podróż ta, w czasie której piękna Urszula ust prawie nie otwierała.

Sama sobie oddana, bez porady, bez przyjaciół, musiała obmyślać, co ma dalej poczynać. Rachowała nieco na prymasa, ale o tyle tylko, o ile ona mu mogła być potrzebna, a interesa ich godziły się z sobą. Postępowanie Aurory mogło ją nauczyć nieco, lecz różniły się ich temperamta i charaktery. Szwedka była dosyć chłodna, mniej dumna i fantazji unosić się dająca, Cieszyńska, nierównie przebieglejsza, namiętniej sza, ale razem lekkomyślniejsza i płocha, nie mogła zapomnieć, że wprzód niż Cieszyńską była Lubomirską, że sławę swą poświęciła i że jedną nóżką była już na stopniach tronu.

Z tego, co widziała i słyszała, dorozumiała się, że zwycięstwa Karola Dwunastego w Polsce wielkie wywołają zmiany. Rokosz mógł złożyć z tronu Augusta, Szwed tego się domagał. Na nową elekcję Contiego się już spodziewać nie było można, bo i on się zawiódł, i na nim się zawiedziono... innych

kandydatów nie widać było... Sobiescy się nastęrczali, narzucali, choćby byli bezczynni.

Urszula widziała to jak na dłoni, ale roiała sobie, że ulubieniec matki, Aleksander, mógł teraz być wybrany. Chociaż Jakub spokrewniony był z cesarskim domem i miał za sobą księżniczkę z panującego rodu, nie zdawało się jej niepodobne, aby Aleksander z nią się ożenił.

Była to myśl zuchwała i dziwaczna, ale piękna Urszula miała nadzwyczaj wysokie wyobrazenie o swej piękności, a większe może jeszcze o przebiegłości i rozumie. Gdy myśl uchwycenia się Sobieskich raz jej się nastęrczyła, pozbyć się jej już nie mogła. Wyobraźnia panowała nad nią, obrabiała ją, kształtowała, odgadywała następstwa — i księżna Cieszyńska, nim dojechała do Łowicza, już była do niej roznamiętniona. Z trudnością jej nawet przychodziło nie zdradzić się z tym przed Grądzką, tak się z kimś dzielić potrzebowała. Rada by była stanąć jak najrychlej w Łowiczu, choć i tu trudno było otwarcie to rzucić na stół.

W Łowiczu, jak zawsze, gości duchownych i świeckich było mnóstwo. Prymas nie mógł się im opędzić, narzekając na ogromne koszta i wydatki, na jakie go elekcja Sasa narażała. Pojednany z królem na pozór, oświadczający się ciągle z uwielbieniem dla niego, występujący z radami, domagając się wpływu dla siebie i swoich, którego nie miał, w duszy był najzaciętszym wrogiem Augusta.

Niechęci tej i wstrętu nie obudzało w nim postępowanie króla, jego intrygi na obalenie Rzeczypospolitej, życie rozwiązłe, fałszywość, ale wprost tylko to, że nim zawładnąć nie mógł.

Nienawidził Przebendowskich, Dąbskiego i wszystkich, którzy bliżej stali pana.

Stosunki dwóch przeciwników obu ich były godne. Prymas publicznie głosił swe przywiązanie, wierność dla Augusta, w kółku poufałym zwał go antychrystem. Król pisał listy pełne pochlebstw dla Radziejowskiego, czcił go, obiecywał mu złote góry, udawał, że mu ufa i wierzy, a przy drzwiach zamkniętych łajał go i oburzał się na zdrajcę, będąc doskonale uwiadomionym o każdym kroku jego. Z nich dwu w tej grze mocniejszym był król, gdyż mniej jeszcze niż prymas miał do poszanowania, a na *vox populi* bynajmniej się nie oglądał. Kilka lat panowania i nabyte doświadczenie nauczyło go postępowania z Polakami. Dozwał im na sejmach tym swobodniej się wykrzyczeć, że ich wcale nie rozumiał, obiecywał, co tylko chcieli, a robił, co mu było potrzeba. Wojska saskie wyciągały z jednej, a wchodziły z drugiej strony. Gdy zbyt wrzawy na nadużycia podniosło się w Małopolsce, wychodzili Sasi do Prus, tak

samo uspokajano Wielkopolskę. Tymczasem August zamek na Wawelu umacniał i na twierdzę go powoli przerabiał.

Nieustanne porażki i coraz zuchwalsze a szczęśliwe występowanie Karola Dwunastego do wściekłości niemal jątrzyły Augusta, chociaż z uśmiechem wzgardy odbierał o nich wiadomości. Szpiegowie jego otaczali Szweda i myśli zaledwie rodzące się wykradali mu sprzedając je Sasowi. Na wagę złota opłacał najdrobniejszą wskazówkę, chociaż z nich nie umiał korzystać. Całe postępowanie było jak najdziwaczniejsze.

Wśród najstraszniejszych strat i klęsk August nie zmienił ani na włos trybu życia, nie wstrzymywał się od obchodzenia wystawnego karnawału, od balów i maskarad w Lipsku, od sprowadzenia komediantów z Francji, od sypania pieniędzy na metresy. Wojsko było głodne i żywiło się rabunkiem, przyczyniając królowi nieprzyjaciół, a król złotem sypał na rozpustę i zapijał się w towarzystwie swych Włochów, Niemców, Francuzów, olbrzymów i karłów, trefnisiów i wszelkiego stopnia i kondycji kochanek, które rozsadzał wszędzie. Wszystkie klęski, jakie ponosił od Szweda, dla niego zdawały się rzeczą przemijającą i nietrwałą, jak gdyby ostatecznego zwycięstwa był pewny. Karol Dwunasty musiał raz stąd ustąpić, a ów zapłacić mu odwetem z pomocą cara Piotra. Przybycie do Łowicza księżnej Cieszyńskiej, której się tu spodziewano, przypadło w chwili właśnie, gdy się tu po cichu stronnictwo, a raczej służba Radziejowskiego — przysposabiała do potajemnego podpierania tych, którzy w imię Rzeczypospolitej, pomijając Augusta, układać się gotowali ze Szwedem.

Myśl ta, rzucona, pochwyciona, podniesiona, coraz więcej zyskiwała adherentów.

Taką drogą prymas chciał przygotować detronizację Sasa, a postawienie na jego miejscu własnego kandydata.

Któż nim mógł być dogodniej, łatwiej nad Sobieskiego, nad jednego z Sobieskich? Nie wymawiano jeszcze imienia tego, ale pewne wskazówki kazały się domyślać, że i Jabłonowski, który na tron dopomagał tak dzielnie Augustowi, odstąpi go teraz i do Sobieskich się przyłączy.

Wszystko to jeszcze mgliście się przedstawiało, jedno tylko było bardzo wybitne: że coraz więcej się panów i szlachty przeciwko Augustowi oświadczało.

Towiańscy, którzy ani na chwilę nie opuszczali kardynała, cała ich rodzina, aż do najdalszych powinowatych, i Lubomirskich kilku, oprócz tego mnóstwo urzędników i senatorów z różnych ziem, duchowieństwa, wojskowych...

zalewało miasteczko i zamek w Łowiczu, tak że przodem wysłany dworzanin ledwie się pomieszczenia dla księżnej mógł doprosić, z tym, że dwór jej i ekipaże na miasto iść musiały. Towiańscy wiadomość o przyjeździe przyjęli prawie kwaśno. Pomóc im nie mogła w niczym, a nadaremnie wtrącać się tylko i przeszkadzać w mnogich intrygach. Ale księżna była bardzo majątna, bo mimo wystawnego nad miarę dworu zachowała się dobrze, a dobra jej dosyć przynosiły, kasztelanowa szanowała w niej dostatki. Przyjęto więc piękną Ariadnę tym otwartymi rękami, tym serdeczniejszym współczuciem, im mniej go dla niej miano rzeczywiście.

Kardynał nie ukazał się — aż u stołu... do którego Cieszyńska wystąpiła w klejnotach, strojna, ubielona i umalowana, a bardzo ponętna. W tej chwili musiała nią być, aby nie okazać, że czuła swe owdowienie i rozpaczała o przyszłości.

Z powagą, czułością odegraną dobrze, ale bez zbytniego wylania się dla krewnej, przyjął ją kardynał. U stołu posadzono ją przy nim, aby mogła odpowiadać po cichu na mnogie pytania.

Kilka razy, niecierpliwa, próbowała coś wtrącić o Sobieskich, lecz prymas udał, że nie słyszy i nie rozumie.

W końcu szepnął, ogólnikiem zbywając ją:

— Do tego jeszcze daleko!

— Gdybyś księżę chciał (zwała go tak zawsze pochlebnie z tytułu księcia kościoła), mogłoby się to zbliżyć.

Prymas nic nie odpowiedział.

W ogólnej rozmowie, głośniejszej, Radziejowski nakłaniał, aby się około tronu skupiano, i ubolewał nad losem króla. Nowiny z Wielkopolski przynosiły to, co księżna stamtąd przywiozła. Gotowano się, w imię Rzeczypospolitej, układać z Karolem Dwunastym, który o życzliwości swej dla niej zaręczał.

Razem z tym opowiadano o dzikości Szweda, w której jedni bohaterstwo upatrywali, a drudzy szaleństwo. Narzekano na jego despotyzm i kontrybucje, rabunki kościołów, najazd dóbr duchownych itd.

— Takeśmy się dobrze urządzili — mówił jeden z biskupów — że z jednej strony lutry Szwedzi, z drugiej lutry Sasi nas drą, a my pisać nawet nie śmiemy.

Po dosyć długim ucztowaniu oddalił się prymas dla sjesty i spoczynków, goście porozbijali się na kupki, a u kasztelanowej pozostała główna grupa.

Nadchodził wieczór, księżna jeszcze swych powieści nie dokończyła uskarżając się przed Towiańską, gdy wielki ruch się zrobił na dworze i szmer, jakby coś nadzwyczajnego zaszło.

Kasztelanowa rzuciła się naprzód dowiedzieć, czy się co kardynałowi nie stało, lecz powróciła wprędce uspokojona. Listy jakieś tylko pilne nadeszły z Warszawy.

Tajemnica ich nie zachowała się długo... wybuchnęła ona wielkim i nie tajonym oburzeniem przeciwko królowi.

Z Wilanowa przywieziono wiadomość, że Jakub i Konstanty Sobiescy, na cudzym terytorium na Śląsku na polowanie zaproszeni, z pogwałceniem wszelkich praw, bez względu na powinowactwo z domem cesarskim, zostali z rozkazu Augusta aresztowani i pod mocną eskortą do Saksonii na jakąś twierdzę wprowadzeni.

Gwałt ten i samowola, której nic nie usprawiedliwiało, niesłuchanie wszystkich przeciwko królowi oburzyły.

Nie szło tu już o Sobieskich, ale o najwালniejsze prawa szlachty polskiej, owe wiekami utrwalone *neminem captivabimus*. Był to początek więc zapowiedzianego wywrotu zasadniczych ustaw Rzeczypospolitej.

Głoszono w Warszawie, że na Sobieskich nie miało się skończyć, odkryty był spisek przeciwko królowi, zmowa na jego życie, miano więzić innych. Starczyło podejrzenia, a nawet potwarzy, aby się pozbyć tych, którzy Augustowi zawadzali.

Prymas Radziejowski rad był naturalnie, że otwarcie króla i jego postępowanie potępić może. Szeptano, że Jabłonowskiego los ten sam spotka. Bystrzejsi wiedzieli, iż Sobieskich zamknięto, bo król się obawiał, aby go Karol nie detronizował, a nie poparł Jakuba lub jego brata.

Z trzech jednak pozostał jeden wolny, Aleksander, a do tego natychmiast posłano zawiadomienie, aby się od gwałtu zabezpieczył. Nie pozostawało mu nic, tylko w obozie Karola Dwunastego szukać schronienia.

Na księżnę Cieszyńską spadły te wiadomości jak grom, ale ją utwierdziły w myśli, że może Aleksandrowi, najmłodszemu z Sobieskich, być pomocną.

Nie wydała się z tym, rozjaśniło się tylko lice trochę, spojrzała parę razy w zwierciadło, była pewna, że młodego, niedoświadczonego Aleksandra ująć potrafi.

Do późnej nocy trwały na zamku narady, pisanie listów, wysyłki gońców na wszystkie strony.

Księżna Cieszyńska też skorzystała z okazji tych, aby do swych przyjaciół i pomocników rozesłać bileciki i nie dać im zapomnieć o sobie.

Nie było nikogo w Łowiczu, co by króla postępowanie pochwalał i uniewinniał. Prymas wzdychał niby ciężko, lecz zarazem cieszył się z popełnionego błędu, gotując się z niego korzystać.

Wszyscy widzieli w nim dowód, że Sas, przywiedziony do ostateczności, chwycił się ostatecznych środków, bo się czuł w położeniu rozpaczliwym.

Gotowano się na sejm zapowiedziany wystąpić nie za Sobieskimi, ale za prawem zasadniczym — pogwałconym.

Królewscy adherenci tłumaczyli go jedynie wojną, choć nie było przykładu, aby ona w Polsce gwałt czyniła bezkarnym.

Zabawiwszy dzień jeden tylko w Łowiczu, widząc, że ją tu nie bardzo zatrzymywano, Cieszyńska nazajutrz wybrała się do Warszawy i natychmiast posłała po Witkego, wiedząc, że go u Renardów szukać potrzeba. Znalaziono go tu w istocie, ale przywłókł się tak znękany do księżnej, iż niewiele sobie z niego pociechy obiecywać mogła.

Zawiedzione nadzieje, poniesione straty, na ostatek smutne przekonanie, iż ta Henrietka, w której się rozkochał do szaleństwa, wcale sobie, wychodząc za niego, świata zawiązywać nie myślała, do rozpaczny go przywiodły.

Zwykle milczący, tym razem boleściwie się począł uskarżać przed księżną na los swój i na doznane zawody.

— Nic mi podobnego nie pozostaje — rzekł w końcu — jak porzuciwszy te mętne sprawy, do których stworzony nie jestem, powrócić do szalek i miarki. Człowiekiem u dworu posługują się jak ścierką, a potem rzucają go na śmieć.

Masz księżna jejmość na sobie dowód, jak tu poświęcenia się płacą, a mnie też za wielkie utrapienia i posługi tylko straty spotkały i sponiewieranie. Rad się precz cofnę.

Księżna słuchała, główką potrząsając.

— A waćpan myślisz, że tu raz zagrzązłszy wydobyć się łatwo? — zapytała. — Królowi raz posłużyłeś, toś się związał, a czy ci to będzie dogodne lub nie, o to on wcale nie dba. Co innego ze mną, mnie on rad się pozbędzie, a ja rada też abszyt dostanę. Ale gdzie się schronię? Bóg jeden wie. Aurora może w Dreźnie przesiadywać, bo jej rany się już przygoiły, a moje krwią jeszcze płyną.

Na Witkem wiadomość o uwięzieniu Sobieskich, która w Polsce takie czyniła wrażenie, najmniejszego nie zrobiła.

Uśmiechnął się.

— Alboż księżna sama się do tego nie przyczyniłaś, że kanclerza Beichlinga posadzono w Kónigsteinie? Dla króla Sobiescy nie lepsi, nawet cesarz szwagier się nie wstawi za nimi.

Ręką rzucił.

— Będzie tego więcej! — dokończył.

— Dobrze choć na ten raz kobietą być — odezwała się pani Urszula — przynajmniej do fortecy nie wsadzą.

— Ja bym za to nie ręczył — dodał zniechęcony Witkę — gdybyś księżna groźną się stała. Zamków dużo pustych nad Elbą.

Cieszyńska pobladła, ale nic nie śmiała odpowiedzieć.

Nazajutrz nie opowiadając się nikomu, cicho, skromnie wysunęła się do Wrocławia i przez czas jakiś o niej słyhać nie było. Witke się wybierał do matki, ale Henrietki oczy go tak trzymały... Przeklinał dzień i godzinę, gdy ją zobaczył, a oddalić się nie mógł.

Rozdział szósty.

August cicho, potajemnie zjawił się w Warszawie, ale na zamku nie gościł. Z małym poczem konno, pod pozorem jakichś strategicznych planów i oglądania wojsk, zajechał nocą na Bielany.

Nazajutrz ze stolicy sunęły się powoli karety i biegli konni, ale po drodze nie przyznawał się nikt do celu podróży, każdy miał jakiś interes prywatny. O królu nikt nie wiedział.

Dla biskupa Załuskiego, który się tu znalazł podówczas, jak dla innych panów polskich, których powołał do siebie na radę, król się stawał coraz mniej zrozumiałą istotą. Przeszedł on na stronę jego czując w nim siłę, która dla pacyfikacji i uporządkowania Rzeczypospolitej była potrzebna, lecz doznał bolesnego zawodu.

August, który w rozmowach z Załuskim dowodził wybornego pojęcia swego położenia i wymagań jego, doskonałej przy tym znajomości ludzi, zręczności w posługiwaniu się nimi, zdumiewał go potem nieudolnością w czynach.

Biskup się przekonywał coraz mocniej, że wiary mu w niczym dać nie było można.

Gdy z czynności swych nie mógł się wytłumaczyć August, nawyknięcie miał omijać je, upartym zbywać milczeniem i nie dopuszczać rozprawy.

Wśród tych zawikłań i niezliczonych strat biskup na jego twarzy nie spostrzegł chmurki najmniejszej. Nie mówił o tym, co go martwić mogło. Żaden dzień przy tym nie minął bez uctowania rozpasanego i — ostatecznie — upojenia. Załuski za wcześniej się zawsze cofał, lecz wiedział o tym przez drugich.

Widząc go tak swobodnym po tylu zawodach, przegranych bitwach, poniesionych stratach, Załuski musiał przypuszczać, że czuł jakąś siłę, która mu upaść nie dozwoliła, bo lekkomyślność przechodziła wszelkie granice.

Ilekcroć poważny, sumienny mąż próbował na cztery nawet oczy rozprawiać się z królem otwarcie, aby wiedzieć, czym i jak ratować się myśli, spotykał się z wejrzeniem szklanym, bezmyślnym, ustami zaciśniętymi i odpowiedzią, która odwracała natychmiast przedmiot rozmowy. Zdumiewało w nim i to, że największą uprzejmością, nadskakowaniem niemal, przyjmował tych, których nie cierpiał.

Flemming, Przebendowski, Dąbski, czas jakiś Furstenberg spotykali się często z grubiaństwem, z naganą, ze słowem żywym i nie zmierzonym, ale taki kanclerz Beichling w wigilię uwięzienia, Aurora, gdy miał ją odprawić, Cieszyńska, gdy już sobie umawiał Hoymowa i starał się dla niej u cesarza o tytuł hrabiny Cosel, znajdowali go wylanym, serdecznym, pełnym czci i uwielbienia.

Dla obcych był zawsze z dumną, ale niesłychanie wielką uprzejmością.

Załuski, który znany był ze swego przywiązania do króla Jana i interesowania się jego rodziną, pewny był, że August zobaczywszy go wytłumaczyć się będzie starał gwałt na Sobieskich popełniony.

August przyjął go w progu, rękami otwartymi, zapytaniami o zdrowie, o podróż odbytą, ale pomimo przedłużonego umyślnie pobytu jego u siebie, nie dopuścił wzmianki nawet o Sobieskich, a gdy biskup w końcu odważył się sam o nich zagadnąć, uśmiechnął się, popatrzył mu w oczy i odwrócił zostawując bez odpowiedzi.

Flemming, którego się starał wybadać potem biskup, wyznał mu w największym sekrecie, że... własny spowiednik Jakuba go wydał, jako spiskującego wraz z innymi panami wprost na życie króla.

Załuski łamiąc ręce protestował, domagał się tego spowiednika, ale Flemming nie odpowiedział niczym prócz powtórzenia potwarzy.

Oprócz tego Niemcy głosili, że z Karolem Dwunastym Sobiescy byli w stosunkach, co było prawdopodobniejsze, i że August zmuszony został w obronie życia i korony ostatecznych chwycić się środków.

Inni panowie niewiele więcej się mogli od króla dowiedzieć i poznać po nim. Skarżył się na nudy, na niezręczność tych, którymi się posługiwał, tęsknił za Dreznem.

Constantini, bez którego się nie umiał obejść August, i tym razem mu towarzyszył, a zaledwie przybywszy na Bielany, wymknął się do Warszawy, aby pochwycić swego pomocnika, nieszczęśliwego Witkego.

Wiedział dobrze, iż go najłatwiej znajdzie w winiarni Renarda.

Tym razem wszakże się omylił. Zniechęcony zalotnością Henrietki, Niemiec próbował walczyć ze swą namiętnością i mniej u Renardów przesiadywał.

Towarzystwo zastał tu wielce ożywione i niezupełnie sobie obce, bo oficerowie gwardii saskiej gromadą tu siedzieli, pili, igrali, pięknej Henrietki nie puszczali od siebie.

Mazotin mało co ją widywał... i teraz strojna a przepiękna swą młodością i wdziękiem wesela tego, które ona daje, zachwycała go. Rufian z rzemiosła, Włoch zobaczywszy ją nie o sobie pomyślał, ale o królu.

Gdy mu to raz w głowie zaświtało, wybić już było trudno. Król się nudził i bywał wieczorami wściekły; potrzeba go było na tych dni kilka zająć czym koniecznym. Dziewczę to dorastające było prawdziwie królewskim kąskiem.

Naturalnym pośrednikiem, pomocą do tej niepoczciwej sprawy powinien być wedle jego przekonania nie kto inny, tylko Witkę. Ale Constantini wiedział, domyślał się raczej, że się w niej szalenie kochał.

Rachować na niego ani podobna było.

Włoch, pomyślawszy nad tym, pozostał w winiarni, aby się lepiej rozsluchać i rozpatrzeć. Kilku oficerów miał znajomych, a wszyscy o nim wiedzieli, że był potęgą. Nadskakiwano mu więc bardzo.

On tymczasem nie spuszczał oka z dziewczęciami, zabrał znajomość z matką, zbliżył się do ojca. Wiedziano tu dobrze o nim przez Witkego, który często wspominał Mazotina.

Poczęła się tedy pijatyka, do jakiej naówczas byle sposobność pochop dawała.

Constantini wziął na stronę jednego z oficerów, von Plauna.

— Wam tu, moi panowie, rozkosznie żyć — odezwał się do niego. — Tuż pod zamkiem macie taką dobrą winiarnię, uprzejmych gospodarzy i co za śliczne dziewczę!

— A! śliczne! śliczne! — odparł oficer — ale co nam po tym? Śmieje się, usługuje, czasem nawet uda się złapać całusa, ale matka jak ostrowidz czuwa, patrzy i chodzi za nią. My tylko z dala się jej przyglądamy i oblizujemy.

— E! e! — zaśmiał się Włoch — dziewczyna z takiej winiarni, żeby znów tak okrutną być miała. Mnie się to nie widzi.

— Tak jest, porucznik Friesen, ja, Herder na zabój się kochamy, nadskakujemy, a nic zyskać nie możemy. Mówią o kupcu bogatym z Drezna, niejakim Witke, który się tu dla miłości jej bodaj osiedlił, gotów się pono i ożenić, ale i on nie wskóra nic. Rodzice ją pono na wabika do handlu trzymają.

— Do czasu — przerwał Włoch — znajdzie się nad was zręczniejszy, który dziewczę zbałamuci i — uwiedzie.

Von Plaun potrząsnął głową.

— Wątpię — rzekł — ktoś się wprzód ożenić chyba będzie musiał, a potem! potem — kto ją wie: zalotna jest szatańsko...

Constantini, który w obcowaniu i zalecaniu się kobietom miał wielką zręczność i doświadczenie, nie stracił dnia tego i gorąco Henriette nadskakiwał. Rodzice wcale mu tego za złe nie poczytali, a dziewczę usadziło się, aby mu zawrócić głowę, ale w rozmowie z matką, z ojcem, przekonał się Mazotin, iż w istocie nad nią czuwali pilno...

— Panie radco (Constantiniego tak tytułowano przez grzeczność, choć on sam na równi z ministrami się stawiał), panie radco — mówił mu stary Renard — nasze dziewczę posagu mieć nie będzie krom swej piękności i statku. Musimy nad nią czuwać, to nasze jedyne oko w głowie.

— Nie lękacie się przyjmować tyle młodzieży? — wtrącił Mazotin.

— Hm! to nasza najlepsza klientela — rzekł Francuz — bez niej by handel zamknąć przyszło. Henriette też należy oddać sprawiedliwość, że jest rozumna i stateczna, nie że jako młoda gosposia musi się gościom uśmiechać, śmiać się lubi, gzi się, oczyma strzela, ale nadto się do siebie zbliżyć nie dopuszcza. Zalotną być musi... ale... — Wyrazistym ruchem dokończył Renard.

Wszystkie te zarazem zebrane postrzeżenia i wiadomości nie zastraszyły bynajmniej Constantiniego, powtarzał sobie ciągle:

— To królewski kąsek.

Nie znaczyło dla niego nic zgubić młode dziewczę, gdy mógł królowi choć chwilową rozrywkę, zapomnienie trosk i utrapień dostarczyć, a wiedział bardzo dobrze, iż taka nowość nadzwyczaj była Augustowi ponętna. Ani nowozdobytej pani Hoym, ani żadnej z dawnych przyjaciółek, Aurory, Spieglowej, księżnej Cieszyńskiej nie było w Warszawie, król wpadał chwilami w gniewne szaty,

czasu których był niebezpieczny. Constantini chciał koniecznie na to znaleźć lekarstwo, a nie było skuteczniejszego nad znajomość z Henrietką.

Króla tu mało znano i widywano, zmieniona peruka, strój, ubranie skromniejsze mogły nie dać go poznać. Renardom szło tylko o to, aby innych gości oddalić. Wszystko należało obmyślić, przygotować, a ostateczne rozwiązanie pozostawić samemu Augustowi. Witke, jako dobry przyjaciel domu, byłby się tu bardzo mógł przydać, ale Mazotin czuł i wiedział, że on się sam szalenie kochał w dziewczęciu i był o nią zazdrosny.

Układając plan Włoch powrócił na Bielany, ale wieczorem rozbierając króla i będąc z nim sam na sam — podszeptał, że w Warszawie młodziuteńką Francuzeczkę upatrzył taką, iż przed nią klękać było... August się natychmiast zapalił. Constantini począł od tego, że ani było myśleć do niej przystąpić, i dla rodziców, i dla oficerów saskich, którzy ją oblegali nieustannie. Przymierze z carem Piotrem, wojna z Karolem Dwunastym, zdrady prymasa, burza na Litwie, wszystko zapomniane zostało... król rozpytywał o Henrietkę nie odpuszczając od siebie Mazotina. Kazał mu natychmiast przedsiębrać właściwe starania, ale pierwszą znajomość z dziewczęciem chciał zawiązać jako prosty oficer gwardii. Wiedział Włoch, że mu się te zachody sowiec nagrodzą, ale niemniej stękał, że mu to ciężko przyjść miało.

Potrzeba było rodziców skłonić do przyjęcia tajemniczego gościa, o którym Mazotin mówił, że był wielkiego rodu, bardzo bogaty i że im i córce mógł przynieść szczęście... zapewnić przyszłość świetną.

Zaraz nazajutrz rozpoczęły się zabiegi, a że bystrego oka Witkego obawiał się Constantini, zmyślił potrzebę jakąś i odesłał go na straży stać w Łowiczu.

Niemiec jeszcze nic nie podejrzewał.

Constantini po jego wyjeździe nie miał już spoczynku, naprzód się postarał przez dowódców, aby na czas jakiś oficerów saskich od uczęszczania do Renarda wszelkimi możliwymi środkami odciągnąć. Następnie ujął oboje, matkę i ojca, na ostatek mocno zajął i obudził ciekawość dziewczęcia.

Ułożone więc zostało, że król sam z Mazotinem tylko i najwierniejszymi swymi trabantami, poprzebieranymi, miał w nocy konno przyjechać do Warszawy. Tu u Renardów czekać na niego miała wieczerza, na którą Henrietka z matką zaproszone zostały, a Mazotin sypał pieniędzmi, a więcej jeszcze nie kosztującymi przyrzeczeniami. Dla ujęcia dziewczęcia, zawczasu król dał mu bardzo piękne kolczyki, które jako zadatek miał ofiarować.

Trudno się domyślić, czy Renardowie starzy, znając położenie i stosunki Constantiniego, nie domyślali się czegoś. Córce jednak nie mówiono nic, obiecywano jej tylko bogatego saskiego grafa, który gdzieś z dala ją widział, a teraz pragnął zobaczyć z bliska.

Król August był niewątpliwie jednym z najpiękniejszych mężczyzn swojego czasu, a gdy chciał, umiał być też jednym z największych, najczarowniej ujmujących, w obejściu się swym władając tak szeroką skalą, że, od rubaszości grubiańskiej do sentymentalności, grał z równą łatwością wszystkie role.

W towarzystwie francuskich tancerek, które nad Renem niegdyś spotykał, zachwycał je rozpasaniem; na dworze francuskim, z paniami wielkimi, był to galant pełen dystynkcji, nie kosztowało go nic zmieniać fizjonomię i charakter. Z bardzo małymi wyjątkami ówczesny świat niewieści uwielbiał tego Don Juana. Nastroić się do towarzystwa kobiecego wszelkiego rodzaju przychodziło królowi z największą łatwością. Constantini zaledwie mógł jego niecierpliwość pohamować, tak pilno było mu poznać Henrietkę. Była to dla niego zabawka tylko, ale zabawa i nasycanie się, choćby największym kosztem, stały u niego jako cel życia.

Po kilkudniowych zabiegach na ostatek dzień został wyznaczony. Król wymknął się ubrany w mundur oficera gwardii saskiej, dosiadł konia i puścił się tak szalonym pędem, że Włoch ledwie mógł go dogonić.

Godzina była dosyć spóźniona, handel Renardów, wedle umowy, zamknięty, Constantini od podwórza wprowadził Augusta, który bardzo dobrze udawał skromnego wojskowego. Renardowie z przygotowaną wieczerzą oczekiwali.

Zalotne dziewczę ustroiło się dla gościa ze staraniem nadzwyczajnym, matka i ona pracowały nad tym dzień cały. Była też czarująca, choć więcej wdziękiem młodości niż klejnocikami i szarfami, którymi ją ubrano. Nadzwyczajna jej piękność od razu na zapalonym Auguście uczyniła wrażenie wielkie. Constantini spostrzegł to i lękał się tylko, aby namiętność nie wybuchnęła zbyt gwałtownie, pośpiesznie, i nie zdradziła go. Król sam nie życzył sobie tu być poznanym, gotów był do ofiar, ale się obawiał Hoymowej i trochę wstydził, że spadł tak nisko.

Przy wieczerzy, choć pił wiele, zachował się tak, iż mógł ujść za oficera i syna mającej rodziny grafów, jakim go opowiadano. Starając się podobać, nadzwyczaj był uprzejmym dla Renardów, iż się nie wahali przyrzec chętnie przyjęcie.

Henriette podobał się piękny oficer, ale budził w niej jakąś obawę... domyślała się, że nie był tym, kim go jej przedstawiono... zdradzały drobne rzeczy: ogromne pierścienie brylantowe na palcach i guzy u kamizelki z kosztownych kamieni.

Gdy król tak zabawiał się wieczorami, dniami zajęty swą polityką, wojskiem i łagodzeniem rozdrażnienia, jakie uwięzienie Sobieskich i Jabłonowskiego wywołało, Witkę, niespokojny, pod jakimś pozorem wyrwał się z Łowicza i naprzód wbiegł do Renardów.

Włoch zalecał im mocno zachowanie tajemnicy o wieczornych odwiedzinach, ale kupiec był na takiej stopie z nimi wszystkimi, iż ukryć przed nim, co się działo w domu, nie było podobna. Pierwsza się wygadała Henrietta spodziewając się, że Witkę jej odkryje prawdziwe nazwisko tego oficera. Niemcowi, już i tak podejrzewającemu Constantiego, nie było trudno zgadnąć, kogo on tu przyprawdzał; opowiadanie dziewczyny o pierścieniach i guzach dało mu pewność, że się nie mylił, ale nie chciał powiedzieć jej, że to ten oficer był królem.

Napadł we cztery oczy na Renarda.

— Gubisz swe dziecko! Z całego zachodu około tych wieczorów mogłeś się domyślić, kogo ci ten Włoch ściągnie. To nie kto inny jak król...

— To cóż? — odparł Francuz. — Jam go od razu poznał, ale rady nie mam na to! Mogłem się narazić...? Odmówić przyjęcia nie było podobna, ale Henriety mu przecież nie sprzedamy.

Witke rzucił się zrozpaczony.

— Nie mogłeś się oprzeć, gdy szło o przyjęcie — zawołał — nie potrafisz ratować jej, gdy ci zechcą wydrzeć.

Zakochany łamał ręce i płakał. Parę godzin tu zabawiwszy siadł na wóz i pojechał do Bielan. Co się potem z nim stało? Gdzie się podział? — nie wiedzieli Renardowie, bo się nie pokazał rychło u nich. Wpadł jak kamień w wodę. Tymczasem wieczory u Renardów następowały jeden po drugim. Polityka nieszczęśliwa pożerała dni, a miłośki te i pijatyki — wieczory i noce, ale król nigdzie teraz długo miejsca nie zagrzewał... bo Karol Dwunasty nie dawał mu spoczynku.

Coraz groźniej zarysowywała się przyszłość, a siły cara Piotra, na którego pieniądze i ludzi najwięcej rachował August, okazywały się niedostateczne.

Starzy dowódcy wprawdzie prorokowali Szwedowi, że się zuchwalstwem swoim i niesłychaną porywcznością zgubi w końcu, tymczasem jednak zwyciężał i August z przerażeniem zaczynał już przewidywać, że na Polsce się nie skończy, a kolej przyjdzie na dziedziczne jego państwo — na Saksonię!

O Polskę dbał niewiele, Saksonia tymczasem była spichrzem i skarbnicą... Jedyną nadzieję miał August, że cesarz nie dopuści Szwedów biorąc stronę kurfirsta.

Po długich naradach, w czasie których po raz pierwszy w charakterze posła czy agenta cara Piotra występował Patkul, August zniknął z Warszawy. Nowia ta osobistość, w początku mało wybitna, coraz znacniejszą odegrywała rolę. Zajadły wróg Szweda, Patkul, gdzie mógł i jak mógł, przeciwko niemu intrygował i zabiegał. Wszędzie, gdzie się pokazał, zyskiwał ludzi.

Był to znakomity talent dyplomaty szkoły Machiavella, dla którego w polityce nie było innych praw nad zdobycie zamierzonego celu. Nic nie kosztowało go zdradzać Piotra przed Augustem i nawzajem; posługiwać się ludźmi, wyzyskiwać słabości, jak sprzedajność prymasa... Ale sąd miał o sprawach bystry i zdrowy, a rady, które dawał carowi, do potrzeb czasu doskonale były zastosowane. Augusta umiał oczarować łatwością w obejściu się, obyczajami wielce cywilizowanymi i zręcznym, przybranym uwielbieniem dla niego, choć tak go cenił, jak zasługiwał.

Nikt naówczas w intrygach politycznych czynniejszy nie był nad Patkula, który biegał na przemiany do cara, do króla, do Danii, a gotów był na drugi koniec świata, byle zmóc nienawistnego Karola i oswobodzić od niego Inflanty.

Z carem Piotrem równie umiał pochlebstwy sobie zaufanie wyrabiać, ale rady mu dawał zdrowe, które umysł Piotra oceniał i do nich się stosował.

Ulubieniec salonów, równie jak gabinetów dyplomacji, Patkul nie zaniedbywał żadnego środka pomocniczego, tak że gdy pani Hoym niedawno wystąpiła na scenę jako wszechmocna metresa, Patkul i ją już zabiegł i potrafił ująć na swą stronę, zaniedbując księżnę Cieszyńską, której wprzód dworował.

August do rad i działania Patkula przywiązywał największą wagę, ujmował go, opłacał i chciał sobie całkiem pozyskać. Tymczasem teraz zajmował on stanowisko posła czy agenta Piotra, co nie przeszkadzało mu brać pensji od Augusta.

Gdy na Bielanych już króla nie było, a w Warszawie nie wiedziano nawet, dokąd się udał, jednego ranka zjawił się u Renardów Witkę, zmieniony do

niepoznania, przybity, znękany, chmurny, jakby nie parę miesięcy, ale lata od ostatniej tu jego bytności minęły. Zmiana zresztą prawie równie wielka i smutna dawała się widzieć w tej niegdyś wesołej winiarni. Inni to byli ludzie, jakaś chmura ciężka okrywała wszystko. Gwardie saskie wyciągnęły, nie widać więc było oficerów, którzy tu dawniej dzień i noc przesiadywali. A że towarzystwo ich rozpędziło szlachtę, teraz panowały pustki.

Renard chodził blady, kłóćąc się ze sługami, narzekając, tłukąc drzwiami, prawie sam zmuszony starczyć za wszystkich, bo córka się wcale nie pokazywała, a żona rzadko, z głową obwiązaną, z oczyma zapłakanymi.

Zobaczywszy Witkego. Francuz powoli, ze smutną twarzą podszedł ku niemu, wyciągając ręce. Kupiec stał milczący, nikt nie śmiał albo nie umiał rozpocząć rozmowy.

— Gdzieżeś był? — dobyło się na ostatek z głębi piersi grobowym głosem Francuzowi.

Witke się przeszedł po izbie pustej.

— Służba, niewola! — rzekł podnosząc głowę. — Król mnie posłał z pilnym rozkazem na dwie godziny, a list, który wiozłem, kazał mnie tam trzymać dwa miesiące, bom tu zawadzał.

Westchnął.

— To jeszcze wielkie szczęście, że mnie na całe życie nie kazał zamknąć, bo i to mogło być.

Zmierzyli się oczyma. Witkę z tego odpędzenia siebie wnosił niepłonne, iż się tu coś stać musiało strasznego. Nie śmiał zapytać o Henrietkę.

Weszli razem do bocznej izdebki, oba zwlekając szczerze rozmówienie się, wtem drzwi jej uchylono i biedna Renardowa okrzykiem powitała gościa tego, którego stratę oplakiwała. Na widok jego wybuchnęła wielkim płaczem.

Nie potrzebował pytać, nieszczęście malowało się na twarzach rodziców, a resztę mówiła sama nieobecność Henriety.

Renard padł za stołem na ławę, podparł się na rękę i zadumał.

Witkę się ociągał z pytaniem o dziewczę, wiedząc, że mu odpowiedź serce zakrwawi. Milczenie się przedłużało, aż Francuz bijąc pięścią o stół, jakby sam mówił do siebie, począł się tłumaczyć.

— Cóżem ja miał począć? co? nie dopuścić tego rufiana Włocha? Byliby mnie nazajutrz precz stąd wypędzili albo dziecko napatrzone porwali gwałtem! Musiałem politykować. Silniejsi nie potrafili oprzeć mu się, cóż ja? co ja?

Matka łkaniem przerwała.

— Lepiej było, wszystko porzuciwszy, dziecko ratując uciekać.

— Jak gdyby przed nimi uciec można? — dodał Renard. — Constantini...

— O! o! — przerwał Witkę — znam go dobrze, ale mówcież, co się stało z Henrietą? Gdzie ona?

Matka ręką wskazała na sąsiedni pokój.

— Leży chora — szepnęła — biedne dziecko moje! Z wielkich obietnic skończyło się na rzuconej nam przez łotra tego jałmużnie. Król bez opowiedzenia się, bez pożegnania porzucił ją i odjechał.

Niemiec siedział słuchając z załamanymi rękami.

Renard zabrał głos znowu, po cichu począł opowiadać cały przebieg tej nieszczęsnej sprawy.

Jak król zdawał się szaleć dla niej, jak w początku złote góry obiecywał, dopóki oporu nie przewyciężył i nie skłonił Renardowej, aby z córką do Bielan się przeniosła, ale cały ten zapal i miłości nie trwały dwóch miesięcy i Constantini jednego dnia oznajmił, że król do obozu jedzie, a one mają powrócić do Warszawy. Oddał przy tym woreczek przeznaczony i wcale nieosobliwej a niewysokiej wartości klejnociki dla Henrietki, król obiecywał powrócić albo może ją sprowadzić do Drezna.

To pozbywanie się ich w rozpacz niemal wprawiło Renardów. Matka wpadła z wymówkami na Włocha, który śmiał się z niej i grubiańsko ich precz z Bielan odegnał.

Króla już tu nie było.

Henrietka od tego czasu leżała chora i zmieniona i lekarze nie byli pewni, czy ją utrzymają przy życiu. Włoch oprócz tego nie czyniąc sobie skrępowania ogłosił, że Henrietkę umiał dla króla pozyskać. Renardowie i ona zabici byli na dobrej sławie i wzięciu.

Zażądał widzenia Henriety, ale matka potrząsnęła głową i odpowiedziała, że biedne dziewczę leżało w łóżku, z gorączką i że doktor jej zakazał wszelkiego wzruszenia, a ona też sama nikogo z dawnych swych znajomych dopuszczać do siebie nie dozwalała. Naleganie było próżne. Witke zaciął usta, zabawił chwilę jeszcze i jak szalony wybiegł od Renardów z sercem pełnym gniewu i pragnienia zemsty. Na kim?

Musiał, nie mogąc wyżej sięgnąć, ograniczyć ją do Mazotina, którego też niełatwo było pochwycić i obalić, jak kupiec nasz się spodziewał. Król nadto go potrzebował i wszystkie czynności, z którymi się tać potrzebował, na niego zrzucił.

Constantini, czując się niezbędnym, nawet względem Augusta okazywał się niekiedy zuchwałym, cóż dla niego znaczył taki kupczyk jak Witke?

Żadnym wszakże nieprzyjacielem nigdy pogardzać nie trzeba.

Wyszedłszy od Renardów pan Zachariasz potrzebował zamknąć się sam z sobą, aby ochłonać i obmyślić, co miał czynić. Henriety uratować już nie mógł, ale pragnął pomścić się przynajmniej.

Constantiniego w Warszawie, jak mówiono, ani na Bielanach nie było, ale tej wiadomości nawet wiary dać nie mógł zupełnie Witke, znając Włocha.

Często się trafiało, że umyślnie kłamliwe plotki puszczał, aby swobodniej brudzić nie postrzeżony. Chociaż zapewniano, że król go przodem wyprawił do hrabiny Cosel (gdyż tak już Hoymowa zwano) z listami, Witke potrzebował to sprawdzić.

Chodził jak błędny, dosięgnąć nie mogąc żadnego z winowajców: ani króla, ani przewrotnego pomocnika rozpusty jego. Tysiące myśli mu przychodziło, żadnej się chwycić nie śmiał, aby nie zdradzić się z tą żądzą pomśzczenia nieszczęśliwej ofiary. Constantiniego inaczej jak z pomocą samego króla nie można było obalić.

Witkę nosząc się z tymi myślami tak daleko szedł, iż gotów już był bodaj Szwedowi służyć, byle mściwą dłoń skrytą dać uczuć Augustowi. Wszędzie

jednak, gdziekolwiek się chciał obrócić, bezsilność swą widział; nie miał ani wprawy do pokątnych intryg, ani bezczelności, jakiej one wymagały.

Cóż on mógł przeciwko Włochowi, którego nie wstrzymywało nic, gdy Witkego litość i wstyd powściągały i onieśmiały.

Błądził tak dni parę po mieście, to wpadając czasami do Renardów, to kręcąc się około zamku, to śledząc czynności prymasa, którego niechęci dla króla miał liczne dowody...

Z dwojga jedno miał do wyboru: albo porzucić wszystko, wrócić do Drezna, wyrzec się stosunków wszelkich i prześląwszy matkę ograniczyć się starym handlem ojcowskim, który przez te lata, mocno zaniedbany, podupadł, albo poświęcić wszystko zaspokojeniu zemsty, która ni krwią, ani łzami nasyconą być nie mogła.

Miłość ku Henriecie była jedyną namiętnością tego człowieka, nie dziw więc, iż go tak pochłaniała i że jej wszystko gotów był poświęcić. Ona zdawała mu się najmniej albo całkiem niewinną, Witke gotów był... teraz, jak wprzódy, nawet się z nią ożenić.

Ale narzucić ją matce, zawieźć do Drezna, gdzie Constantini by się dowiedział o niej! Kilka tak dni przewalczwszy z sobą, wybladły, chory, rozgorączkowany, jednego wieczoru zjawił się u Renardów. Spytał o chorą. Nic się tu nie zmieniło, leżała i płakała.

Doktor tylko obiecywał, że siły młodości zwyciężą i Henrieta przyjdzie do zdrowia. Stara Francuzka tając się z tym przed mężem podszeptała mu, iż ze stanu zdrowia córki wnosząc podejrzewała powiększenie rodziny, które położenie ich w przyszłości tym sromotniejszym czyniło, a Henriecie miało wyjście za mąż utrudnić. Matka zalewała się łzami, kryła jeszcze przed mężem. Dla Witkego było to także wyrokiem, który o ożenieniu myśleć nawet nie dopuszczał.

Nazajutrz kupca już tu nie było.

Rozdział siódmy.

Karol Dwunasty stał z częścią wojsk w Heilsbergu, ale obyczajem swym nie chciał zająć ofiarowanych mu w pałacu biskupim apartamentów, wybrał sobie małą oficynę i w niej się po żołniersku rozłożył, chociaż czasu zimy więcej był zajęty układami i dyplomatycznymi czynnościami niż wojskowością. Całe usiłowanie jego zwracało się teraz na zmuszenie Rzeczypospolitej, aby, rzuciwszy Augusta, z nim się porozumiała i złożywszy Sasa z tronu, przystąpiła do elekcji nowego króla. Do wielkiego męstwa, spartańskich obyczajów, prostych i niepospolitych darów umysłu młodego bohatera łączyły się też przywary, które zwykły towarzyszyć upojeniu zwycięstw nie tylko w młodości, ale i w późniejszym wieku. Karol Dwunasty tym więcej podlegał obłędowi tryumfatorów, iż dotąd szczęście mu sprzyjało ślepo i wszystkich nieprzyjaciół swych z kolei potrafił przełamać. Z nich szczególny wstręt miał dla Augusta, a przekonawszy się o charakterze jego, lekkomyślności, przewrotności, zamierzał go nie tylko z Polski wygnać, ale w Saksonii nawet ucisnąć tak, aby zmuszony był się upokorzyć.

Sam on jednak, Karol Dwunasty, chociaż zarzucał Augustowi nieposzanowanie praw poprzysiężonych, zdradzenie Polski dla własnego interesu, równie się z Rzeczpospolitą despotycznie i bezwzględnie obchodził. Raz postanowiwszy detronizację Augusta stał przy niej niewzruszenie. Najmniej może obchodziło go, kim miał zastąpić Sasa. Z książąt obcych żaden w takim składzie okoliczności, gdy koronę trzeba było wziąć z rąk młodego zwycięzcy, nie chciałby się starać o nią. Mimo woli Karol musiał zwrócić oczy na kandydatów Piastów, a najprzód na Sobieskich... chociaż obok nich i Lubomirskiego, i innych mu podszeptowano.

Cześć dla Jana Trzeciego, z którą się król szwedzki ciągle oświadczał, zmuszała do wyboru tego. Miał na myśli Jakuba, na którego cesarz byłby też zmuszony się zgodzić. Wtem zuchwałe na terytorium obcym pochwycenie Sobieskich i przewiezienie ich do Pleissenburga zniweczyło te plany. Pozostawał Aleksander, ale na pierwszą wzmiankę, iżby go Karol miał na tronie osadzić, oświadczył jak najuroczyściej, że nigdy i w żadnym razie nie przyjmie wyboru, który należał starszemu z rodziny, Jakubowi, a nawet gdy ten by się zrzekł, ów po koronę nie sięgnie.

W czasie gdy się to agitowało, Rzeczpospolita na zjeździe w Warszawie, przy tajemnym podżeganiu prymasa, postanowiła wysłać posła od siebie dla układów z królem szwedzkim. Na próżno od misji tej się wymawiał młody wojewoda poznański, samym wiekiem i niedoświadczeniem, zmuszono go przyjąć posłannictwo i wyruszyć do Warmii.

Widzieliśmy już wojewodę poznańskiego na zjeździe Wielkopolanów. Toż samo umiarkowanie, jakiego tam dał dowody, nakłaniając do przejedwania, do porozumienia — wiozł Leszczyński z sobą do Heilsberga. Nie był to może człowiek, jakiego poselstwo to wymagało; zbyt łagodny charakter, ogłada statysty, temperament żołnierskiej buty i energii pozbawiony, chociaż niezłomnej prawości, nie dozwalały się spodziewać, aby Karol Dwunasty łatwo się z nim porozumiał.

Wojewoda poznański, chociaż starał się zawczasu przygotowując do tych układów zebrać wiadomości o Karolu, wcale go pono inaczej wyobrażał sobie. Pewien blask królewski, majestat jakiś spodziewał się tu znaleźć i gdy go wprowadzono do oficyny, izby szczupłej i wcale nie urządzonej ani po królewsku, ani po pańsku, gdy obaczył przed sobą młodzieńca spartego na ogromnych rozmiarów mieczu w prostych pochwach żelaznych, z twarzą energicznych rysów i wejrzeniem przeszywającym, z włosami krótko strzyżonymi, w granatowym z grubego sukna kaftanie z prostymi miedzianymi guzami, przepasanego skórzanym pasem, w butach zabłoconych do kolan i rękawicach skórzanych do łokci prawie sięgających, z szyją obwiązaną kawałkiem krepy czarnej, zrudziałej od używania — wojewoda z początku powątpiewał, aby stał przed królem szwedzkim. Opowiadano mu wprawdzie, że występować, ubierać się i otaczać zbytkiem nie lubił, ale tu już prostota przechodziła w zaniedbanie, w pogardę wszelkiej formy mogącej się przyczynić do obudzenia uszanowania.

Karol Dwunasty nie dał mu się namyślać długo i wprost od najważniejszych spraw, bez przygotowania, rozpoczął rozmowę. Pierwsze wrażenie, jakie postać wojewody zrobiła na królu, nie było stanowcze: zdał mu się zbyt łagodny, miękki i ogładzony, gdy on w mężach żądał przede wszystkim męskiej siły, ale pierwszych słów kilka, z których wiał spokój i energia, wprawdzie nie objawiająca się po żołniersku, ale z wielką mocą przekonań, zmieniły to usposobienie. Głos i postawa przemówiły do niego sympatycznie.

Wojewoda począł od kreślenia stanu stosunków na północy i nie mógł, mówiąc o królu Augustcie, pominąć osoby jego, czynności i ludzi, którzy bliżej niego stali. Nie pobłażając wcale królowi wojewoda wyrażał się o nim z takim umiarkowaniem i powściągliwością, z jakimi należało względem panującego dotąd oświadczyć się — senatorowi i urzędnikowi.

Karol zmarszczył, się trochę.

— Spodziewam się, że wy, panie wojewodo — rzekł — przynosicie mi to, czego od Rzeczypospolitej żądałem. Potrzebuję wiedzieć, kto z was ze mną, a

kto przeciwko mnie. Ja go na tronie polskim cierpieć nie mogę, a kto ze mną jest, powinien mi być w tym pomocą.

Leszczyński zawahał się z odpowiedzią nieco.

— Najjaśniejszy Panie — odparł ze spokojem zupełnym — jeżeli to w oczach Waszej Królewskiej Mości ma być występkiem, żeśmy w nieszczęśliwych tych zakłóconych czasach starali się obranemu i ukoronowanemu przez nas panu posiłkować dla uspokojenia i zgody, to mało kto z nas niewinny się okaże, a ten, który stoi przed Waszą Królewską Mością, także nie okaże się czysty. Jakiegokolwiek są względem nas winy króla Augusta, które nieznamości praw naszych w części przypisać potrzeba, bardzo byśmy się okazali lekkomyślni, gdybyśmy nie proponując porozumienia z tronu go zrzucali.

— Jak to? — żywo przerwał Szwed zwracając się bliżej do wojewody — jak to? Przybyliście więc do mnie z tym, aby się starać utrzymać go na tronie?

Leszczyński zaczepką tą, dosyć szorstką, bynajmniej się zmieszać nie dał.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się — nie jesteśmy ślepi, widzimy, że August postąpił sobie względem Waszej Królewskiej Mości nie jak sprawiedliwość i szlachetność rozkazywała; znamy, co zawinił on przeciwko Rzeczypospolitej, nie możemy mu przebaczyć krzywdy i gwałtu dokonanego na synach króla Jana, ale pomimo to wszystko widzimy w nim też przymioty tronu godne... a godne by było, W. Królewska Mość, i rycerskiego charakteru Jego, gdybyś po tylu i tak stanowczych zwycięstwach, po takim upokorzeniu nieprzyjaciela, wspaniałomyślnie mu przebaczył.

Szwed długo patrzył mu w oczy, jakby chciał przez nie zajrzeć do duszy.

— Piękne to jest, że bronicie człowieka, który nie zasłużył na pobłażanie, że stoicie przy świętości przysięg — odezwał się — ale ja nie mam powodów przebaczenia człowiekowi, który jest moim wrogiem i używa wszystkich godziwych i niegodziwych środków, aby mnie zgubił. Dla niego nic święte nie jest, zmienił wiarę dla korony, żyje jak rozpasane zwierzę, wszystkich gotów poświęcić dla siebie... Wiecie, z czym przysłał do mnie tę hrabinę i swojego ministra? Oto, ofiarował mi przymierze za rozszarpanie waszej Rzeczypospolitej. Ale ja ją ratować, nie gubić przybyłem. Sądzicie, że z carem Piotrem przymierze zawarł przeciwko mnie? Wymierzone ono zarówno przeciw wam. Nie czas już unosić się szlachetnością, winy przebaczać i puszczać w niepamięć zdradę, idzie o zagrożony byt wasz własny. Co do mnie — dokończył Szwed stojąc naprzeciw wojewody sparty na swym ogromnym mieczu, jak miał

zwyczaj — co do mnie — ja nie ustąpię, aż zgniotę tego nikczemnika. Polska musi mieć króla, który by był godzien rządzić narodem rycerskim i tak nieopatrnym, jak wy jesteście. W rękach Augusta zguba wasza nieuchronna.

Leszczyński milczał. Zmiarkował wreszcie Karol, że choćby podzielał jego przekonania, nie zechce wystąpić jako oskarżyciel przeciw Augustowi. Bronić go zaś było w istocie tak trudno, iż wojewoda łagodził tylko i uśmierzał gniew Karola.

Rozmowa z tej treści głównej przeszła na potoczne sprawy. Karol okazał się doskonale obeznanym nie tylko z ogólnym kraju położeniem, ale i z ludźmi, którzy największy nań wpływ wywierali.

Sądy jego były cierpkie i surowe.

— Zatruto ostatnie dni bohatera, którego ja jestem wielbicielem, rodzinie jego odmówiliście tronu.

— Najjaśniejszy Panie — przerwał wojewoda — wina może w tym nie nasza, ale nic nie ma boleśniejszego nad rolę oskarżyciela, ja nim być nie chcę. Bóg dopuszcza wiele złego dla nauki naszej.

— Tak — uśmiechnął się pogardliwie Szwed — dopuścił wam wybrać Sasa, aby pokazać, że istota podobna może egzystować. Namyślcie się, panie wojewodo, przyjmijcie moje warunki, których najpierwszym jest, że Augusta z tronu złożycie, a mnie wypuście stąd, abym poszedł do Saksonii wybrać, co mi się należy od tego, który mnie tu wprowadził. Skarżycie się na wojska moje? Jestem zmuszony was objadać, ale wszystkich tych ofiar nie powinniście żałować, jeśli z was plamę tę i brud zmyję.

Przerywana po kilkakroć raportami wojskowymi rozmowa, chociaż Leszczyński pragnął ustąpić, aby nie być królowi zawadą w jego codziennych zajęciach, przedłużyła się nad miarę. Karol odwoływał ciągle odchodzącego, badał go i zdawał się pociąg jakiś mieć ku niemu, chociaż między szwedzkim, dziko wyglądającym żołnierzem z mieczem w dłoni, który przypominał katowski, a pięknym i łagodnym, arystokratycznej powierzchowności młodym wojewodą najmniejszego charakterów powinowactwa nie można się było dopatrzeć. Z widoczną przyjemnością słuchał Karol otwarcie i bez pochlebstwa dlań wygłaszanych przekonań jego, wywołując polemikę, która więcej go pozyskiwała niż zrażała.

Na ostatek nadejście Pipera z pilnymi depezbami dało wojewodzie znak ustąpienia, a Karol Dwunasty chwytając za rękę swego ministra zawołał z wybuchem jakiejś dziwnej radości:

— Ten będzie mi przyjacielem wiernym do zgonu!

Piper się musiał uśmiechnąć i ośmielił się szepnąć:

— Najjaśniejszy Panie, po kilku kwadransach znajomości trudno wróżyć o przyszłości.

— Ja to czuję! Przeczucie mnie nie myli!

Potwierdził król i zwrócił do naglących spraw powszednich. Wojewodzie polecono pozostać, układy wcale się jeszcze nie rozpoczęły. Szwed się oświadczając z wielką przyjaźnią dla Rzeczypospolitej wymagał od niej zbyt wiele, a przede wszystkim powtarzał jedno:

— Detronizacja.

— Była ona w Polsce bezprzykładna — oponował wojewoda.

— Panujący też, taki jak August — wołał Karol — który by krajem, co go adoptował, frymarczył, bezprzykładny jest u was i w dziejach. Nim włożył koronę, już się nią dzielił z carem i Brandenburczykiem...

Nie były to czcze słowa, Karol składał listy i noty, które wzięto z Vitzthumem.

Zażartość przeciwko Augustowi rozplómięło nieustanne posługiwanie się jego Patkulem, którego Szwed nienawidził, jako najzawziętszego ze swych wrogów.

Wieczorem wezwany pilno przez Karola księżę Aleksander Sobieski nadbiegł do Heilsberga. O tym przybyciu jego spodziewanym Szwed nie wspomniał wojewodzie. Nie czekając jutra Leszczyński pobiegł do młodego księcia.

Znalazł go zaniepokojonym wielce nagłym tym rozkazem, któremu ulec musiał.

Najmłodszy ten z braci najmniej z nich miał powołania do korony i walki, jaką o nią stoczyć było potrzeba. Stały mu jeszcze w pamięci rozterki Jakuba z

matką, popierającą Konstantego, zgorszenie, jakie one wywołały. Aleksander, przerażony, samą myśl dobijania się po ojcu korony ciernistej odpychał.

Zobaczywszy Leszczyńskiego podbiegł ku niemu z niekłamaną na twarzy radością.

— Wojewodo! — zawołał — nie wiesz, jak tu dla mnie jesteś pożądanym. Nie znam Karola Dwunastego, nie wiem, czego chceć może ode mnie, obawiam się go. Bracia moi już są w drapieżnych szponach Augusta, ja się do nich dostać nie chcę. Nie pragnę, nie dobijam się niczego oprócz spokoju. Dlaczego Karol mnie tu sprowadził tak pilno?

— Nie wiem — odparł Leszczyński — ja także dziś widziałem go po raz pierwszy, nie wynurzał się przede mną. Lecz jeśli mi wolno wnioski wyciągać z tego, o czym rozprawiał ze mną, sądzę, że wam niechybnie koronę ofiarowywać będzie. Augusta zostawić na tronie? Ani chce przypuścić, aby się on na nim utrzymał. To pierwszy warunek przyjacielskich stosunków z Rzeczpospolitą.

Zmarszczył się książę Aleksander.

— Niech w jego miejsce postawi, kogo chce, kandydatem — rzekł — ja nim nie będę. Ubiec Jakuba w chwili, gdy jest uwięziony, byłoby niepoczciwą zdradą, której obcemu nie godziłoby się dopuścić, cóż dopiero bratu! Nigdy w świecie, żadna siła mnie do tego skłonić nie może!

Pochwycił się oburącz za głowę młody książę i rzucił ku wojewodzie, wołając:

— Ratuj mnie! posilkuj! przekonaj go, że dopuścić się tego z mej strony byłoby pamięci ojca, dobremu imieniowi rodziny, mojemu sumieniowi i poczciwości zadać cios niepowetowany. Dość już nas niezgoda sponiewierała! Ja jej pomnażać nie będę.

Milczał wojewoda, przybyły rozwodził się długo i namiętnie... Rozeszli się późno w noc... Nazajutrz do dnia wołano Leszczyńskiego do króla.

Czekał na niego ze swym mieczem ogromnym, ubrany jak wczoraj, a na ciężkich butach widać było, że ich nawet na noc nie zrzucił.

Z gwałtownością wielką, nie dając przyjść do słowa wojewodzie, despotycznie polecił mu, aby szedł Aleksandra zawczasu przygotować, iż musi przyjąć koronę.

— Najjaśniejszy Panie — odparł wojewoda — widziałem go wczoraj, nie wie on i nie przypuszcza, aby go spotkać miało podobne życzenie Waszej Królewskiej Mości, ale z tego, co mi mówił, widzę, iż nigdy nie marzył o koronie, a jedynym pragnieniem jego jest usunięcie się gdzieś, bodaj za granicę, aby tam spokojne, prywatne prowadzić życie. Nie czuje się powołany do większych zadań i przeznaczeń.

Karol Dwunasty potrząsnął głową.

— Nie zmienia to mojej woli — rzekł — będę nalegał, a was proszę, panie wojewodo, abyście mi w pomoc przyszli.

— Najjaśniejszy Panie — łagodnie począł i spokojnie Leszczyński — proszę mi przebaczyć, ale, pomimo żywej chęci usłużenia w tym Waszej Królewskiej Mości, moim obowiązkiem jest przede wszystkim usłużyć ojczyźnie. Ks. Aleksandra mógłbym skłaniać do przyjęcia ciężaru korony, gdybym go znajdował takim, jakiego my dziś na króla potrzebujemy!

Szwed gwałtownie się poruszył.

— A jakiegoż wam monarchy potrzeba? — zapytał zdumiony.

— Położenie nasze wymaga męża z doświadczeniem, z energią — począł Leszczyński — z poszanowaniem dla praw a zarazem pojęciem jasnym tego, co w nich odmienić potrzeba dla zbawienia kraju. Książę Aleksander na to wszystko za młody jest, zbytek nie przygotowany. Przyjąć po prostu rządy gotowe, które by jak dobrze urządzona machina pod okiem nadzorcy dalej się obracała... niczym byłoby. Nam więcej dziś potrzeba, u nas wszystko w ruinach, jedno naprawiać, drugie należy stwarzać. Od czasu pierwszych elekcji władza monarchów słabła, dziś ona jest tylko pozorna... Wybory królów zakrzewiły przedajność i zepsucie, zbytki i rozwiązłość rycerstwo stare nasze nadwerężyły. Husarze nasi skrzydła sobie przygotowują na popis, ale duch ich nad ziemię nie ulatuje jak niegdyś, gdy skrzydeł na barkach nie mieliśmy, ale w duszy iskrę ducha Bożego.

Westchnął Leszczyński. — A wielkie dziś jest zadanie tego, co nam będzie panować — dodał. — Jakiego sumienia potrzeba mu, aby naprawiając nie wywracał, a władzę odzyskując nie uczynił ją despotyczną. Tylko szlachetny, wielkiego a świetnego ducha mąż może bez trwogi skroń swą dać do tego męczeństwa namaścić, bo królowanie u nas nie czym innym jest, ino męczeństwem. Na potwarze, nienawiści, rokosze, na pracę i czuwanie dniem i nocą musi być zbrojny... Rycerzem być u nas nieochybnie mu potrzeba, bo

wojny stoją dokoła, ale zarazem statystą i politykiem, a nad wszystko mężem wielkiego sumienia i ofiarności bez granic.

Mówiąc to, mimo woli rozgrzewał się i zapominał wojewoda, przed kim to wygłaszał, kto przed nim stał i słuchał z zachwytem i podziwieniem malującym się na twarzy, która pod wrażeniem słów tych wypiękniała i wyraz dziki traciła.

Leszczyński się w końcu opamiętał i zamilkł, a Karol Dwunasty zdawał się chcieć słuchać go jeszcze i nie odpowiadał ani słowa. Zabrał więc głos wojewoda postrzegłszy się, że kreśląc ten ideał monarchy zbyt może księcia Aleksandra nim odpychał.

— Nie ujmuję ja — rzekł — potomkowi bohatera naszego. Życie może z niego wyrobić niepospolitego męża, ale nam gotowego potrzeba, bo chwili nie mamy do stracenia. Kraj wojną domową szpetnie rozdarty i zakrwawiony, prywatą go trawi i rdzą okrywa, wojsko nie bić się, ale związki, koła i rokosze chce tworzyć, na każdym kroku naprawa potrzebna, od elekcji poczynając do sejmów i prawodawstwa, od opieki nad stanem włościan i rzemieślników aż do senatorskich rad i przybocznych króla współpracowników.

Karol Dwunasty, który o swej nienawiści ku Augustowi i środkach zaspokojenia jej rozprawiać się z Leszczyńskim był przygotowany, tak daleko zbity został z drogi, iż po chwili sam dał znak pożegnania wojewodzie, zamawiając go na konferencję, gdy się z księciem Aleksandrem rozmówi na cztery oczy.

Cały ten dzień był poświęcony napróżnym a namiętym rozprawom. Jeden Leszczyński całą swą zimną krew umiał utrzymać i sposób, w jaki wystąpienia gwałtowne młodego Szweda hamował i ostudzał, wpłynął na możliwość porozumienia, które zrazu zdawało się niepodobnym do osiągnięcia. W jednym tylko Karol ustąpić nie chciał, stojąc uparcie; za warunek pierwszy, jedyny, główny stawiając złożenie z tronu Augusta.

Wojewoda kwestię tę, nie uznając się do rozwiązania jej kompetentnym, pomijał i pozostawiał nie tkniętą.

Księżę Aleksander, stanowczo odmawiając korony, pilno poruczył los braci królowi szwedzkiemu.

— Zarzuty, jakie im czyni August — mówił — są czystą potwarzą i zmyśleniem. Nigdy Jakub ani Konstanty nie godzili na życie króla, ani o tym pomyśleć mogli, nigdy żaden spowiednik Jakuba nie obwiniął go o to. Wszyscyśmy się wyrzekli starania o koronę, poprzysiągłszy Augustowi.

Przyjmowaliśmy go w Wilanowie, gotowiśmy służyć mu wiernie. Sam sposób, w jaki moich braci w kraju obcy pochwyciono, oburzający jest i woła o pomstę. Uwłacza cesarzowi takie gwałcenie terytorium jego, prawom Rzeczypospolitej — rzucanie się na rycerskiego stanu osoby, na dzieci króla, bez sądu, bez dowodów jakiegokolwiek winy.

Leszczyński popierał to, a Karol słuchając tarł swe krótko ostrzyżone włosy i mruczał.

— Zapłacić za to powinien składając koronę, której nigdy nie godziło mu się wkładać na skronie.

Niecierpliwy Szwed rozprawiwszy się naprzód z księciem Aleksandrem, który stanowczo koronę ofiarowaną odrzucił, cały już potem oddał się Leszczyńskiemu. Ci, co znali młodego pana, tak nadzwyczajną tą przyjaźnią dla mało znanego jeszcze Polaka zdumieni byli, iż zrozumieć jej i wytłumaczyć sobie nie umieli.

Widzieli go zawsze dotąd zimnym i nieskłonny do oddawania się z zaufaniem, a raczej podejrzliwym niż wylanym. Dla Leszczyńskiego zaś od pierwszego z nim spotkania, o którym Piperowi z takim dziwnym proroctwem przyszłości się odkrył, Karol okazywał stałą, rosnącą coraz sympatię. Pomimo pełnego poszanowania, ale zarazem ostrożności obejścia się wojewody, Szwed stawał się z nim coraz poufalszy.

Szwedzi, zdumieni, zrozumieć nie mogli, czym wojewoda mógł go tak sobie pozyskać. Pod pozorem narad o porozumienie się i przymierze z Rzeczpospolitą nie dawał Karol prawie odstąpić na chwilę Leszczyńskiemu, trzymał go całymi godzinami u siebie, częściej mówiąc o rzeczach wcale do zakładów nie należących niż o ciężkich warunkach, jakich obie strony domagały od siebie.

Zawarowawszy detronizację, bo o pozostawieniu Augusta na tronie polskim mówić nie dozwalał, Karol następnie zgodził się naprzód na przebaczenie i zapomnienie winy tym wszystkim, którzy saskiego kurfirsta popierali, przystał na to, iż ziem i prowincji żadnych odrywać nie chce i nie będzie, zrzekł się nawet wszelkiej indemnizacji za koszta wojenne.

Co więcej, ofiarował od siebie pół miliona talarów na opłatę zaległości wojsku koronnemu, jak tylko król nowy będzie obrany i ukoronowany; obiecywał wojska swe wycofać z Polski i oddać wszystkich jeńców wojennych bez okupu. Na ostatek, przeciwko carowi Piotrowi przyrzekał posiłkować Polsce, nie roszcząc żadnych pretensji do zawojowanych krajów.

Wszystkie te tak świetne warunki, o które dobijać się Leszczyński znajdował zadaniem tak trudnym, Karol prawie bez oporu przyjmował i przyzywał na nie.

Piper ruszał ramionami, przyznając, że młodego pana swego nigdy nie widział tak nadzwyczaj powolnym i łagodnym.

Wspomnienie tylko o Auguście roznamiętniało go i oburzało.

— Nie, spocznę — powtarzał wojewodzie — dopóki go do Saksonii nie zapędzę, i tam dopiero rachunek mój z nim rozpocznę. Ma tyle na kochania, fajerwerki, komedie i bale a maskarady, że mnie też powinien dług zapłacić.

Polska Bogu dziękować ma, że mnie na obronę jej sprowadził, z carem Piotrem i Brandenburgiem byłiby ją tak rozdzielili i pochłonęli, iż śladu po niej nie zostałoby wkrótce.

Układy te w Heilsbergu, przy których w ciągu całego pobytu Leszczyńskiego nie było ani jednego występu, balu, zabawy, zebrania ani uczyty, poszły nadzwyczaj szybko. Szwed więcej nawet rozprawiał z Leszczyńskim w ogóle o rzeczach panowania, władzy, rycerstwa, stosunkach społecznych niż o sprawach bieżących, a że wojewoda miał zawsze pochop wielki do rozważania wszystkiego tego, co się na świecie działo, niekiedy do późna w noc zagadywali się we dwu i rozchodzili — Leszczyński z uwielbieniem coraz większym dla młodego bohatera, Karol Dwunasty z coraz gorętszą miłością dla wojewody.

Piperowi przyznał się król przed odjazdem Leszczyńskiego, iż w Polsce nikogo jeszcze nie znalazł, co by mu jak ten przypadł do serca.

Można już było przewidzieć może naówczas, że poszukując kandydata na tron Karol Dwunasty tego ulubieńca swego wskaże; słowem jednak najmniejszym ani żadną się aluzją nie zdradził.

Gdy się to działo w obozie Szweda, czasowo przebywająca we Wrocławiu piękna Urszula, która nie umiała jeszcze powiedzieć sobie, co jej począć wypadało, wahała się: czy powrócić na cichy, zrezygnowany pobyt do Drezna, czy wrócić do Polski i z Towiańskimi zapisać się do dworu prymasa, czy szukać królowi zastępcy — kochanka, a raczej męża.

Tu potwierdziła się wiadomość o uwięzieniu królewiczów Sobieskich i głucha pogłoska, że Karol Dwunasty myśli Aleksandra prowadzić na tron polski.

Ciągle przemyślając o sobie, niepokojąc się, szukając jakiegoś wyjścia z tego położenia, które jej się wydawało nie do zniesienia, piękna Urszula nie wiedzieć jak do tego przysła, że zamyśliła do prawie sobie nieznajomego ks. Aleksandra — napisać.

Szło jej w istocie o to tylko, aby go pod jakimkolwiek pozorem zwabić do siebie. Stojąc przed zwierciadłem i przypatrując się nieco zmęczonej i przywiedłej twarzyczce Urszula ciągle sobie powtarzała:

— Nie podobna, abym ja, gdy zechcę, głowy mu nie zawróciła! nie podobna! nie podobna!

Pomimo całej swej przebiegłości i rozumu, ks. Cieszyńska niekiedy niemal dziecinna wydawała się starej Grądzkiej.

Przejrzawszy się w zwierciadle wołała jej do siebie.

— Elżuniu! Elżusiu, chodź no tu... a prędko... i mów mi taką szczerą prawdę, jak na spowiedzi. Jak ci się zdaje, mogę ja jeszcze bałamucić i rozkochać? August mnie nauczył wątpić o sobie! Marszczek... nie ma... Patrz no tu, około oczów, ale to nie są zmarszczki, to ze zmęczenia i od płaczu...

Grądzka patrzyła, słuchała, ruszała ramionami i kończyła na strofowaniu.

— Co to w twojej główce się płacze! Ty jeszcze wyglądasz tak, jakbyś dwudziestu lat nie miała! Ale płakać nie trzeba nigdy. Naprzód, że nikt łez twych nie wart, po wtóre, że łzy nikogo, oprócz mazgaj ów, nie pociągają; a na ostatek, że nie masz czego płakać... Mój Boże! taka księżna Cieszyńska, pani na Hoy... Hoy... werda... jak się ono tam nazywa! a klejnoty, a rozum, a te oczki...

Urszula rzuciła się na jej szyję.

— Ja bo tak nie mogę pozostać wdową słomianą — mówiła — trzeba się na królu pomścić... no — i o przyszłości myśleć...

A! a! żebyś ty wiedziała, jakie ja mam projekta... jak one sięgają daleko... Augusta... Pan Bóg skarże za mnie, zobaczysz (i pochyliła się jej do ucha), oni go zrzucą z tronu — no! już ja wiem! Książę prymas go nienawidzi. A kogo potem na tron?

Tu położyła palec na ustach i nie dokończywszy, śmiać się i trzepotać zaczęła.

— Nie wiesz, gdzie się ten przeklęty Witkę podział? Czemu on się do mnie nie zgłasza?

— Ale on tu wczoraj był — przerwała Grądzka — miał pono jechać do Drezna, ja samam go odprawiła, że tu robić nie ma co!

— A ty! nieznośna! stara...

Uderzyła się w czoło.

— Gdzież u ciebie pomiarkowanie? Właśnie on teraz mi najpotrzebniejszy... poślij mi natychmiast... dam dziesięć talarów, kto mi go przyprowdzi...

Piękna Urszula nie miała spoczynku, nie chciała jeść, nie przysiadła, porozsyłała wszystkich masztalerzy i służbę, dworzan, aby jej Witkego szukali i przyprowdzili.

Musiano go już na drodze do Drezna łapać, zawrócić i na drugi dzień dopiero Grądzka w tryumfie wprowadziła chmurnego Niemca do swej pani.

Urszula o mało i jemu się na szyję nie rzuciła zarzucając go pytaniami.

Witke, który miał na sercu jak kamień leżące wspomnienie Henrietki, począł naprzód od wyrzekań przeciw królowi i Constantiniemu.

Księżnę los dziewczęcia nie obchodził bynajmniej... nie oburzyło ją to — a ledwie nie wydawało się śmieszne, iż Witkę tak ubolewał nad nią.

— Otóż to jego kochanie! — zawołała — rozpadał się dla tej Hoymowej...

Splunęła z pogardą. Witkę, którego rana się jątrzyła, nieopatrznie począł się przeciwko królowi odgrażać.

— Ten człowiek dla siebie gotów wszystkich dać choćby na miecz katowski — wołał — ale nie może być, aby Bóg nie pomścił na nim tylu łez, tylu ofiar. Mnoży sobie nieprzyjaciół w Polsce, Saksonia, jak ze skóry odarta, ledwie dysze... ale Bóg Szweda na niego posłał i ten go zgniecie.

Księżna Cieszyńska słuchała. Witkemu się wyrwało:

— Teraz jam gotów przeciwko temu tyranowi sam pierwszy dopomagać... niech ginie...

Roztargniona słuchała Urszula, jej w istocie więcej szło o to, aby siebie ocalić, niż jego gubić. Dla zjednania Witkego zaczęła od gorącego przekonywania go, że się pragnie mścić na królu, żądając, aby on jej do tego, nie pytając o nic, dopomagał. Niemiec był tak zniechęcony do wszystkiego, pragnął spoczynku i zapomnienia popełnionych omyłek, których się wstydził, iż najmniejszej do żywszego zajęcia się czymkolwiek nie miał ochoty. Jednakże gorączka księżnej nieco i jego rozbudziła.

— Mnie się koniecznie potrzeba widzieć z księciem Aleksandrem Sobieskim — szepnęła Witkemu — trzeba, żeby mu list ode mnie oddał ktoś zaufany... rozumiesz?

Pan Zachariasz nie wiedział nawet, gdzie miał Sobieskiego szukać, ale księżna go zakrzyczała, że o to rozumnemu człowiekowi najłatwiej się było nawet w samym Wrocławiu dowiedzieć.

Rad nierad dał się ująć Witke.

— Byłem go tu miała... dzień, dwa dni — mówiła sobie księżna — głowę mu zawrócić muszę.

W nadziei, że go ściągnie, poczęła się przygotowywać. A że tych zastawionych sideł na Sobieskiego nie dosyć jej było. innego posłańca wyprawiła do prymasa, do Towiańskiej, ofiarując sio im w pomoc i z ważnymi wiadomościami.

Tych wiadomości wcale nie miała piękna Urszula, lecz pod pozorem jakimś chciała się y/cisnąć znowu w intrygi przeciwko królowi, może z myślą, że Augusta w porę rozbijając nimi, znowu go sobie zjedna. Gniewała się, płakała, marzyła...

Los Aurory — upokarzał ją.

Jakkolwiek przyszłość chmurna i czarna się jej przedstawiała, nie chciała, aby ludzie dostrzegli w trybie jej życia zmianę najmniejszą, dowodzącą zubożenia, troski o jutro. Nie odprawiła ani jednego z dworzan, nie zmniejszyła liczby powozów i koni, zapraszała i ugaszczała z dawną wystawą i przepychem; nie przestawała być księżną Cieszyńską.

August, zajmwszy się Hoymowa, ani się czuł w obowiązku pożegnać się z nią, tłumaczyć i choć pozornie starać się zatrzeć winę; wprost zamilkł, zerwał stosunki, nie mówił o niej, nie pytał o nią, a gdy go kto zagadnął, zbywał milczeniem.

Powinna się była mieć za szczęśliwą jeszcze, iż jej nie prześladował. Ona też, czego się król w początkach lękał, nie napadała go listami, nie goniła za nim, nie żaliła się jawnie. Co do rodziny, o tę był spokojny król, iż się nie upomni Urszuli.

We Wrocławiu szlachty i panów polskich trafiało się dosyć wielu, a że dom księżnej był gościnny i otwarty, a kuchnia wykwintna i wina dobre, zbierało się tu zawsze kółko liczne, mężczyzn szczególnie.

Szli ci w największej liczbie, co króla nie lubili i do roboty przeciwko niemu byli gotowi.

Księżna otwarcie przeciwko Augustowi nie występowała, milczała dumną minę przybierając, ale nikomu nie przeszkadzała ciskać błotem i kamieniami

Z dziesięć dni upłynęło od wyjazdu Witkego, gdy z rana wpadła zdyszana Grądzka, zaperzona i wzruszona, oznajmując po cichu, że księżę Aleksander przybył *incognito*, nie chciał, aby o nim wiedziano, ale żądał godziny do rozmowy.

Księżna posłała zaufanego dworzanina z zaproszeniem na obiad, na którym nikt więcej być nie miał oprócz ich dwojga.

W domu nastał sądny dzień! Trzeba się było ubrać tak, aby być zachwycającą, piękną a dystygowaną, aby popisać z przepychem i smakiem.

Siadała i zrywała się od toalety, biegła, przeklinała, płakała, obiecywała góry złote, rozpaczała, śmiała się, ubierała siebie, pokoje, służbę, a na ostatku i obiad musiała uczynić biesiadą jakąś bajeczną.

W domach pańskich już wówczas do nader wykwintnego stołu przywiązywano wielką wagę, dobry kucharz był cechą domu arystokratycznego. Po wsiach jeszcze zajadano bigosy, rozkoszowano się flakami i zaspokajano sztuką mięsa z chrzanem. Po pałacach i zamkach kucharze cudzoziemcy, osobni pasztetnicy i cukiernicy nie byli osobliwością.

Księżę Aleksander, jak wszyscy Sobiescy, był po francusku wychowany, wykarmiony i gębę miał popsutą. Jeden Jakub niegdyś pod Wiedeń idąc z królem skosztował sucharów i zatęchłej wody, ulubieńcy królowej popsuci byli, jak synowie królewscy.

Zaledwie na kwadrans przed przybyciem księcia Aleksandra, cała w płomieniach ze zmęczenia, wyszła do salonu piękna Urszula, ustrojona z wielkim i wytwornym smakiem.

Suknia mieniona ze srebrem, cała koronkami obszywana, włosy cudownie ufryzowane do twarzyczki, na rączkach brylanty ogromne, na szyi rzeka diamentów, we włosach diadem... ale przede wszystkim w niej cała ogień i życie, coś tajemniczo nęcącego, mgłą melancholii osłonięta swawola dziecinna.

W towarzystwie Augusta stała się mistrzynią tego kunsztu zalotów, którego on mógł być nauczycielem. Książę Aleksander, młody, piękny, więcej daleko Francuz niż Polak, bo w nim krwi starej szlacheckiej dopytać było trudno, nieco sztywny, trochę zimny, ale wielce pańskiego tonu — gdyby nie był ani królewiczem, ani Sobieskim, niewiastę taką jak Cieszyńska księżna musiałby być zając sobą, zachwycić. On też nudził się. Smutny był, potrzebował rozrywki — i gdy się zbliżyli do siebie, oboje byli niezmiernie z tego szczęśliwi.

Książę ani mógł przypuścić, aby dawna ulubienica Augusta na niego zastawiła sidła, ale rozumiał to, iż jej jako mściciel mógł być potrzebnym. Ona — nie wątpiła o niczym. „Przybył, widział,” widział ją, a ona musiała zwyciężyć.

Sidła były umiejętnie i szczęśliwie zastawione. Przyznała się, że teraz jeszcze nic powiedzieć nie może, ale potrzebowała zakłąć, przestrzec, aby był ostrożny. Miała mu potem odkryć wszystko. Ubolewała nad losem Jakuba i Konstantego, z tego, co słyszała w Saksonii, tworząc opisy okropnych więzień Pleissenburga i Konigsteinu, chwytając za ręce Aleksandra błagając go, aby się nie narażał i do Polski nie wracał... itd.

W tym wszystkim nie było związku, ale któż od pięknej takiej zalotnicy wymaga innej logiki nad tę, jakie mieć powinny stopniowe wejrzenia, znizanie i podwyższanie głosu, odcienia uśmiechu, czepianego do rozmowy jak koronki do sukienki.

Książę Aleksander uwierzył w jej troskliwość o siebie, a więcej jeszcze w nienawiść i chęć pomszczenia się na przeniwiercy. Rozmowa zawiązała się żywo, jak gra w rakiety... i ani się spostrzegł książę, gdy go poprowadziła do stołu.

Stół na dwie osoby ustrojony był jak ołtarz; kredens od podłogi do stropu okrywały ciężkie, przepyszne srebra. Podawano na złoconych talerzach (*vaisselle plate*), a kucharz był ten sam, co dla Augusta niedawno gotował

jeszcze; księciu Aleksandrowi z tą śliczną laleczką sam na sam było tak rozkosznie jak w raju.

Rozumie się, że księżna poczęła od niesłychanej powagi, chłodu i surowości przesadzonej, aby księżę Aleksander mógł sobie pochlebiać, że on to wszystko przełamał i zwyciężył. Taktyka to była odwieczna, pierwotna, zużyta, ale powtarzać się ona będzie jeszcze wieki, bo jest instynktowna, tkwi w naturze kobiety.

Kto by był porównał wnijscie księcia do saloniku do pożegnania z nią, ten mógłby ocenić, co dokonała i jak zręcznie. Pozostawało jeszcze bardzo wiele do powolnego podziału na dni wiele... dopóki księżę Aleksander nie został ułaskawiony, okuty i przyswojony tak, że się już ucieczki jego nie było co obawiać.

Zmienić było potrzeba na dni kilka tryb życia i porządek domowy. Wielu znajomych nie przyjęto, ale Sobieski tak się uczuł później bezpieczny, osłoniwszy jakimś nazwiskiem przybranym, w które nikt nie wierzył, że na gości postanowił nie zważać. Drzwi się więc otworzyły znowu i wesołe rozpoczęło życie.

Dlaczego właściwie powołała go piękna Urszula, co mu zagrażało, co ona mu doradzić miała? Nie było to dla nikogo jasne, ale im dwojgu z sobą tak przyjemnie dni upływały, iż się nie gniewał i nie pytał Sobieski o tłumaczenie.

Księżna miała z Hoyerswerda i Drezna posłańców, wiadomości, listy, wiedziała o wszystkich obrotach Augusta, o zabawach jego, o intrygach. Z drugiej strony przez Towiańskich miewała tak dobre informacje o Szwedzie, iż księżę Aleksander siedząc przy niej zdawał się we wszystkim udział brać czynny.

Piękna Urszula tymczasem starała się go rozmarzyć, rozkochać i doprowadzić do tego stopnia rozgorączkowania, iż coraz mniej zważał na następstwa.

Sobieski długo milczał, aż w końcu zaczęły się miłosne słówka wyrywać, księżna ich słuchać nie mogła ani chciała, zagroziła zerwaniem, obrażona była i nieszczęśliwa, ale nazajutrz jedli obiad razem, sam na sam, aby to nieporozumienie wyjaśnić.

Trwało to już kilka tygodni, gdy Sobieskiemu, powołanemu przez matkę, wyjechać było potrzeba. Rozstanie było niewypowiedziane smutne, lecz księżę Aleksander dał słowo powrócić na dzień oznaczony. Księżna czas ten zużytkowała biegnąc do Łowicza.

Prymas był już w ostatniej wojnie z królem, którego detronizowano. Wszyscy zajęci byli tylko nową elekcją.

August miał w Polsce za sobą małą tylko garstkę ludzi, swoich niedobitków kilkadziesiąt tysięcy i część duchowieństwa, idącą za głosem papieża, który brał stronę króla. Księżna znalazła tu umysły poburzone, a kardynała, Towiańskich i co tu żyło, piorunujących przeciwko Sasom. Największa niepewność panowała co do kandydata, którego naprzeciw Augustowi prowadzić miano.

W Łowiczu trzymano z Lubomirskim.

Ten i ów się odzywał za wojewodą poznańskim, lecz on sam wcale sobie korony nie życzył, a wiek jego młody mówił też przeciwko niemu.

Szeptano, że Karol Dwunasty był za nim, ale jawnie król szwedzki nie zalecał nikogo, szło mu o to, ażeby zrzucić z tronu Augusta. Z Saksonii donoszono, że tam rachowano głównie na poparcie cara Piotra, który ze znacznymi posiłkami nadejść obiecywał. Na nim i na przyrzeczonych subsydiach pieniężnych słabe jeszcze opierały się nadzieje.

Witke, który, raz w niewolę popadłszy nie mógł się już wyzwolić, zgromiony i zastraszonej przez króla, odprawiony został z powrotem do Warszawy i Łowicza, aby stąd dawał znać, jaki obrót przybiorą sprawy przygotowanej elekcji.

Księżna, pospieszająca też na zwiady do prymasa, spotkała się z nim w drodze. Ale od Niemca, który jechał zmuszony i mało się już czym zajmował, dowiedzieć się czegoś było trudno. Zmiarkować mogła tylko, iż wszystko ulegało despotycznemu wpływowi Karola, a on sam myślał, starał się, pracował nad zadaniem śmiertelnego ciosu przeciwnikowi. Polityka była tu w zgodzie z osobistymi uczuciami roznamiętnionego Szweda. Tyle razy pokonawszy Augusta, burzył się Karol, że go nie mógł przywieść do zupełnego poddania się i upokorzyć publicznie.

Co dzień prawie dowiadywał się, że August wydawał bale, palił fajerwerki, urządzał maskarady, przenosił się z miejsca na miejsce, rzadko dla wojska, najczęściej dla tej fantazji pańskiej, którą się urągał Karolowi.

To lekceważenie, które zdawać się mogło przekonaniem, iż tryumfy Szweda są przemijające i pozostaną bez skutków, do najwyższego stopnia gniewało Karola. Postanowił przywieść do abdykacji, aby nią zgnieść i znękać ostatecznie Augusta.

Nie mógł przewidzieć tego, że ratyfikując najsromotniejsze traktaty kurfirst będzie, zupełnie jak przedtem, balował, bawił się i pilno uczęszczał na lipskie jarmarki. Kamienny chłód saskiego pana podżegał Karola do najwyższego stopnia. Był on w części może tylko natury jego dziełem. August wiedział, że tym nieprzyznawaniem się do pokonania pozostawi świat przynajmniej w wątpliwości o następstwach.

Tymczasem wszystkie nadzieje ograniczały się na posiłkach cara Piotra, które Patkul uroczyście przyrzekał, szły one, ciągnęły, tylko co ich widać nie było, ale nie przybywały.

August sam na sam z Patkulem kruszył czasem ze złości żelazne szczypce, którymi ogień poprawiał, ale na ulicę wyjechawszy z fajką w ustach, z pogardą spoglądał na świat i zdawał się mówić: nic mi to nie szkodzi.

Odarto go z milionów, rozpędzono najlepsze wojsko, pozbawiono kosztownych kartaczów, ale on... miliony, nowe wojsko i artylerię był pewien stworzyć znowu.

Tylko zapowiedź Szweda wniknięcia i zajęcia Saksonii wywołała błądź na lice króla, ale i ta znikła, gdy się publicznie musiał pokazywać.

Z nieszczęśliwego Niemca napastliwa księżna nic prawie wydobyć nie mogła.

— Cóż się dzieje w Łowiczu? — pytała.

— Zobacz księżna sama — mówił Witkę — ja nic nie wiem. Towiański już tak chodzi, jakby wziął buławę wielką koronną, a stary hetman — jakby był ukoronowany.

Księżna potrząsała główką, nie chcąc wierzyć.

— O naszym kurfirstcie, ażeby się mógł utrzymać, nikt już słuchać nie chce — ciągnął dalej ostygły Witke. — Kto to tam ten chaos zrozumie! Szwed podobno chciał któregoś Sobieskiego na tron popierać, ale ich dwu siedzi w Pleissenburgu, a trzeci...

Księżna bystro mu zajrzała w oczy.

— Cóż trzeci? — podchwyciła.

— Trzeciemu korona nie smakuje.

Księżna się chciała dopytać coś o hrabinie Cosel, Witke odpowiadał niechętnie.

— Ta dotąd królem rzuca i prowadzi go, jak chce — wybąknął — buduje dla niej pałace, jakich żadna nie miała, Honory sobie oddawać każe jak królowa. Pieniądzy dla niej Flemming nastarczyć nie może. Wkrótce pono i depeszy, i listów król bez niej nie będzie mógł rozpieczętować, bo się miesza do wszystkiego.

— A długo to potrwa? — spytała szydersko księżna.

Witke głową potrząsał.

— Dłużej pewnie, niż się komu zdawać może — dokończył. — Czy ją król kochać będzie, nie wiem, ale i to coś znaczy, że mu pięknnością, dumą, rozumem honor czyni i chwalić się nią może.

Cieszyńska rzuciła się obrażona mocno.

— Oho! — zawołała — zobaczymy, jak się te piękne horoskopy ziszczą!

Godzili się zresztą z Witkiem dosyć dobrze, bo oboje mieli dla króla niechęć i przebaczyć mu nie mogli, on losu Henrietki, ona własnego. Oboje też jawnie nie śmieli stanąć w szeregach nieprzyjaciół króla, bo los ich był w ręku króla.

Niemiec z Warszawy zawrócił się z nią do Łowicza.

Znaleźli tu, jak Witkę zapowiadał, kandydaturę Lubomirskiego, żywo wszystkich poruszającą, ale agitacja ta niedaleko poza krąg wpływu prymasa i hetmana sięgała. Stary, chory, naganami z Rzymu ciągle odbieranymi rozdrażniony prymas rzucał się bezsilny, łudzony przez Towiańskiego i Lubomirskich, którzy się nawet, wydając córkę za siostrzeńca prymasa, związali z nim powinowactwem.

Tu więc na pozór popierano Szweda, ale nie chciano słuchać o jego kandydacie, którym miał być wojewoda poznański.

Przeciwko Leszczyńskiemu w Łowiczu oburzenie było wielkie.

— Wśliznął się do Szweda, przypochebił mu, przylizął — wołał Towiański — ale ani Karol Dwunasty, ani generał Horn króla przecież obierać nie będzie...

— A to mi piękny król — trzęsącym głosem burczał Radziejowski — mleko pod nosem.

Przybywająca księżna Cieszyńska, która ten argument z ust księcia Aleksandra słyszała, wtrąciła:

— Szwedzki król powiada, że on jest młodszy od Leszczyńskiego, a przecież mu to panować nie przeszkadza.

— Rozbójnik — zamruczał prymas.

Czuć było w Łowiczu, że tu we własne siły, przeceniając je głośno, nie wierzono.

Chodziły pogłoski, że kardynała papież miał wezwać do Rzymu i przynaglał go, aby naród z Augustem pogodził.

Lecz o Augustie prymas też słuchać nie chciał, nienawidził go. Jedną się z nim wprawdzie, brał pieniądze, kupować mu się dawali Towiańscy, ale August miał swych doradców i słuchać nie chciał Radziejowskiego. Pioruny tu rzucano na Przebendowskich.

Księżna Cieszyńska zjawiała się i przesunęła prawie nie postrzeżona teraz. Wiedzano, że łaski straciła, że z Augustem się nie widywała, że mocy żadnej nie miała.

— A co waćpani myślisz z sobą? — zapytał ją Radziejowski.

— Kochany wuju — odparła żywo Urszula — naprzód się za mąż wydać muszę, i to nie inaczej jak świetnie.

Prymas zamruczał coś tylko.

Odwrócił się ku niej, popatrzył długo i milcząc czekał dalszych zwierzeń.

Księżna więcej instynktem niż rozumem po kilku dniach już doszła do przekonania, że w Łowiczu nie było czego szukać, bo tu ani pomoc komu, ani zaszkodzić nie mogła mała gromadka, która się w wielki obóz zamienić na próżno usiłowała.

Rozdział ósmy.

Czasu znowu upłynęło niemało...

Szwedzi i Sasi uganiali się za sobą po nieszczęśliwej Rzeczypospolitej; Karol nareszcie elekcję Leszczyńskiego przyprowadził do skutku i generał Horn dopilnował, aby się wszystko odbyło bez oporu. Zrzucony z tronu August czekał na posiłki od cara Piotra i ścigany, nękany, ponosząc klęski i straty upierał się jeszcze. Tymczasem Karol zmierzał już ku dziedzicznym krajom saskim. Kurfirst, który dotąd znoślił z pozorną przynajmniej pogardą na czole wszystkie ciosy, jakie mu zadawał straszny przeciwnik jego, stawał się zadumany i posępny. Dwór jego szeptał, że w izbach, które zajmował w pochodach, znajdowano często w drzazgi połamane sprzęty, porwane żelazne łańcuchy, jak gdyby na coś potrzebował wyrzucić gniew swój i złość, tak pracownicy skrywaną.

Flemming nawet z obawą przestępował próg jego sypialni, z której dwakroć wyniesiono tak pobitą i zgniecioną czeladź, że się jej już dotrzeć nie było podobna. Dla obcych wszakże August miał zawsze na zawołanie uśmiech i jasne oblicze, o wojnie, oprócz z Flemmingiem i kilku generałami, nie mówił nigdy, o politycznych swych planach tylko z jednym Patkulem.

Oczekiwano znowu na posiłki z Moskwy obiecane. August, niecierpliwy, sam się udał na przyjęcie ich do wojska swego i od dni kilku stał za Piotrkowem, we wsi Barszczewie, dziedzictwie pana stolnika Barszczewskiego.

Oprócz posiłków, wyglądał tu także swego nieodstępного, jedyne go powiernika, Flemminga, tak rozdrażniony, niespokojny, poruszony, że Constantini nawet, zwykle zuchwale się stawiający królowi, teraz, gdy miał wniknąć do jego sypialni, zęgnął się pobożnie.

Wiedział dobrze, iż ważył tu życie, jeżeli słowo jakie nie podobałoby się do najwyższego stopnia w duszy rozjątrzonemu, pragnącemu pomsty Augustowi.

Obawiano się tym bardziej jakiegoś wybuchu, że do uszów Jego Królewskiej Mości dochodziły ciągle, acz niezrozumiałe, ale wściekle gniewne łajania pod oknami chodzącej stolnikowej Barszczewskiej, która króla od ostatnich słów bezcześciła.

Żadna siła ludzka zuchwałej pani nie mogła powstrzymać.

Stolnikostwo dla króla naturalnie wyrzucono ze dworu i zmuszeni zostali w jednej izbie ścisnąć się na folwarku, oprócz tego Sasi pozabierali siano, owies, chleb, mąkę, porznęli bydło, zjedli stado owiec, wyłapali drób, a skarżące się gospodyni odpowiadał chudy jakiś pacholek, Polak, stajenny króla, jeden, co mówił po polsku.

— Wojenne czasy, jejmościuniu. Trudna rada, kiedy konie i ludzie głodni.

Sam pan stolnik, starszy daleko od żony, chudy, słusznego wzrostu, spokojny i zrezygnowany człowiek, w długim kontuszu paradnym, przy karabeli, stał we drzwiach folwarku i próżno swą połowicę usiłował uspokoić.

— Na rany Chrystusa — mówił ręce łamiąc — Tereniu, serce moje, dajże ty pokój temu! Toż król... a twoje łajanie nie może nic, tylko się gorzej pogniewa, jeszcze gotów odchodząc kazać na cztery rogi podpalić. Zlituj się, Tereniu!

Stolnikowa ani chciała słuchać męża.

W boki się wzięwszy, w czepcu na bakier, którego szlarki nie związane powiewały około zarumienionej jej twarzy, na złość pod samymi oknami króla powtarzała swoje:

— Bodajeś żyw stąd nie wyszedł, zbóju ty przekłety... bodaj cię pioruny niebieskie, ciebie i twoich Niemców wytłukły... Z tobą wszystkie nieszczęścia na nas spłynęły... Bodajeś...

Okno, pod którym stolnikowa przechadzając się tak, piorunowała, wprawdzie wychodziło od królewskiej sypialni, ale okiennicą było zamknięte, a wewnątrz dywanami zabite tak, że wątpliwe było nawet, czy króla uszu dochodziły wrzaski, którym służba na próżno starała się zapobiegać.

Tymczasem saskie gospodarstwo w Barszczewie szło swym porządkiem i co było jeszcze do zjedzenia, wypicia i zniszczenia, Niemcy bez miłosierdzia zabierali.

Stolnik, który o żonę się obawiał, a argumentów mu już do upamiętania jej brakowało, w końcu płaczliwym głosem dorzucił:

— Tereniu! Chrystus Pan więcej cierpiał, a nieprzyjaciołom swym przebaczał.

Stolnikowa, nie przekonana, podnosiła coraz głośniej, gdy z dala na gościńcu ukazał się tuman kurzu, poczet jezdnych i pędem wpadli w dziedziniec konwojujący powóz lekki wojskowi, wprost pod dwór przez króla zajęty.

Z wozu wyskoczył średnich lat mężczyzna i nie zatrzymując się, jak stał, kurczem okryty, w płaszczu, wbiegł do sypialni króla.

August siedział na łóżku, nie ubrany jeszcze, okryty tylko długim jedwabnym płaszczem, a przed nim w nieładzie stało podane mu śniadanie. Trzymał już w ustach świeżo nałożoną fajkę i puszczał z niej kłęby dymu ogromne.

Na zmarszczonym czole, w zaciśniętych ustach malowała się złość hamowana od wybuchu, lecz nie skrywana, bo dla Constantiniiego, który stał w progu, i dla Flemminga, który wchodził, usposobienie króla nie mogło być tajemnicą.

Przybywającego też przyjaciela oblicze tak było straszliwie zmienione bólem i trwogą, że na nim król nie pytając wyrok mógł swój wyczytać.

Wlepił oczy we Flemminga.

— Co ty mi przynosisz? — zagrzmiało z piersi — mów...

Zawahał się minister, ujął drżącą rękę Augusta, schylił się do niej, nie miał siły odpowiedzieć.

— Mów — gwałtownie krzyknął król — mów! cóż mnie już spotkać może strasniejszego nad zrzucenie z tego tronu? Przegrana pod Wschową... zbezczeszczone wojsko, ja sromem okryty... Polska stracona... Schulenburg...

I nie dokończywszy padł król na łóżko, a fajka, którą trzymał w palcach, skruszona w kawałki padła u nóg jego.

Flemming pot z czoła ocierał.

— Szwed — począł niecierpliwie August.

— Królu mój — przerwał Flemming równie gwałtownie. — Szwed zajmuje kraj twój dziedziczny... niech diabli wezmą Polskę... trzeba Saksonię ratować.

— Tak! — ryknął król z boleścią — ty, ty mnie to radzisz teraz, ty, Flemming, a któż, jeśli nie ty i twoja Przebendowska zagnaliście mnie do przeklętej Polski, która miliony kosztowała i okryła mnie sromem... kto? Tyś winien! Ja bym ciebie powinien kazać obwiesić.

Flemming ramionami poruszył.

— Jeżeli ci to ma pomóc do odzyskania Polski i milionów — rzekł — wieszaj, a prędko. Ale ja ci mówię: ani Polska, ani Saksonia stracone nie są. Szwedowi musi się noga ośliznąć, nadto długo mu szczęście służy. W tej chwili tylko potrzeba mu ulec...

August dyszał słuchając, trząsł się cały gniewem i bólem.

Flemming stał i zdawał się czekać chwili, w której by mógł chłodniej się z nim rozmówić, lepiej położenie określić. Król tymczasem pełen kielich stojący pod ręką wychylił i tchnął, a raczej ryknął uderzając się w piersi. Straszliwe przekleństwo z ust mu się wyrwało... bezbożne...

— Pierwszego tego miesiąca — począł patrząc na niego Flemming — Szwedzi weszli do nas.

— I powinni byli tylko pustkę tu znaleźć — zawołał król — rozkazałem, aby lud wszystek z dobytkiem, z mieniem... co żyło — szło w lasy nad Sprewę i kryło się w niedostępnych moczarach.

— Tak — odparł Flemming — lecz czasu już nie było na to... Szwed pośpieszył i drugiego września pod Steinem Odrę przeszedłszy, kraj zalał szeroko... wydawszy najostrzejsze rozkazy. Ministerium widząc, że obrona i nieposłuszeństwo ściągnęłoby klęski większe jeszcze, nakazało się ludności zachować spokojnie... Nie można było postąpić inaczej.

August zerwał się z łóżka, okrył płaszczem i chodzić zaczął po izbie ciasnej, ale tu mu duszno było... Podszedł do drzwi, rozparł je, rzucił nimi tak, że w sztuki rozpadły, i wyszedł do drugiej komnaty, pełnej jeszcze czeladzi i wojskowych, którzy na widok króla natychmiast pierzchnęli.

Wszystko, co po drodze mu stało, przechodząc August chwycił nie mówiąc słowa, Flemming też przerwawszy opowiadanie czekał.

On jeden w tej chwili okazywał najmniej trwogi, choć może się miał powód najwięcej lękać Augusta, ale bez niego też jednego król obejść się nie mógł.

Przechadzka ta skończyła się wnijsciem na powrót do sypialni. Zwolna twarz się królowi zaczęła wypogadzać. Należał on do tych ludzi, których wrażenie zabija czasem, ale nigdy nie trwa długo... boby z nim żyć nie było podobna... On i Flemming stanęli naprzeciw siebie.

August z cicha mówić począł, ale z wolna głos podnosił i widać było, jak go wewnętrzna jakaś otucha poczęła ożywiać.

— *A charge de revanche!* — odezwał się ponuro. — Potrzeba ulec, ulec, aby Saksonię ocalić. Bądź co bądź, pod jakimikolwiek warunkami... dać mu, co zechce... podpisać przymierze, jakie podyktuje... Saksonię ratować muszę... o Polskę się rozprawię później... oddać ją jestem gotów temu faworytowi jego, który jej utrzymać nie potrafi... Pokój muszę mieć i niech mi precz z mojego dziedzictwa ustąpi.

Nic nie odpowiedział Flemming.

— Bić się z nim, nawet gdyby nadciągnęły posiłki cara — począł król — nie mam kim... Działa nowe ledwie łać poczęto... broni brak, pieniędzy nie ma, Schulenburg do niczego... inni tyle co on warci. Bądź co bądź, Saksonię ocalić muszę, rozumiesz!

— Rozumiem — rzekł zimno Flemming — ale ja ani o ten pokój traktować z nim nie będę, ani go podpiszę...

Spojrzeni na siebie. W wejrzeniu Flemminga wypisane było, że z góry przewidywał wszystkie następstwa tego przymierza, którego ofiarą paść musieli ludzie, co je zawierać mieli.

— Wszystko, bez wyjątku, wszystko gotów jestem poświęcić — dodał August — byle Saksonię oswobodzić, rozumiesz mnie — ludzi, związki moje, słowo dane... wszystko... wszystkich...

Powtórzył to po razy kilka, a że przyjaciel nie chciał odpowiadać, dodał po małym przestanku.

— Komu dasz pełnomocnictwo? *Carte blanche! Carte blanche!* — z przyciskiem powtórzył król — *Carte blanche!*

Zadumał się krótko Flemming.

— Ci, którzy pojada — rzekł — zawczasu się za zgubionych mogą liczyć.

— *Ma foi!* — zawołał król — to bardzo być może, ale ja dla nich ginąć nie mogę, wolę, ażeby zginęli dla mnie.

Milczeli oba.

Wyznaczenie tych dwu ofiar, które miały paść dla ocalenia Augusta, przychodziło z trudnością.

Flemming, równie jak August zimny i bezlitosny, gdy nie o niego samego chodziło, wahał się z wyznaczeniem tych ofiar na stracenie.

Wtem królowi wyrwało się z ust imię Imhofa, prezesa izb (Kammerpriisidenten), spojrzął na Flemminga, który się nie sprzeciwiał.

— Imhof — powtórzył August i zadumał się patrząc w podłogę. — No i Pfingsten.

Flemming nie stanął w obronie... nie miał przeciwko nim nic.

— Ani chwili czasu nie tracąc — rzekł August — natychmiast kuriera wypraw do nich, *carte blanche!* Niech nie powracają nie podpisawszy przymierza... Gdzie jest ten Szwed przeklęty?

— Sądzę, że musi być w okolicach Lipska — odparł Flemming.

Królowi twarz pobladła, usłyszawszy... — A Schulenburg?

— Uchodzi — rzekł spokojnie Flemming — z resztą Rosjan do Turyngii, sądzą...

August już pytać nie śmiał więcej.

— Ślij im natychmiast pełnomocnictwo.

Wtem, jakby coś sobie przypomniał, zapytał:

— A królowa?

— Królowa być musi w Bayreuth — mruknął przybyły.

— Z matką?

— Nie... Anna Zofia z kurfirstem aż do Danii odjechała.

Zmarszczył się August i westchnął.

— A Cosel? — rzekł ciszej.

— Pozostała dotąd w Dreźnie.

Rozjaśniło się lice królowi nieco.

Na tych zadawanych pytaniach i urywanych odpowiedziach, które długie przystanki dzieliły od siebie, upłynęło dużo czasu. Król nagle się opamiętał i ochłonął; krzyknął na Mazotina, że się chce ubierać, zamknięto jako tako połamane drzwi. Flemming otrzymał rozkaz bez zwłoki umocowania dla zawarcia przymierza Imhofowi i Pfingstenowi wygotować. Spytał o ograniczenia.

— Nie ma żadnych, wszystko mają poświęcić dla ocalenia Saksonii... wszystko... *carte blanche*.

Flemming głową potrząsał. Szydersko się uśmiechnął August.

— Niewielki z ciebie dyplomata — rzekł cicho. — Kto daje *carte blanche*, ten się najłatwiej potem nieograniczonego pełnomocnictwa zaprzecić może. Prywatnie im napiszę, że mnie, czci mojej i całości Saksonii oszczędzać powinni, ale im granic nie kładź żadnych, sami je znaleźć powinni.

Flemming się już poruszał, gdy król dorzucił:

— Przymierze i pokój za wszelką cenę stanąć muszą... niech mi inaczej nie powracają.

Mówiąc to król już stał przed zwierciadłem, a Constantini podawał mu jego *allonge*, perukę codzienną. Strój chciał tego dnia przywdziać na złość losowi jak najokazalszy, choć prawdopodobnie, oprócz pani stolnikowej i dworu, nikt go nie miał oglądać. Ale August lubił tak na przekorę gnębiącemu go losowi okazywać się jak najnieczulszym na ciosy jego.

Constantini, pomimo że już był ochłodł, z obawą się zbliżał do niego, widział, że jeszcze ręce mu drżały i oczy ciskały piorunami.

Od przybycia Flemminga dwóch już po nim kurierów przybiegło z Saksonii.

Flemming odebrał od nich papiery i starał się nieporuszony, zimny, naśladować pana, ale twarz go zdradzała, a mówiąc jąkał się i mylił.

Zaledwie czas miał w izbie naprzeciwko podyktować ową *carte blanche* dla pełnomocników, gdy król wołać już kazał.

Wchodzącemu wyrwał ją z rąk, za ledwie okiem rzucił i pochwyciwszy pióro, zamasyżuje podpisał rzucając precz od siebie.

— Lipsk! — począł badać znowu król — zajęli Lipsk! A Pleissenburg?

— Komendant się w nim trzyma... Kupcy dawno wszystko, co mieli, powywozili... Łupów Szwed nie weźmie.

— A jarmark? — podchwycił król niespokojnie — ja się spodziewam być tam jeszcze na jarmarku.

Flemming spojrzał wielkimi oczyma.

— Tak jest — potwierdził król z dziwnym uśmiechem, wyzywającym, jakby chciał się urągać nieszczęściu, które go dotknęło, i straty korony wcale sobie nie ważył.

Spod tej dumy przeglądała złość. Fleming popatrzał i nie odpowiadał.

— Listy, które odebrałem w tej chwili — odezwał się pomilczawszy — donoszą mi, że Karol główną kwaterę założył w Tauchau, ale ją przeniósł do Altranstadtu. Z Tauchau wydał manifest do kupców lipskich, poręczając bezpieczeństwo własności wszelkiej i wzywając, aby jarmark jak zwykle się odbył.

August się uśmiechnął.

— Za to mu wdzięczny jestem — odparł prędko — bo ja, jak tylko pokój będzie zawarty, muszę natychmiast jechać się rozerwać do Lipska.

Oświadczenie to w takiej chwili nawet Flemmingowi, który doskonale króla znał, tak się dziwne wydało, że niedowierzająco ramionami poruszył, ale August żywo potwierdził swe oświadczenie.

— Śpieszno mi do Lipska.

— Ale Altranstadt pod bokiem — odezwał się przyjaciel — a Karol...

— Będę musiał i do Altranstadtu dojechać, to nieuchronne — rzekł obojętnie August.

Flemming chciał coś dodać i wstrzymał się, król zdał się myśli jego odgadywać.

— Chcieliście mnie może przestrzec, że się tam spotkać mogę z panem wojewodą poznańskim, a pseudo-królem polskim szwedzkiej fabryki? he?

— Tak jest — wtrącił Flemming — Leszczyński nie tylko sam, ale z żoną towarzyszy protektorowi i zajął kwaterę w Lesnig.

August zrobił minę pogardliwie szyderską.

— Patrzaj! — zawołał do Flemminga — ja tu jestem w jego królestwie, a on moje zajmuje... umyślnie... Karol go tam przytrzyma, aby mnie zmusił mu się potem pokłonić. Niepocziwy braciszek!

Gdybym miał kiedy się doczekać odwetu... ha! ha! Straszny by być musiał... a straszny! Wszystka krew tego wyschłego draba nic starczyłaby na ugaszenie mojego pragnienia.

— Tst! — powstrzymał Flemming.

Lice królewskie zbladło jak ściana i lekkie drżenie poruszyło fibry twarzy.

— Sądzi, że tym mnie złamie? — zamruczał. — Nie! Będę mu się pod nosem bawił na lipskim jarmarku.

Zdawał się namyślać nieco Flemming i chwilę małą poczekawszy ujął poufale króla pod rękę, chociaż wcale nie znajdował go do przyjacielskiego zbliżenia się usposobionym.

— Schulenburg — rzekł po cichu, poufnie — Schulenburg zaręcza, że jeśli mu pozwolicie, on jednym zamachem wszystkiemu koniec położy.

Ze wzdargą brwi zmarszczywszy, okrutnie August wykrzyknął tylko:

— Schulenburg! on... *allons donc!*

— Tak jest — dodał Flemming. — Wiadomo powszechnie, że na straży przy Karolu nigdy więcej nie stoi nad trzydziestu trabantów, on sam nieopatrzny jest i zuchwały. Schulenburg zaręcza, że go pochwyci i uwięzi w Tauchau czy w Altranstadicie.

Król posłyszawszy to, głową poruszył gwałtownie.

— Niech się nie waży na to — zawołał — takich środków nie mogę użyć ani ich dopuścić. Nie umiał go pokonać, a chce odwetu zdradą. Wstyd by mi tym uczynił tylko. Schulenburgowi to przystało może, ale nie Augustowi.

Przeszedł się po izbie ostygając.

— Otruć go, zza węgła mu w łeb strzelić... to co innego — mówił dalej. — Sprawa pozostałaby ciemna, nikt by mi nie dowiódł, że się do niej przyłożył... wszystko zrobić pozwalam, ale ja muszę pozostać nietknięty. Nie! nie! Karol sobie sam gotuje zgubę... Wszystko to są chwilowe ofiary... zwycięstwo pozostanie przy mnie.

Flemming zaczynał głową potrząsać, ale August już zmienił przedmiot rozmowy.

— Wyssie mi Saksonię kontrybucjami — zawołał. — Jestem pewny, że jarmark lipski opłacić się musiał.

— Dali dobrowolnie sto tysięcy talarów — zamruczał przyjaciel. — Zwołał też Karol, jak mi donoszą, szlachty zjazd do Lipska.

— Cóż panowie szlachta moja? — uśmiechając się zapytał król.

Flemmingowi tak przykre było zdać sprawę z tego, iż papier świeżo odebrany podsunął milcząc królowi i palcem na nim wskazał miejsce podkreślone. Stało tam, iż szlachta się przywilejami składa, jako do niczego obowiązana nie była, krom służby osobistej i dawania koni. Na to szwedzki król odpowiedział: — Gdzieżcież panowie szlachta byli ze swymi końmi pod te czasy? Gdybyście obowiązki swe spełniali, mnie by dziś w Saksonii nie było! Gdy na dworze ucztować trzeba i pić, żadnego z was tam nie braknie, ale za ojczyznę pójść się bić?... nie ma ochoty... wolicie siedzieć w domu.

I głośno dodał Flemming:

— Szlachta miesięcznie płacić będzie musiała od 200 do 250000 talarów.

Rozśmiał się August.

— Brat mi wziął moich kochanych poddanych na edukację — rzekł — wdzięcznym mu jestem. Obrachujemy się z nim kiedyś.

Rozmowa przeciągnęła się dalej. Dwa czy trzy razy spytał król o ukochaną Cosel, o której sucho coś tylko przebaknął przyjaciel. Zagadnął potem o Patkula i otrzymał odpowiedź, że bliski był ożenienia z wdową Einsiedel.

Król zadumał się wymówiwszy jego nazwisko.

— Wyznać potrzeba, Flemming — rzekł poufnie — iż Patkul rozumnym jest, dyplomata znakomitym, człowiekiem niepospolitej rzutkości, przebiegłości i nie przebierającym w środkach. Zdradza Piotra dla mnie, mnie pewno dla Piotra, gotów nas obu, gdyby mu to było na rękę, sprzedać Prusom. Ale o sobie pono najlepiej pamięta. Einsiedlowa mu przyniesie oprócz białej rączki jakie czterekroć sto tysięcy talarów. Piotr mu płaci, ja płacę, nie ręczę, ażeby nie brał od innych, a i szlachta inflancka...

Tu przerwał sobie nagle.

— Ale Patkul wart jest tego, nieopłacona głowa i on jeden to rozumie, iż w polityce żadnymi względami kierować się nie można, oprócz zasady, że zwyciężyć potrzeba; kto przebiera w środkach, nie zrobi nigdy nic. Trucizna, sztylet, więzienie tak są dobre jak inne lekarstwa, gdy skutkują.

— Przyjacielu — przerwał Flemming — dlaczegóż Schulenburgowi nie dopuszczacie użyć tego środka, jaki on proponuje?

— Dlatego, że świat jest głupi — zawołał August — i że makiawelowska polityka dopiero może za lat sto znaleźć uznanie powszechne. My się nią posługiwać możemy, ale taić umiemy.

— My — dodał ze śmiechem — my jeszcze jesteśmy rycerze... i musimy sadzić się, aby wyglądać szlachetnie. My chwalimy się jeszcze męczeństwami, a nie ma nic głupszego nad dobrowolne męczeństwo.

Wszystko to August szybko tak jakoś, poplątanymi wyrazami, wyrzucił do ucha powiernika, iż Flemming niedobrze zrozumiał go nawet. Zaledwie dokończywszy król się zwrócił. Dochodziły go głosy polskich panów, nielicznych, którzy przychodzili pokłonić mu się i przynosili wiadomości na pozór pomyślne.

Teraz, gdy Karol Dwunasty wtargnął był już do Saksonii, gdy August wysłał pełnomocników, aby pokój zawrzeć pod jakimikolwiek, choćby najcięższymi, warunkami, byle wyswobodzić kraj dziedziczny, w Polsce nieliczni pozostali Szwedzi mogli się z trudnością utrzymywać — posiłki cara Piotra nadciągały,

zebrane wojska króla, który już się w myśli swej zrzekł korony, kilkakrotnie przewyższając siłą Szwedów i ich partyzantów.

Teraz, gdy zwycięstwo na nic się przydać nie mogło, August prawie na pewno rachować na nie, zdaniem wszystkich, był mu cieniem. Była to nowa ironia losu.

— Choćby traktat i przymierze było podpisane, choćbym ja je ratyfikował — szepnął Flemmingowi — nic głosić nie potrzeba, przyjmujemy, wywołamy nawet starcie, a jeżeli wygramy bitwę, ocalimy honor.

Palec położył na ustach.

Po śniadaniu wydano rozkaz nagle wyciągnięcia z Barszczewa. Wprawiony nim w ruch obóz królewski, dwór, czeladź natychmiast poczęli się spობić do wyciągnięcia.

Flegmatyczny stolnik Barszczewski, którego żona nie przestała kląć i wyklinać króla Jego Mości, rzuciła się w ciemnej izbie na folwarku, wymyślając, gdy mąż jej wszedł.

— A widzisz, asińdzka, kochana Tereniu — począł od progu — że wszystkiemu temu utrapieniu koniec przychodzi, a co się do lasu udało pochować, zostanie całe... Król wyciąga... już mu konia siodłają. Sam widziałem, na własne oczy.

Zerwała się stolnikowa piorunem.

— Wyciąga! — krzyknęła biegnąc do drzwi — nie puszcę go tak na sucho... odprowadzę kułakami do wrót... i przekleństwo...

Stolnik z przestachu, złożonywszy ręce, chciał przed nią przyklęknąć; odepchnęła go, aż się zachwiał.

— A! ty! stary grzybie!

W sam czas się znalazła w dziedzińcu.

August w paradnym stroju podróżnym dosiadł był konia, gdy stolnikowa, w czepcu na bakier, z obiema pięściami ściśnionymi i podniesionymi do góry, poskoczyła prawie pod kopyta jego wierzchowca.

— Jedź! jedź! — poczęła wołać — jedź na złamanie karku, jedź, rozbójniku, szczęśliwej drogi na dno piekła... bodaj cię pioruny ścigały, bodaj cię...

Król nie rozumiał ani słowa, ale mimika pani stolnikowej była tak wyrazista, twarz, oczy zaognione, usta niemal zapienione nie dozwalały powątpiewać, że go nie błogosławiła. Mnóstwo osób, pełen dziedziniec ciekawych przypatrywało się tej scenie.

Cóż król miał począć z kobietą?

Znalazł się z niepospolitym dowcipem, usta mu się uśmiechnęły, zdjął kapelusz i począł się jej kłaniać jak najuniżeniej. Im wścieklej napastowała go pani Barszczewska, tym król kłaniał się jej niżej, uśmiechał wdzięczniej, a towarzysze jego, widząc króla tak dobrze usposobionym, wszyscy, idąc za jego przykładem, zdejmowali kapelusze i kłaniali się stolnikowej.

Mało się tam komu pewnie śmiać chciało, ale uśmiech króla był zaraźliwy i jakżeby go dworacy nie mieli naśladować.

Stolnikowa, rozdrażniona mocniej jeszcze tym urąganiem, którego czeladź jej własna była świadkiem, aż do wyłamanych wrót, ostatniej nocy porąbanych i spalonych przez strażę króla, przeprowadziła podskakując i klnąc Augusta. Tu dopiero siły jej nie stało i gdy mąż nadbiegł, aby ją odciągnąć i wyzwolić, obawiając się żołdactwa, padła w objęcia jego z krzykiem i śmiechem szyderczym.

Było to jedno z ostatnich pożegnań Polski, którą pani stolnikowa Barszczewska uosabiała. Król, którego twarz uśmiechnięta doprowadziła go aż do wrót, kapelusz włożył na głowę i wydał rozkaz jakiś przybocznej straży.

Sasi już wyciągnęli wszyscy z szop, obór i budynków, które zajmowali, gdy nagle pożar się wszczął z czterech rogów zabudowań, płomień podniosło się do góry i Barszczów do wieczora wygorzał do szczytu.

Król ciągnął pod Kalisz, przeciwko Szwedom, mając w pomoc kniazia Menszykowa, przysłanego przez cara Piotra.

Za Prosną stało siedem tysięcy Szwedów z generałem Mardenfeldem, przy którym byli: wojewoda kijowski, Lubomirscy, podkomorzy i oboźny, i Potocki, pisarz koronny. Byłby się może nie ważył August na tę rozprawę, choć siły miał po temu, gdyby go chciwy boju i łupów Szmigielski, najdzielniejszy z jego partyzantów, nie pociągnął gwałtem z sobą.

Tak król, w chwili gdy już traktat sromotny pełnomocnicy jego podpisali, po raz pierwszy znakomite odniósł zwycięstwo, a Sasi wzięli ogromne łupy na placu boju.

Trzeciego dnia po bitwie na pobojuwisko, usłane trupami, rannymi, konającymi, wyjechał August w przepysznym stroju rycerskim, otoczony dworem lśniącym od złota, przeprowadzony przez promieniejącego tryumfem Brandta.

Tu tragicznie się powtórzyła scena poczęta w Barszczewie, która na królu, równie jak pierwsza, najmniejszego nie uczyniła wrażenia. Konający zrywali się na widok jego, okrwawionymi pięściami mu grożąc i bełkocąc przekleństwa, które śmierć na ich ustach drżących ścinała.

„To dziwna — pisze świadek współczesny — że gdzie król przyjechał, tam się owi niedobici, choć okrutnie postrzelani, niektórzy bez rąk, inni mając do połowy poodcinane głowy, na przyjazd królewski porywali, jedni stawiali, drudzy siadali, i znaki jakieś mowy ustami dawali łając go. Zaprawdę straszny to był widok, ale król August bynajmniej się nim nie konsternował.”

Co za obraz, co za dzieje!

Niesłychane okrucieństwo Sasów pozostało w pamięci na długo.

„...Bezbożnie obchodzili się Sasi z Polakami obdzierając ich — pisze tenże współczesny świadek. — Panu Łosiowi, sędziemu lwowskiemu, rotmistrzowi pancernej chorągwi, obnażywszy go do koszuli, gdy sygnetu kosztownego z palca dać im nie chciał, czyli też nie mógł, a saski żołnierz, do owej obdzierania bezbożnej dramy komenderowany, postrzegł u niego ów sygnet, chciał mu go z palcem urznąć i już go bagnetem ciął, gdyby Łoś na jenerała Brandta nie zawołał o salwowanie... a jednak sygnet musiał dać.”

Drudzy dali życie.

Z tego to czasu, który się w dziejach zapisał smutnym a niezrozumiałym później przysłowiem: od Sasa do Lasa, pozostał ów żarcik wieśniaczy, który przytacza Otwinowski:

„Szedł podjazd kwarcianych nad jeziorem Gopłem, a chłopą wziętego za przewodnika pytali ichmoście, która strona mu się lepsza zdała, saska czy szwedzka? Chłopek, w strachu, nie wiedząc, z kim kwarciani trzymali, zakłopotał się odpowiedzią. Lękał się obrazić...”

Im dłużej milczał, a ociągał się, tym kwarcciani mocniej nalegali, przewodnik zaś wzdychając szeptał tylko: „Zgadnij, Jezu, kto Cię bije?” Poczęli żołnierze zmuszać do odpowiedzi. Wziął więc biedota na rozum.

— A, panowie mili... człowiek by życzył, aby szwedzka siła wszystka przemieniła się w takie oto jezioro mleka jak Gopło nasze, zaś sascy ichmoście niech by się stali chlebem... i niech by potem diabeł sobie chleb ten w mleko wdrobił i wyjadł do kropli...”

Imhof i Pffingsten, nim z Drezna do Altranstadtu dojechali, gdy o pełnomocnictwie ich wieść się rozeszła, oblężeni zostali przez całą szlachtę saską, znękaną, pokutującą za swego kurfirsta, przeklinającą Polskę i domagającą się od swoich, aby kraj ratowali bez względu na Augusta.

Czas było, wołali, aby pokutował, kto był winien, gdy dotąd Saksonia płaciła za grzechy swego kurfirsta.

Stan kraju, błaganie wszystkich, nalegania, na ostatek rozkazy samego króla, który, wydawszy nieograniczone pełnomocnictwo, kazał Flemmingowi dopisać, aby nie powracali bez zawarcia pokoju i oswobodzenia Saksonii, sprawiły to, że dwaj posłowie na najsromotniejsze wymagania i warunki Karola Dwunasty przystali, a August traktat ten ratyfikował.

Wprawdzie później wyklamywał się wstydząc, a Imhof i Pffingsten przypłacili za swą powolność życiem niemal, ale w pierwszej chwili August gotów był na wszelką ofiarę, byle Saksonię odzyskać.

Sumienie miał dość swobodne i otwarte na oścież, by potem zobowiązania łamać, tłumaczyć i niweczyć nie czując najmniejszej zgrzyoty.

Brat, król szwedzki, który tak długo czekał na próżno na zupełne pogębienie Augusta, którym pogardzał i nienawidził, gdy przybyli dla traktowania z nim posłowie sascy, okazał się nielitościwy, okrutny. Warunki narzucone były oburzające.

Każdy inny śmierć i ból wolałby był nad nie; August je lekceważył. Wielkość swą pokładał on właśnie na tym ostygnięciu, obojętności, umyśle nie dającym się schmurzyć, sercu nie mogącym poruszyć.

Stracił wszystko i — z wydaniem Patkula — nawet honor. Jednym okrzykiem oburzenia cały świat powitał pakta altranstadzkie, August ruszył ramionami i zabawiwszy się w pijanym kółku przyjaciół, gotował na jarmark lipski.

Równie dziki i nienasycony w swym pragnieniu zemsty Karol, jak i August, na srom był obojętny, narzuciwszy zwycięzonemu najcięższe warunki, zażądał i wydania Patkula, którego za podżegacza głównego uważał. Patkula broniło prawo ogólne, posłom przysługujące, bo on, choć pensjonowany przez Augusta, był przy nim rezydentem cara Piotra, dodanym Dołhorukiemu, ale król gotów był na połamanie praw i przywilejów wszelkich dla zaspokojenia Karola, dla wyswobodzenia się od niego.

Wiedział bardzo dobrze, iż, z nim skończywszy, Karol rozpocznie walkę zaciętą z Piotrem, a znał Piotra i przeczuwał, że wytrwałość jego żelazna przemoże impet namiętny Szweda.

— Naówczas! — myślał Sas uśmiechając się — naówczas altranstadzkim traktatem ja sobie fajkę zapalę.

A kości Patkula? Nikt o nim już nie pamiętał. Wszystko teraz z niezmiernym pośpiechem, jak obalona budowa, waliło się, biegło ku końcowi i zamknięciu dramatu... Imhof i Pffingsten nie śmiejąc nawet z Piperem o punkta się spierać, stękając, ręce łamiąc, przyjmowali jedno po drugich. Jeżeli zacięli się na którym z nich, Szwed tym mocniej naciskał właśnie na to, co najwięcej dokuczyć mogło.

W kilka tygodni potem August z zagryzionymi ustami, blady, podpisywał ratyfikację tajemnic. Zdawało mu się, że Szwed natychmiast wyjdzie z Saksonii, ale brat chciał się swą zemstą nasycić. Przywiódł z sobą Leszczyńskiego i spodziewał się zmusić Augusta, aby się kłaniał i komplementy prawił temu, który go korony pozbawiał.

Leszczyński próżno się od honorów tych wypraszał, Karol, choć go kochał, ale i jego nie oszczędzał. W Saksonii rządził się, jeździł, rozkazywał, pieniądze brał i ludzi, gospodarował jak w domu.

W dziewięć dni po ratyfikacji traktatu wygrał Sas bitwę pod Kaliszem, ale tym na nowo sobie Karola naraził, który dozwolił mu się wytłumaczyć, lecz wywdzięczył tysiącnymi drobnymi upokorzeniami.

August w ostatku wybrał się z Warszawy. Nie obchodziło go to, że się miał spotkać z wrogiem... Czekala nań za to śliczna Cosel i ten niezrównany, pocieszny jarmark lipski, ówczesne Saturnalia książąt niemieckich.

Piękna Urszula patrzyła na to wszystko z daleka, stojąc na uboczu, cichutko i bałamucąc dopóty księcia Aleksandra, dopóki się on jej dawał czarować i

więzić. Jedno pono wspomnienie, ożenienia, podszeptnięte na ostatek, spłoszyło młodzieńca.

Ona chciała być dla niego wdową po królu, on znalazł w niej tylko ulubienicę nienawistnego człowieka.

Jednego dnia... nie stało Sobieskiego we Wrocławiu; a potem miało wkrótce i Augusta zabraknąć w Polsce.

Aurorze Kónigsmark tak dobrze było w Dreźnie i w przyjaźni z Augustem!... Cicho wciągnęła Lubomirska do swego domu w Dreźnie i dnia jednego ukazały się kolebki księżnej Cieszyńskiej w ulicach. Z Kónigsmarkową padły sobie w objęcia i rozplakały się.

— A! co za okropne czasy! — cicho szepnęła Urszula.

— Ten biedny król! — dodała Aurora.

I siadły biadać wspólnie, dopóki nie zaczęły mówić o Coseli.

Cosel na żadną z nich patrzeć, żadnej ze swych poprzedniczek znać nie chciała... głosiła się żoną króla. Cuda prawiono o jej przepychu, samowoli i obejściu się z Augustem i ze wszystkimi. Ten jeden przedmiot starczył na długie, niewyczerpane rozmowy, a potem księżna Cieszyńska oczyma już szukała kogoś, aby się za mąż wydała.

Potrzebowała księcia... reszta była już prawie obojętna. August nie odebrał dotąd nic, była więc dość bogata, aby sobie kupić mitrę książęcą, i była jeszcze dość ładna, dość umiejętnie zalotna, aby ją ku sobie przywabić. Otworły się świetne salony, rozpoczęły wykwintne obiady; nie brakło pięknej czarodziejce gości.

Rozdział dziewiąty.

Przez Warszawę przesunął się tylko król August nie pokazując nikomu. Zwycięstwo pod Kaliszem kazało się domyślać, że wojna jeszcze się przedłuży, bo o traktacie zawartym w Altranstadcie mało kto wiedział, a mniej mu jeszcze ludzi wierzyło.

Wszak po zawarciu jego Brandt jeszcze pobił Szwedów...

Jednego wieczora na zamku widać było światło w oknach, nazajutrz rano wrota stały otworem, a zamek pustką. Kupy słomy i siana leżały porozsypywane w podwórzach. A król? Pojechał na polowanie? do Krakowa? na Bielany? kto to mógł wiedzieć? Cisza zaległa w mieście, strażnicy zniknęli przed zamkiem... Sasi rozchodzili się w różne strony...

Mówiono, że ostatki żołnierzy, niedobitków, król sprzedał gdzieś na okręty, za morze...

Ci, co go widzieli na drodze, jadącego jakby ku Krakowu, rozpowiadali, że był dobrej myśli i śmiało się zegnając: Do widzenia...

Sasi kwaśno nucili piosnkę: „Du lieber Augustin!” a nuta jej przeleciała do Polski.

Tymczasem w Dreźnie sposobiono się na przyjęcie gości. Królowa matka, królowa, któż wie? może nawet król miał powrócić. Hrabina Cosel gotowała się go przyjmować. Z Czech nadciągnął Ogilvy i miał Steinaua odprawionego zastąpić. A Karol Dwunasty siedział spokojnie w Altranstadcie, jeździł do Lipska, oglądał swoje wojsko rozłożone na zimowe leże, odwiedzał Leszczyńskiego w Leśniku i kontrybucje surowo wybierać kazał.

Wieczorem, piętnastego grudnia, Aurora przybyła w odwiedzinach do Cieszyńskiej.

— Na zamku króla oczekują — rzekła. — U Coseli wszystkie okna się świecą... Mogłoby to być? a Szwed pod Lipskiem!...

— Z nim zawarto przymierze, to pewna! — westchnęła Urszula. — Wojna się raz przecie skończyła...

— Myślisz? — odparła Kónigsmark — ja nic nie rozumiem i w nic już nie wierzę.

— A ja? lepszych się dni spodziewam — zawołała Urszula. — Kazałam sobie wróżyć przyproawdzonej Cygance... prorokowała pogodę i zabawy...

We drzwiach zaszeleściły suknie kobiece, na progu stała hrabina Reuss i do góry podniósłszy rękę z chustką, zadyszana wołała:

— Król, król! wprost zajechał do Coseli!

Obie przyjaciółki się zerwały.

— Byćże może? przyjechał?

— Friesen go widział na własne oczy. Opalił się, ale twarz ma wesołą! — dodała Reuss.

— On, gdy chce, zawsze wesół być potrafi! — dorzuciła Urszula, — zawsze.

Wszystkie trzy zbiegły się w gromadkę na cichą rozmowę. Wtem drzwi się otwarły znowu, pierwszy kamerdyner księżnej wszedł krokiem pośpiesznym.

— Najjaśniejszy Pan jest w Dreźnie — rzekł, jakby nowinę przynosił, ale Urszula ręką rzuciła tylko.

Do późna się wszystko z wieścią o powrocie nosiło po mieście. Od dawna tu nie widziano Augusta.

Na górze, w kamienicy pod Rybami, nad rozwartą Biblią siedział do niepoznania wychudły, nędznie ubrany, sam jeden Witke. Chwilami schylał się nad księgą, czytał słów kilka i dumał. Przed nim puste stało krzesło stare, niegdyś zajmowane wieczorami przez matkę, ona już spoczywała na cmentarzu. Witkę był sam i los swój przeklinał. W nim i około niego wszystko było w ruinie, on sam nie żył już, ale dźwigał życie. Nic go nie obchodziło, zdał wszystko na sługi.

Gdy wśród tego dumania kroki się na schodach słyszeć dały, nie poruszył się wcale. Drzwi potem ktoś ręką niecierpliwie wstrząsnął szukając klamki.

Witke się nie poruszył.

Wtem z przekleństwem na ustach wpadł jak burza i wichur Constantini, stanął, popatrzył na siedzącego, który się nie poruszył nawet, i zaklął straszliwie.

— No... wstawaj! król cię potrzebuje! Zachariasz ramionami ruszył.

— Ja nie potrzebuję króla — rzekł zimno — ty i on wzięliście mi, co miałem najdroższego... trupem jestem, nie służę nikomu, robactwu się zdam chyba na pastwę.

I głowę odwrócił.

Mazotin przystąpił do niego i ręką go uderzył po ramieniu.

— Pleciesz! wszystko aa się naprawić! Wstawaj... potrzeba mi kogoś do Warszawy. Ważne papiery zostały tam, przywieziesz je.

— Ani pojadę, ani przywiozę! — odparł Witke — ani o was dbam, ani się was boję. Idź sobie nowych szukać ofiar... Idź! idź!

Włoch patrzył, słuchał i uszom nie wierzył prawie.

— Co się z tobą zrobiło? — rozśmiał się z przymusem. — Tyś oszalał...

— Wolę moje szaleństwo niż wasz rozum — zamruczał Witkę i podparłszy się na łokciu, w książce się zatopił.

Constantini stał nad nim i zżymał ramionami.

Wtem, czując go za sobą, Zachariasz powoli mówić zaczął nie zwracając się ku niemu.

— Kto was dotknął, kto się o was otarł, zginął, wyście jak węże, nosicie jad w sobie, który zabija wszystkich, a wam tylko nie szkodzi. Zabiliście mi matkę, zabiliście to dziecko niewinne... Zabili we mnie wiarę wszelką, oprócz w szatana, który was spłodził. Idźcie ode mnie.

Włoch się marszczył...

— Oszalał — powtórzył — i pomilczawszy nieco, dodał:

— Mnie ciebie żal, naprawdę żal mi ciebie... Wstań, otrząśnij się, naprawi się zło, powrócą straty.

Ciągnął tak dalej, ale Witke z oczyma spuszczoneymi na kartki książki zdawał się go nie słuchać i nie słyszeć.

Constantini wyczekał nieco. Zaszedł z przodu, aby mu zajrzeć w oczy, okrążył dokoła, splunął i drzwiami zatrzasnąwszy, na zamek powrócił. Po chwili Witkę wstał także, zbliżył się ku drzwiom i zaryglował je. Rękę wyciągnął w stronę zamku i zamruczał:

— Dzieci szatana.

Nazajutrz rano, nieznacznie ściągnięci wieścią o powrocie króla, starzy słudzy, panowie szlachta, przypadkiem będąca w opustoszałym Dreźnie — poczęli się snuć około wrót zamkowych. Tu szwajcarska gwardia chodziła po staremu, ziewając.

Zagładano w podwórce zamkowe i stajenne. Kilka obłoconych kolebek stało świeżo wyprężonych, ale ludzi i ruchu nigdzie widać nie było.

Karzeł Kasperle, który ani z królem, ani z królową nie wyjechał stąd i siedział jak kot w opuszczonym domostwie, ziewając i wyciągając się spoglądał na ulicę.

Z miasta przyciągnął do niego starzec z brodą nie ogoloną, w sukni zbrukanej, ale z miną pańską i dumną.

— Kasperle — zawołał ochrypłym głosem — jest król? Będziemy my nareszcie znowu pili za jego zdrowie? Ja już i piwa kwaśnego nie mam kupić za co... Ot, ot, co nas ta Polska kosztuje, a teraz zapłacić trzeba, ażeby ją sobie od nas wzięli... He! jest król?

Kasperle ziewnął straszliwie i cały się wstrząsnął, jakby go ta nuda do wnętrzości poruszyła.

— Jaki król? gdzie król? — począł mrużąc — kurfirst wczoraj przybył do Coseli, a rano dziś nazad odjechał.

— Dokąd?

— Z komplementem do brata, króla szwedzkiego — rzekł karzeł.

To mówiąc obwiązał się wytartym kozuszkim i tyłem do starego odwrócił.

Tak było w istocie. Wieczorem, dnia 15 grudnia, August śmiejący się, promieniejący nadrobioną fantazją, przyjechał do Coseli, wiózł z sobą Flemminga. Zastawiono mu wieczerzę, którą jadł, a potem pił do późna.

Zaledwie na brzask nazajutrz stały konie wierzchowe w dziedzińcu zamkowym. Było ich trzy, dla króla, dla Pfluga, który mu miał towarzyszyć, i dla kamerdynera. Chociaż Szwedzi zajmowali posterunki po drodze, August jechał tam samotrzeć tylko, z pistoletami w olstrach, do Lipska.

— Jutro — zapowiedział Flemmingowi — jutro będę w Lipsku, a pojutrze odwiedzę brata Karola w Altranstadcie. Nie może być, musi mi złągodzić warunki pokoju. Przecież dosyć już mieć musi i krwi przelanej, i zmarnowanego grosza. Co by to za piękne klejnoty zakupić można za te zjedzone w razowym chlebie przez chłopów miliony!

Z tą wiarą w pogodę swojego uśmiechu, August konno tegoż dnia, mimo dosyć tęgiego mrozu, dobiegł do Lipska i siadł do wieczerzy kazawszy oznajmić do Altranstadtu, że nazajutrz odwiedzi króla szwedzkiego.

Okolo południa w złotogłowej sukni ze sławnymi diamentowymi guzami jechał August do ciotecznego brata.

Na przyjęcie jego Karol Dwunasty nie zmienił nawet pary grubych, zbłoconych butów ciężkich, których już od dni kilku nie zdejmował, nawet spać idąc. Miał na sobie granatowy swój kaftan z grubego sukna, a u boku ów miecz w żelaznych pochwach, który od krwi zardzewiał.

Szwed chciał być dla kuzyna grzeczny aż do zbytku i najkrótszą drogą prowadzącą do Lipska, uprzedzając Augusta, wyruszył także do dnia na spotkanie, tak że nie wiedząc o sobie, w drodze się rozminęli.

Król August dobiegł już do Gunthersdorfu, o pół godziny od Altranstadtu, gdzie z kancelarią stał Piper, gdy mu to, zabiegając, oznajmiono, że Karol Dwunasty wyjechał na spotkanie i Piper u siebie spocząć prosił.

Wysłano gońca, aby zawrócił Szweda, i w niespełna kwadrans tętent koni na umarłej ziemi oznajmił przybycie Karola. August pośpiesznie wybiegł naprzeciw niego na schody, w których połowie spotkali się, po trzykroć sobie ręce podając, a ściskając i całując jak najserdeczniej. August nadzwyczaj czule, nadskakująco witał Karola, jakby do niego najmniejszego nie miał żalu. Szwed płacił również grzecznością, ale zimną i sztywną, i przez cały czas pobytu gościa nie zmiękł i nie odtajał na chwilę.

Na schodach rozpoczęły się już ceremonie, mające pewne znaczenie. August na ziemi własnej uważał się za gospodarza, chciał więc dać i pierwszy krok, i

prawą rękę Karolowi, ale Szwed ze swym olbrzymim mieczem także chciał gospodarować i przyjmował jak gościa Augusta.

Mruczeli oba czas jakiś, rękami sobie wskazując drogę, ale w końcu diamenty saskie musiały posłuszne poprzedzać szwedzkie owo skromne ubóstwo.

Piper na przyjęcie panów kazał na komin parę polan dREW dorzucić.

Rozmowa, wydająca się z dala wesołą, poczęła się pono od Karolowych butów, o których historii słuchał August z żywym zajęciem, przeszła potem na zimę i mrozy, na podróż odbytą po grudzie z Warszawy, na najbliższe przedmioty, aż do guzików miedzianych Szweda i jego koncerza.

Stali obok siebie w zagłębieniu okna, zwróceniu twarzami, unikając wejrzeń długich, i przebyli tak prawie godzinę całą. August się ciągle uśmiechał.

Szwed w końcu porwał się jakby zmęczony.

— Jedziemy do mnie — rzekł.

Na schodach August musiał iść przodem.

Przed gankiem stał świeży koń dla niego przygotowany, którego dosiadł dzielnie, bo w tym celował, i puścili się obok siebie, jadąc do Altranstadtu. Tu ich z obiadem czekano, który u Karola nigdy godziny nie trwał.

Mieszkanie, które zajmował, było nadzwyczaj szczupłe i skromne.

W pierwszej izbie stał okrągły prosty stół, już nakryty, i kilka drewnianych stołków. Tylko dla Augusta przygotowano miękkie krzesło. W drugiej widać było tapczan zarzucony kołdrą sukienną, ze skórzaną poduszką, stolik w rogu do umywania, a na kołkach po ścianach trochę wcale niepozornej broni.

Podano jedzenie. Szwed był milczący, August ożywiony, wesół i zmagający się na to, aby pokryć znękanie i zakłopotanie. Wczesna noc zmusiła go tu nocować, ale nazajutrz rano wyrwał się po najserdeczniejszych uściskach do Lipska, rad, że mu tym razem nie kazano się kłaniać i ścisnąć z królem Leszczyńskim, bo to już było nad jego siły.

Ale pierwsze odwiedziny zapowiedzią tylko były następnych i wzajemnych, a Szwed upierał się przy tym, aby mieć raz u stołu swojego dwu razem polskich królów, na spartańskiej swej polewce.

Nierównie wprawniejszy do odegrywania roli, jaka mu się zdawała potrzebna, August te spotkania grzeczne z ciotecznym swym przebywał jak zimną kąpiel, po której wzdrygnąwszy, zapiwszy ją, był niemal dumny, iż ją lak bohaterskim przeniósł duchem. Karolowi, który do rąbania prawdy nawykł, udawanie przychodziło ze wstrętem i odrazą, a wśród niego wyrywały mu się poruszenia, które ohydę zdradzały.

Nadzwyczajną, heroiczną powolnością swą dla zwycięzcy August nie miał nawet pociechy, ażeby coś zyskał. Żelazny Karol nie ustępował w niczym, kazał sobie wydać Patkula, żądał listu do Leszczyńskiego, oznajmującego mu o zrzeczeniu się korony i winszującego wstąpienia na tron.

Szwed musiał choć raz wizytą odpłacić za wszystkie te grzeczności. Wpadł wcale niespodzianie do Dreżna, gdzie Flemming i Cosel zupełnie bezbronnego pochwyć chcieli i uwięzić, tak jak Schulenburg, który go porwać zamysłał.

August byłby może dopuścił się tego, ale nieprzyjaciela, który sam się mu oddawał — zdradzić — było ostateczną na siebie ściągnąć hańbę. Wolał go więc odprowadzić sam za miasto.

Z Leszczyńskim spotkał się August u Karola, było to nieuniknione, ale wymijali się, tak, aby jeden drugiego nie widział, nie pozdrawiał i nie wymienił ani słowa. Tak samo w ulicach Lipska, czasu jarmarku się spotykając, August pochylał się na kark konia i pędził na oślep, żeby Karola nie pozdrowić choć przy ludziach i nie być zmuszonym mu się pokłonić.

Szwedzi, którzy natychmiast wyjść mieli, siedzieli tymczasem, rekrutowano na nowo, wypełniano w pułkach szczyrby i wyciskano kontrybucje. Karol Dwunasty nie zsiadał z konia, prawie co dzień oddziały wojsk swych lustrując, a August? — wyprawiał fajerwerki, wydawał bale, polował w Moritzburgu, zaglądał do Lipska.

Przyjaciele jego, Flemming i Pflug, znużona szlachta saska, nie mogąc się doczekać końca, mruzczała, że Szweda ubić gdzieś trzeba w zasadzce, aby raz się wyswobodzić.

— Ubić?... nie!... — mówił August — ale gdyby zjadł grzybów niezdrowych albo się napił wody niedobrej i gdyby mu to zaszkodziło...

Tymczasem Karol mało co jadł, a jeszcze mniej pił i nic mu nie szkodziło. On i Leszczyński swobodnie siedzieli sobie w Altranstadicie i Leśniku.

W Dreźnie życie już szło dawnym trybem, przy muzyce i okrzykach.

Księżna Cieszyńska we wspaniałym swym pałacu, otrzymanym w darze po Beichlingu, na ulicy Pirnajskiej coraz wytworniej się urządzała, a nikt jej nie przeszkadzał.

August wiedział o niej, nadto jednak był Coselą zajęty, aby nawet chwilowego w jej towarzystwie szukał roztargnienia.

W ulicy jadąc konno król raz przesunął się około drzwiczek jej powozu. Piękna Urszula pozdrowiła go żywo. Uśmiechnął się. Jechała do siebie.

W kwadrans później kazał się przynieść w lektyce.

— Jesteś tu, moja śliczna pani! — zawołał kłamiąc wesoło, bo wiedział o niej dobrze.

— Najjaśniejszy Panie, schroniłam się pod twe skrzydła opiekuńcze — odpowiedziała Urszula.

— Zrobiłaś, coś mogła najrozumniejszego uczynić — rzekł król. — Warszawa musi być okrutnie smutna...

— Jak cmentarz, Najjaśniejszy Panie...

— Widujesz Aurorę?

— Prawie co dzień.

August z galanterią przysiadł się do niej na kanapce, wziął białą rączkę, pocałował, uśmiechnął się i począł namawiać, aby na maskowy bal do Lipska przyjechała, gdzie księcia Wirtemberskiego i Hohenzollerna miał przyjmować.

Ożywił się niezmiernie, mówiono potem o jakimś turnieju... Nie wspomniał and o klęskach swych, ani o przeszłości... wstał i powrócił do Coseli.

Księżna Cieszyńska teraz już spokojną i pewną być mogła, że jej nic nie odbierze: ani tego wspaniałego pałacu, ani dóbr na Łużycach, ani księstwa... Mogła się cała oddać staraniu o wyjście za mąż.

W kwietniu, po karnawale, Karol Dwunasty jeszcze u tego samego prostego stołu w niewielkiej izbie jadalnej w Altranstadcie przyjmował odwiedziny lorda Marlborough, zaprosiwszy do tego samego stołu Augusta, który nie śmiał — i Leszczyńskiego, który nie mógł się od bytności wymówić.

Było to już w kilka dni po tym sławnym liście, który August był zmuszony z rozkazu Szweda napisać do króla Stanisława i jeszcze upokorzenia nie przeboleał, gdy mu na nowo pić z tego kielicha goryczy kazano. .

Karol Dwunasty się tym bawił i igrał ze złapanym kuzynkiem jak kot z myszką.

W wigilię odwiedzin lorda przybiegł konno do Leśnik, gdzie królestwo oboje bardzo skromny domek zajmowali. Stosunki Leszczyńskiego z Karolem były szczególnego rodzaju. Dwa te charaktery i temperamenty różniły się od siebie jak niebo od ziemi; ale w jednym łączyły zgodnie: Karol Dwunasty i król Stanisław zarówno stali niewzruszenie przy zasadach i przekonaniach, przy wierze swej w prawdy, na których jak na osi obrotowej życie zawisło. Stanisław był niezrównanej łagodności i dobroci, po chrześcijańsku przebaczący, bez złości w sercu, bez najmniejszego zemsty pragnienia. Żaden wzgląd polityki, interesu nie mógł go skłonić do surowości, do okrucieństwa, z jakimi Karol występował namiętnie. W nim natura i temperament żołnierza przeważały. Leszczyński, którego później nazwano „filozofem dobroczynnym”, miał męstwo, ale rycerskiego ducha mu brakło.

Pomimo to, surowy, szorstki Karol Dwunasty kochał w nim tę duszę czystą, tę prostotę i miłość prawdy, które stanowiły jego charakter właściwy.

W pojęciach obowiązków i środków działania spierali się prawie codziennie z sobą, Leszczyński ulegał na ostatek, ale w tych tylko sprawach, w których szło raczej o formę niż o treść, gdyż przeciw swym zasadom — ani nawet przez powolność dla przyjaciela, który mu na skroń cierniową włożył koronę, postąpić nie chciał. Naówczas Karol spotykał w nim szlachetny opór, ze słowem serdecznym, ale nieprzełamanym.

Niejeden raz, gdy się z sobą spierali, Leszczyńskiemu się z głębi duszy wyrывało:

— Źle postąpiłeś królem mnie czyniąc, ja krwią moich współziomków korony okupywać nie chcę, raczej się jej zrzeknę. W takim stanie, w jakim dziś się znajduje Rzeczpospolita, jeżeli jej zreformować nie zdołam, jeżeli praw nie zmienim i karności nie zaprowadzimy, ani ja na tronie, ani to królestwo przy życiu się nie utrzyma.

Karol Dwunasty milczeniem go zbywał i wróżył przyszłość dobrą. Pomimo miłości dla swego wybrańca, uparty, czasem narażał go nietościwie na bardzo nieprzyjemne wrażenia. Tak na przykład, obstawał dla dokuczenia Augustowi,

dla upokorzenia go, aby zmusić ich do osobistego z sobą spotkania. Po kilka kroków August z wielką zręcznością już nastawionych szabel uniknąć potrafił; przyjazd lorda Marlborough następnym razem jeszcze nową próbę.

W progu domku, w którym Leszczyński z żoną przyjmował przyjaciela, Karol mu rękę na ramieniu położywszy zawołał despotycznie:

— Jutro musisz być u mnie na obiedzie... Marlborough przybywa...

Spojrzeni sobie w oczy i król Stanisław, myśl przeniknąwszy, odparł smutnie:

— Na co mnie i jemu chcesz uczynić przykrość? Ukłon jego nie sprawi mi przyjemności, a mój widok odbierze mu apetyt i pragnienie.

— O! pragnienia z pewnością nie! — odparł Szwed. — Wiem, że tobie nie uczyni przyjemności, ale się nudzę i nie dosyć mu dokuczyłem. Musisz paść ofiarą. Kilka godzin przebyć z nim — starczą ci siły. Rachuję na twoje przybycie, wymagam go.

Rozśmiał się wesoło.

— Przecież i ja się zabawić muszę, a nie mam ani Coseli, ani błaznów nadwornych, ani takich jak August Fröhlichów i Kyanów.

W ten sposób Leszczyński zmuszony został stawić się na obiad do Altrandstadtu. Przybył tu wcześniej, tak że nadjeżdżający, strojny i świecący od złota i diamentów saski pan, już go tu zastał. August więcej się domyślił i przeczuł tu tego przeciwnika, niżeli widział, bo oczyma tak umiejętnie manewrował, ażeby się nie spotkały z łagodnym i smutnym, pełnym powagi wejrzeniem Leszczyńskiego.

Pokój, w którym oprócz trzech królów, lorda, Pipera i kilku jeszcze z orszaku Szwedów nie było nikogo, szczupły, wymagał nadzwyczajnej baczności, aby nie ocierali się jedni o drugich. Król August dał dowód gibkości, zręczności i przytomności umysłu niezwykłej, zawsze tak kierując sobą, ażeby ktoś go od Leszczyńskiego oddzielał.

Była to jakby gra na szachownicy, po której Karol Dwunasty pionki swe popychał, a Sas, jak mógł i umiał, zamiataniu się wykręcał. Oprócz pilności w każdym słowie i ruchu, musiał jeszcze nie okazywać po sobie ani zakłopotania, ani tego przymusu, jakiemu ulegał.

Bawiło to Szweda, a męczyło smutnego Leszczyńskiego, który przez cały prawie czas pobytu był zamyślony i milczący. Karol umyślnie go wciągał w rozmowę naówczas, gdy sądził, że August się też będzie musiał odezwać. Ale Sas naówczas nadzwyczaj zręcznie wynajdywał pretekst do zwrócenia się gdzie indziej i do kogo innego. U stołu dwaj królowie siedzieli po obu stronach Karola Dwunastego i to im nieco wypocząć dało.

August wyszedł z tego turnieju prawie zwycięsko; dał dowód obrotności, przytomności umysłu, chwilami czelności niepospolitej, lecz tych kilka godzin męczarni wewnętrznej tak go zmogły, doprowadziły do tego stopnia złości i rozdrażnienia, że na noc powróciwszy do Lipska, do hotelu pod Jabłkiem, gdzie stawał zwykle, w pokojach swych sprzętów połowę połamał i powywracał, nim się potrafił uspokoić. Nikt naówczas, gdy tak szalał, przystępować się nie ważył do niego, bo najmniejsze słowo można było życiem przypłacić. Niezmierna owa siła Augusta czyniła go niebezpiecznym, dosyć mu było popchnąć człowieka, jeżeli ściana stała blisko, aby się rozbił o nią. Niejeden raz wynoszono tak z jego mieszkania potłuczoną czeladź, która jęknąć nie śmiała, bo jęk go drażnił gorzej jeszcze.

Cudzoziemcy, wtajemniczeni w stosunki tych trzech królów, przypatrując się nielitościwemu pastwieniu się Karola Dwunastego nad Sasem nie mieli wcale ochoty się uśmiechnąć, choć położenie mogłoby być śmiech wywołać. Czuć było w tym coś tragicznego zarazem. August, który każdego dnia inaczej, jak aktor występujący na teatrze, przebierał się w lamę złotą, srebrzystą, w guzy rubinowe i diamenty, w peruki coraz misterniej fryzowane, grał swoją rolę do końca ze stereotypowym uśmiechem, który mówił: „Nie zwyciężysz mnie, zniosę wszystko, ale wara, gdy przyjdzie do odwetu!”

Ostatniego dnia, po pożegnaniu z lordem, wpadł August do swego apartamentu w Lipsku z Flemmingiem razem, wołając:

— Nareszcie!

Dnia tego nie łamał już nic i rzucił się na krzesło z fajką, długim stojącego przed sobą Flemminga wytrzymując milczeniem.

— Koniec już temu — dodał na ostatek — nieco cierpliwości, a odwet musi nastąpić, na Karolu, na Leszczyńskim, na wszystkich, którzy mi się zadłużyli. Altranstadzki traktat! — dodał — śmieję się z niego, byłem zmuszony... nóż na gardle miałem. Imhof i Pfingsten przekroczyli daną im instrukcję — odpokutują za to...

— Uwięzieni są oba — rzekł Flemming — ale ja...

— Ani ty, ani nikt w świecie niech się na próżno nie ujmuje za nimi — rzekł król pośpiesznie. — Ja czy oni są winni — dla oczu ludzkich, dla sławy mojej muszą paść ofiarą. Powinien bym ich, jak dezerterów spod Wschowy, na rynku w Dreźnie kazać powiesić obu...

To mówiąc wstał. Flemming łagodnie zaczął go skłaniać do tego, aby o Polsce myśleć przestał i cały się Saksonii poświęcił. August spojrział na niego bystro i ramionami zżymnąwszy, odwrócił się od niego.

— Nie mów mi o tym — odezwał się. — Tymczasem car Piotr tam czuwa dla mnie, a gdy się Karolowi Dwunastemu noga powinie, w Polsce powinienem wszystko znaleźć w pogotowiu. Stosunki w Warszawie i Krakowie utrzymać potrzeba... z nikim nie zrywać, obiecywać, jeśli nie płacić. Cośmy z tobą, Flemming, rozpoczęli na opanowanie Rzeczypospolitej, na rozdzielenie jej z Piotrem i z...

Tu się wstrzymał nieco.

— Nie będę nikogo może więcej potrzebował oprócz Piotra; Leszczyński nie jest wcale wojakiem, choć go przybrał Karol Dwunasty. Nadto wiele ofiar mnie Polska kosztowała, abym nie był zmuszony ich na niej poszukiwać. Mój syn powinien ją uzyskać jako państwo dziedziczne. Cesarza sobie pozyskam.

Marzenia te, we cztery oczy z dyskretnym przyjacielem rozpoczęte, wieczorem się zmieniły w ucztę do białego dnia przeciągniętą.

Pobyt w Saksonii Karola, nad miarę i nad przyrzeczenia jego przeciągnięty, upozorowany był tym, że August wojsk danych cesarzowi w pomoc do wojny nad Renem wycofać nie mógł. Pobyt Szwedów w Saksonii trwał cały rok okrągły. Kosztował on dwadzieścia kilka milionów talarów najrozmaitszych kontrybucyj i dwadzieścia kilka tysięcy ludzi gwałtem do wojska szwedzkiego wcielonych.

Szwedzi jeszcze nie byli opuścili zniszczonego kraju, gdy August cały się oddał ulubionym rozrywkom. W jesieni uroczyście strzelano do... ptaka i królem kurkowym został Robinson, poseł angielski.

Urodziny swe następnego roku obchodził król na jarmarku wielkanocnym w Lipsku, z okazałością, z przepychem tym większym, iż nimi pokryć musiał swe pieniądze kłopoty.

Zabawiwszy się potem nad Renem wojną, a raczej obozowaniem wesołym — na karnawał musiał powrócić do domu. Tu przygotowywał się przyjmować „magnific”, piszą współczesne gazety, powracającego z Włoch króla duńskiego. Sam fajerwerk, mający wyobrażać oblężenie Ryssel we Flandrii, w którym August z dala jako świadek uczestniczył, kosztował przeszło dziesięć tysięcy talarów.

Wśród tych rozrywek, balów, odwiedzin książęcych, doczekał się August wiadomości o bitwie pod Połtawą.

Ósmego lipca rozegrał się ten dramat, krwawy, a w miesiąc potem drukował się już manifest Augusta i na czele jedenastu tysięcy wojska, jako król wskrzeszony, wszedł do Polski.

Zaprosić go na tron znowu przybyli wierni mu: Denhoff i biskup kujawski.

Walka z dobrodusznym, wspaniałomyślnym a wcale nie chciwym panowania Leszczyńskim, któremu już Karol Dwunasty pomagać nie mógł, ledwie z życiem w kilkaset koni uszedłszy — walka przewrotności nie ograniczonej niczym — z prawością i łagodnością, nie mogła być wątpliwa w skutkach. Silne poparcie cara Piotra zresztą zapewniło odzyskanie tronu Augustowi.

Dnia ósmego sierpnia drukowany manifest do narodu, głoszący przebaczenie powszechne i poszanowanie praw Rzeczypospolitej — przywiózł Flemming już w łóżku leżącemu, rozmarzonemu toastami królowi.

Twarz jego rozogniona, dumna, zwycięska, uśmiechnęła się wdzięcznie przychodzącemu.

Nie byłemże prorokiem? — zawołał zwracając się do przyjaciela — nie wierzyłeś mi, gdym przepowiadał odwet, gdym zapewniał, że na ten tron powrócę, który od dziś mam za swój dziedziczny... Pracuj teraz, abyś mi do tego dopomógł... mamy ludzi oddanych, znamy ich... wiemy, czym do nich trafić i czym korumpować... Prusak, duński król, car Piotr i ja... nie byłoby nas dosyć na stworzenie tu takich stosunków, jakich potrzebujemy? Garść szlachty w obronie swych praw i przywilejów niedorzecznych miałaby nam stanąć na zawadzie? Flemming, co ty na to?

Wierny druh się zadumał, ale na jego twarzy, która nigdy nic z siebie nie dawała wyczytać, i tym razem nie widać było ani zbytniego przejęcia się świetną przepowiednią, ani wielkiej w nią wiary.

Poruszył ramionami tylko.

— Wiesz — rzekł po chwili milczenia — że we mnie masz wiernego sługę. Co się tyczy tych, na których rachujesz w Polsce...

Uśmiechnął się Flemming.

— Ja nikomu z nich nie ufam.

— Ani ja też — dodał król — i właśnie dlatego nic są nam straszni, że wiemy, jak ich cenić mamy.

Tak się rozpoczęło owo powtórne panowanie Augusta II, które było niczym innym, tylko walką ciągłą z zasadniczymi prawami Rzeczypospolitej.

Wymijano je, nie śmiejąc złamać, łamano, ilekroć upozorować się to dało, a ostatecznie synowi pozostawił król w spuściźnie najstraszniejszą anarchię, coś na kształt domu, w którym — stary naruszywszy porządek, nowego zaprowadzić nie umiano.

Losy pięknej Urszuli wkrótce potem rozstrzygnęły się dosyć szczęśliwie. Zabrała ona znajomość z księciem Wirtemberskim i uspokoiła Cosel, która się jej obawiała zawsze, za mąż wychodząc za niego. Dom jej naówczas, zarówno z salonami pani Przebendowskiej, stał się ogniskiem dworskich, polskich i saskich intryg, zabiegów i robót pokątnych. Księżna Cieszyńska lękała się i nie lubiła Flemminga; wszyscy ci, co jej wstręt i obawę dzielili, zbiegali się tutaj do jednej gromadki. Panowie senatorowie polscy co dzień się prawie schodzili na wieczerzę i pogadankę.

Król August nie okazując szczególnej czułości dla dawnej kochanki lubił ją i miał pewne względy. Cosel nie prześladowała przestawszy się jej obawiać.

Ze wszystkich Ariadn opuszczonych Urszula okazała się najzręczniejszą w zapewnieniu sobie przyszłości świetnej i nie podlegającej kaprysom losu. W Dreźnie z jej wpływem i znaczeniem liczyć się musieli nawet najmocniej stojący na dworze; dom był w stolicy najwykwintniej po pańsku urządzony. Pomimo przepychu, licznego dworu, wydatków znacznych — pani Urszula dokupywała jeszcze dobra. Na ostatek piękność jej oryginalna, pomimo wieku, dosyć się długo utrzymywała i czyniła ją w towarzystwie kobiet zawsze wdzięcznym zjawiskiem. W Polsce wszakże imię księżnej Cieszyńskiej zupełnie zostało wkrótce zapomniane i obce.

Ze śmiercią prymasa Radziejowskiego świetne nadzieje Towiańskich, którzy już, skoligaciwszy się z Lubomirskimi, sięgali po wielką buławę — spełzły marnie i rodzina ta, nie dobiwszy się znaczenia w Rzeczypospolitej, zniknęła i zapomniana została.

Lat niemal dziesiątek upłynął.

Przyznać tu trzeba Augustowi Drugiemu, że jako władca — i zostawiwszy po sobie najprzykrzejsze wspomnienia w Polsce i Saksonii, tak że nikt po nim w chwili zgonu nie bolał — jako miłośnik sztuki, jako budowniczy, jako zwolennik teatru, kunsztów przemysłowych i wszystkich rękodziel do przepychu posługujących wiekopomną zasługę w Saksonii sobie zjednał.

Drezno do niepoznania, a la Louis Czternasty, przebudowane zostało, rozszerzone, upiękzone. Malarstwo, budownictwo, muzyka zakwitły. Cała kolonia Włochów osiadła około zamku. Pałace nad Elbą, wille, zamki powznosiły się, jak różdżką czarodziejską wywołane. Pochłonęło to miliony — ale chwilowo wspaniałością dworu postawiło Saksonię na czele państw składających Rzeszę Niemiecką ówczesną.

Prawda, że w tej chwili, gdy August Drugi zbierał tak zapalczywie chińską i japońską porcelanę, że za nią dawał najpiękniejszych swych grenadierów, król pruski tak usilnie zwiększał i wprawiał swą armię, iż bez żalu pozbywał się dla niej ogromnych wanien porcelanowych i — porcelana dziś stoi w zbiorach pyłem okryta, a Saksonia zdobniała do rozmiarów mikroskopowych.

Lecz — było to za panowania jednej z ostatnich kochanek Augusta Drugiego, pani Denhoff, z domu Bielińskiej. W przedpokoju króla zawsze jeszcze coraz zuchwałej się rządził Constantini. Nie urósł on ani tytułami, ani urzędem, ale wpływem na króla, dotąd nie zachwianym, zdumiewał wszystkich.

Miano go już za nieśmiertelnego, gdy dnia jednego rozeszła się wieść po zamkowej ulicy, że Constantiniego do Kónigsteinu zawieziono.

Nikt temu wierzyć nie chciał w początkach, lecz wszyscy dworcy, którzy go nie lubili, uśmiechali się tryumfująco, tajemniczo kładli palec na ustach i potwierdzali niesłychaną tę wieść, niezrozumiałą dla ogółu.

Możnaż się było dziwić temu, że Włoch, uzuchwalony długą służbą, poszedł tam na pokutę, gdzie siedział kanclerz Beichling, Jabłonowski, Sobiescy i tylu innych! lub — że August poświęcił w chwili rozdrażnienia małego człowieka, gdy tylu znakomitych i zasłużonych nie wahał się stracić i uwięzić?

Pytano się tylko ze zdumieniem, co gniew królewski po wielu latach tak wiernej służby wywołać mogło?

Nie wiedział nikt, ale rumieniła się i mieszała słuchając o tym płocho i dziecinna Denhoffowa — a wkrótce potem dowiedziały się od niej przyjaciółki i doszło to do nieprzyjaznych, iż się poskarżyła królowi — Mazotin, podpiwszy, śmiał się do niej zalecać!

Na zamkowej ulicy pod Rybami, gdzie w miejscu zupełnie nieczynnego i czytającego Biblię po dniach całych Witkego rządził jakiś jego krewny — stojącemu w zadumie u bramy Zachariaszowi przyszedł ktoś szepnąć do ucha.

— Wiesz? Nosił dzban długo wodę, aż się ucho urwało. Constantini siedzi na Kónigsteinie.

Witke obojętnie to przyjął — co go ten szkaradny koczot obchodził? Nazajutrz jednak kij wziął z kąta i pieszo wyciągnął za miasto, prostym gościńcem do tej przesławnej naówczas twierdzy, która uchodziła za niezdobytą, a dziś jest tylko zabytkiem, którego by nikt bronić nie próbował.

Zachariasz miewał teraz często fantazje takie — nie bywało go w domu po dni i tygodni kilka.

Na Kónigstein się dostać w owe czasy nie było łatwo, ale dowódcą twierdzy był dawny znajomy, pułkownik, który sławił wina Witkego i często do komórki na nie przychodził. Kupiec się zameldował do niego.

Właśnie gromadkę swej załogi musztrował w podwórzu na górze, a był — lub udawał — że zły był okrutnie.

Zmiękł jednak zobaczywszy Witkego, nad którym się litowali wszyscy, utrzymując, że mu się po śmierci matki w głowie pomieszało.

— A ty, biedaku, co tu robisz? — spytał go von Planitz.

— Ja? — odparł Witkę. — Spełniam obowiązek chrześcijański, chcę więźnia nawiedzić, choć niewart jest może litości.

— Więźnia? — zawołał zdumiony pułkownik — kogo?

— Wszak Mazotin tu siedzi?

Planitz się rozśmiał.

— Dobrze mu tak — nadto już pozwalał sobie. Chcesz go pocieszać?

— Chcę go nakłonić, aby pokutował za grzechy — rzekł surowo Witke.

— Każę cię zaprowadzić — odparł pułkownik — znajdziesz go pewnie z którymś z moich gości grającego w karty...

To mówiąc skinął Planitz i inwalidzie kazał przeprowadzić Witkego.

Przez ciemne, sklepienie korytarze, po schodach ciasnych wdrapał się na drugie pięterko bastionu narożnego.

Klucznik otworzył drzwi i wpuścił do niewielkiej izby Witkego.

Constantini nad stołem drzemał, przed nim próżne flaszki i kubki stały, a karty, porozrzucane, walały się na podłodze i między naczyniem.

Przebudzony, zobaczywszy nagle przed sobą Witkego, krzyknął zdumiony i uradowany... Chciał go ścisnąć, ale Niemiec się cofnął aż do drzwi:

— A co? — zawołał — a co? Jam ci tylko przyszedł przypomnieć i powiedzieć, że kara Boża nie mija złoczyńców. Gdybyś tu zgnił — jeszcze by mało było za te dusze, któreś pogubił...

Stuknął kijem, mówiąc to, Zachariasz, popatrzał, potrząsnął głową, zawrócił się i dał klucznikowi znać, aby go nazad prowadził...

KONIEC

hd